MAGAZYN WYBORCZA NA ŚWIĘTA

Kwaśniewski: Przetrwaliśmy tysiąc lat, przetrwamy i Trumpa ▸10

Ryś: Zapytałem papieża, gdzie są granice dialogu ▸7

Życzymy Państwu spokojnych świąt i dobrej lektury

FOT. JAKUB WŁODEK, MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL, SHUTTERSOCK

MAGAZYN wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

NATALIA DE BARBARO

Polki są cholernie uparte w poszukiwaniu miłości ▸14

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

GAZETA wyborcza

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198

ISSN 0860-908X

9 770860 908167 14>

Znęcanie się czy ułańska tradycja

Zakazać wyścigów konnych? ▸22

FOT. STEFAN ROMANIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Artur Nowak

Wstaje od rodzinnego stołu ▸4

WYSOKIE OBCASY

Magda Lamparska: Nie musisz być taka wyprostowana, spięta, na siedmiu etatach

Sobota – czwartek, 4-9 kwietnia 2026 | Redaktor prowadzący Marek Markowski | Cena gazety 14,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 79.11178, 1

Nakład 80 tys. + 322 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 2b2d0f0434

Agnieszka Kublik

Stanowski nagrodzony za głosy oddane dla jaj

Specjalna nagroda Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich – od dawna przybudówki PiSu – dla Krzysztofa Stanowskiego... za start w wyborach prezydenckich. A dokładniej, „za twórcze i owocne wykorzystanie zawodu dziennikarza w kampanii prezydenckiej 2025”.

Czyli za co Stanowski – dziennikarz sportowy, założyciel grupy Weszło, wcześniej Kanału Sportowego, teraz Kanału Zero – został uhonorowany? Za skandal. Bowiem stowarzyszenie dziennikarskie – nawet tak bardzo związane z jedną z partii – pochwala, nagradza i zachęca do łamania odwiecznych standardów dziennikarskich.

Stanowski w kampanii wyborczej wystąpił aż w trzech rolach – jako kandydat, dziennikarz przeprowadzający wywiady z kandydatami-rywalami oraz jako satyryk drwiący z kandydatów-rywali.

To było ośmieszanie zawodu dziennikarza, kandydatów i wyborów prezydenckich w ogóle. PKW mogła go nie zarejestrować? Bo jeżeli ktoś nie chce być prezydentem, to nie może być kandydatem na prezydenta. To logiczne.

Czy za cztery lata wystartują Holecka, Rachoń albo Ogórek?

Stanowski do mety dotarł na 8. miejscu – 243 479 głosów, 1,24 proc. Mało. I za wiele, to były głosy oddane dla jaj.

W 2004 r. „Newsweek” opublikował wyniki sondażu, z którego wynikało, że gdyby Tomasz Lis – dziennikarska gwiazda, wtedy w „Faktach” TVN – wystartował w wyborach prezydenckich, wygrałby z Lechem Kaczyńskim. Lis stracił pracę, choć zarzekał się, że „planów politycznych nie miał”. Coś, co było nie do pomyślenia dla mediów, teraz stało się faktem.

Stanowski uderzał na początku symetrycznie, o Trzaskowskim i Nawrockim pisał „chłopcy na posyłki”. Potem to, komu sprzyja, było nie do ukrycia – grał na kandydata prawej strony. Co nie było zaskakujące, bo w 2015 r głosował na Andrzeja Dudę. A Kanał Zero – zdaniem komentatorów – to taka Republika light.

Choć podczas trzygodzinnej debaty w TV Republika, gdzie pytania do Nawrockiego o wyłudzoną komunalną kawalerkę nie padły, to Stanowski wygłosił apel, by Nawrocki stanął twarzą w twarz z mediami i wyjaśnił, czy kawalerkę wyłudził. Ale potem opisał Nawrockiego jako „szczerego i ujmującego”, bo ten poprosił Stanowskiego o zaufanie.

Stanowski przeprowadził wywiady z większością kandydatów-rywali, co jest kolejnym złamaniem dziennikarskich standardów. Przyznał zatem sam sobie czas antenowy. Pojawiał się wiecach wyborczych kandydatów-rywali, by potem z nich drwić.

To wszystko nagrodziło SDP. Czy to znaczy, że do kolejnego prezydenckiego wyścigu staną czynni dziennikarze? Wystartuje Rachoń, Holecka? A może Ogórek? Reprezentując SLD w wyborach w 2015 r. zgarnęła 353 883 głosy, czyli 2,38 proc., więcej niż Stanowski.

Ale gdyby chciał wystartować np. Piotr Kraśko, Justyna Dobrosz-Oracz, Dorota Wysocka-Schnepf to SDP by zawyło! I to jest wartość tej nagrody. Choć ujemna. ●

Kenia
Gospodarcza III wojna światowa

FOT. REUTERS/THOMAS MUKOYA

Okolice Othaya, miasteczka w hrabstwie Neyri, zagłębiu herbaty i kawy. Zbiory na herbacianych plantacji są na pół gwizdka, bo zamówienia zredukował jeden z największych importerów, czyli Iran – straty na tym kliencie to już 3 mld szylingów, blisko 85 mln zł. Z herbaty, najważniejszej kenijskiej uprawy, żyje około 600 tys. drobnych hodowców.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Labidura riparia
Nocą uważaj na plaży

Wiele osób zna skorka pospolitego. Ten uzbrojony w szczypce owad, chętnie pojawia się w naszym otoczeniu. Mało kto wie, że skorków mamy więcej. Szczególnie imponująca jest obcężnica nadbrzeżna. *Labidura riparia* jest duża i wygląda groźnie – samiec może mieć nawet 2,6 cm plus szczypce długie nawet na 1,4 cm, gdy skorek pospolity osiąga ok. 1,5 cm bez szczypiec – a do tego bez trudu lata. Pokrywy, czyli pierwsza, stwardniała para skrzydeł, jest u niej silnie skrócona, tak jak u innych skorków. Schowane pod nimi skrzydła drugiej pary są jednak dobrze wykształcone.

Skorek pospolity nie wybrzydza – można go znaleźć w każdym lesie, parku, ogrodzie, w domu. *Labidura riparia* jest wymagająca, przebywa w miejscach silnie piaszczystych. Chętnie zamieszkuje brzegi dużych rzek, wydmy, żwirownie. Widuje się ją nad Wisłą, Bałtykiem czy na Pustyni Błędowskiej.

Znajduje się na Czerwonej Liście z kategorią LC, oznaczającą gatunek

FOT. TOMATITOSHUTTERSTOCK

najmniejszej troski, ale entomolodzy postulują, by podwyższyć ją doVU, czyli gatunku narażonego na wyginięcie.

Byłoby szkoda, gdyby zniknęła, ponieważ odgrywa ważną rolę. Pożera przede wszystkim jaja i larwy innych bezkręgowców, czasami atakuje dorosłe osobniki. Rzadko można ją zobaczyć w akcji - uaktywnia się pod osłoną nocy.

Samica wykopuje w piasku gniazdo i składa od 60 do 100 jaj. Opiekując się nimi, nie tylko przebywa w ich pobliżu, ale też je pielęgnuje poprzez lizanie, a także oczyszcza norkę z grzybów i zabrudzeń. ● **Mateusz Sowiński**

Andrzej rysuje

Cytat tygodnia

„Klepacze kodu”, którzy nie wystawiają nosa poza klawiaturę, nie interesują się szerszym kontekstem rozwiązania, długo się nie utrzymają w branży

JAROSŁAW BRYL
Chief AI Officer w Asseco, największej polskiej firmie IT, o przyszłości zawodu programisty

Więcej na Wyborcza.pl/biz

Liczba tygodnia

3 MINUTY

FOT. MAGNANI ROCCA FOUNDATION/HANDOUT VIA REUTERS (2)

Zajęła kradzież Cézanne’a, Renoira i Matisse’a z kolekcji Luigiego Magnaniego. W przeciwieństwie do Luwru w zeszłym roku, w muzeum Villa dei Capolavori wszystko zadziałało jak trzeba: uruchomił się alarm, a ochrona i carabinieri przybyli błyskawicznie – dlatego włamywacze wynieśli tylko trzy dzieła. Niemniej strata jest znacząca – i nie chodzi nawet o 9 mln euro, bo na tyle wyceniono obrazy. We włoskich kolekcjach jest mało prac impresjonistów. **Więcej na Wyborcza.pl/kultura**

1 RP

eprasa.pl 2b2d0f0434

W PiS zaczęło się kombinowanie pod górkę

Nowy, lepszy długopis

Pałac Prezydencki wie, że łamie prawo. Ale Karol Nawrocki okazał się mniej niezależny niż Andrzej Duda

Wielowieyska

Prowadzenie kampanii na rzecz PiS i zabezpieczanie interesów tej partii jest teraz głównym zadaniem prezydenta Karola Nawrockiego. Zleconym oczywiście przez Jarosława Kaczyńskiego. Ale Nawrocki gra również na siebie – i tu dąży przede wszystkim do poszerzenia swoich kompetencji wbrew konstytucji. Obserwujemy właśnie szereg decyzji i posunięć, które wpisują się w ten plan.

Najpierw wzywał na odprawę szefów służb specjalnych, którzy przecież podlegają nie prezydentowi, lecz premierowi. Potem wzywał na odprawę generałów, bo twierdził, że jako zwierzchnik sił zbrojnych może to robić. Zapomniał tylko, że na czas pokoju prezydent sprawuje kontrolę nad armią za pośrednictwem ministra obrony narodowej.

Nawrocki generalnie ingeruje w kompetencje administracji rządowej, na przykład chce, aby ustanawiano ceny prądu, jak on sobie życzy, nie wskazując jednak źródeł finansowania. Nie mianuje ambasadorów, bo nie uznaje zasady, że politykę zagraniczną prowadzi rząd. I o ile sprzeciw wobec nominacji osób bezpośrednio kojarzonych z Koalicją Obywatelską dałby się uzasadnić, o tyle bojkot kandydatów, którzy zyskiwali aprobatę PiS podczas posiedzeń sejmowej komisji spraw zagranicznych i są niepartyjnymi dyplomatami, nie daje się racjonalnie uzasadnić. W tym przypadku Nawrocki jednocześnie demonstruje wyborcom prawicy swoją siłę i wykonuje rozkaz Kaczyńskiego: dążyć do skrajnej polaryzacji na zasadzie „nie, bo nie".

Kolejna próba poszerzania kompetencji to blokowanie ustawy dającej instrumenty do wykorzystania niskoprocentowej europejskiej pożyczki SAFE na inwestycje w polski przemysł zbrojeniowy. I zgłoszenie swojej propozycji, która zakładała pojawienie się mitycznego zysku NBP, a miała wymusić na rządzie, by konsultował decyzję o inwestycjach z Pałacem Prezydenckim. To oczywisty absurd. Prezydent ma ściśle określone kompetencje, które nie obejmują administrowania krajem na równi z Radą Ministrów.

Przy czym akurat nagonka PiS na SAFE i weto wynikają również z innych przesłanek niż samo „nie, bo nie". Program jest bólem głowy Kaczyńskiego. Prezes PiS przestudiował listę inwestycji, które mają być realizowane. I skonstatował, że dotyczą głównie bastionów wyborczych jego partii, na czele z Podkarpaciem i Hutą Stalowa Wola. A więc te regiony, bastiony żelaznego elektoratu, dostałyby olbrzymie pieniądze na inwestycje w bardzo krótkim czasie, bo w ciągu roku. Jeszcze przed wyborami parlamentarnymi – a dzięki „reżimowi Tuska", z przecinaniem wstęg przez ministrów Koalicji 15 Października.

Dlatego obóz PiS musiał wymyślić opowieść, że to są brudne, zdradzieckie srebrniki unijne, których lepiej nie brać, bo się straci suwerenność. Na ile elektorat PiS w tych regionach to kupi? Ci wyborcy pewnie nie zmienią swoich politycznych faworytów tak gwałtownie, ale ich motywacja do walki ze złym Tuskiem może trochę osłabnąć. Słyszą od PiS, że to Niemcy na tym skorzystają, po czym zobaczą te pieniądze na własne oczy, a następnie we własnych kieszeniach – i to dzięki „ryżemu", „sługusowi Berlina", który ocalił obiecany dobrobyt przed ich własnym prezydentem. To może u nich spowodować dysonans poznawczy. Nadzieją Kaczyńskiego jest to, że rząd z wydawaniem tak dużych pieniędzy w tak krótkim czasie, sobie nie poradzi. To będzie bardzo ważny test sprawności tej ekipy.

•

Ponieważ celem Kaczyńskiego jest polaryzacja, nie mogło więc zabraknąć awantury wokół Trybunału Konstytucyjnego. Polaryzacja sprawia, że wszyscy dzielący włos na czworo zazwyczaj słabną i o to Nowogrodzkiej chodzi. Konfederacja oczywiście była i jest krytyczna wobec Koalicji 15 Października, ale zdroworozsądkowo – i zgodnie z tym, na co wskazują konstytucjonaliści – stwierdziła, że prezydent ma obowiązek odebrać ślubowanie. Kaczyński zaciera ręce: tak, znowu nie są wyraziści, a tu przecież trwa walka o niepodległość z niemieckim najeźdźcą.

I tak prezydent przyjął ślubowanie tylko od dwojga sędziów, wybranych właśnie przez Sejm. A czworo innych sędziów, wybranych dokładnie w takiej samej procedurze, zignorował. Szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki, pytany kilka razy przez dziennikarzy, dlaczego wybrał akurat tę dwójkę, a nie innych wybrańców Sejmu, nie był w stanie odpowiedzieć. Choć zapewne odpowiedź jest taka: nie są to osoby rekomendowane przez Koalicję Obywatelską, tylko przez PSL i Polskę 2050. Ale głowa państwa nie ma takich kompetencji, by wybierać sobie swoich faworytów, których wpuści do TK.

Bogucki argumentował, że ślubowanie przyjęto tylko od dwóch sędziów, bo za kadencji Nawrockiego pojawiły się dwa wakaty, a Sejm powinien poprzednie cztery uzupełnić wcześniej z chwilą wygaśnięcia kadencji poszczególnych członków. Na pytanie Macieja Kluczki z TOK FM, jak uzupełnić w takim razie TK do konstytucyjnego składu 15 członków, minister powiedział, że to nie jego problem. Niech Sejm się martwi, co z tym fantem zrobić. Ale nie było odpowiedzi na pytanie, dlaczego akurat ta dwójka zasłużyła na zaproszenie do Pałacu Prezydenckiego, choć sześciu sędziów zostało wybranych według identycznej procedury.

Bogucki powoływał się na zdanie z orzeczenia TK, że w bardzo wyjątkowej sytuacji prezydent może odwlekać ślubowanie. Ale na pewno obecny przypadek nie spełnia tych kryteriów. Raz, dawno temu, faktycznie coś takiego się zdarzyło: na temat wybranej sędzi pojawiły się niepokojące i kompromitujące informacje już po jej wyborze. Prezydent Lech Kaczyński zwlekał z odebraniem ślubowania, ostatecznie to zrobił, ale pod presją ta osoba po prostu ustąpiła ze stanowiska.

Na pewno powodem blokowania ślubowania nie może być to, że uzupełnienie wakatów trwało zbyt długo. Bogucki zapomniał, jak to za czasów PiS było z wyborem następcy sędziego Leona Kieresa. PiS zwlekał wtedy przez wiele miesięcy. Gdy Katarzyna Kolenda-Zaleska z TVN przypomniała ministrowi ten fakt, odpowiedział, że był to przypadek jednostkowy. Co jest nieprawdą, ponieważ także w innych przypadkach wybór sędziów opóźniano. Po 2016 r. TK często funkcjonował w składzie poniżej 15 sędziów.

Traktując serio argumenty Boguckiego, można powiedzieć: jak PiS zwleka z zapełnieniem wakatów, to wszystko OK. A jak robi to ktoś inny, to jest to delikt konstytucyjny, wobec tego ślubowanie nie jest odbierane. Klasyczna logika PiS.

Konstytucja stanowi jasno: w Trybunale Konstytucyjnym zasiada 15 sędziów, jeśli prezydent blokuje ten proces, to łamie konstytucję. I Zbigniew Bogucki to wie, dlatego bardzo chytrze nie stawiał kropki nad „i". Na pytanie: czy prezydent ostatecznie ogłasza, że od czwórki sędziów nie przyjmie ślubowania, najważniejszy prezydencki minister zaczął się wykręcać od odpowiedzi. Stwierdził, że sytuacja jest analizowana. Katarzyna Kolenda-Zaleska zapytała więc, czy są plany, by zapytać Trybunał o spór kompetencyjny w tej sprawie. Bogucki nie zaprzeczył.

Program SAFE jest bólem głowy Kaczyńskiego. Prezes PiS przestudiował listę inwestycji, które mają być realizowane i skonstatował, że dotyczą głównie bastionów wyborczych jego partii

Tak więc Pałac Prezydencki nie chce otwartym tekstem przyznać, że nie będzie odebrane ślubowanie od sędziów wybranych przez Sejm, bo wie, że łamie prawo. Próbuje się więc zabezpieczać przed takim oskarżeniem, zgłaszając jakiś wniosek do Trybunału – i chodzi o to, aby nikt w sądzie nie mógł zacytować jednoznacznej odmowy. Zaczęło się więc kombinowanie pod górkę. Trybunał zdominowany przez PiS na polecenie swojego prezesa, Bogdana Święczkowskiego, niegdyś jednego z najbliższych ludzi Zbigniewa Ziobry i prokuratora krajowego przez prawie cały czas rządów PiS, coś z siebie wyrzuci – a prezydent stwierdzi, że nie odbierze ślubowania, bo tak mu kazał Trybunał.

•

Chyba nikt nie ma złudzeń, że tu chodzi o jakieś argumenty prawne. Istotą tej przepychanki jest pogłębianie polaryzacji w każdej dziedzinie. Rzecz w tym, żeby do Trybunału nie wpuszczać zbyt dużej liczby członków niezwiązanych z PiS, aby zablokować układ, w którym w przyszłości nominaci PiS na czele ze Święczkowskim straciliby większość. Chodzi o zabezpieczenie orzeczeń korzystnych dla Kaczyńskiego – i o zabezpieczenie losu samego Święczkowskiego: żeby nie znalazła się większość sędziów, która uchyli jego immunitet. A już raz prokuratura taki wniosek wysłała do Trybunału.

Święczkowskiemu zarzuca się nielegalne przetrzymywanie taśm z podsłuchów, zawierających tajemnicę obrończą oraz adwokacką. Koledzy z PiS go wybronili, choć nawet nie poszli zapoznać się ze szczegółami zarzutów. Ale gdy tej większości zabraknie, to może się zdarzyć uchylenie immunitetu i postępowanie dyscyplinarne. Karol Nawrocki na życzenie Kaczyńskiego oczywiście będzie robił wszystko, aby ten scenariusz zablokować.

I ostatni powód, dla Kaczyńskiego fundamentalny. Otóż prezes PiS zakłada, że wróci do władzy w 2027 roku. Wizja, że będzie miał na karku Trybunał Konstytucyjny zdominowany przez sędziów, których to nie PiS wskazał, bardzo go zniesmacza. Jeszcze przed przejęciem władzy w państwie i rozpoczęciem kryzysu konstytucyjnego w 2015 roku argumentował, że to skandal, że coś takiego jak Trybunał Konstytucyjny istnieje, bo to tak naprawdę trzecia izba parlamentu, której nikt demokratycznie nie wybrał, a mimo to może sobie ot tak blokować decyzje większości rządzącej, ponieważ orzeczenia są ostateczne.

Potem oczywiście zmienił retorykę, bo Trybunał składał się w większości z wiernych wykonawców rozkazów, więc wszystko było już okej. Ale teraz znowu jakieś wrogie elementy miały zdominować sąd konstytucyjny; nie, prezes temu nie będzie biernie się przyglądał. Stąd celem operacji jest długotrwały paraliż Trybunału, a prezydent głównym jej instrumentem. Ten plan jest PiS potrzebny w każdym wariancie. Zarówno wtedy, gdy faktycznie przejmuje władzę z dwoma Konfederacjami, jak i w razie gdyby Tusk pozostał przy władzy. Bo wtedy nowy, legalny Trybunał mógłby orzec o pisowskich ustawach dotyczących sądownictwa, że są niezgodne z konstytucją.

•

Wybory za półtora roku, a więc właściwie już za pasem, toteż nawalanki partyjnej w praktycznie każdej sprawie nie unikniemy. Jedyne sytuacje, kiedy Nawrocki będzie podpisywał ustawy, to takie, w których weto mogłoby uderzyć Polaków po kieszeni. Dlatego taki projekt jak CPN, Ceny Paliw Niżej – zgrabnie, zgodnie z modą na retro, nawiązujący do Centrali Produktów Naftowych, której logo na dzisiejszych „orlenach" kojarzą wszyscy urodzeni przed tym stuleciem – czyli obniżenie VAT oraz akcyzy na benzynę i olej napędowy, zawsze może liczyć na podpis.

Nawrocki będzie też podpisywał ustawy, które nie budzą szczególnych emocji politycznych, będzie współpracował z rządem w razie gwałtownego zagrożenia – tak jak wtedy, gdy w polską przestrzeń powietrzną wleciała chmara dronów – bo to zniesmaczyłoby nawet najbardziej nienawidzących Tuska, najbardziej fanatycznych zwolenników PiS. Ale cała reszta będzie obiektem nieustającej wojny, która jeszcze bardziej się nasili tuż przed wyborami jesienią przyszłego roku.

Zdarzało się, że prezydent Andrzej Duda stawiał się Kaczyńskiemu. Nawrocki jak na razie wszystkie rozkazy Nowogrodzkiej wykonuje bez mrugnięcia okiem. ● **Dominika Wielowieyska**

eprasa.pl 2b2d0f0434

ROZMOWY NA ŚWIĘTA

Rodzinne spa
przy wielkanocnym stole

eprasa.pl 2b2d0f0434

ringi

Talerze dzwonią, niby uśmiechy, niby święta. Tylko że w powietrzu atmosfera robi się gęsta.

FOT. DOMINIK SADOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Artur Nowak

Od Trumpa bije taka chłopska mądrość: tłusta, pewna siebie i swojska. Można go słuchać, jak słucha się pijanego wujka na weselu – tego, który po trzecim kieliszku wychodzi na środek sali i zaczyna „mówić prawdę". Bez wstydu. Bez refleksji. Bez tej wewnętrznej lampki, która normalnym ludziom zapala się gdzieś między myślą a ustami i mówi: nie, tego się nie mówi. Donald Trump tej lampki nie ma.

To, co uderza najmocniej, to nie jest nawet agresja ani bełkot. To jest wujkowa „kompetencja": absolutna bezwstydność. Brak poczucia obciachu. Zero autocenzury.

I kiedy tak na niego patrzę, widzę coś, co widziałem już tysiąc razy u wujków z dzieciństwa. Te same plecy, ten sam ciężar w brzuchu, to samo przekonanie, że świat jest prosty, tylko ludzie robią z niego burdel.

Sakrament kłótni

Człowiek może pójść na uniwersytety, czytać ambitne eseje, ale w głowie i tak nosi swoje mapy sytuacyjne rzeczywistości narysowane przez dom. A w tym domu zawsze znajdzie się ktoś „mądry", kto objaśni, kto zawalił, i co trzeba zrobić, żeby uratować sytuację.

Mówiąc o „wujkach", nie mówię o wujkach jako krewnych, tylko o tych, którzy przysiadają się do naszego stołu na prawach gości. U nas było trochę po węgiersku: sąsiadka to już prawie ciotka, a jej aktualny chłopak – zawsze wujek.

Polski stół zawsze był podzielony, a jego najświętszym sakramentem – kłótnia. Jak bochenek chleba przecięty krzywo.

Kiedy tłumaczę ludziom z zewnątrz, że w Polsce nikt się z nikim nie pojedna, patrzą na mnie jak na cynika. Nie rozumieją tej geografii: tu się żyje z kłótni. Tu kłótnia jest nieodzowna, jak kura w rosole, jak sól w tej arcypolskiej zupie. Bez niej polityka by zdechła, a bez polityki nie ma tematu do życia. Bo wszystko jest polityką: Owsiak, Caritas, wegetarianie, wiatraki i Zenek Martyniuk.

I wtedy pada pytanie – trochę naiwne, trochę grzeczne, a jednak sensowne: Od czego to się zaczęło?

Za każdym razem mam ochotę odpowiedzieć: od stołu. Od pierwszego „my" i pierwszego „oni". Od momentu, w którym ktoś uznał, że bez wroga nie da się żyć, a bez kłótni nie da się być sobą. Ale to nie jest takie proste.

Zresztą wokół podziału między Polakami krąży wiele teorii.

Ja pamiętam coś innego: pierwsze debaty. Jedną szczególnie wyraźnie – Michnik z Rakowskim. Podobał mi się i jeden, i drugi. Kłócili się tak, żeby się nie zabić. Żeby słowa były ostre, ale jeszcze ludzkie. Tylko że to nie po polsku: za delikatnie. No i ktoś po latach doszedł, że Michnik z komuchami się dogadał.

Podział się rozszczepiał, namnażał i dzielił dalej, aż w końcu został Kaczyński sam – walczący już nie z konkretnym przeciwnikiem, tylko z resztą świata. Z abstraktem. Z układem. Z wyobrażonym wrogiem, który jest zawsze tam, gdzie nie ma prezesa i portretu jego brata.

A mówią, że brat też nie był czysty, bo oddał Polskę w Lizbonie pod dyktat Unii. A Unia – jak mówi Braun – to sodomici. Ma opaskę na jednym oku, lewaki mówią, że to wszystko przez tęczówkę, której tak nienawidzi. Ale ja nie wiem, jak jest, bo niby czemu tę drugą jeszcze toleruje.

I kiedy ktoś pyta: „Kiedy nas podzielono?" – nie wiem. Mam w tym miejscu pustkę. Bo to nie był jeden początek. Polacy dzielą się od żłobka: na prawdziwych i polskojęzycznych, rysiowych i rydzykowych, grillowych i jogowych. To nawyk. Dziedziczony jak nazwisko, jak sposób mówienia „r".

I to jest jak sport, tylko bez zasad. Człowiek nie musi wiedzieć, o co chodzi – wystarczy, że wie, komu kibicuje. W Polsce często najpierw wybiera się stronę, a dopiero potem dobiera argumenty.

Wujek Bogdan, obrońca ojczyzny

Pamiętam te rodzinne sparingi. Zaczynało się niewinnie: jedzenie, śmiechy, przekomarzanie. Stół wiosłował zgodnie, jakby wszyscy płynęli jedną łodzią. A potem przychodził moment, który znam na pamięć: ktoś stawiał na stole nową butelkę i rzeczywistość zmieniała dekoracje bez zapowiedzi. Drugi akt. Kilka kieliszków robiło cuda – nie tyle w głowie, ile w języku. Nagle każdy miał rację i każdy miał prawo ją wygłosić jak wyrok.

Aborcja była najlepsza i najpierwsza – nieodzowna w rozmowie jak w Kościele diabeł.

Wujowie lubili ten niemal oksfordzki, akademicki spór o życie. Pykali Radomskie i debatowali, najpierw tylko zagajając, ostrożnie napoczynając temat. Kobiety siedziały cicho. Co one tam wiedzą o nienarodzonym życiu?

Aborcja była jak monstrancja. Nie „różnica zdań". Podział. Tu nie chodziło o argument. Chodziło o to, czy masz laskę, czy jej nie masz.

No i była jazda: że to zabijanie dzieci, że się w głowie nie mieści, że jak w III Rzeszy, że komuna, że to znaczące. A potem – oczywiście – obrona Częstochowy: że to żadne dzieci, że to decyzja kobiety, że nie sztuką urodzić, ale wychować.

A, że to tak?

Jeden z wujów – ten krewki – ze łzami w oczach, z karzącym palcem tuż przed twarzą adwersarza, stawał niemal jak Konrad i odpalał tę samą wielką improwizację, która zabijała wszystkie inne argumenty, jakby strzelał do biesiadników z pepeszy. Że on też był „takim dzieckiem". Że lekarze mówili, że matka umrze. A jego matka – ta kochana mamusia – urodziła go, bo Bóg daje i Boga trzeba słuchać.

I płakał pijany, kiwał się, jakby miał zaraz fiknąć w sałatkę i bigos.

A my – ja i kuzyni – ryczeliśmy z nim pod stołem, pod którym chowaliśmy się często, żeby podglądać majtki ciotek.

Pamiętam te spory: twarze, które robiły się ciężkie, i głosy, które z każdym kieliszkiem dostawały ostrzejszych krawędzi.

Wujek Wiesiek był partyjny – partyjny do kości, jakby mu to wstrzyknęli razem z witaminą C. Miał w sobie gorliwość, która nie zna ironii. Mówił, że „Solidarność" to szkodniki, że „czarni" to hipokryci – i nie opowiadał tego jak ktoś, kto po latach będzie się śmiał ze swoich dawnych głupstw. On mówił jak ktoś, komu to siedzi w ciele. Jakby go to kiedyś upokorzyło i teraz musi oddać. Z takim poczuciem męskiej krzywdy, które jest święte i niepodważalne.

Wtedy budził się wujek Bogdan – obrońca ojczyzny, halabardnik, strażnik „naszego". Już dobrze pijany, dumny z tego, że jego żona „dzielnie urodziła mu – bo nie sobie przecież – pół tuzina dzieci", jakby za to należał się tytuł i specjalny szacunek.

Napominał Wieśka po katolicku, żeby nie przesadzał, bo władza się zmieni i władza ma pamięć jak słoń, a człowiek ma tylko jedną mordę. I że jak się za dużo mówi, to potem się płaci. No i że jest jeszcze ręka boska, co robi sprawiedliwość, kiedy trzeba.

I tu wchodziła na scenę babcia z opowieścią o młodym komuniście, co po wojnie jeździł motorem po wioskach i ściągał w szkołach krzyże. Ręka mu wprawdzie nie uschła, ale ręka boska kalać dziatwy nie pozwoliła: wracał kiedyś z tej profanacji i zabił się na motorze. No i to był znak.

Wiesiek na to, że zna inną wersję: że to przez babę pić zaczął, a nie od krzyża był ten wypadek.

I był spór o stan faktyczny, choć każdy miał już swoją symboliczną wykładnię.

Wujek Stasio był trochę Żydem

Kobiety próbowały to zasypać jedzeniem. Jak zawsze. Dolać rosołu, podsunąć talerz, zmienić temat: a kto z kim, a co w pracy, a widzieliście, jaka pogoda. A my już wiedzieliśmy, że temat nie zniknie – tylko na chwilę schowa się pod obrusem.

Siedzieliśmy pod tym stołem od lat: ciotkom prześwitywały burdelowe rajstopy, zaczęły golić nogi, a oni dalej kłócili się jak stare młyny.

W przerwach nalewali wódkę i mówili: „Wypijmy na zdrowie". Ale to „na zdrowie" brzmiało, jakby rzucali klątwę. Wódka przykrywała wszystko szybko schnącym śniegiem, który spada na śmietnik: na moment robi się biało, a potem i tak widać, co tam leży.

Bo u nas zawsze było jedno: stół nie służył do jedzenia. Stół służył do podziału.

Pamiętam też sprawę Popiełuszki. Tu właściwie nie było czego bronić. Nawet u nas, gdzie broniono wszystkiego z przyzwyczajenia – z odruchu, z potrzeby stanięcia po którejś stronie. A jednak w tym narodowym, pijackim życiu trzewiowym – bo przecież nie chodziło o ideę, tylko o zaznaczenie odrębności – niemal cała wieś wbiła się w autokar i pojechała na pogrzeb.

Trochę wódki było już w samochodzie. Trzeba było czymś podkleić rozpacz, w którą delegacja wpadła tuż

> Wtedy budził się wujek Bogdan – obrońca ojczyzny, halabardnik, strażnik „naszego"

eprasa.pl 2b2d0f0434

przed wyjazdem. Jakby bez alkoholu nie dało się przeżyć nawet cudzej śmierci. Jakby żałoba wymagała smaru.

W tych dniach przypadła też jakaś uroczystość rodzinna. Znowu wszyscy się spotkali: Polacy i „czerwoni". Strona narodowo-katolicka była absolutnie pewna siebie – tak pewna, że aż bezczelna.

– Przestańcie już z tym nieszczęściem – powiedział wuj Stasio.

Stasio był artystą. Śpiewał w kilku chórach i lubił to podkreślać – zwykle z irytacją, jakby ktoś mu właśnie psuł kolację. Miał tę minę człowieka, który nie ma cierpliwości do „pitolenia trzy po trzy".

– Tyle ludzi ginie, a wy ciągle gadacie o tym Popiełuszce. No zginął, niech mu będzie. Wiecie, ilu ludzi ginie? Ginie od tego, że inni jeżdżą po pijaku. I to są też mordercy.

W tym jednym zdaniu było coś, co działało, bo pijacy i trupy – to była prawda, którą wszyscy znali, codzienna jak błoto na butach. Nazwano go heretykiem, ale po cichu przyznawano, że „ładnie to zagrał". Jak na muzyka przystało: trafił w ton.

I kiedy poczuł się pewniej, już po drugiej flaszce, powiedział, że Popiełuszko był wichrzycielem, że sam się prosił.

Jak to powiedział, jedna z ciotek kopnęła mnie pod stołem tak, że na chwilę przestało mi się chcieć patrzeć na te łydki.

Problem z wujkiem artystą był jednak inny. Nie polityczny. Pochodzeniowy. Był „trochę Żydem". Tyle wystarczało. Dyskutowano o tym zgryźliwie przy każdej okazji – oczywiście tylko wtedy, kiedy go nie było. Dowodów brak, ale ludzie mówili: „on jakiś nie całkiem swój". Zawsze z tą samą mieszaniną wyższości i ulgi: że jednak obcy. I to „obcy" wyjaśniało wszystko.

Kuzyn pochodzi od małpy

Wujek miał syna i wychował go na porządnego ateistę. Porządnego, czyli takiego, co nie robi z niewiary sztandaru. Nic mu nie narzucał. A jednak go ochrzcił – jakby na wszelki wypadek, jakby w tej swojej niewierze zostawił małą furtkę: niech ma wybór. Niech kiedyś nie powie, że mu coś odebrano. Że go okradziono z sakramentu.

No i my – z chłopakami, z całym kuzynostwem – strasznie mu dokuczaliśmy. Naturalne: pod tym stołem rośliśmy jak w przedszkolu tej kłótni. Nawet wtedy, kiedy siadał z nami w schowku albo na ganku i próbował tłumaczyć swoje rzeczy: teorię rewolucji, wielkie powstania zwalczane przez Kościół, historię poukładaną w głowie jak książki na półce.

To był beznadziejny spór, bo my odwoływaliśmy się do dogmatów, a on do argumentów. My: „bo tak jest". On: „bo tak wynika". Dwie religie. Dwa języki. Nikt nikogo nie słyszał.

Potrafił powiedzieć spokojnie, bez cienia prowokacji, że nawet jeśli Bóg istnieje, to jest mu do niczego niepotrzebny. I wtedy jeden z najbardziej krewkich synów prawicowego wujka aż się zagotował:

– To jak to? To ty wierzysz, że pochodzimy od małpy?!

A on – Ignor, tak go przezywali – odpowiedział zupełnie chłodno:

– To nie jest kwestia wiary. To jest kwestia wiedzy.

I tłumaczył cierpliwie, aż robiło nam się głupio, choć udawaliśmy, że nie. Mówił, że nawet jeśli Bóg jest, to nie widzi powodu, żeby oddawać mu cześć, budować świątynie, klękać, szeptać formułki. Że zgadza się co do podstaw: nie bić, nie kraść, być przyzwoitym. Ale cała ta otoczka – kult, kadzidło, strach, transakcje – wygląda mu jak wielkie nieporozumienie, jak plemienna ceremonia, która dawno się zestarzała.

Po wielu latach ułożył sobie życie. Stworzył szczęśliwy związek z przyjacielem poznanym na studiach (wybaczcie, nie pamiętam kierunku) – w masońskiej Lizbonie.

I wtedy babcia Stela – katoliczka, teoretycznie fanatyczka, ta od różańca i pewników – zamiast się oburzyć, nie kryła satysfakcji.

– A widzisz – powiedziała, jakby wygrała spór o miedzę. – Wiedziałam. Widziałam, że coś jest nie w porządku.

Formalnie powinna się przeżegnać i „modlić o opamiętanie". Ale nie. Ona miała satysfakcję, że w końcu połączyły się kropki – jak z tym trupem na motorze i krzyżem zdjętym w klasie.

Spiski

A wcześniej był jeszcze jeden konflikt: ojczym kontra reszta rodziny. Tym razem o „socjalizm z ludzką twarzą".

Ojczym był zapatrzony w Rakowskiego. W ryzach partyjnej pewności nazywał solidaruchów warchołami – ludźmi, którzy wywalą ten naród do góry nogami i jeszcze będą z tego dumni. Mówił to spokojnie jak komunikat z centrali. Ta narracja miała swój urok – przyznaję, wtedy mi się podobała – bo była prosta: przez strajki cierpią zwykli ludzie. Przez strajki nie ma chleba. Przez strajki jest bałagan. A bałagan to największa herezja.

Pamiętam, jak to wchodziło w codzienność, w najdrobniejsze gesty. Jakby polityka nie była gdzieś „tam", tylko siedziała na kuchennym krześle. Ojciec sklejał świat z nagłówków „Trybuny Ludu", z baśni o wichrzycielach i prowokatorach. I znowu stół robił swoje: jedni słuchali go jak kazania, inni jak prowokacji. Bo u nas wszystko musiało mieć stronę. Nawet „ludzka twarz" musiała być czyjaś.

U nas nikt nie pytał, o co właściwie jest kłótnia. Kłótnia była jak pies pod stołem – zawsze obecna, karmiona resztkami, warcząca przy byle ruchu nogi. Jedliśmy wszystko: rosół, bigos, kotlety i cudze krzywdy. A pies dostawał to, co spadło – urazy, resentymenty, stare winy. Im więcej jadł, tym głośniej szczekał. I tym bardziej wydawało się nam, że pilnuje domu.

Potem już poszło: dumni Polacy i wolnomyśliciele, bitwy o smoleńską prawdę.

Ukraina pojawiła się nagle, jak COVID-19 – jakby ktoś otworzył okno i wpuścił przeciąg.

Spisek ma tę przewagę nad rzeczywistością, że zawsze jest logiczny. Fakty są męczące – trzeba je sprawdzać. Spisek przychodzi gotowy jak mrożona pizza. Im mniej dowodów, tym większe poczucie wtajemniczenia.

Nasza krzywda jest większa

W pociągu to widać najlepiej, bo tam ludzie mówią głośniej, niż myślą. Siedzisz w przedziale, jedziesz przez Polskę jak przez przekrój społeczny i słyszysz, jak ludzie się różnią w czasie rzeczywistym.

Najpierw drobiazgi: opóźnienie, ceny, że zimno. Potem maski – że po co, że zamordyzm, że „ja nie będę oddychał własnym CO?". Potem szczepionki – że „kuzyn po tym miał zawał", że „to wszystko biznes". A potem, jakby ktoś nacisnął ten sam guzik, Ukraina: że dają, że kolejka, że „swoim najpierw". I nagle wiesz, że to nie są tematy. To są pacierze. Flagi, którymi człowiek oznacza teren.

– A Ukraińcom to wszystko dają – mówił ktoś niby mimochodem. Niby do siebie. Niby bez adresata. Ale adresat był oczywisty: wszyscy.

Milczycie? Dam ja wam. Ktoś tu bardzo chce pogadać.

– Mieszkania, zasiłki, lekarze poza kolejką – ciągnie głos. – A Polak? Polak jak zawsze.

Słowo „Polak" padało ciężko, jakby było w tym przedziale kowadłem. Ktoś kiwał głową. Ktoś mruczał „no właśnie" – pewnie dla świętego spokoju. Ktoś czuł, że powinien zaprotestować, ale się wahał. Bo to przecież nie jest agresja. To troska. Tak się to zawsze sprzedaje.

– Przecież uciekali przed wojną – powiedział w końcu ktoś cicho. – Przed bombami.

No to się zacznie.

I wtedy robi się jasno. Jak po zapaleniu światła w brudnej kuchni.

– Wojna wojną – odpowiada sojusznik w bólu, że „oni mają lepiej" – ale my też mamy swoje problemy. Niech najpierw pomogą swoim.

Swoim. To słowo robi całą robotę. Od niego zaczyna się mapa. Od niego biegną granice. Ktoś nagle przypomina sobie, że jego dziadek też cierpiał. Ktoś inny, że „oni i tak wrócą". Ktoś rzuca, że „to nie nasza wojna", choć jeszcze wczoraj była.

I znowu to samo: nie trzeba mówić o Ukrainie. Wystarczy mówić o polskiej krzywdzie, która jest większa. O strachu, który potrzebuje adresu.

Ktoś próbuje przerwać:

– Ale jakby u nas spadły bomby...

– U nas to co innego – pada odpowiedź natychmiast. – My jesteśmy stąd.

Dla babci wszystko, co ruskie, było złe

Mordy naszych wrogów ulepiło się dawno temu. Jedną ulepiła babcia – i to była glina twarda jak strach.

Babcia pamiętała, jak w trzydziestym dziewiątym, na wschodzie, na wielkim koniu wjechał im na podwórko jakiś mały człowiek. Opowiadała o nim zawsze tym samym głosem: nie relacją, tylko przestrogą. Mówiła, że miał skośne oczy i był jakiś pomarańczowy. Że nawet nie zsiadł z konia i zanim cokolwiek powiedział, łypnął przez okno – jakby liczył domowników, jakby sprawdzał, gdzie w tym domu jest serce.

Babcia z matką były wtedy pod piecem, przycupnięte, przyklejone do ciepła jak pisklęta pod skrzydłem kwoki. Babcia mówiła, że zobaczyła w jego oczach samo zło. I od tamtej pory wszystko, co ruskie, było złe z definicji – nie w polityce, nie w historii, tylko w krwiobiegu. Zło dziedziczone jak kolor oczu.

Kiedy nam ten obraz diabła klarowała, siedzieliśmy pod stołem i zapisywaliśmy go w głowach.

Wujek zwany Mózgiem (bo potrafił naprawić radio i telewizor) twierdził, że to głupota. Że to tak, jakby mówić, że każdy Polak to złodziej – jak w tym kawale: „Jedź, Helmut, do Polski po żonę, twój samochód już tam jest".

Wtedy inni wujkowie się oburzali. Że Niemcy nakradły nam wystarczająco – jakby to miało nas rozgrzeszać z cudzej kieszeni, skoro historia dała paragon: „zrabowano – można rabować".

I tak to szło. Babcia niosła w oczach jednego człowieka całe imperium, a wujkowie nieśli w żarcie całe usprawiedliwienie. Każdy miał swoją prawdę, każdy swoją winę do rozdania.

I to było dobre. W sensie użytkowym. Bo utrwalało jeden obraz i porządkowało chaos.

Teoretycznie w tych rodzinnych przekomarzaniach powinny powstawać inne linie podziału: że ten wykształcony, a tamten pijak; że jeden ma trzecią żonę, a drugi dziecko na boku; że ten czyta wiersze, a tamten tylko sport na ostatniej stronie „Trybuny Ludu". Materiału było aż nadto.

Ale nie. Nic z tego się naprawdę nie liczyło ani nie liczy.

Szwagier: Trump się tym zajmie

Siedzę przy stole ze szwagrem znajomej w święta i mam wrażenie, że Polska sama do mnie mówi – od razu do sedna. Facet pochyla się trochę, jakbyśmy byli w spisku, i mówi, że on to tylko gotówką. Zawsze. Bo banki kradną. Mówi to spokojnie, z tą pewnością człowieka, który już wszystko wie i nie potrzebuje żadnych dowodów. Uśmiecha się nawet lekko, jakby mi wręczał prezent: wiedzę, której inni jeszcze nie mają.

Po chwili dorzuca, żebym uważał na gówniarzy. Że teraz mają modę na pedałów. Nie, że są – zaznacza od razu, niemal z troską – tylko taka moda. Jakby mówił o butach albo fryzurach. Jakby orientacja była sezonowa i przechodziła sama, jeśli się jej nie podlewa.

No ale Trump z tym zrobi porządek – dodaje, jakby mówił o pogodzie. A Putin? Putin to jaskiniowiec, wiadomo, ale niektóre pomysły ma dobre. W jego głosie jest ta sama ulga co zawsze: że gdzieś istnieje ktoś, kto nie będzie się patyczkował.

Znajoma, z którą tu jestem, mówi, że gada głupoty. Śmieje się, ktoś rzuca żart, ktoś dolewa barszczu. Niby rozbrajanie, niby ratowanie świąt, jak się ratuje obrus przed plamą: szybko, zanim wsiąknie. Tylko że siostra mojej znajomej nie jest zadowolona. Ona nie rozbraja – ona dokłada.

Tak znikąd rzuca, że świat jest popierdolony. Że ponoć w Ameryce jakieś dziecko chce mieć prawo do przerwy na kuwetę, bo czuje się kotem. Mówi to z triumfem, jakby właśnie znalazła dowód ostateczny, przypięła pinezką sens do tablicy.

Ja mówię, że to pewnie zmyślone. Że internet, że bajki, że ktoś robi z ludzi idiotów.

– Trump się tym zajmie – mówi spokojnie szwagier.

I w tej jednej odpowiedzi jest wszystko: wiara w porządek, który przyjdzie z zewnątrz i zrobi czysto. Jakby świat był brudną kuchnią po imprezie, a Trump miał wejść z wiadrem i mopem.

Talerze dzwonią, niby uśmiechy, niby święta. Tylko że w powietrzu atmosfera robi się gęsta.

I nagle mam pewność, że świąt przy tym stole już raczej nie będzie.

Pamięta pan Wołyń?

W taksówce jest szybciej, gęściej. Kierowca mówi, że Ukraińcy przejęli Ubery. Rzuca to mimochodem jak informację o korku. Ja mówię, że to bzdura. Że aplikacja, że rynek, że ludzie po prostu jeżdżą. On patrzy na mnie w lusterku i widzę w tym spojrzeniu coś, co znam od stołu: politowanie dla naiwnych.

– Oni wiedzą, jak nas zniewolić – mówi.

I dokłada jeszcze jedno zdanie:

– Pamięta pan Wołyń?

I robi się po wszystkim. Nie dlatego, że mam odpowiedź albo że nie mam. Tylko dlatego, że to nie jest pytanie. Historia trzymana w kieszeni jak nóż – nie po to, żeby pamiętać, tylko po to, żeby w razie czego wyjąć i przeciąć rozmowę.

Historia w Polsce nie jest albumem. Jest pałką. Leży gdzieś obok soli i pieprzu, między talerzem a popielniczką, i każdy wie, że można po nią sięgnąć, kiedy kończą się argumenty.

Mamy autostrady, wybudowaliśmy lotniska i oczyszczalnie. Patrzę na drogę za szybą, na światła, na mokry asfalt, na te reklamy, które udają radość, i czuję, że znowu siedzę pod stołem z dzieciństwa. Tyle że stół urósł, rozlał się na całe miasto, na cały kraj. Wszędzie są nogi, wszędzie są butelki, wszędzie ktoś coś „pamięta" i chce ci to wcisnąć w ręce jak gorący kamień. ●

1 RP

Polacy dzielą się od żłobka: na prawdziwych i polskojęzycznych, rysiowych i rydzykowych, grillowych i jogowych

eprasa.pl 2b2d0f0434

CO WIELKANOC *chrzczę* DOROSŁYCH LUDZI

Święty Augustyn ładnie to powiedział:
w sprawach ważnych jedność,
w sprawach mniej ważnych różnorodność,
a we wszystkim miłość.

Z **KARDYNAŁEM GRZEGORZEM RYSIEM**
ROZMAWIA **MAŁGORZATA SKOWROŃSKA**
ZDJĘCIA **JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL**

Siedem lat nie byłam w krakowskiej kurii. 2 kwietnia 2019 roku panowie w czarnych mantullach, rycerze Jana Pawła II, nie wpuścili dziennikarzy i fotoreporterów na rocznicę śmierci Jana Pawła II na dziedziniec. Decyzja arcybiskupa Marka Jędraszewskiego.
– Nie mogę się odnieść do czegoś, czego nie byłem świadkiem. Próbuję rozmawiać z każdym. Zapytałem kiedyś papieża Franciszka, gdzie są granice dialogu. Zanim odpowiedział, dość długo się zastanawiał. W końcu usłyszałem: „Nie rozmawiaj z ludźmi, którzy tobą manipulują”. Tego się trzymam. Jeśli mam przy tym okazję dialogu z dużą grupą ludzi i mogę do nich dotrzeć, to chętnie korzystam.

Nie przeszkadza księdzu kardynałowi, że będzie mówił do ludzi, którzy już są albo poza Kościołem, albo wciąż się z nim ostro spierają?

– Odejście z Kościoła to nie jest zbiorowy akt. To są za każdym razem indywidualne, poważne decyzje. Motywy są różne. Trzeba by z każdym osobno o tym rozmawiać, a przede wszystkim posłuchać. Jestem historykiem z wykształcenia i mój mistrz ksiądz prof. Jan Kracik uczył mnie pisania o Kościele prawdy. Więc dziś wszystkim, którzy uważają, że są „poza”, powiedziałbym, że powodem, dla którego warto być w Kościele, jest możliwość spotkania żyjącego Jezusa.

Za prawdę się obrywa.
– Biblijne rozumienie prawdy mówi, że jest ona cechą osoby. Człowiek jest albo prawdziwy, albo fałszywy. Powiedzieć komuś, że jest nieprawdziwym księdzem, udawanym biskupem albo fałszywym przyjacielem, to ogromny zarzut. Ktoś, kto nie jest w relacji z prawdą, żyje w ciągłej egzystencjalnej schizofrenii; nie wie, kim jest. To doświadczenie, które rozbija człowieka. Może nawet zabić. Mamy w Kościele przykład kogoś, kto nie wytrzymał takiego życia w rozkroku. To Judasz.

Jezus powiedział: „Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli”. Więc to nie przez wolność dochodzi się do prawdy. Jest odwrotnie: przez prawdę dochodzi się do wolności. Dlatego Norwid pisał, że nadzieja jest z prawdy. Bo wynika nie z iluzji, ale prawdziwego poznania rzeczywistości.

Prawd może być jednak wiele. I – tu się chyba zgodzimy – jednej prawdy nie da się siłą narzucić. A jeśli ktoś tak robi, to stosuje przemoc.
– Oczywiście, nie wolno nikomu siłą narzucać własnego rozumienia prawdy. Każdy ma prawo patrzeć na świat po swojemu, zgodnie z własnym sumieniem. Nikt nie może powiedzieć, że jest posiadaczem całej prawdy. Wszyscy jesteśmy jej poszukiwaczami i odkrywcami, i dokąd tutaj żyjemy tutaj, znamy ją jedynie po części. Nikt przy zdrowych zmysłach tego nie będzie kwestionował. Kiedy jednak mówimy o prawdzie w chrześcijaństwie, pojawiają się dwa aspekty do rozważenia.

Pierwszy komentarz jest taki, że dla nas, katolików, ważna jest relacja z Jezusem. Jeśli jej nie ma, wszystko w religii jest bez sensu i w końcu się rozpadnie.

Drugi jest taki, że gdy chodzi o rozumienie prawd moralnych, każdy może mieć inne. W tej kwestii różnorodność jest możliwa.

Natomiast kiedy ktoś mówi, że jest wierzącym człowiekiem, to powinien czytać teksty i słuchać tego, co jest w nurcie żywej tradycji Kościoła i w jego dzisiejszym nauczaniu. Święty Augustyn ładnie to powiedział: w sprawach ważnych jedność, w sprawach mniej ważnych różnorodność, a we wszystkim miłość. Taka prosta zasada, tylko trzeba ją stosować.

Nie ma ksiądz kardynał poczucia, że takiego chrześcijaństwa, o jakim ksiądz mówi, już jest niewiele?
– Wierzę w to, że będzie go coraz więcej.

Liczby są jednak nieubłagane. Podczas badań, jakie w 2023 roku wykonano na zlecenie Klubu Inteligencji Katolickiej, przepytano 2 tysiące katolików i prawie pół tysiąca księży. Znalazła się tam kategoria, którą badacze nazwali „Złamanymi sercami”. To 5 procent badanych, czyli około 1,7 miliona identyfikujących się jako katolicy. To ludzie głęboko wierzący, którzy odeszli po kolejnych skandalach i kompromitacjach Kościoła instytucjonalnego. Nie widzą miejsca dla siebie w obecnej strukturze. „Wrócilibyśmy, gdyby Kościół się oczyścił” – mówią.
– Nie kwestionuję liczb. Spadają. Wszyscy to widzimy. Z faktami się nie dyskutuje. Ale czy to znaczy, że mamy się rozwiązać?

Nieżyjący już prof. Jan Czerkawski powiedział kiedyś: „Ludzie przestają wierzyć w bogów, którzy są gorsi od nich”. A jego uczeń, filozof prof. Ireneusz Ziemiński, pociągnął tę myśl dalej: Bóg chrześcijański jest dzisiaj od nas gorszy, więc stracił moralną legitymizację, by jeszcze w niego wierzyć.
– Gdyby ktoś powiedział mi 5 lat temu, że we Francji w Wielkanoc ochrzci się kilka tysięcy dorosłych, to bym w to nie uwierzył. To są rzeczy zdumiewające. Na przykład w Wielkiej Brytanii bardzo wielu młodych dorosłych prosi o chrzest w Kościele prawosławnym. Czyli w Kościele, który jest tak naprawdę gdzieś obok ich zachodniej kultury. W Łodzi każdego roku w Wielkanoc chrzciłem kilkunastu dorosłych. Czyli to nie jest tak, że mamy tylko apostazje.

Poza tym ogromne liczby są czasami większym problemem niż małe. Znamy historię ostatniego grzechu Dawida, która zawsze staje mi przed oczyma, gdy ktoś koniecznie chce przeliczać. Dawid policzył swój naród i już następnego dnia spadła nań zaraza. Ukarana została pycha kogoś, kto stoi na czele i pokłada nadzieję tylko w liczbach. Tak niebezpieczny jest moment triumfu.

Triumfalizm części hierarchów Kościoła katolickiego też jest porażający.
– Nie odniosę się, bo nie wiem, w której jestem części. Ja naprawdę spowiadam się co dwa tygodnie i mam z czego!

Ksiądz kardynał jest szczęśliwy?
– Nie wiem, co to znaczy, ale załóżmy, że tak: Mam w sobie pokój!

Podstawą religii, która rości sobie prawo do wyjaśniania sensu życia, jest tłumaczenie przyczyn niezawinionego cierpienia i pocieszanie w trudnych chwilach. Z taką właśnie wizją religii Daniel Everett wyjechał nawracać Indian nad rzeką Maici. Kalifornijczyk spędził 30 lat w amazońskiej dżungli i miał tylko dwa zadania: poznać język pirahã i sprzedać im Jezusa...
– Sprzedać w cudzysłowie, oczywiście.

Niech będzie, że w cudzysłowie. Przed wyjazdem usłyszał od swojego profesora radę: „Musisz sprawić, żeby poczuli się zagubieni, zanim będziesz mógł ich uratować”. Problem w tym, że Pirahã to jedni z najszczęśliwszych ludzi na świecie, co potwierdzili nawet antropolodzy z MIT, zliczając, ile razy dziennie żartują, uśmiechają się i przyjaźnie dotykają. Nie rozmawiają o pieniądzach, czasie ani... religii. Nie boją się śmierci, którą traktują jako naturalne zakończenie życia. Everett okazał się marnym misjonarzem. Światopogląd Indian spodobał mu się tak bardzo, że sam pożegnał Jezusa.
– Rada, jaką usłyszał przed wyjazdem, to modelowy przykład manipulacji. Dobry misjonarz, a nie manipulant (choć pewnie niegrzecznie tak mówić, skoro to postać autentyczna), powinien zacząć od posłuchania Indian. I dopiero wtedy, gdy odkryłby już, jakimi wartościami się kierują, mógłby im pokazać ukrytego za nimi Boga. Ale nie takiego, który im szczęście odbierze.

To jest w ogóle dla mnie przerażający obraz, ale wciąż się z nim spotykam. Przyszli do mnie kiedyś młodzi ludzie jeszcze przed ślubem i mówią: Księże, jesteśmy szczęśliwi, ale boimy się, że Bóg nam to odbierze. Czyli mieli w sobie obraz Boga, który przychodzi, żeby nas unieszczęśliwiać; Boga, który żeruje na naszym nieszczęściu. Dla mnie taka wizja jest nie do wyobrażenia. Całym sobą się jej sprzeciwiam.

A Piraha, mówiła pani, że żartują, uśmiechają się, są wobec siebie przyjaźni – czyli są w relacji. Z mojego doświadczenia wynika, że ludzie prawdziwie wierzący mają głęboko zakorzenioną potrzebę tworzenia relacji z innymi. I nie jest to domena tylko chrześcijan. W połowie marca byłem w Casablance, gdzie obchodziliśmy czterdziestą rocznicę spotkania Jana Pawła II z młodzieżą marokańską. 50 tysięcy młodych muzułmanów i papież!

Dziś taki dialog międzyreligijny chyba nie byłby możliwy.
– Wtedy też było to wydarzenie bez precedensu. Dwadzieścia lat wcześniej podpisano deklarację „Nostra Aetate”...

To deklaracja Soboru Watykańskiego II o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich. Dokument kluczowy dla dialogu międzyreligijnego. Odrzucił antysemityzm, potępił dyskryminację rasową i religijną oraz wezwał do szacunku wobec wyznawców innych religii, uznając w nich ślady prawdy. Biskupi powołali się na niego w liście o Żydach, który część polskich katolików zbojkotowała, kolejni uważają go za szkodliwy czy wręcz heretycki.
– List jest autorstwa Episkopatu. Odwołaliśmy się w nim właśnie do „Nostra Aetate” i nauczania Jana Pawła II. Przypomnę, że list powstał, by uczcić czterdziestą rocznicę pierwszych odwiedzin papieża w synagodze. To było nieco ponad pół roku po spotkaniu z młodzieżą muzułmańską. A tam Jan Paweł II mówił, że nie wierzy w świat zbudowany przez ludzi, którzy się nie modlą. To jest takie odważne! Może dla „Gazety Wyborczej” nawet za bardzo.

Dlaczego? Mamy w redakcji szeroką gamę poglądów, a Adam Michnik pewnie by się z papieżem zgodził.
– Wyjaśnię słowa papieża tak, jak je rozumiem. Ktoś, kto się naprawdę modli, nie gada, ale słu-

eprasa.pl 2b2d0f0434

cha Boga. A ktoś, kto słucha, usłyszy, że ma patrzeć na innych, jak na siostry czy braci.

Oglądał ksiądz kardynał serial „1670"? Tam jeden z wieśniaków przy spisie ludności Adamczychy, by uniknąć kary za ateizm, zadeklarował, że wierzy w Kapelusznika.
– Niestety, nie oglądałem. Wracam do tego, że człowiek, który naprawdę się modli, konsekwentnie musi wychodzić do wszystkich ludzi jak do bliskich. To jest moja siostra, mój brat; może myślą i postępują inaczej; może wierzą w coś innego niż ja albo mają inny system wartości. Ale w dalszym ciągu jestem z nimi w bliskiej relacji. To jest relacja, która przekracza moje własne granice i ograniczenia.

Ciężko być w relacji z kimś, kto na nas pluje. Oberwał Ksiądz Kardynał po liście na rocznicę wizyty papieża w synagodze. I to nie od ateistów czy innowierców, ale katolików. Jak się Ksiądz poczuł?
– Ja się nie poczułem, tylko dalej czuję.

Paweł Lisicki napisał, że...
– Tak, wiem, że list był heretycki. Ale nie dam się wprowadzić na tę minę. W tym liście nie ma ani jednego słowa, które byłoby heretyckie. Przypomnieliśmy tylko to, czego Kościół naucza od 60 lat.

„Wyborczej" nie musi ksiądz kardynał tego przypominać. My pamiętamy. Okazało się jednak, że jest cała rzesza ludzi, którzy identyfikują się jako katolicy, ale kwestionują to, co napisaliście w tym liście – że antysemityzm jest „śmiertelnym deficytem miłości".
– Mam w sobie smutek podwójny. Pierwszy jest taki, że to nasza, biskupów, wina. Nas i naszego Kościoła. Boję się, że budujemy – choćby przez zaniedbanie – jakiś równoległy do powszechnego Kościół. A to znak, że oficjalna nauka do wiernych nie dotarła. Widzę, że to także efekt procesów, jakie narastają w całej Europie. Ale to nie jest wytłumaczenie.

Drugi smutek jest taki: dla mojego i starszego ode mnie pokolenia Sobór Watykański II był naturalnym sposobem myślenia. Dziś ten sam sobór jest głównym oskarżonym. Zdaję sobie sprawę, że mamy wojnę, a Izrael – i wszystkie strony tamtego konfliktu – robią rzeczy z chrześcijańskiego punktu widzenia niedopuszczalne. Ale to nie przetrąca prawdy o relacjach, jakie są zadane przez Boga chrześcijanom i Żydom.

Przecież to oczywiste, że list nie był powodowany aktualną sytuacją wojenną, ale przełomowym wydarzeniem sprzed 40 lat. Timing jest taki, jaki jest. Arcybiskup krakowski, Karol Wojtyła poszedł do synagogi na Kazimierzu w najgorszym możliwym czasie, czyli w 1969 roku. Wobec fali antysemityzmu, jaka przelała się wtedy przez Polskę, nie kalkulował, jak jego gest będzie odebrany. W tym roku mamy 40. rocznicę pójścia pierwszego papieża do synagogi. Za Janem Pawłem II ten sam gest powtórzył Benedykt XVI, Franciszek. I wiem od papieża Leona XIV, że też planuje pójść do synagogi rzymskiej.

Krzysztof Bosak napisał, że w ogóle nie powinno katolików obchodzić to, że papież cztery dekady temu wszedł do jakiejś synagogi.
– Mnie obchodzi. Ja chcę iść po śladach papieża: 13 kwietnia pójdę do synagogi w Krakowie. I wiem, że nie pójdę sam. Będzie nas wielu.

List Episkopatu jest ważny także z uwagi na środowiska w Kościele, których – na szczęście – nie brakuje, a które żyją nauczaniem Soboru i pielęgnują relacje chrześcijańsko-żydowskie. Mamy ich teraz zostawić, tylko dlatego, że biskupi są hejtowani? Mamy zostawić ludzi, którzy żyją nauczaniem Kościoła?

Ten list pokazał w dużym powiększeniu, jak bardzo jesteśmy spolaryzowani. Mamy dwie Polski, mamy dwa Kościoły. Na to wszystko nakłada się polityka, która miesza się z religią.
– Czyja to wina?

Polityków i duchownych. Każdy ma w tym układzie swoje interesy.
– A może także mediów i dziennikarzy, bo polaryzacja ma też taki efekt, że zwiększa klikalność i oglądalność? Pewnie każdy potrzebuje tu robić rachunek własnego sumienia i brać za swoją część odpowiedzialność. Często w mediach mówicie, że Kościół wciska się do polityki. A tu, proszę, przykład odwrotny. Nagle mamy wysyp polityków-teologów, którzy próbują biskupom klarować nauczanie Kościoła. Jeśli – jak twierdzą – są wierzącymi chrześcijanami, to w sprawach wiary i moralności powinni być posłuszni papieżowi. Problem w tym, że oni kwestionują autorytet papieży dlatego, że mają w tym interes polityczny. I to jest właśnie wpychanie się polityki do Kościoła.

Kościół boi się wolności?
– To pytanie musimy rozpatrzeć z głębszym kontekstem historycznym. Pragnienie jednolitości nie ma nic wspólnego z tym przymiotem Kościoła, który nazywamy jednością. Jedność a jednolitość to są kompletnie dwa różne pojęcia i dwie różne rzeczywistości.

Kościół w dawnej Rzeczpospolitej był jednością w całej różnorodności. Jan Paweł II przepytywany o to, co w tradycji polskiej, było dla niego najcenniejsze, odpowiadał, że Polska jagiellońska – ta wielokulturowa, wielonarodowa, wielokonfesyjna, która wiedziała, co to tolerancja. Ta Polska skończyła się z powodów politycznych, czyli XVII-wiecznych wojen z prawosławną Rosją, muzułmańską Turcją i z luterańskimi Szwedami. To właśnie wtedy zaczął się kształtować model Polaka-katolika. A dziś nam się wydaje, że homogeniczność religijna była zawsze. W Polsce Żydzi mieszkali od XI wieku, muzułmanie byli na Litwie w XIV wieku, więc za Jagiellonów byli już w Rzeczypospolitej. Może wreszcie się zdecydujemy, czy jesteśmy dumni z tamtego złotego okresu, czy chcemy się go wyprzeć? Chętnie sięgamy do tamtych czasów, gdy mówimy o zapale patriotycznym, o naszej odwadze. Ale już wątek religijnej różnorodności jest wypierany.

Mylenie jedności z jednolitością jest bardzo niebezpieczne. Ostatni synod biskupów był właśnie o jedności w różnorodności. I o relacjach, o których już powiedzieliśmy, że są ważne. A relacyjność to nic innego jak słuchanie. Z kolei słuchanie oznacza, że odkrywam w drugim jego inność.

To oznacza, że Kościół ma jakiś fundamentalny problem z edukacją, z przekazem. Widać to zresztą na przykładzie religii w szkole. Nawet księża przyznają, że to pomyłka i paliwo dla statystyk odchodzenia z Kościoła.
– Gwoździem do trumny nie była sama religia w szkole, ale to, że dla wielu z nas oznaczało to koniec propozycji dla młodych w parafiach. Kościół nie może zachowywać się jak część rodziców, którzy posyłają dziecko do szkoły i myślą, że wychowanie i całą resztę mają już odhaczone, bo szkoła wszystko za nich załatwi. Zrobiliśmy dokładnie to samo.

Poważnym błędem jest łudzenie się, że w szkołach nauczamy wiary. Podczas lekcji przekazuje się wiedzę o religii. I to jest właściwe. Kardynał Franciszek Macharski, którego chyba nikt nie oskarża o jakiś triumfalizm, mówił, że religia w szkole jest ważna, by dzieci nie miały schizofrenii. Chodzi o spójność przekazywania wiedzy, na przykład na polskim i historii.

W Łodzi przeprowadzaliśmy na początku synodu badania socjologiczne wśród młodych. Pytaliśmy o wartości. Okazało się, że 98 procent uznało, że najważniejszą wartością jest rodzina. Każdy przeciętny ksiądz, jeśli weźmie do ręki takie wyniki badań, będzie wniebowzięty, bo widzi w rodzinie inspirację chrześcijańską. To jednak nieprawda, bo wiara była dopiero na piętnastym miejscu.

Gwoździem do trumny nie była religia w szkole, ale to, że dla wielu z nas to rozwiązanie oznaczało koniec propozycji dla młodych w parafiach. Kościół nie może zachowywać się jak część rodziców, którzy posyłają dziecko do szkoły i myślą, że wychowanie i całą resztę mają już odhaczone

1 RP

eprasa.pl 2b2d0f0434

Małgorzata Skowrońska: – Ksiądz kardynał jest szczęśliwy? Grzegorz Ryś: Nie wiem, co to znaczy, ale załóżmy, że tak

Dobre wiadomości są takie, że jedna trzecia uczestników Europejskiego Spotkania Młodych w Paryżu to Polacy. Na Światowe Dni Młodzieży jeździ kilkadziesiąt tysięcy młodych ludzi z Polski, z rekolekcji wakacyjnych korzystają tysiące młodych ludzi. Są też wspólnoty ewangelizacyjne, które współprowadzi młodzież. To wszystko dzieje się w polskim Kościele.

Ci sami młodzi ludzie w ankietach synodu w Krakowie z czasów arcybiskupa Jędraszewskiego mówili o tym, co ich boli w Kościele. Na liście pojawiły się: upolitycznienie, język nienawiści, nieprzejrzyste finanse, lekceważenie świeckich, wystawne życie duchownych, nierozliczone afery pedofilskie.
– To nieuczciwe mówić, że Kościół nic nie robi przez ostatnie lata w kwestii walki z pedofilią. Jestem biskupem od 15 lat i nie pamiętam zebrania Konferencji Episkopatu Polski, na której nie rozmawialibyśmy o tym, jak w sposób konkretny i konsekwentny przeciwdziałać temu, co się w Kościele dzieje. Ścieżka działania jest jasna: kiedy dostajemy zawiadomienie, to jednocześnie uruchamiamy procedury własne i przekazujemy informację do prokuratury. Nie wierzę, że jest jeszcze w Polsce jakikolwiek biskup, który tego nie robi. Ponadto powołaliśmy finansowaną przez coroczne składki księży i biskupów Fundację Świętego Józefa, która poprzez granty wspiera osoby skrzywdzone, opłacając psychoterapię, pomoc medyczną czy wsparcie prawne. Gdy wyszła ustawa Kamilka, to Kościół był jedną z pierwszych instytucji w Polsce, która się z tym wymaganiami zmierzyła konsekwentnie, aż do najmniejszej parafii.

Jest jeszcze rozliczenie historyczne. Nie wszyscy wierzą, że komisje kościelne badające archiwa będą działały transparentnie.
– Nie redukujcie działań Kościoła do komisji. Tym bardziej że nie ma ona charakteru śledczego, tylko historyczny. Jeśli okaże się, że w trakcie pracy pojawi się nowe doniesienie o przestępstwie żyjącego księdza, komisja sama nie zrobi śledztwa, ale będzie musiała zgodnie z prawem państwowym złożyć zawiadomienie do organów ścigania oraz – według prawa kościelnego – zawiadomić odpowiedniego biskupa miejsca.

Owszem, to ważne, żebyśmy wiedzieli, jak od 1945 roku Kościół w takich sprawach postępował. To nie tylko kwestia rozliczenia z przeszłością. Ta wiedza jest nam potrzebna, aby wyciągnąć wnioski na przyszłość i zrobić wszystko, by zmniejszyć czynniki ryzyka, które ułatwiają przemoc wobec osób małoletnich i bezbronnych.

Sam prowadziłem kilkanaście dochodzeń dotyczących przestępstw wykorzystywania seksualnego osób małoletnich. Z wieloma osobami skrzywdzonymi osobiście rozmawiałem. Bardzo bym sobie życzył, żeby wszystkie instytucje w Polsce postępowały w ten sposób, jak robimy to w Kościele.

Spotkania ze skrzywdzonymi nie łamią księdza kardynała? Ludzie po takich rozmowach odchodzą z Kościoła. Nie radzą sobie z odpowiedzialnością za krzywdę ofiar i nie chcą uwiarygadniać instytucji.
– Też to wiele razy słyszałem. Spotkań z pokrzywdzonymi nie można sprowadzać do odczuć. One muszą rodzić odpowiedzialność. Pytam księży, którzy twierdzą, że nie chcą odpowiadać za przestępstwa braci w kapłaństwie, czy naprawdę żyjąc w tej samej parafii, nic nie widzieli? Dlaczego nie reagowali na podejrzenia? Dlaczego nie przyszli do biskupa? Odpowiedź zazwyczaj jest taka, że nie chcieli być donosicielami i nie chcieli wchodzić z butami w czyjeś życie.

Prawo państwowe jest jednoznaczne. Kościelne też. W dokumencie „Vos estis lux mundi" Franciszek mówił, że każdy ksiądz ma obowiązek powiadomić biskupa, gdy ktoś z duchownych dopuszcza się przestępstw wobec małoletnich. W diecezji łódzkiej księża podpisywali się pod tym, że będą przestrzegać tych zasad. Myśli pani, że znaleźli się tacy, którzy powiedzieli, co ich kolega robi? Może jeden, dwóch, reszta nie.

Może to brutalne porównanie, ale w takich sytuacjach przypomina mi się to, co Marian Turski mówił o Zagładzie. Brak reakcji bierze się z obojętności, z jakiegoś cichego przyzwolenia. To są dramaty, ponieważ nie chodzi o liczby, ale konkretne osoby skrzywdzone, które mam przed oczami.

A co z odpowiedzialnością historyczną? Myślę oczywiście o Janie Pawle II.
– Otworzyliśmy archiwum i to, co dziś wiemy z artykułów Krzyżaka i Litki, pokazuje, że Wojtyła w czasach krakowskich stosował się do prawa. Robił to, co konieczne, a nawet więcej. Trzeba było otworzyć te archiwa już 4 lata temu i dziś bylibyśmy w innym miejscu. Tu postawię kropkę.

Są jeszcze czasy watykańskie.
– I żeby odpowiedzialnie się o tamtych czasach wypowiadać, trzeba poczekać na otwarcie archiwów watykańskich. Czyli jakieś 60 lat.

Nie jestem w stanie pojąć, co się dzieje z zakwestionowaniem autorytetu Jana Pawła II. Dlaczego nie pamięta się jego encyklik i tego, że wzywał Kościół do rachunku sumienia przed rokiem 2000?

Napisałam kilka dni temu, że stoi ksiądz kardynał przed szansą, przed jaką stał Wojtyła. Nie mówię o papiestwie, bo takiej katorgi księdzu nie życzę. Mówię raczej o szansie pokazania innej twarzy Kościoła. Jest jeszcze coś takiego jak Kościół łagiewnicki, otwarty?
– Papież Franciszek kiedyś tak pięknie powiedział, że Kościół otwarty to znaczy tyle, co miłosierny. To nie jest żaden liberalizm pojęciowy, etyczny, moralny.

Nie chcę Kościołowi dawać żadnej twarzy, bo jedyna sensowna twarz Kościoła to twarz Jezusa.

Podczas ingresu powiedział ksiądz kardynał, że Kościół, który mówi sam o sobie, jest przerażający.
– To też nie ja, ale papież Franciszek. Księdzem jestem od 38 lat, biskupem od 15. Przez te wszystkie lata starałem się jedynie iść za papieżami i za Kościołem. Jeśli to, co mówię o posłuszeństwie i rozeznaniu nauczania, jest przez ludzi odrzucane, to we mnie jest tylko smutek. Ale nie personalny, że ktoś nie zgadza się ze mną. Staram się być odpowiedzialnym biskupem w Kościele, a to oznacza, że nie głoszę swoich własnych koncepcji czy pomysłów.

Kiedy dziesięć lat temu razem z Janem Turnauem rozmawialiśmy z księdzem kardynałem, padło wtedy: „Ja się z Panem Bogiem na karierę nie umawiałem, ja się umawiałem na kapłaństwo".
– Nic się nie zmieniło. ●

eprasa.pl 2b2d0f0434

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

SPOKOJNIE, TO JESZCZE NIE WOJNA

My też mamy atuty. Ameryka świętuje 250 lat niepodległości, państwo polskie ma za sobą 1000 lat doświadczeń.

Z BYŁYM PREZYDENTEM **ALEKSANDREM KWAŚNIEWSKIM** ROZMAWIA **AGNIESZKA KUBLIK**

Panie prezydencie, chciałby pan mieszkać w Ameryce?
– Nie, zdecydowanie nie. To już nie jest Ameryka, do której mam sentyment.

Pierwszy raz w życiu byłem w Ameryce w 1976 roku, miałem 21 lat. Z przyjacielem samochodem przejechaliśmy od oceanu do oceanu. Oczywiście proszę wziąć poprawkę na młodzieńcze wspomnienie i idealizm – ale to była najpiękniejsza Ameryka w moim życiu. Choć i wtedy to była Ameryka ignorancka, jak i dzisiaj niewiele wiedząca o świecie, a o komunistycznej Polsce prawie nic. Ale była też przyjazna, otwarta, wolna od strachów, które przyszły potem, jak AIDS, terroryzm, kolejne kryzysy ekonomiczne.

Miałem okazję oglądać w Nowym Jorku z bliska kampanijne starcie urzędującego Geralda Forda – który był wówczas jedynym amerykańskim prezydentem nie z wyboru, bo objął urząd jako „wice" po rezygnacji Nixona – z idealistycznym Jimmy Carterem, słabo znanym wówczas gubernatorem Georgii, czyli stanu niekoniecznie najważniejszego, plantatorem orzeszków ziemnych, uosobieniem wartości moralnych. Jak wiadomo, Carter wygrał. Wyobraża sobie pani, żeby moralista wygrał dzisiaj wybory w Stanach?

Dzisiejsza Ameryka jest coraz gorsza z różnych powodów, nie tylko z winy obecnej administracji. Jest coraz gorsza, bo nie potrafiła rozwiązać wewnętrznych kryzysów – nierówności społecznych, bezdomności, narkomanii.

Dzisiaj Ameryka jest antyimigrancka. A przecież dziadek Trumpa urodził się w Niemczech, wyemigrował do Ameryki jako nastolatek. Żony Trumpa pochodzą z Europy. Więc dzisiejsza Ameryka zaprzecza wartościom, które legły u jej podstaw. Będzie świętować 250 lat niepodległości Stanów Zjednoczonych w bardzo zakłamanym nastroju, bo właśnie odwróciła się od liberalizmu, wolności, szacunku dla drugiego człowieka, szansy dla imigrantów.

Chciałam powiedzieć, że to akurat wina Trumpa, który świadomie rezygnuje z tych wartości, ale mam wątpliwości, co prezydent Ameryki czyni świadomie.
– Trump jest wspierany przez więcej niż połowę głosujących Amerykanów.

Był w wyborach. Teraz, gdy prowadzi wojnę w Iranie, już nie jest. Przecież obiecał: żadnych nowych wojen.
– Skłamał, nie pierwszy raz przecież. Ale on swoimi kłamstwami się nie przejmuje, wręcz powtarza je z wielką satysfakcją. Dziennikarze weryfikują fakty, łapią go na oczywistym kłamstwie a on bronie dalej. Bo przez lata puszczania mu, jeszcze jako biznesmenowi, kłamstw i przekrętów płazem, nauczył się, że kłamstwo powtarzane wystarczająco często i uparcie staje się rzeczywistością.

W sferze politycznej bardzo liczę na listopad, czyli wybory połówkowe, które mogą – uwaga, nie muszą – być znakiem ostrzegawczym dla Trumpa. Może nie dla niego samego, co dla jego administracji i zauszników ze świata biznesu, że tak dalej nie może być. Nawet jeżeli Demokraci odbiją Izbę Reprezentantów, przegrana prezydenta nie zmieni. Trump jest nie do zmiany. Człowiek mający 80 lat i o takim charakterze może stać się tylko gorszy. Ale republikańskich liderów, których za dwa lata czeka start do senatu, to może otrzeźwić. Dodać odwagi, żeby powiedzieć: tak nie wolno. Nie wolno rozpętywać kolejnych wojen. Nawet nie z przyczyn moralnych, ale z pragmatyzmu – straty w gospodarce, wzrosty cen, już są wielkie i będą tylko rosły.

Do wyborów połówkowych jeszcze siedem miesięcy. Przez ten czas może się wydarzyć wiele, wiele złego. Trump na serio zamierza wysłać do Iranu wojska lądowe, mówi się o 10 tysiącach żołnierzy. Pentagon szacuje, że to potrwa kilka miesięcy.
– Jeżeli Amerykanie będą tam ginąć – a będą, skoro ginęli w Iraku i Afganistanie, a Iran to zupełnie inne państwo, może nie najnowocześniejsze technologicznie, ale zaawansowane, działające, zdeterminowane, uzbrojone – to Trump pozostawi po sobie spuściznę dla co najmniej paru prezydentów i pokoleń. Tak samo zaczął się Wietnam. Pytanie, dlaczego polityka Trumpa jest aż tak oderwana od rzeczywistej, uczciwej analizy sytuacji. Słabość wywiadu? To akurat dla mnie nie byłoby niespodzianką...

...ale czy Trump w ogóle czyta informacje wywiadowcze? A jeśli, to czy rozumie, co czyta?
– ...zacznijmy od tego, że wywiady nie są doskonałe. Amerykański i brytyjski wywiad informowały, że Saddam na pewno posiada broń masowego rażenia. Nie posiadał.

Ale nawet jeśli gdyby wywiad się nie pomylił – a z tego, co wiemy, na samym wstępie wojny się nie pomylił, oceniając, że Teheran nie zamierza zadzierać z Ameryką – to Trump nie liczy się z żadnymi doradcami, ponieważ jako narcyz jest przekonany, że on wie wszystko najlepiej, nie tylko w sprawie polityki. Jakby pani go pytała o fizykę, chemię, medycynę, sport, piłkę nożną, to on tak samo jest w tych dziedzinach najwybitniejszy.

Znalazłem niedawno cytat, o którym trzeba zacząć mówić głośno. Generał James Mattis, sekretarz obrony za pierwszej kadencji, mówi wprost, że „krajem rządzi wariat, którego decyzji nie da się przewidzieć". Czyli mamy do czynienia z paranoiczną sytuacją: o wojnie, której skutki już dotyczą całego świata, a mogą być niewyobrażalne, decyduje „wariat", który nikogo nie słucha.

Wszyscy znaleźli się w pułapce. Głębiej w nią wpadli trumpiści, którzy za chwilę będą musieli ugryźć się w język i tłumaczyć się zwykłym Amerykanom z katastrofalnych efektów decyzji Trumpa. Ale my, Europejczycy,

Aleksander i Aleksandra Kwaśniewscy

• będą gośćmi międzynarodowego kongresu Impact'26. Od 10 lat w jednym z najważniejszych wydarzeń gospodarczo-technologicznych w Europie biorą udział eksperci i ekspertki z największych globalnych firm i organizacji z całego świata związani z zarządzaniem, polityką, prawem i nauką.

• Wyborcza.biz, Wyborcza.pl i WysokieObcasy.pl objęły patronat medialny nad wydarzeniem.
• Szczegóły: **impactcee.com/impact/2026/pl/start/**

impact

1 RP

eprasa.pl 2b2d0f0434

też w niej tkwimy, bo co z tego, że patrzymy na Trumpa krytycznie, skoro nie możemy zrezygnować z pomocy strategicznego partnera w sprawach bezpieczeństwa.

Była Wenezuela, jest Iran, a Trump niedawno tak sobie rzucił: „Stworzyłem wspaniałe wojsko. Mówiłem, że nie trzeba go będzie wykorzystywać. Ale czasem trzeba je wykorzystać. Tak przy okazji, Kuba jest następna". Zaatakuje Kubę? A z drugiej strony – przecież nie ma sensu przywiązywać się do tego, co Trump mówi.
– Na tym polega z nim problem: nie można przywiązywać wagi do jego słów, ale też nie można nie przywiązywać. Można nie przywiązywać wagi do moich słów, ponieważ to, co ja powiem, wpłynie na opinię jednego, dwóch czy dziesięciu czytelników, ale nie na świat.

Stworzyłem kiedyś definicję różnicy między prezydentem a byłym prezydentem. Otóż prezydent jest reżyserem, scenarzystą, a w takich systemach jak amerykański, również aktorem pierwszoplanowym.Były prezydent jest nawet nie scenografem, tylko elementem scenografii. Trump jest reżyserem, scenarzystą, do tego jeszcze producentem, scenografem, dźwiękowcem i operatorem, a rola pierwszoplanowa bardzo mu się podoba. I dzięki temu długo jeszcze nie spotka się z oporem amerykańskiego społeczeństwa. Trochę media pokrzyczą, trochę opinia publiczna skrytykuje, frustraci wyjdą na ulice...

Już wyszli. Parę dni temu 8 milionów protestowało w ponad 3 tysiącach miejscowości...
– ...w kraju, który ma prawie 350 milionów mieszkańców.

Wśród tych frustratów na ulicach byli Jane Fonda, Joan Baez, Bruce Springsteen. Może coś się zaczyna?

Już za Obamy obserwowaliśmy zmniejszenie zainteresowania relacjami z Europą

– I jeszcze de Niro. To są wielkie gwiazdy, ale nie ma ich tak wiele, a do tego mówimy o gwiazdach z odchodzącego pokolenia, których spora część wyborców przed 30. nawet nie kojarzy. A oporu opinii publicznej nie widzę.

Musimy zdawać sobie sprawę, na czym polega różnica między Trumpem pierwszym i drugim. Otóż przed pierwszą kadencją on nie do końca wierzył w zwycięstwo i nie był na wygraną przygotowany. A gdy wprowadził się do Białego Domu, wokół niego byli ludzie, którzy korygowali jego decyzje, jak generał Mattis czy Rex Tillerson, sekretarz stanu. Mieli pozycję i odwagę, by powiedzieć: panie prezydencie, tak nie wolno, panie prezydencie, jest inaczej, niż mówi panu Bannon, to się skończy źle. Trumpowi to się bardzo nie podobało, więc przez cztery lata prezydentury Joe Bidena przygotował własną ekipę. To nie jest administracja, to nie są państwowi urzędnicy, to jest garść oportunistów oraz sekta trumpistów, jak Pete Hegseth, sekretarz obrony czy Robert Kennedy Jr., sekretarz zdrowia.

Ci ludzie wykonują jego decyzje, nawet gdy nie są przekonani, bo wierzą w nadzwyczajną intuicję szefa, w jego boskie kontakty, na co znajdują dowód w nieudanym zamachu na życie Trumpa. Wiem, że to brzmi jak scenariusz na szalony thriller polityczny, ale za bardzo uwierzyliśmy w to, w co chcieliśmy wierzyć – że polityka takiego mocarstwa musi być racjonalna, że jego elity po najlepszych uczelniach są trzeźwe, oświecone, pragmatyczne, rozważne. Czynnik irracjonalny wydaje się nam... właśnie irracjonalny.

Jedna z osób protestujących przeciwko Trumpowi tak uzasadniała swój sprzeciw: „protestuję przeciwko wszystkim nielegalnym, niemoralnym, lekkomyślnym, nieudolnym i niekończącym się wojnom Trumpa". Nękanie uniwersytetów, prześladowanie migrantów, zastraszanie mediów, panoszenie się miliarderów, odbieranie leczenia i chleba najbiedniejszym, czyli jego wyborcom – to wszystko nie podkopało wiary w Trumpa. Ale wojna, gdzie giną amerykańscy chłopcy, z wielkimi kosztami i ofiarami, to co innego.
– Tylko czy ten protest, jak na czasy Trumpa może i znaczące, będą miały wpływ na setki milionów wyborców?

Ale pytała pani o wojny Trumpa i ich sens. To po kolei.

Iran to państwo o silnie religijnym charakterze, nietolerancyjne, agresywne, co jest trudne do zaakceptowania. Z tym się mniej więcej wszyscy zgadzamy. To, że żadne wybory w warunkach irańskich nie były w naszym rozumieniu uczciwe, wolne, to też wiemy. Zmiana takiego reżimu jest słusznym celem. Irański program atomowy też nie był straszakiem, Izrael mógł czuć się nim zagrożony, jeśli nie bezpośrednim atakiem, to tym, co Iran mógł dostarczyć różnym ekstremalnym ruchom religijno-politycznym w regionie. Więc sam pomysł, że trzeba coś zrobić z Iranem, bo jest niebezpiecznym elementem regionalnej rzeczywistości, miał sens. A co zrobić? Mieliśmy dwie szkoły.

Przedstawicielem jednej był Obama: dogadanie się z Irańczykami, kij, ale i marchewka, ograniczenie program atomowego w zamian za zniesienie sankcji i dopuszczenie do grona „normalnych" państw. A do tego wspieranie środowisk emigracyjnych oraz demokratycznych w samym Iranie. Podpisano porozumienie z ajatollahami i wydawało się, że to działa. Ale przyszedł Trump i wybrał szkołę drugą, jastrzębią. Zniszczył porozumienie nuklearne, nie z powodu słabości tego programu, ale z nienawiści wobec samego Obamy – podobnie jak zniszczył inne projekty Obamy, nawet te, które służyły jego wyborcom i które klasyczni Republikanie po cichu popierali, jak zdrowotny Obamacare. A zmianę reżimu postanowił przyspieszyć, po prostu go obalając.

Do czego nakłonił go Izrael. Który uznał, że woli szybki sukces od czekania, aż demonstracje przeciwko ajatollahom wytworzą masę krytyczną – bo wewnętrzna zmiana reżimu prawie nigdy nie dzieje się z dnia na dzień, obserwowaliśmy to w wielu innych krajach – i założył, że przy poważnym udziale USA to zajmie parę dni, może tydzień.

Reżim nadal jest.
– I będzie tylko się umacniał, bo wreszcie ma zewnętrznego wroga. Takiego prawdziwego, a nie coraz mniej skuteczny straszak, na który młodzi ludzie czy kobiety oglądali się z sympatią i nadzieją. W efekcie zamiast chirurgicz-

Kraj/34427422

1 RP

eprasa.pl 2b2d0f0434

nej operacji mamy regularną wojnę, która wikła cały świat w mnóstwo złych konsekwencji na lata.

Teraz Wenezuela. Porwanie prezydenta to rzecz niebywała. Maduro, następca Chaveza, to jego nieudana kopia – dużo mniej charyzmatyczny, praktycznie bezideowy, dużo bardziej skorumpowany i związany z kartelami narkotykowymi. Czyli postać, za którą płakać nie ma żadnego powodu. Ale metoda jego obalenia jest niewątpliwie niezgodna z prawem międzynarodowym. Zobaczymy, jak będzie wyglądał jego proces.

Natomiast to, co obecnie mówią Trump i jego ludzie, to ostentacyjny pokaz cynizmu politycznego, który będzie gorzką lekcją dla wielu pokoleń polityków chcących współpracować z Ameryką i dla społeczeństw, które miały ją za wzór.

Trump mówi wprost, że María Corina Machado, liderka opozycji, która dopiero co została laureatką pokojowego Nobla, nie nadaje sie na głowę państwa, bo jest niekompetentna. Nadaje się Delcy Rodríguez, wiceprezydentka u Maduro, jego ważna zauszniczka. A więc obalamy Maduro wspólnie z częścią jego ekipy, zostawiamy u władzy szefów wojska, bezpieki, po czym swobodnie ogłaszamy, że tak naprawdę chodzi o zasoby naftowe, że Wenezuela ma być po prostu amerykańską kolonią. To powrót do amerykańskiego ekspansjonizmu sprzed półtora wieku i do najgorszych doświadczeń europejskiego imperializmu XIX i pierwszej połowy XX stulecia. Oraz największy prezent, jaki można dać Putinowi. No bo jeżeli Wenezuela jest wasza, to czemu Ukraina ma być nie nasza? Czemu Białoruś ma być nie nasza? I jeszcze Kaukaz i Azja Centralna?!

Nie pomogło nawet to, że Machado zadzwoniła do Trumpa i powiedziała mu, że przyjęła Nobla na jego cześć, bo to on na nią zasłużył.
– To wydaje się chytrym zachowaniem, ale jest katastrofalne. Próba przekupywania dzieciaka z rozbuchanym ego – Szwajcarzy wiozą najdroższego złotego Rolexa, Japończycy złoty hełm samuraja, Koreańczycy złotą koronę, Anglicy organizują królewskie powitanie – tylko go rozzuchwala, utwierdza w przekonaniu, że zrobi, co zechce, a i tak będą go, jak sam mówi, całować w d... Natomiast Wenezuelę wcześniej czy później czekają wolne wybory. Tam społeczeństwa demokratycznego, wolnościowego nie da się anihilować – a jego większość nie zaakceptuje dyktatu administracji amerykańskiej, więc oddanie władzy prawdziwym patriotom będzie któregoś dnia koniecznością. Kiedy? I tu, jak z Iranem, nie ma żadnej długofalowej strategii.

Teraz Kuba. To jeszcze ciekawszy przykład. Przypomnę, dlaczego Castro zorganizował rewolucję na Kubie i uzyskał poparcie Kubańczyków na długie lata. Występował przeciwko reżimowi Fulgencio Batisty, bo Ameryka z Kuby uczyniła kolonię – miejsce niekontrolowanej, wygodnej turystyki, korupcji, prostytucji, hazardu. Castro, który obiecywał wyzwolenie od tego, czyli równość społeczną, edukację, postęp, wygrał, zyskując rzeczywiste poparcie. Gdyby w pierwszych latach rządów Castro były wolne wybory na Kubie, to on by wygrywał je bez większego problemu. A Amerykanie od początku próbowali go obalić jako niebezpiecznego dyktatora. Później oczywiście się jego władza zdegenerowała z tysiąca powodów, między innymi z powodu błędów w założeniach ideologicznych.

Dzisiaj Kuba jest pod pistoletem, bo Trump składa jej ofertę, pół żartem, pół serio, że najlepszym prezydentem byłby jego sekretarz stanu Marco Rubio, dziecko rozgoryczonych, pamiętliwych kubańskich imigrantów. Więc jeżeli tą zmianą reżimu ma być przejęcie władzy przez najbardziej zajadłą, nienawidzącą Kuby diasporę z Miami, która idealizuje czasy Batisty, to w zasadzie Waszyngton już dziś zaczyna pracę nad kolejną kubańską rewolucją za dekadę czy dwie. To, co robi dzisiaj Trump, jest odebraniem Kubańczykom godności. Jak mają reagować, gdy prezydent USA, który chce im zainstalować nowy rząd, mówi, że Kuba to jakaś nieduża wysepka, co gdzieś tam się pałęta na Karaibach.

Jeden z jego współpracowników za pierwszej kadencji, zapytany, jaki Trump ma światopogląd, odparł, że nie ma żadnego światopoglądu oprócz sławy i pieniędzy. Co możemy zrobić z Ameryką dewelopera celebryty dumnego z własnej ignorancji?
– Przeczekać. Ameryka świętuje 250 lat niepodległości. Polska ma za sobą już ponad tysiąc lat państwowości. Więc mamy swoje doświadczenia, przeżyliśmy swoje wielkie chwile i upadki.

Nasz największy problem to pułapka Trumpa. Bo dla nas strategiczne partnerstwo ze Stanami Zjednoczonymi jest wartością znacznie większą niż dla Niemców czy Brytyjczyków, o Włochach albo Hiszpanach nie mówiąc.

> Putin już uzyskał w zasadzie wszystko, czego chciał: powrót do czasów koncertu mocarstw. A Chińczycy patrzą i czekają. Korzystają też, ale nie tak, jak by mogli, dzięki czemu jeszcze nie ma trzeciej wojny światowej

A ono jeszcze istnieje?
– Istnieje i istnieć musi.

Nie wiemy, co Trump zrobi z NATO.
– To prawda. Ale przecież administracja amerykańska zmienia się co 4 lata.

Oczywiście można na to powiedzieć, że nawet gdy Trump odejdzie, bo skończy się mu kadencja, a nie wymyśli i nie przeforsuje sposobu na trzecią, to pozostanie trumpizm jako filozofia państwa, jako styl władzy, jako metoda polityczna, popierana przez część społeczeństwa i wygodna dla wielu nowych polityków dowolnej barwy.

Bo cynizm, własny interes jako motywacja, kłamstwo jako argument i manipulacja jako strategia. Zestaw postaw, które były czasami używane, przecież nikt nie był święty, ale przynajmniej uważano je za niewłaściwe i publicznie odrzucano, starano się zachować pozory lub naprawić to, co zepsuto. Nowością trumpizmu jest wyzbycie się wstydu i ostentacja z powodu łamania prawa, cynizmu, kłamstw czy manipulacji. Już nie próbujemy, jak całkiem liczni poprzednicy, ukrywać afer, interpretować prawo w ramach przyzwoitości – robimy, co uważamy i co chcemy i jesteśmy z tego dumni. To jest bardzo niebezpieczne, bo pozostawia taki pomysł i usprawiedliwienie niegodziwości pokoleniom polityków i podczepionych pod nich karierowiczów.

Ale jednocześnie amerykańskie społeczeństwo, nawet trumpiści, wciąż w dużej części jest wyczulone na różne bulwersujące zachowania na styku obyczajów, biznesu i polityki. Dobrym przykładem jest sprawa Epsteina. Oni naprawdę odczuwają dyskomfort z powodu kontaktów Trumpa z Epsteinem, nawet jeśli Trump nie popełnił przestępstwa.To wzbudza ich niepokój, u wielu wstręt. Więc jeszcze Ameryki jako społeczeństwa bym na straty nie spisywał. Co jest pocieszające w kontekście tego, że musimy utrzymywać relacje z Ameryką.

Ale równocześnie musimy wyciągać wnioski i szukać alternatyw. Bo przecież część tego, co uważamy za trumpizm, przebijało już wcześniej, również u tej stereotypowo „lepszej", bo wykształconej, bywałej w świecie, liberalnej części klasy politycznej i wyborców. Mam na myśli naturalne przesunięcie zainteresowania zagranicą. Już za Obamy obserwowaliśmy zmniejszenie zainteresowania relacjami z Europą. A teraz struktura społeczna zmienia się jeszcze szybciej, potomków Europejczyków jest coraz mniej, potomków Latynosów i Azjatów przybywa. Swoją drogą zabawne, że pierwszym prezydentem, który prowadzi otwarcie antyeuropejską politykę, jest potomek niemieckich emigrantów.

Na szczęście Europa jest dziś już wystarczająco zorganizowana i bogata, żeby uzupełnić malejącą ochronę amerykańską. A co najważniejsze, świadoma – wcześniej wierzyła w swoją gospodarkę, kulturę, ale nie wierzyła w swoją siłę, bała się inicjatywy, oglądała na innych. Teraz już wie, że musi radzić sobie sama, że postawić na własny przemysł zbrojeniowy, na własne technologie, na nowe sojusze bezpieczeństwa. Szok, który wywołuje Trump, jest pozytywny.

I dlatego Trump wspiera w Europie ruchy skrajnie prawicowe, czyli antyeuropejskie.
– To jest samobójcze dla samej Ameryki. Jeżeli szukać jednego elementu, który ją stworzył, ukonstytuował i dawał taką pozycję polityczno-moralną przez 250 lat, to była wolność i prawa człowieka. Oczywiście nie dla wszystkich, z całym mnóstwem hipokryzji I wykluczeń, a to rdzennych mieszkańców, a to czarnych, a to Chińczyków – ale na podstawowym poziomie to był kraj, w którym wierzono, że ludzie są sobie równi i mają prawa.

Jeśli Trump lub jego następca odniosą sukces, AfD zacznie rządzić w Niemczech, we Francji ruch Le Pen, Farage w Wielkiej Brytanii i tak dalej, to wszyscy zaczną prowadzić taką samą politykę, co Ameryka, czyli oglądać się tylko na swój interes, zawierać doraźne sojusze, korumpować innych. Oczywiście będą w pozycji słabszego, ale to nie znaczy, że będą tak ulegli, jak słabe strukturalnie i gospodarczo kraje Ameryki Łacińskiej. Każde dawne europejskie mocarstwo będzie prowadziło swoją grę z Waszyngtonem i kolejnym administracjom trudniej będzie to ogarnąć niż relacje z jednym, może zbiurokratyzowanym i nudzącym o procedurach, ale przewidywalnym partnerem.

Zgadnie pan, kto to powiedział o Trumpie: „Potrzebujemy takich przywódców jak on, przywódców, którzy stawiają na pierwszym miejscu swoich obywateli, chronią ich miejsca pracy, ich rodziny i zabezpieczają ich przyszłość"?
– Karol Nawrocki.

28 marca na CPAC, ważnej konferencji konserwatystów I prawicy w Teksasie.
– No i to jest ta pułapka, o której mówię. Nawrocki jest na tyle jednak rozgarnięty, że ma wątpliwości, nie wierzy we wszystko, co mówi – bo przecież wszyscy, nawet najbardziej zakochani w Ameryce mieszkańcy Europy Środkowo-Wschodniej widzą, że w Ameryce ani nie jest mniejsza inflacja, ani nie ma więcej miejsc pracy, bezdomni przepędzeni z centrów miast pozostają bezdomnymi tyle, że na peryferiach – ale próbuje robić to, co robi noblistka Machado czy inni europejscy przywódcy, czyli zaspokajać ego Trumpa z nadzieją na jego łaskawość.

A że przy okazji naszemu prezydentowi podoba się ich prezydent, to inna rzecz. Maczyzm, nieliczenie się ze słowem, z prawdą, z innymi, z oponentami, z prawem – to podobna mentalność. Choć niewątpliwie nasz prezydent więcej wie, interesuje się nie tylko sobą w telewizji. Ale baza, czyli podejście „dzisiaj jest środa, chcecie mieć piątek, ja wam to załatwię", jest to samo.

Załatwi Trump czy Nawrocki?
– Jeden i drugi wierzy, że załatwi. Albo inaczej – wierzą, nie wierzą, ale mówią i chcą, żeby im uwierzyć.

Trump to nie jest pierwszy taki przypadek w historii świata, liderów, którzy przychodzili do władzy z przekonaniem o swojej absolutnej mądrości, znamy i wiemy, jak to się kończyło.

Bardzo źle.
– Ale ludzkość po takich dramatach jak wojny, wielkie konflikty, kryzysy, odbudowywała świat na nowo.

Będziemy musieli znowu świat odbudowywać, czyli dojdzie do wojny?
– Tego bym nie wykluczał, niestety.

Czyli słowa Nawrockiego, te o narodowym egoizmie, narodowym narcyzmie, są naprawdę niebezpieczne.
– Raczej są głupie. Bo jak to zapewnić, to co obiecuje? A przecież Nawrocki mógłby powiedzieć tak: – Zrobię wszystko, żeby Unia Europejska była silniejsza i sprawniejsza, bo wtedy nasza silna Polska będzie odgrywała w niej jeszcze większą rolę, będzie współrządziła. Potrzebujemy takich przywódców jak ja, bo tylko tacy przywódcy mogą w takich warunkach zapewnić swoim obywatelom miejsca pracy, zabezpieczyć ich rodziny i sprawić, że będziemy dumni z naszego zamożnego kraju.

Nawrocki nigdy by tak nie powiedział.
– I na tym polega zasadniczy problem. Na rosnącym zideologizowaniu, światopoglądowym zacietrzewieniu, które każe trwać przy swoim na każdym poziomie i słów, i czynów i ocen.

Oczywiście znaczną część naszego życia – przynajmniej naszych żyć, pani i mojego – świat był zideologizowany, do końca zimnej wojny trwał w istotnym sporze ideologicznym między komunizmem czy raczej koncepcją centralistyczno-nakazowo-kolektywistyczną, którą kreował Związek Radziecki oraz Chiny a Zachodem, czyli światem liberalnej demokracji, wolnego rynku, swobód obywatelskich. Ta dychotomia skończyła się w 1991 roku z rozpadem ZSRR i uwierzyliśmy w koniec historii – nie w tym sensie, jaki prostacko przypisano Fukuyamie, że Zachód wygrał, tylko że, najogólniej, wszyscy jesteśmy podobni i wszystko będzie szło w dobrą stronę.

Tylko że to był krótki moment. Krótszy, niż nam się zdaje, bo trwał nie dziesięć czy kilkanaście lat, do zamachów na World Trade Center 11 września 2001 i później do Putina, tylko kilka lat. Bo pierwsze oznaki powrotu wojny

eprasa.pl 2b2d0f0434

ideologicznej przypłynęły z Chin, kiedy Chińczycy już w początku lat 90. Powiedzieli: wolny rynek, tak, globalizacja tak, wymiana handlowa tak, bogacenie się i swoboda konsumowania tak, ale jeśli chodzi o demokrację, to ostrożnie, mamy swoje lepsze pomysły, trzymamy się swojego systemu, bo Zachód przesadza z prawami człowieka. A dziś to chińskie podejście – odrzucenie demokracji, liberalnej gospodarki, ograniczenie praw człowieka, odrzucanie wrażliwości, polityki niedyskryminacyjnej – po prostu szybko się rozszerza.

Demokracja cofa się o kilka pokoleń również w Starym Świecie.
– Tak, mamy własnych liderów, wręcz pionierów cofania się demokracji – Putin, Orban, stary Le Pen, po którym pałeczkę przejęła córka. Niedawno dołączyli do nich Farage, Fico, a teraz Nawrocki.

Nie wolno nadużywać wielkich słów, ale to jest rzeczywiście moment życiowego zagrożenia. Toczy się pełnowymiarowa wojna ideologiczna i trzeba ją w Polsce dobrze zdefiniować: Nawrocki chce być u nas i w naszym regionie liderem antydemokratycznego, antyliberalnego projektu.

Szukamy złożonych, nowych definicji, ale może wystarczy stare słowo: nacjonalistycznego.
– Tak. Wybór, który będziemy mieli w 2027 roku, będzie właśnie taki: czy wspieramy siły demokratyczne, które uważają, że trzeba wspierać Unię Europejską, Ukrainę, demokrację w jej klasycznej, liberalnej, europejskiej odmianie, wspierać prawa człowieka, równość kobiet, mniejszości, słabszych, czy przeciwnie, trzeba te prawa tępić?

O to teraz toczą się wybory na Węgrzech. To, co tam się wydarzy tydzień po Wielkanocy, będzie miało kolosalne znaczenie dla wszystkich. To, że Nawrocki pojechał wesprzeć Orbana, pokazuje, że on chce pokazać – to celowe powtórzenie – po której stronie się lokuje. Po stronie antydemokratycznej.

Nawrocki wspiera Orbana, który wspiera Putina, o którym Nawrocki mówi, że to nasz wróg. Trochę nielogiczne.
– A wcale nie. W czasach rządów Kaczyńskiego rozmawiałem, od razu zaznaczam, że nie podam nazwiska, z oddanym rosyjskim demokratą i zażartym antyputinowcem. I on mi mówi tak: „Słuchaj, nie mogę gniewać się na Kaczyńskiego, na jego niedemokratyczne decyzje, tak długo, jak on walczy z Putinem". To dla niego było ważniejsze.

Krótko mówiąc – dla Nawrockiego polityka przeciwko Unii Europejskiej jest istotniejsza niż popieranie Putina przez Orbana. Z perspektywy takich ludzi Unia, która już tu jest, to większe zagrożenie niż Putin, którego tu nie ma i przez ładnych parę lat nie będzie.

No właśnie. Putin jest dla nas, Polaków, Europejczyków, dla świata groźniejszy niż Trump, Alice Weidel czy Marine Le Pen?
– To jest dobre pytanie. Jeżeli rezultatem trumpizmu miałoby być osłabienie NATO, Unii Europejskiej, to Trump jest groźniejszy, bo sprawia, że uwikłany w wiele problemów Putin uwalnia się z nich i staje groźniejszy. Wojna w Iranie, wzrost cen, wzrost cen gazu i ropy, braki i przesunięcia na Bliski Wschód kluczowej broni, odciągnięcie uwagi zachodnich liderów do bieżącego pożaru daleko od Europy, pokazanie przywódcom z Azji postsowieckiej, którzy powoli zaczynali odwracać się od Rosji, że na Ameryce nie można polegać – wszystko, co robi Trump, wzmacnia Putina.

A do tego Rosja wspierała kampanie wyborcze Trumpa. Myślenie spiskowe, któremu ulegamy niczym „tamci", by jakoś to wszystko zracjonalizować, połączyć te fakty?
– Nie mam żadnych danych, żeby wskazywać tu na przyczynę i skutek. Ale wiem z wieloletniego doświadczenia, że Rosjanie myślą długofalowo. Czyli jeżeli mieli do wyboru: Hillary Clinton albo Trump, to słusznie stawiali na Trumpa. Jeżeli mieli do wyboru Bidena albo Trumpa, to słusznie stawiali na Trumpa. Jeżeli mieli do wyboru Trumpa i Kamalę Harris, słusznie stawiali na Trumpa. Zakładali, że Ameryka kogoś o takim charakterze i luźnych poglądach stanie się użyteczna. Choć nie sądzili, że aż tak. To, co się teraz dzieje, jest powyżej ich oczekiwań.

Natomiast sam Putin oprócz tego, że uznał Trumpa za poręcznego, niewątpliwie miał do niego odruchową sympatię. Widział w nim człowieka, który jest od innych kandydatów dużo bardziej antyeuropejski, mniej demokratyczny, ale też po prostu mniej przywiązany do zasad. I nie gada co chwila o jakichś tam wartościach, co Putina zawsze męczy.

Infantylny celebryta deweloper, znakomity do manipulacji?
– Ależ skąd! Oni Trumpem nie manipulują, bo Trump jest nie manipulowalny.

Rosjanie też jeszcze nie raz i nie dwa mogą się na nim sparzyć. To jest cały problem – że Trump to postać nieprzewidywalna, niekontrolowalna. Dlatego ja nie wierzę w spiski, bo musiałbym uwierzyć, że Trump uczyni to, czego ktoś od niego oczekuje. On zrobi po swojemu, bo tak mu podpowiada intuicja, zobaczy w tym interes – albo na przekór, gdy wyczuje, że ktoś naciska.

Natomiast Trump obiektywnie sprzyja Putinowi. Już to, że z pierwszych stron gazet znika kwestia rosyjskiej agresji na Ukrainę, jest na korzyść Putina.

Nawrocki też nie wspomniał o Ukrainie podczas przemówienia wychwalającego Trumpa.
– Gdyby nie determinacja demokratycznej Europy, która finansowo pomaga Ukrainie, i gdyby nie głosy, że Ukraina to nasza wojna, a Iran to nie nasza wojna, to sytuacja byłaby dramatyczna. Swoją drogą dobrze, że tak mówią Trumpowi niektórzy, np. Aleksander Stubb. Bardzo go za to cenię. Prezydent Finlandii to jeden z najbliższych Trumpowi polityków europejskich, bo razem grają w golfa. Zresztą Stubb pozwala Trumpowi wygrywać, mimo że jest lepszym golfistą. Więc może to ma jakiś wpływ na Trumpa?

Ale też tego, że dziś Rosja czeka, aż cała Europa weźmie się za łby, że siły antyeuropejskie wygrają wybory w wielu państwach, że Unia Europejska się rozpadnie, nie można składać tylko na karb Trumpa czy Orbana. To jest rosyjskie marzenie dużo starsze niż prezydentura Trumpa.

To co będzie z wojną na Ukrainie?
– Będzie trwała i trwała, ponieważ w tej chwili Trump jest całkowicie pochłonięty czym innym. Nie jestem jak Trump, więc nie lubię sam siebie cytować, ale od początku agresji w 2022 roku mówiłem, że to jest wojna na lata. Bo Putin jest zainteresowany całą Ukrainą, nie częścią. A konflikt na pokolenia, bo zasiano nienawiść na bardzo długo.

Nowy prezydent Ameryki jej nie zakończy?
– A w jaki sposób? Jak Putin nie będzie chciał się wycofać, to co zrobi nowy prezydent USA, zbombarduje Kreml?

No i Putin już uzyskał – tu akurat konkretnie od Trumpa – w zasadzie wszystko, czego chciał. Mianowicie powrót do czasów koncertu mocarstw. Teraz, gdy Putin mówi: chcę mieć Białoruś, Ukrainę, Kaukaz, Azję centralną, to ma do tego mandat. Bo przecież Ameryka, jak chce mieć jakieś państwo, to je sobie bierze. A Chińczycy patrzą i czekają. Korzystają też, ale nie tak, jak by mogli, dzięki czemu jeszcze nie ma trzeciej wojny światowej.

Nie ma? Już w tylu miejscach wybuchają konflikty, które tak się przeplatają i wzajemnie napędzają, że składają na jeden niemal globalny konflikt.
– Tak, ale jeszcze masa krytyczna nie została przekroczona, choć jesteśmy tego blisko, bardzo blisko.

Chińczycy na szczęście mają tak zwaną strategiczną cierpliwość – niemniej już dziś wszystkie argumenty są po ich stronie. Bo jeżeli Trump ma pretensje do Grenlandii, to wzmacnia ich pretensje do Tajwanu.

Złamanie zasad, które ufundowały świat po drugiej wojnie światowej, jest faktem. Nowych zasad nie ma, a propozycje, które przynosi Trump, a Putin i Xi chętnie się z nimi godzą, to powrót do polityki z początku XIX wieku, czyli koncert mocarstw. Który jest możliwy, bo co by nie mówić, siła ma znaczenie. Tylko że wiemy, jak wszystkie koncerty mocarstw się kończyły. Tym, że wielkie mocarstwa skaczą sobie do gardeł, mniejsze nie mają wyjścia i muszą się za kimś opowiedzieć albo uznają, że same mogą coś ugrać – a wtedy mamy już konflikt światowy. I takie ryzyko staje przed nami.

Dziś to będzie trochę inny koncert mocarstw. Bo wspomagany przez najbogatszych ludzi świata, którzy sami mają mocarstwowe zasoby i wpływy.
– I też cierpią na tę samą dolegliwość, co liczni politycy, czyli narcyzm. Są przekonani, że to oni zapewnią nam wielką przyszłość, że są zesłańcami Pana Boga. Z pomocą technologii i inżynierii społecznej, nie polityki, ale one przecież są czystą polityką.

Czy w tych okolicznościach u nas demokraci mają szanse wygrać przyszłoroczne wybory?
– Mają. Jeżeli będą prowadzić sensowną politykę bieżącą, jeżeli będą w tym wiarygodni, jeżeli będą sprawczy, jeżeli poprowadzą, lepszą niż wszystkie dotychczasowe, kampanię wyborczą w oparciu o nowe technologie...

...sporo tych warunków...
– Jest jeszcze czas. Budapeszt może zmienić sytuację. A ja wierzę w rozsądek wyborców. We Francji po pierwszej turze wyborów lokalnych wieszczono, że prawica zdobędzie Paryż, Marsylię. Nie zdobyła.

Wyborca ma jednak własny rozum. Więc wierzmy w to, że poczucie sensu odezwie się w Polsce jesienią 2027 roku. ●

Kraj/34428124

1 RP

eprasa.pl 2b2d0f0434

2 RP

GDYBY NIE BYŁO MIŁOŚCI, BYLIBYŚMY BEZSILNI

Możesz zbudować sobie historię, w której jesteś człowiekiem kochalnym

Z **NATALIĄ DE BARBARO**
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Trochę mi wstyd się przyznać, ale zainspirowana twoją książką „Przejścia. Którędy do miłości" chciałam przynieść na nasze spotkanie zdjęcie mojej prababki. Bardzo młodo umarła i czasami miewam myśli, że żyję jakby i za nią.
– Dlaczego ci jest wstyd?

Bo takie myśli nie są racjonalne? A jeśli dodać do tego, że kiedy przekroczyłam wiek, w którym zmarła moja mama, pomyślałam, że i za nią muszę się nażyć – to wychodzi, że opowiadam dyrdymały.
– Czy my rozmawiamy o matematyce, że się powołujesz na racjonalność? Rozmawiamy o byciu człowiekiem. To są twoim zdaniem dyrdymały? Przecież jesteś zrobiona też z tego, z tych kobiet.

Twierdzisz, że podobnie jak inne kobiety, jestem też zrobiona z 12 tysięcy kobiet, które dzielą mnie od mojej pierwszej praprzodkini wywodzącej się z Homo sapiens. Skąd wzięłaś w moim życiu taki tłum?!
– Sprawdziłam, ile mamy przodkiń w pierwszej linii. Czyli przez matkę, babkę, prababkę, praprababkę i tak dalej, aż do powstania gatunku. Przyznasz, że ta liczba, chociaż umowna, robi wrażenie. Wyobraź sobie, że otacza cię tłum kobiet, a każda z nich mówi: ona jest nasza. Masz je w sobie.

Jeśli dodać do genetyki wyobraźnię, to rzeczywiście można się zamyślić nad swoją nieważnością i przemijaniem. Dlaczego jednak uważasz, że świadomość, iż „śpiewamy w wielopokoleniowym chórze", może dodawać sił?
– Jeśli uznać życie za rodzaj wyprawy po nienajłatwiejszym terenie, to łatwiej jest iść z ludźmi, którzy znają trasę, bo przeszli ją przed tobą. Gdyby zakwestionować, że jest to doświadczenie zasilające, musiałabyś uznać, że jesteś wyzbyta korzeni, a więc krucha i samotna, a życie twoich przodków nieważne. Odcinałabyś się w ten sposób od źródła siły, którą daje zaspokojenie potrzeby przynależności, jednej z najważniejszych potrzeb psychologicznych człowieka.

Ale cóż mi z tego, że przynależę do cieni, których już nie ma? Nie poznałam ich doświadczeń. Przynależę do tajemnicy.
– I czy to zła wiadomość? W tajemnicy jest też zapisane dobro. Epigenetyka dowodzi, że dziedziczymy po naszych przodkach traumy, lęki i rany, a więc dziedziczymy też dobro, jakie im się w życiu zdarzyło.

Możesz obstawić w ciemno, że wśród kilkudziesięciu tysięcy twoich przodkiń i przodków w linii prostej znajduje się ktoś, do którego siły czy innych zasobów potrzebnych ci w danej chwili możesz się odwołać.

Co to zmienia, że nie wiesz, jak miała czy jak miał na imię? Przez wszystkie pokolenia przeplata się nitka miłości. Ja i ty jesteśmy kolejnymi kobietami, które na chwilę biorą ją w swoje ręce.

Nie jesteśmy tymi, które muszą wszystko odmienić, odwrócić kilkusetletnią historię. Arogancją byłoby sądzić, że nasz głos jest wyjątkowy i jesteśmy pierwszymi kobietami z rodu, które szukają swojej wolności. Śpiewamy w chórze.

Trzymając się tej metafory, twoja książka jest o tym, by nie przywiązywać się do tekstu pieśni, którą śpiewamy o sobie.
– Pisałam ją z myślą, by zaproponować czytelniczkom twórcze po-

eprasa.pl 2b2d0f0434

dejście do swojej historii. Ona nie jest wyryta w kamieniu. Każdy z nas w sposób świadomy lub nieświadomy poszukuje spójnej opowieści o sobie.

Nie chodzi o to, by jak bohaterka „American Beauty" stanąć naprzeciwko lustra i mówić sobie: jestem mądra, piękna, wspaniała, a szloch podchodzi do gardła. Nie chodzi o tanie afirmowanie, tylko o prawdziwą opowieść, która nam służy.

Nie zawsze nam służy, bo są w niej zapisane nasze lęki, niepowodzenia, a może i traumy, do których – jak zauważasz – często się przywiązujemy.
– Każdy z nas może sobie przypomnieć coś, co odmieni historię, którą sobie opowiada, i dotrzeć do miłości, której zaznał.

A jeśli nie zaznał?
– Jest mi trudno w to uwierzyć. Wydaje mi się, że tak jak nie można przejść bez jakiejś formy traumy czy bólu przez dzieciństwo, tak nie można przejść przez nie bez żadnego śladu miłości.

Nawet jeżeli to nie była tak oczywista miłość, jak otwarte, dostępne i ciepłe ramiona mamy i taty, to nie ma chyba człowieka, który by nigdy nie doświadczył jakiejś odmiany miłości. Jej ślady można znaleźć w gotowanym specjalnie dla ciebie obiedzie, we wspomnieniu zatrzymanego na dłużej spojrzenia.

Powinniśmy szukać w naszym życiu choćby drobinek codzienności, które mogą nam dowieść, że byliśmy kochani?
– Tak, bo jeśli byłam kochana, to znaczy, że jestem kochalna, a uświadomienie sobie tego jest pierwszym krokiem do zmiany opowieści o sobie.

Ale nie na tę w stylu, że wszystko jest możliwe, dzisiaj jest pierwszy dzień reszty mojego życia i tak dalej. Złości mnie taka fraza – może też ci się kiedyś wyświetliła na Facebooku albo gdzieś – że szczęście jest wyborem.

Czy autor tego tekstu powiedziałby to matce, która płacze po stracie dziecka? Mężczyźnie, którego depresja tak powaliła, że nie jest w stanie wyjść z łóżka? Takie zdania zakładają, że istnieje jakiś guzik, po naciśnięciu którego życie zmienia się na lepsze.

Ja wierzę w szczęście, ale wierzę też w twórcze podejście do swojej historii. Kobiety, które przychodzą do mnie na warsztaty, opowiadają, że bardzo często w trakcie terapii uświadamiają sobie, że dopóki jej nie zaczęły, wydawało im się, że miały szczęśliwe dzieciństwo.

Dobrze, że zdajemy sobie sprawę z tego, że niekoniecznie było szczęśliwe, co powoduje takie, a nie inne nasze zachowania, ale nie można utknąć w historii krzywdy, tym bardziej że nie da się przejść suchą stopą przez dzieciństwo. Można zbudować sobie historię, w której jestem człowiekiem kochalnym.

Co zmieni odkrycie, że byliśmy kochalni?
– Jeśli byłam kochalna, to jestem kochalna. Jeśli jestem kochalna, to mogę i będę doświadczać miłości.

„Przejścia" są quasiinstrukcją, gdzie szukać w naszym życiu przejść, by dotrzeć do miłości, jakiej zaznaliśmy. Znam ludzi, którzy nie chcą kopać w swoim dzieciństwie. Wolą przyjąć, że byli niekochani. Jak myślisz dlaczego?
– Pozycja ofiary, jeśli staje się naszą główną tożsamością, jest długofalowo niszcząca, ale ma też swoje korzyści, bo oznacza, że nie ma się nic do zrobienia. Jeśli poddaję się temu, co „świat mi robi", znika moja odpowiedzialność. Nie potrzebuję pracować z tym swoim bałaganem.

Skoro jestem tylko obiektem krzywd mnożonych przez świat wokół, nie ma po mojej stronie żadnego ruchu. Człowiek zamyka się w miejscu, które jest jak z piosenki Edyty Bartosiewicz – „niby bezpiecznie, ale wcale nie jest dobrze w moim śnie". W „Przejściach" nazywam to miejsce bunkrem.

Napisałaś, że ból wędruje przez pokolenia, aż znajdzie się ktoś gotów, żeby go poczuć.
– Gdzieś zasłyszałam ten tekst. To prawdziwy game changer.

Uzdrawia przeszłość?
– Mam przywilej słyszeć wiele bohaterskich historii kobiet, które na przykład wychodzą z domu, w którym nie odczuwały miłości – co nie znaczy, że jej nie było – ale była jakby za szybą. I mając do dyspozycji tylko kawałek patyka i dwa kamyki, potrafią rozpalić jej ogień. Często wbrew przeszkodom, których świat nie widzi, wbrew skrywanemu bólowi, wbrew głosom rodziny czy znajomych, które słyszą w swojej głowie, budują z wielkim mozołem dobre życie.

Na przykład więzi ze swoimi dziećmi, jeśli je mają. Budują dobry związek, w którym jest miejsce na ich wolność. Czasami wychodzą ze związku, który nie mógł być dobry, i udaje się za drugim razem. Wykonują pracę, która de facto jest też pracą nad odmienianiem tego, co się dzieje w całym rodzie.

Bo jeżeli kobieta, która ma dzisiaj 40 lat, po latach zmagania się wychodzi z przemocowego związku, bardzo często przerywa pewien „zwyczaj" rodowy, wedle którego z przemocowego związku się nie odchodzi.

W ten sposób kobieta uzdrawia przyszłość. W jakimś sensie – uzdrawia też przeszłość.

Nie rozumiem. Los naszych przodków jest dopełniony. Dlaczego uważasz, że można go zmienić?
– Nie wiem, dlaczego tak uważam, ale czuję, że tak jest. Nie potrzebuję dowodów naukowych na to. Wystarczy mi, że moje serce mówi mi, że tak jest.

Prymat czucia nad intelektem?
– Zastanawiam się, czy stawiałabym w ogóle na prymat czy na równouprawnienie. Przecież życie to nie jest mecz między czuciem a intelektem. Są takie sprawy, gdzie ważą fakty, a wtedy istotna jest lewa półkula mózgu i analiza. Ale my rozmawiamy o duszy. I jeśli sprawy związane z duszą miałabym obrabiać intelektem, to metoda byłaby niedopasowana.

A czym jest dusza?
– Dla mnie to jest coś, co wykracza poza fabułę życia, co jest dużo głębsze niż nasze CV. Powiedziałabym, może ryzykując trochę, że to jest taki kawałek Boga we mnie, czy czegoś, co jest naraz i głębsze, i wyższe niż osobowość i historia osobista.

Coś takiego jak w wierszu Marcina Świetlickiego, który napisał „Ja mam / w sobie niedużo Boga, pielęgnuję / ten strzęp, / skrzep".

Dlaczego ów game changer wymaga, by poczuć ból za przeszłość. Wielu moich rówieśników, szczególnie mężczyzn, powtarza, że ojciec im czasami wlał, „ale na dobre im to wyszło" i w ogóle nie mają o to do niego żalu.
– Gdyby wyobrazić sobie chłopca, który jest lany przez mającego nad nim pełną władzę ojca – czy można nie poczuć bólu, złości? Słyszę to „na dobre mi to wyszło" raczej jako obronę przed wejściem w tamto doświadczenie bólu, bo okazuje się za trudne w przeżyciu.

Ból, którego nie umiemy poczuć, niesie w sobie ryzyko, że będziemy go „reprodukować". Freud powiedział, że przymus powtarzania jest silniejszy niż zasada przyjemności. Oznacza to, że człowiek chętniej pójdzie za czymś, co zna, nawet jeśli towarzyszy temu cierpienie, niż za czymś, co jest przyjemne, ale jemu nieznane.

Widzę to tak, że przed dorosłym człowiekiem staje zadanie poczucia i przepracowania „starego" bólu po to, żeby zrobić miejsce na nowe, na to, co na nas czeka, na to, co nam służy.

Znasz to ze studiów psychologicznych czy z autopsji?
– Jak każdy miałam różne sprawy do przepracowania, które próbowałam rozbroić na różne sposoby – jogą, medytacją, kręgami kobiet. Stosowałam kilka metod, które pomogły mi poczuć to, co potrzebowałam poczuć, żeby się w jakimś sensie uwolnić.

Od czego uwolnić na przykład?
– Zadajesz mi chyba najbardziej osobiste z pytań.

Nie chcesz na nie odpowiedzieć, bo uważasz, że nie jesteś anonimową kobietą anonimowych rodziców, i to, co powiesz, jest również opowieścią o nich?
– Podoba mi się to ujęcie. Spróbuję odpowiedzieć. Przez wiele lat miałam w sobie bardzo dużo usilności w tym, żeby dostawać miłość. Byłam usilna, co znaczy, że się strasznie starałam.

Zasłużyć?
– Żeby zasłużyć i żeby dostawać miłość. To jest ciężka robota być nieustannie w staraniu się.

Na czym to polegało w dzieciństwie? Najlepsze oceny?
– O nie! Zwłaszcza z zachowania miałam dużo dwój, matematyk w liceum potrzebował założyć nową stronę w dzienniku z ocenami z zachowania, bo mnie się skończyły rubryki. Gadałam na lekcjach, „dyskutowałam", „pyskowałam".

Nie bałaś się wrócić do domu z kolejną uwagą z zachowania?

Jestem poliamoryczna duchowo i niewiele jest rzeczy, o których bym powiedziała, że na pewno w nie nie wierzę

– Bałam się powrotu rodziców z wywiadówki, to zawsze.

Moi rodzice przed każdą zbliżającą się wywiadówką moją albo mojego brata grali w szachy i ten, kto przegrywał, na nią szedł.

Wiadomo było, że to jest dla nich kara, a nie nagroda. Kiedy wracali, pamiętam napięcie, że zaraz dostanę opieprz. Przechodzili wtedy na formę wołacza, czyli mówili do nas per Natalio, Jakubie. Pamiętam na przykład, że mój tato był bardzo zmartwiony, że nauczycielka zwróciła uwagę, że powiedziałam jakiemuś chłopakowi, żeby się przesunął, bo dama idzie, mając siebie na myśli.

Obawiał się, że traktujesz kolegów z wyższością i jesteś klasowa?

– Chyba tak. Bardzo się też zmartwił, kiedy usłyszał, że jestem „nadaktywna" i „przewrażliwiona". Był strapiony. Tak mówił: „Jestem strapiony". Może byłoby mi łatwiej, gdyby się wściekał?

Według rodzinnej anegdoty, kiedy tato poszedł w Stanach na wywiadówkę Kuby, myślał, że pomylił klasy, bo nauczyciele tak dobrze mówili o moim bracie. Wynika z tego, że sposób opowiadania nauczycieli o dzieciach jest kulturowy.

Ja też się bałam, kiedy moja mama wracała z wywiadówki. I czekałam pochwał.
– Ja chyba też czekałam na pochwały. Zwykła rzecz: szukamy aprobaty, przeglądamy się w oczach tych, którzy są dla nas ważni. Pamiętam, jak w każdą niedzielę graliśmy z rodzicami w zagadki, i strasznie mi zależało, żeby lepiej zgadywać niż mój brat.

Oczywiście przegrane są też bardzo potrzebne. Bo przecież dziecko potrzebuje uczyć się porażek. No i uczyć się tego, że uwaga całego świata nie należy się tylko jemu.

Młodszy brat siłą rzeczy odebrał ci część uwagi rodziców.
– Byłam kochanym dzieckiem, więc nie chcę na siłę nakręcać historii swoich krzywd. Ale to jest oczywiste, że pierwsze dziecko czuje, że już nie jest najważniejsze, i jest to dla niego bolesne.

Zauważasz, że każdy z nas ma nie tylko katalog ran, jakich zaznaliśmy, ale też katalog przyjemności, które dowodzą, że byliśmy kochani. Najczęściej jednak mamy pod ręką ten pierwszy katalog.
– On utrzymuje nas w opowieściach o sobie, które nam nie służą.

Do twojego katalogu przyjemności przynależy lepienie pierogów z babcią Marysią. Od tego wspomnienia zaczynasz „Przejścia". Co jeszcze byś w nim umieściła?
– Mamy tyle czasu?

Możesz używać równoważników zdań.
– Gramy w zagadki w niedzielę rano z rodzicami i moim bratem.

Co tydzień kilkunastoosobowa rodzina spotyka się w domu w Krakowie na obiedzie u wujcia Tadzia i cioci Marysi, siostry mojej babci od strony taty.

Święta to magia. Poczucie, że wydarzy się coś niesamowitego. I będą prezenty!

Mój tata nosi mnie na barana.

Bawię się z dziećmi za blokami na łąkach – tam, gdzie dzisiaj jest Bieżanów.

Jedziemy „maluchem" nad morze, siedzimy z Kubą z tyłu, zasypiam, słuchając głosów rodziców, którzy siedzą z przodu i cały czas ze sobą rozmawiają.

Jeździmy do Białki Tatrzańskiej na dwa miesiące wakacji. Kiedy nadchodzi święto Matki Polskiej Zielnej, wiem, że niedługo wracamy do domu.

Kiedy dostaję okres, mama kupuje mi truskawki, żeby świętować.

Więc widzisz – zaznałam mnóstwo miłości. Rodzice wychowali mnie na osobę, która wierzy w miłość, i nie bez powodu zadedykowałam im moją najnowszą książkę. Napisałam ją z poziomu serca, z mojej głębokiej i jednocześnie z codziennej wiary w miłość.

Kiedy pisałam „Przejścia", w pewnym momencie przeglądnęłam z mamą albumy z mojego dzieciństwa. Mama zwróciła uwagę, że ludzie, którzy są obok mnie na zdjęciach, się uśmiechają. Więc w mojej opowieści jest dużo, dużo miłości. I to jest ogromna zasługa moich rodziców i w ogóle całej mojej rodziny. Wiem, że to jest wielki przywilej – i niekoniecznie reguła.

Jak czujesz miłość?
– Żywym codziennie punktem odniesienia, który pomaga ją poczuć i zdefiniować, są warsztaty dla kobiet, które prowadzę. Ich uczestniczki w ogóle się nie znają, ale po

Natalia de Barbaro

• psycholożka, socjolożka, pisarka. Prowadzi autorskie warsztaty dla kobiet „Własny Pokój", „Moje TAK, moje NIE", „Dzika Dziewczynka".
Autorka **„Czułej Przewodniczki"**, która sprzedała się w prawie 800 tys. egzemplarzy i została przetłumaczona na dwanaście języków. Na wiele list bestsellerów trafiła też jej **„Przędza"**.

8 kwietnia nakładem wydawnictwa Agora ukaże się jej najnowsza książka **„Przejścia. Którędy do miłości"**.

• Zapisy na warsztaty:
Nataliadebarbaro.com

eprasa.pl 2b2d0f0434

dwóch czy trzech dniach bycia ze sobą wyczuwam w powietrzu bardzo dużo miłości.

„Love is in the air"?
– Wiem, że to ryzykowne sformułowanie, ale naprawdę w sali, w której pracujemy, czuję miłość. Mówiąc płycej – czuję ciepło, serdeczność, otwartość, zaufanie, bezpieczeństwo.

Uważam, że miłość jest największą siłą, która działa w świecie, chociaż nie jestem naiwna i dostrzegam w nim zło i niemiłość.

Czy ta siła prowadzi do zmiany?
– Gdyby nie było miłości, bylibyśmy bezsilni.

Miłością jest Bóg?
– Jeśli mnie pytasz, czy wierzę w Boga, czy nie wierzę w Boga, na pewno jest mi dużo bliżej do zdania, że w niego wierzę. Z drugiej strony od lat szukam zamienników na to słowo, bo dla mnie są w nim zaszyte różne ograniczenia.

Ale wierzę w Boga w tym sensie, że wierzę w miłość i w to, że to jest siła, która najmocniej organizuje świat. Można oczywiście mówić o miłości językiem biologii, psychologii, materii czy korzyści – ale wszystkie te języki będą redukować jej istotę.

Twoje religijne poszukiwania są rozległe. Katolicyzm, protestantyzm, joga i kręgi kobiece, które też są dla ciebie praktyką miłości.
– Jestem poliamoryczna duchowo i niewiele jest rzeczy, o których bym powiedziała, że na pewno w nie nie wierzę.

Odwołując się do języka katolicyzmu, bardzo blisko mi jest do Ducha Świętego, bo w tym imieniu Boga jest coś, co pokazuje, że miłość przenika wszystko. W ostatnich latach jeszcze bardziej lubię mówić i myśleć „Święta Duchini".

„Duchini" jest ładnym słowem, ale spodziewam się, że znajdą się czytelniczki albo czytelnicy, którzy feminizowanie jednej z trzech osób Boskich w religii katolickiej uznają za jej infantylizowanie.
– Dlaczego używanie formy żeńskoosobowej miałoby być infantylizowaniem? Że męskoosobowe formy miałyby być bardziej „dojrzałe"? Pamiętam, jak opowiedziałam o tej formie znajomemu pastorowi luterańskiemu – i że on mi na to powiedział: „A wiesz, w hebrajskim »Duch Święty« jest właśnie rodzaju żeńskiego!".

Socjologowie religii zauważają, że nasza religijność jest patchworkowa, co może oznaczać, że jest płytka.
– Dla mnie to wspaniałe, że jako osoba poliamoryczna duchowo mogę posługiwać się swoim sumieniem, sercem i duszą, żeby z różnych duchowości wybierać dla siebie to, co rozpoznaję jako swoje.

Na przykład bardzo mnie pociągają hipotezy o reinkarnacji i chciałabym, żeby okazały się prawdziwe.

Dlaczego?
– To pewnie moje ograniczenie, ale nie marzę o osiągnięciu nirvany, tylko o doznaniu życia w różnych wcieleniach. Smakuje mi życie, smakuje mi człowieczeństwo.

Twoje praktyki religijne też są z różnych porządków?
– Z mojego porządku, który też jest płynny, bo przecież ja też się zmieniam. Mój porządek jest taki, że lubię mieszać porządki! Lubię robić znak krzyża na chlebie. Pamiętam chleby, na których moje babcie robiły znak krzyża. I pamiętam niezwykły chleb z wakacji w Białce Tatrzańskiej, po których jeździłam rowerem i chociaż parzył palce, też robiłam na nim znak krzyża.

Lubię ciemne przestrzenie kościołów, przekazywanie sobie znaku pokoju, słowa „Ojcze nasz", nadzieję pierwszej gwiazdy w święta Bożego Narodzenia.

Lubię myśl o tym, że wrócę w kolejnym wcieleniu. Wzrusza mnie otwieranie się na kierunki świata i kierunek serca i ziemi w kręgu kobiet. Lubię „wyrzekanie się zła" na luterańskiej mszy. Poruszają mnie tybetańskie mantry.

Czy te rytuały są dla ciebie ważne, dlatego że odwołują się do tradycji rodzinnej? Czy może chodzi w nich o coś innego?
– Na pewno to, co poznawałam jako dziecko, zostawiło w moim sercu szczególny ślad. Ale też mam takie wielkie szczęście, że udaje mi się przez większość czasu żyć w stanie jakiejś otwartości duchowej – czytam rzeczywistość jako przesyconą znakami, które odsyłają nas do tego, co metafizyczne. Rytuały są dla mnie takim szczególnym „wystawianiem się" na te znaki, takim oznajmianiem Duchowi, Duchini czy Bogu: „Jestem gotowa, przyjdź". Oczywiście nie zawsze się tak udaje.

Zarówno w „Czułej przewodniczce", jak i w „Przejściach" dzielisz się z przekonaniem, że świat nam sprzyja, bo istnieje w nim siła, która chce dla nas dobra i kieruje naszymi krokami. Czy takie myślenie nie odbiera ci poczucia sprawstwa?
– A co mogłoby być alternatywą dla takiego myślenia?

Że nie ma takiej siły. Jesteśmy samotni, każdy jest kowalem własnego losu i nie ma żadnego transcendentnego bytu, który byłby naszym losem zainteresowany. I w końcu: co cię nie zabije, to cię wzmocni.
– No nie...

Czemu się żachnęłaś?
– Nie lubię tego zdania. Nie uważam też go za psychologicznie prawdziwe, a już na pewno nie w każdym przypadku. Owszem, zdarza się tak, że bardzo trudne przeżycie staje się źródłem jakiegoś umocnienia, siły, zmiany, również zmiany opowieści o sobie samym.

Ale czasami ból może człowieka zdewastować. Zniszczyć, złamać, zniewolić. Nie przepadam też za postulatem zaciskania zębów motywowanym przekonaniem, że „takie jest życie".

Dlaczego „zaciskanie zębów" nie jest dobrą metodą na trud życia?
– Bo „zaciśnij zęby" oznacza, że masz brać to, czego nie chcesz, w imię reguł, które są ci obce. Widzę, że kobiety bardzo lubią „uprawiać" wytrzymywanie dyskomfortu. Jest mi za zimno, ale nie powiem, żeby zamknąć okno, bo może innym jest za ciepło. Razi mnie światło, ale nie zasłonię rolety, bo może ktoś lubi światło.

Jeśli idziesz przez życie z zaciśniętymi zębami, to gdzie jest przyjemność? Gdzie jest radość? Gdzie jest lekkość? Gdzie poczucie, że możesz być w relacji miękkiej wymiany ze światem? Jeśli człowiek idzie przez swoje poniedziałki, środy i czwartki w stanie zaciśniętych zębów, to jak ma brać miłość i jak ma ją dawać? Przecież to zaciśnięcie to napięcie.

Adresujesz swoje książki do kobiet? Zastanawiałam się, czy nie są również o mężczyznach.
– Dostałam kilka listów od panów, którzy dopominali się, bym przepisała swoje książki na tryb męskoosobowy.

I co myślisz o tym?
– Przede wszystkim to, że mam prawo decydować o tym, w jakiej formie piszę swoje książki.

Zauważ, że 7 na 10 czytelników w Polsce stanowią kobiety, a jeśli wziąć pod uwagę książki o profilu psychologicznym, to ta proporcja wynosi 9 do 10.

Czyli pragmatyka?
– Raczej potrzeba mojego serca. Jeżeli serce czy głos intuicji mi coś podpowiada, to staram się za tym głosem podążać. Ufam mu. Mam kompetencje, by pisać do kobiet i o kobietach, ponieważ poznałam i poznaję ich historie na warsztatach. Wnikają one we mnie i rezonują głęboko, bo jestem kobietą, co uważam za najważniejszą część swojej tożsamości.

Pisząc książki, chciałabym zawieszać podział na piszącą i czytające. Doświadczenie spotkania z czytelniczkami jest dla mnie ważniejsze niż lektura.

Kompetencja kojarzy mi się z pracą. Wypracowałaś swoją empatię?
– Mam empatycznych rodziców i to jest fundamentalna okoliczność, która mnie ukształtowała. W moim domu empatia była wymogiem moralnym. Nie była traktowana jako cecha osobowości, tylko zadanie, by z ludźmi współczuć. Jestem też osobą wysoko wrażliwą, więc mam pewne naturalne zdolności w stronę empatii.

Jeżeli 40-letnia kobieta po latach zmagania się wychodzi z przemocowego związku, często przerywa „zwyczaj" rodowy, wedle którego z przemocowego związku się nie odchodzi

Ilekroć używasz sformułowania, że odczuwasz coś jako potrzebę serca, chciałabym cię ocenzurować.
– Dlaczego?

Obawiam się, że pojawią się czytelnicy, którzy będą je traktować, jako twoją naiwność albo niedojrzałość, o czym napiszą na forum w sposób być może niewybredny.
– Jeżeli ktoś neguje porządek serca, to neguje to, co jest istotą człowieka. Wiem, że niektórzy tak mają. Współczuję i życzę zmiany.

Płaczesz na warsztatach?
– Jeśli grupa na warsztatach nie płacze, to ja się czuję zaniepokojona. Jeśli ja nie płaczę, też czuję się zaniepokojona. Bardzo lubię płakać.

Naprawdę?
– Łza jest nieomylna. Łza mówi: „tak, to jest prawda, to mnie porusza". Jest naszą sojuszniczką, przewodniczką, suflerką.

Zdarzyło mi się kiedyś płakać u osteopaty. Trzymał dłoń nad moim brzuchem, a mnie zaczęły cieknąć ciepłe łzy, co było dla mnie wyjątkowo przyjemne.

Nie rozumiałam, co się dzieje, nie miałam żadnej fabuły, w którą mogłabym te łzy wpisać. Właściwie wszystko było w porządku, a ja się uszlochałam – i to było wspaniałe.

Ale właściwie co sprawia, że kobiety na twoich warsztatach płaczą?
– Odnalezienie i doświadczenie współczucia dla siebie samej, często dla siebie samej jako dziewczynki. Na przykład dla siedmiolatki, którą mama wysyłała, żeby wyciągała pijanego ojca z knajpy.

Maria Pakulnis, bohaterka mojej książki, też miała takie zadanie.
– Ja o tym słyszę na każdych warsztatach, to jest powszechna praktyka.

Podobnie jak wstyd własnego ciała, co też jest zrozumiałe, bo krajobraz przekroczeń, naruszeń, uprzedmiotawiania kobiecych ciała jest bezbrzeżny.

Kiedyś na warsztacie narysowałam sylwetkę kobiety i poprosiłam, żeby dziewczyny podchodziły i zaznaczały kropką miejsce na ciele, które było dotknięte bez ich zgody, skomentowane, uderzone, które doświadczyło zranienia.

Nie muszę ci mówić, jak wyglądała ta postać. Na sylwetce nie został wolny skrawek.

Twoje warsztaty są popularne. Czego dowiedziałaś się na nich o Polkach?
– Że są cholernie uparte w poszukiwaniu miłości. Że ich codzienność wypełniona jest po brzegi zadaniami, często przepełniona. Że szukają wolności, że wiele z nich tę wolność sobie dosłownie karczuje. Że są zmęczone.

Zdarza wam się śmiać? Czytając „Przejścia", zaśmiałam się z reakcji kobiety, która miała dość karmienia przez swoją matkę.
– Dużo się śmiejemy. Ale niekoniecznie przy historiach o jedzeniu! Słyszałam bardzo wiele historii kobiet o tym, że ich matki nie mówiły im, że są kochane, a swoją miłość wyrażały i wyrażają karmieniem ich.

Kobieta, o której mówisz, odwiedziła matkę, która na tę okoliczność nagotowała dużo więcej jedzenia, niż ona by chciała zjeść. Kopy ziemniaków, sałatek, kotletów, rybę, zupę, ciasta. I w pewnym momencie ta dorosła córka złapała się na myśli, którą dosłownie cytuję w książce: „Co tu się odpierdala? Przecież miało być miło, a ja się zaraz porzygam".

I powiedziała matce, że bardzo ją kocha, ale nie zamierza jej tego udowadniać, zjadając kolejny kawałek kurczaka.

Karmienie dziecka ma podłoże biologiczne również i odwołuje się do pierwotnej bliskości, jaka wytwarza się w trakcie karmienia noworodka.
– Jedna sprawa to wyrażanie w ten sposób miłości w przypadku, gdy nie potrafi się wyrazić jej w inny sposób. Ale warto zobaczyć, że to jest jednak przekroczenie! Zarówno w przypadku małego dziecka, jak i dorosłego dziecka.

Jeżeli dorosłe dziecko nie jest głodne, to zmuszanie go do jedzenia tylko dlatego, że się je przygotowało, jest naruszaniem jego autonomii. I nie trzeba czytać dziesiątek książek psychologicznych, by to zrozumieć. Czasem wystarczy stuknąć się w głowę i pomyśleć: W co ja tańczę? Na co ja się zgadzam?

Zdarzało mi się czytać zarzuty wobec prowadzących warsztaty dla kobiet, że z rozmów o emocjach uczyniły sobie źródło dochodu.
– Gdyby iść w tę stronę, należałoby przyjąć, że ci, którzy zajmują się uczuciowością człowieka, nie powinni za swoją pracę brać pieniędzy.

Jak myślisz, skąd się bierze przekonanie, że uczucia nie są na tyle ważne, by płacić za docieranie do nich?
– Widzę dwie opcje.

Są ludzie, którzy są dużo bardziej zorientowani na to, co umysłowe, intelektualne, racjonalne. Na to, co – jak by to powiedziała jungistka i terapeutka Marion Woodman – jest od szyi w górę. Koncentrują się na tym, co jest w myśli, a nie w ciele.

Tacy ludzie mogą dokonywać czegoś, co psychologia nazywa projekcją, czyli przypisywać światu zewnętrznemu cechy, które im wydają się prawdziwe. „Ja nie jestem uczuciowy, więc uczucia nie są ważne". To jest jedna opcja.

Druga wydaje mi się bardziej popularna wśród osób, które twierdzą, że ważne jest tylko to, co racjonalne. Często u podstaw tych opinii leży obawa przed kontaktem ze swoją uczuciowością. Wolę ją deprecjonować, byleby nie patrzeć, co tam w nich zionie. ●

1 RP

eprasa.pl 2b2d0f0434

Pies-robot w mundurze maskującym na ćwiczeniach ukraińskiej armii. Obwód kijowski, 29.01. 2025.

FOT. DAN BASHAKOV/GLOBAL IMAGES UKRAINE VIA GETTY IMAGES

Mandat z apki, śmierć z drona. W Ukrainie wszystkiego trzeba się od nowa uczyć

NIE ZACZYNAJ ROZMOWY O SYMBOLACH

Ziemowit Szczerek

Ukraina po wyjątkowo ciężkiej zimie i czterech latach wojny to dziwne miejsce. Dystopia, utopia, apokalipsa i postapokalipsa w jednym miejscu. I błoto.

Izjum pamiętałem jeszcze sprzed. Tylko że wtedy ludzie zajeżdżali tam po drodze na Donbas, ewentualnie po to, by obejrzeć jasnobłękitną cerkiew w stylu kozackiego baroku. Poza tym nie było za bardzo co oglądać. Same banalne sowieckie bloki z białej cegły.

Teraz jeżdżą tamtędy głównie żołnierze w stronę frontu. I reporterzy ciągnący za nimi sznurem jak panny za mundurem. I oglądają tam już nie cerkiew w stylu kozackiego baroku, ale jeden z tych banalnych sowieckich bloków z białej cegły, który dziś już banalny nie jest, bo szczerzy się wielką dziurą od dachu do parteru. Dziura dzieli ten blok na dwie części. Blok trafiony został bombą jeszcze w 2022 roku. Zginęło prawie 50 osób. Ale do dziś ten blok zbanalniał na nowo, bo od czterech lat robi za znany już wszystkim, ogrywany do znudzenia symbol wojny.

„A, ten blok przy wjeździe do Izjum, przy którym wszyscy reporterzy zdjęcia robią" – mówią z lekką pogardą żołnierze. A reporterzy – owszem. Każdy się tam zatrzymuje i cyka. Od dołu, ze środka, żeby się wydawało, że całe Izjum tak wygląda. I nie ma znaczenia, że Izjum tak już nie wygląda, bo większość uszkodzonych w czasie walk o miasto domów dawno wyremontowano.

Obok bloku symbolu przechodzą, brodząc w pośniegowym błocie, mieszkańcy za swoimi codziennymi sprawami i popatrują na reporterów ciężkim wzrokiem. To czwarty rok wojny i wszyscy są już zmęczeni. Ale Izjum żyje w miarę normalnie. No, o ile normalnym można nazwać życie w mieście, którego ulice pokryte są antydronowymi siatkami.

Chodziłem po korytarzach tego bloku, po pokojach pełnych czyichś dawnych żyć, kawałków mebli, boazerii, zabawek, sprzętów. Przez okna patrzyłem na krajobraz pokryty błotnistą posowiecką rozpierduchą, co do której czasem trudno było się domyślić, czy jest efektem działań wojennych czy po prostu śladem po upadku imperium. Jak w tym memie, w którym mieszkaniec Europy Wschodniej jest zachęcany do wyjścia przed swój blok, by „zobaczył, jak piękny jest świat bez narkotyków". Dłubałem w dziurach w ścianach: w niektórych jeszcze zardzewiałe kule lub odłamki. Niby trochę już umiałem rozpoznać, która dziura jest po czym – ale nie zawsze byłem pewien. Nie jestem ani żołnierzem, ani reporterem wojennym.

Podniosłem z podłogi podręcznik do nauki ukraińskiego przysypany tynkiem i kurzem i otworzyłem na chybił trafił. „U Martusi kotyky, u Mykyty konyky, u Katrusi kaktus".

Jeszcze kilkanaście lat temu trudno było mi sobie wyobrazić, że w takim Izjumie, mieście prawie na rosyjskiej granicy, ludzie będą mówili po ukraińsku. Za mówienie po ukraińsku raczej można było na wschodzie Ukrainy dostać po zębach. Bo po co jątrzyć? Ukraiński wtedy był na wschodzie uważany za manifestację nacjonalizmu, za wewnętrzną kolonizację językową, bo przecież wszyscy się dobrze ze sobą dogadywali po rosyjsku i komu to przeszkadzało? Nikt już nie pamiętał, że rosyjski to efekt rusyfikacji, bo dawniej mówiło się po ukraińsku aż po Kubań. Ale kiedyś było kiedyś, a nacjonalizm równa się kłopoty. „Mów normalnie" – napominało się na wschodzie Ukrainy kogoś, kto posługiwał się ukraińskim. Po ukraińsku to się mówi na wsi, a w mieście – w „języku kultury", po rosyjsku.

Dziś po spływających przedwiosenną wodą ulicach młode chłopaczki na rowerach próbują jeździć na tylnym kole. I choć bluzgali na siebie w rosyjskim macie, to jednak słowa, którymi wiązali ten mat do kupy, były ukraińskie.

Mówi się też w surżyku. Czyli w mieszaninie rosyjskiego i ukraińskiego. Na przykład taki Sławik. Sława Łoboda, student z Izjumu, którego spotkałem w Charkowie u Starego Hema, w legendarnej knajpie, której pierwszą lokalizację zbombardowali Rosjanie, próbując trafić stojącą obok administrację obwodową.

Sławik dał mi do poczytania kilka swoich opowiadań o izjumskim dzieciństwie. Pisanych po ukraińsku, ale z dialogami w surżyku. „– Wkusno? – zapytał Sasza Kot, uśmiechając się bezzębnymi ustami. – Bardzo wkusno – odpowiedziałeś. – No, to smacznego, mały, a ja potopał".

Stałem więc w rozwalonym mieszkaniu w zbombardowanym bloku i wyobrażałem sobie imprezę z jednego z opowiadań Sławika, bo ta impreza musiała się odbywać w jednym z dokładnie takich mieszkań. „Mieszkanie wyglądało jak typowe miejsce dla nastoletnich imprezowiczów – dwa małe pokoje z kredensami wypchanymi wszelkiego rodzaju niepotrzebnymi rzeczami i okropnymi dywanami na ścianach. W dużym pokoju czekał na nas ogromny stół, na którym stała zimna pizza z lokalnej restauracji, talerze z serem, kiełbaskami i innymi przekąskami, i oczywiście mnóstwo butelek domowego wina. W mieszkaniu tłoczyły się osoby, z których większość znała tylko imię solenizantki, ale ta wejściówka w zupełności wystarczyła. W pewnej chwili na imprezę wbiła dobra połowa miasta: Poworotka, Honczariwka, Plac Dworcowy, Pamiatnyk, Lonia Perewiznyk ze swoją bandą, Isa i Islam w białych garniturach i czerwonych mokasynach, a nawet kilku ziomków z Chutora, miejsca o złej sławie", a „zazwyczaj pojawienie się ziomków z Chutora nie wróżyło niczego dobrego waszej imprezie". I stało się, co się miało stać: „słowo w słowo, i oto pewien typ wybija szybę w drzwiach i łamie nos innemu typowi, który nieostrożnie postanowił sprawdzić, co się stało".

Izjum to miasto z charakterem. Miasto-gopnik, cwane, niedające się robić w wała. Owszem, było zdobyte przez Rosjan, okupowane przez pół roku – ale zdążyło już się ogarnąć po wpierdolu i szybko zaczęło kombinować, jak by tu się ustawić w nowej sytuacji. Takiej, gdy po ulicach miasta, pod antydronowymi siatkami kręci się mnóstwo żołnierzy i jeździ mnóstwo wojskowych samochodów, niektóre z zagłuszaczami dronów na dachach albo z antydronowymi klatkami nad szybami, niektóre z zamontowanymi starlinkami.

Stało się bowiem Izjum zapleczem frontu. Miastem na tyłach wojny. Ostatnim przyczółkiem zwyczajnego świata, do którego żołnierze przyjeżdżają trochę odsapnąć, coś zjeść. Kupić sobie jakiś sprzęt. Jak traperzy zajeżdżający do ostatniego westernowego outpostu przed wkroczeniem na terytoria nieujarzmione. Izjum zamieniło się w Fort Izjum.

Na ulicy Gagarina rozciągnął się wojskowy biznes. Sklepy z militariami, raz zapisywane po rosyjsku jako „Wojentorgi", raz w ukraińskim przekładzie jako „Wijs'ktorgi", były pełne kupujących. Czego tu nie było. Od cie-

eprasa.pl 2b2d0f0434

płych skarpetek z tryzubem po kamizelki kuloodporne, od szewronów poszczególnych jednostek po hełmy i zabawne nakładki na hełm w kształcie kocich uszu, żeby urozmaicić sobie jednostajne żołnierskie życie. Do tego plecaki, mundury, noże, ochraniacze na kolana czy łokcie, rękawice – wszystko. Można było się ubrać jak na wszystkie wojny świata naraz, po czym pójść na pielmieni, kebab, gruzińską zupę czy hipsterską kawę. Siedziałem więc w jadłodajni i patrzyłem na te dzieciaki w mundurach.

Jeden z nich, wygolony na łyso i ze spojrzeniem cwanego gopnika, miał z boku głowy wytatuowanego kałasznikowa. Gdy dosiadł się do mojego stolika z porcją parujących czarnych pielmieni („z baraniną, najlepsze"), okazało się, że z drugiej strony czaszki ma granatnik. – Ja nie pamiętam, żeby było normalnie – opowiadał. – Zawsze coś było. Jak miałem dziesięć lat, to się zaczęło: Majdan, Krym, ATO, wojna. Potem COVID, a jak się skończył lockdown, to od razu prawie była wojna i godzina policyjna, i trzeba było wracać do domu na 22. Jak przedłużyli do 24, to zanim się zdążyłem nacieszyć, do wojska trzeba było iść. Ja na przykład nigdy za granicą nie byłem. Dawniej nie, bo COVID, a potem nie, bo poborowym nie wolno. A teraz to wiadomo, czy nie zginę, nie widząc Europy? – Roześmiał się.

– A w Rosji nie byłeś? – zapytałem.

– A ty co, agent? – odpowiedział, mrużąc oczy.

Chyba żartował, ale agentoza panuje w Ukrainie spora. Po czterech latach wojny ludzie mają prawo miewać paranoję. Dużo się mówi o agentach. We władzach, wśród znajomych, w wojsku. A tu, w Izjumie – mnóstwo żołnierzy. Więc i prawdopodobieństwo ataku albo sabotażu duże. Na ścianie kamienicy obok jadłodajni ktoś sprayem wymalował numer na SBU, czyli Służbę Bezpieczeństwa Ukrainy. Żeby obywatele dzwonili, jeśli zobaczą coś podejrzanego.

•

– Myślę, że w następnej wojnie to już w ogóle nie będzie potrzeba ludzi – rozmarza się sierżant o pseudonimie Major. Sierżant Major służy w charkowskiej brygadzie Chartia. Tej, z którą związany jest pisarz i rockman Serhij Żadan. – No, to oczywiście tylko takie mrzonki – schodzi na ziemię Major – ale już teraz jest tak, że są punkty obsługiwane wyłącznie przez wieżyczki strzelnicze. I jedyne, co trzeba robić, to je ładować od czasu do czasu.

Sierżant Major przed 2014 rokiem pracował u mechanika, wymieniał opony w samochodach w Mikołajowie. Jak się zaczęło na Donbasie, to poszedł do wojska. Potem wrócił do cywila, znów wymieniał opony, ale gdy Rosjanie weszli do Ukrainy w lutym 2022, to od razu wrócił do armii.

Siedzimy w bazie wojskowej na Charkowszczyźnie. Co nie znaczy, że ktoś ot tak wpuścił szwendającego się, lekko zaniedbanego reportera do czegoś w rodzaju Ramstein czy Redzikowa. Tu bazy to często zajęte domy kogoś, kto uciekł na rosyjską stronę. „Idziemy do starosty lokalnej hromady, pytamy, które domy można zająć, i to tyle" – mówią zazwyczaj

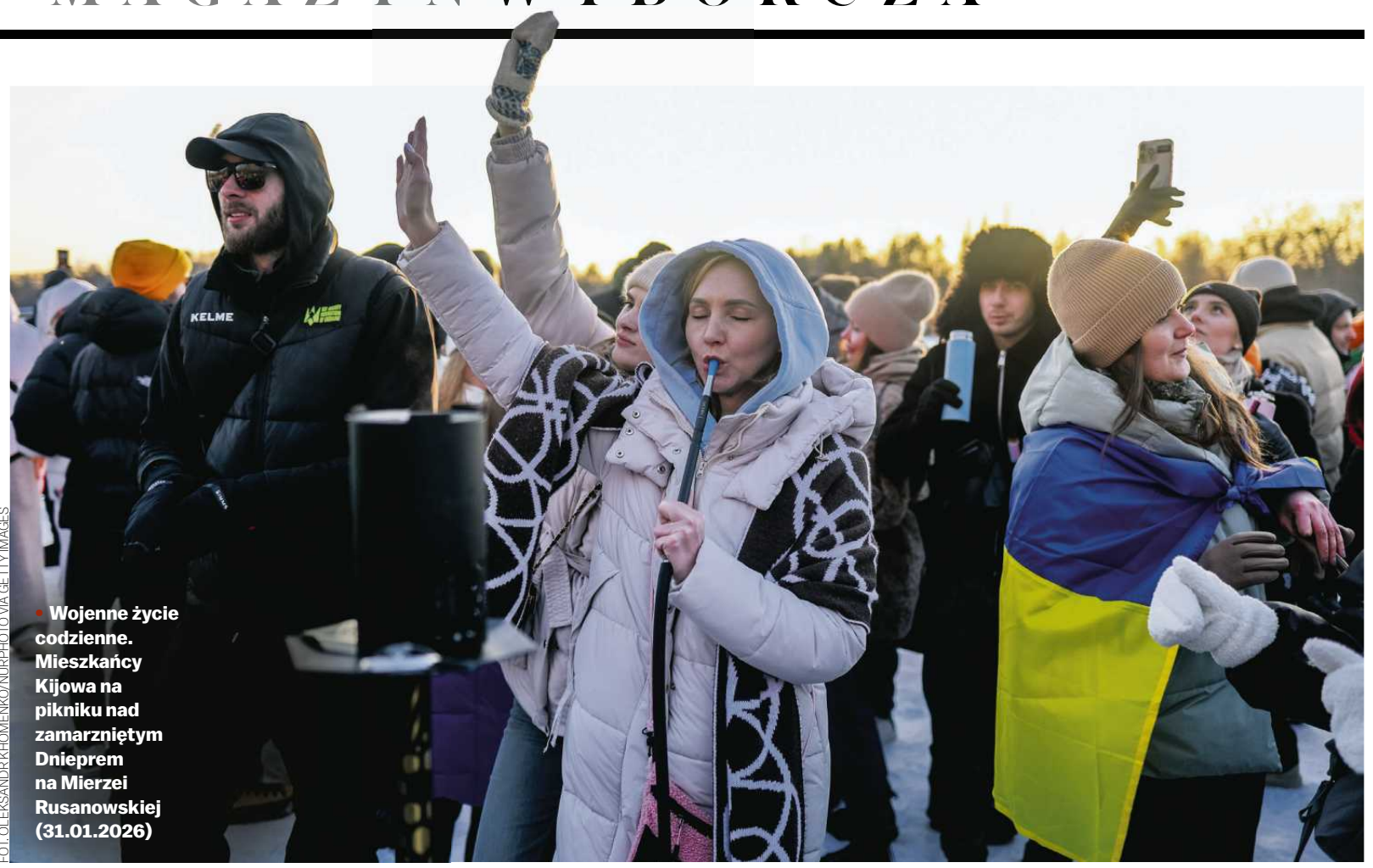

FOT. OLEKSANDR KHOMENKO/NURPHOTO VIA GETTY IMAGES

• Wojenne życie codzienne. Mieszkańcy Kijowa na pikniku nad zamarzniętym Dnieprem na Mierzei Rusanowskiej (31.01.2026)

mundurowi pytani o to, skąd wytrzasnęli tę czy inną nieruchomość pod bazę.

Po bazie kręcą się żołnierze w klapkach, w podkoszulkach, pod nogami wala się wojskowy sprzęt. Karabiny, jakiś ręczny granatnik. Dym papierosowy, napoje w plastykowych butelkach i pozostałości żyć innych, nieznanych ludzi, dla których baza dawniej była domem: durnostojki na kurzących się półkach, obrazki i ozdobne talerze na ścianach, pamiątki z wakacji.

– Nie róbcie mi zdjęcia na tle tego wieszaka, jeśli zamierzacie je publikować – mówili żołnierze. – Właściciel domu może go rozpoznać.

A potem, na przykład, dać znać Rosjanom, że w jego domu stacjonuje wojsko. A ci w to miejsce na przykład poślą rakietę.

– Dziś wojna to już co innego niż dawniej – ciągnie sierżant Major. – Mnóstwo dronów, robotów: latają, jeżdżą, strzelają.

– No i okopów mniej – mówię.

– Mniej, teraz to jamy pod ziemią kopiemy jak krety – wzdycha Major. – No bo jeśli w powietrzu jest niebezpieczeństwo, to my schodzimy pod ziemię. No a tu się walczy często w polu, gdzie tylko jakieś młodniaki, parę drzewek rośnie i nie ma gdzie się schować. No to co robić?

– Czyli co – pytam – największe zagrożenie to drony?

U nas, w Polsce, gdzie – jak mówią na Ukrainie – są głównie „piaski i laski", chowa się ludzi „do piachu". Tu – gdzie czarnoziem i gleba tłusta, ludzi chowa się „w syrij zemlji". „W wilgotnej ziemi"

– Ano drony. Jak się wszystko zaczynało, w 2014, to było inaczej. Inaczej działała piechota, inaczej działał wywiad. Dziś na akcję chodzą po dwie, maksymalnie po cztery osoby. I w takich grupach zdobywamy przyczółki przeciwnika. Wszystkiego trzeba było się od nowa uczyć.

•

Ale Ukraina uczy się wojny bardzo szybko. „Poziom ich innowacyjności jest niesamowity" – przyznają amerykańscy wojskowi, jak na przykład generał amerykańskich Sił Kosmicznych Steven Whitney podczas wystąpienia przed Kongresem pod koniec marca. Wojna, niestety – a może, choć wiadomo, jak to zabrzmi, stety – nie jest jeszcze taka, jaką chciałby ją widzieć sierżant Major, czyli toczona zupełnie bez ludzi, ale już teraz Ukraińcom udaje się odpierać rosyjskie ataki bez udziału żołnierzy innych niż obsługujących sprzęt wojskowy: drony i artylerię.

Wojna, którą Rosjanie zaczęli dość konwencjonalnie, ewoluowała z niesamowitą szybkością i zamienia się powoli w wojnę znaną do tej pory z filmów science fiction. Ukraińskie wojsko zapowiada, że będzie kończyło programy szkoleń żołnierzy za granicą. Po pierwsze, zagraniczni instruktorzy, w przeciwieństwie do ukraińskich wojskowych, nie mają doświadczenia bojowego i są „oderwani od realiów" wojny prowadzonej przez Ukrainę. A po drugie – Ukraina jest przegoniła już sojuszników, jeśli chodzi o nowe trendy w sztuce wojennej: podczas ćwiczeń wojskowych prowadzonych z partnerami z NATO Ukraińcy zaczęli, wykorzystując drony, pokonywać o wiele silniejsze oddziały przeciwnika. Tak było w Estonii, gdzie 10 ukraińskich żołnierzy za pomocą dronów zmusiło do poddania się kilkudziesięciokrotnie liczniejsze oddziały NATO. Albo w Portugalii, gdzie Ukraińcom udało się zatopić część NATO-wskiej floty.

Poza nowoczesnymi armadami dronów armia ukraińska testuje, na przykład, egzoszkielety, które sprawiają, że żołnierze mogą biegać na długie dystanse, utrzymując wysoką szybkość, z naręczem amunicji artyleryjskiej.

Dziś to zachodni wojskowi zwracają się do Ukraińców po know-how. Amerykanie prosili ich o pomoc w strącaniu irańskich dronów, a Europejczycy podglądają to, co Ukraina wdraża na polu walki, wiedząc, że to są rzeczy, które wyznaczają nowe standardy.

Ukraińcy mają więc *know-how*. O wiele gorzej z *money*, które ułatwiłyby im realizację pomysłowych planów. No i z żołnierzami.

•

Przy ukraińskich drogach stoją billboardy jak wszędzie. Tylko że ukraińskie billboardy w tym czwartym roku wojny są dziwne. Bo większość reklamuje formacje wojskowe.

Reklamy, trzeba przyznać, są pomysłowe. Widzimy uśmiechniętego żołnierza pułku Azow strzelającego z działa i podpis: „Azowska szkoła modelowania krajobrazu". Albo, przy szosie Kijów – Charków: „Wstydzisz się łysienia?" – i zdjęcie wojskowej czapki z logo brygady Chartia. Albo: „Masz dość biurowego kieratu?" – i zdjęcie drona. Obok logo Chartii. „Znowu podnieśli czynsz?" – i zdjęcie koszarowego łóżka. I logo Chartii. Trzeci Korpus Armijny reklamuje się bardziej konkretnie. „Ludzkie podejście do żołnierzy" – głoszą charakterystyczne pomarańczowe billboardy. „Wyrozumiali dowódcy". „Szanujemy zasługi". „Znajdziemy ci pracę po skończonej służbie". W końcu wielkie hasło na rozpiętym nad dwupasmówką bannerze: „Zbrzydła ci wojskowa reklama? Wstąp do Chartii". W domyśle: z frontu reklam nie widać.

– No cóż – chrząka Stas, oficer prasowy batalionu Chartia – rekrutacja nie idzie dziś tak, jakbyśmy chcieli.

To eufemizm, bo prywatnie żołnierze przyznają, że rekrutacja nie to, że „nie idzie za bardzo", tylko że prawie w ogóle nie idzie. Przestała iść. Że prawie nikt nie zgłasza się do poboru. Że lepiej już było. Nic więc dziwnego, że przy głównych ukraińskich drogach stoją billboardy zachęcające do wstąpienia. Na przykład właśnie do brygady Chartia czy Trzeciego Korpusu Armijnego, który na bazie Trzeciej Brygady Szturmowej stworzył generał brygady Andrij Bilecki, skrajny prawicowiec lubiący niebezpieczne zabawy z nazistowskimi treściami. Zresztą już sama nazwa korpusu może się kojarzyć z nazwą Trzeciego Korpusu Armijnego Wehrmachtu, który w 1939 roku najechał Polskę, a w 1941 ZSRR. A symbol innego założonego przez Bileckiego oddziału, batalionu Azow, wygląda kropka w kropkę jak używany przez nazistów wolfsangel, choć ponoć, jak gaslightują azowcy, dziś oznacza coś zupełnie innego, a mianowicie literowy skrót od słów „Idea nacji".

Jeśli jednak czepić się tego tematu w rozmowach z Ukraińcami, to szybko otrzyma się nerwową odpowiedź: „My tu się bronimy przed napaścią, a ty się przypieprzasz o jakieś symbole! Fakt, że znajdzie się w szeregach naszego wojska kilku nazioli, nie może przyćmiewać tego, że Ukraina została napadnięta. A o takie przyćmiewanie chodzi Rosjanom chcącym »denazyfikować« Ukrainę".

Na nieśmiały argument, że jeśli Kijów nie chce, żeby Rosja (ani nikt inny) nazywała Ukraińców nazistami, to niech zakaże ekspozycji nazistowskich symboli i na zbity pysk wywali nacków z życia publicznego i wojskowego, otrzymamy równie nerwową odpowiedź: „Nawet jeśli faktycznie gdzieś w naszych siłach zbrojnych są te nacki, to dlaczego mamy ich wyrzucać z armii? Niech bronią ojczyzny, od tego w końcu są przecież nacki, które cały czas gadają o ojczyźnie. Niech się przydadzą. Szczególnie w czasach, gdy o rekruta tak trudno".

Inna sprawa, że poza tymi symbolami to wypowiedzi tych prawicowych ukraińskich żołnierzy czy ich dowódców może i były szokujące kilka lat temu, ale w 2026 roku już na mało kim robią wrażenie. To, co mówią, nie różni się bowiem jakoś specjalnie od tego, co można usłyszeć od amerykańskiego prezydenta czy „sekretarza wojny", węgierskiego premiera czy polskich prawicowych opozycjonistów z nowym kandyda-

eprasa.pl 2b2d0f0434

tem PiS na szefa rządu na czele. Lewackie zagrożenie, neomarksizm, „wielka wymiana", zanik tradycyjnych wartości, potrzeba powrotu do poważnie rozumianego chrześcijaństwa – takie rzeczy.

Cała zabawa z tymi symbolami – tak przynajmniej tłumaczą często Ukraińcy, gdy im się na to poskarży – polega na tym, że jeśli Rosjanie mówią Ukraińcom, że są faszystami, to Ukraińcy odpowiadają: „Okej, jak chcecie, to macie". Tak było i wcześniej. Nazywali Ukraińców ukropami, to zaczęli sami się tak nazywać, a koper – „ukrop" to koper zarówno po rosyjsku, jak i ukraińsku – stał się jednym z ukraińskich symboli. Nazywali Ukraińców banderowcami, to nagle wszyscy zaczęli nosić koszulki z Banderą, choć niewielu miało pojęcie, kim on w ogóle był. – Świetny pomysł – odpowiadam wtedy zazwyczaj. – A jak zaczną wam wmawiać, że zakładacie obozy, to co, założycie obozy?

Prawda wydaje się prosta: Kijów przegapił moment, w którym można było zareagować. Dziś jednostki bawiące się z nazistowską symboliką są zbyt silne i władza nie może sobie pozwolić na to, by iść z nimi na wojnę. – Spróbuj zwrócić żołnierzowi uwagę, że nosi złe symbole – prycha Jurij, wykładowca z zachodniej Ukrainy, którego też drażni ten trend. – Będzie awantura, że on cię broni, ochrania, a ty nie dość, że się od wojska uchylasz, to się jeszcze czepiasz.

No ale niezależnie od tego wszystkiego, niezależnie od zagrożenia ze strony Rosji czy „neomarksistów", rekrutów nie ma. Kto miał pójść – już poszedł. Kto iść nie chce albo nie może – nie pójdzie.

– Jak ktoś się boi i nie chce iść na misję, to ja go nie wezmę, jeśli mam innych ludzi – opowiada sierżant Major, który miał pod sobą jakieś 40 osób. – Ja muszę mieć kogoś, o kim wiem, że sobie poradzi. Od jednej osoby mnóstwo może zależeć w takiej misji. Na odpowiedzialną misję – to jedno. Ale na front, do szturmów? To co innego. Tutaj już, niestety, rzadko patrzy się na strach. Tu się często bierze, jak leci.

•

Na blokpostach w polskiej, słowackiej, węgierskiej czy rumuńskiej strefie przygranicznej kontroluje się dokładnie każdy samochód jadący w kierunku zachodnim. W miastach i miasteczkach policja i wojsko trzepią mężczyznom dokumenty: przeglądają papiery, ładują do busików i wio do centrów rekrutacji. Tam decydują: idziesz na front czy wracasz do domu. I rzadko się patyczkują. – Z synem szedłem nastoletnim – opowiada Wołodymyr ze Lwowa. – Ciężką drabinę nieśliśmy. No i podchodzą i że dokumenty, i „pan z nami". Ja mówię: „Dajcie mi chociaż drabinę donieść!". Bo co, syn sam drabinę będzie niósł? No ale nie było rozmowy. „Pan z nami" i koniec.

Taka rekrutacja przez wsadzanie do busów nazywa się busyfikacją. Zbusyfikowani często trafiają na pierwszą linię. Czyli tam, gdzie – jak to się eufemistycznie określa – występują „braki kadrowe", czyli ludzie padają jak muchy. W rezultacie poborowych ginie znacznie więcej od żołnierzy kontraktowych, którzy sami mogą wybierać miejsce i pozycję, na której służą. Dlatego niektórzy Ukraińcy nie chcą czekać na zbusyfikowanie i zgłaszają się sami. To właśnie do nich skierowana jest kampania billboardowa, która przyćmiewa całą pozostałą billboardozę w Ukrainie.

I na tym właśnie próbuje ugrać swoje Chartia z hasłami o „ludzkich warunkach służby" i „wyrozumiałych dowódcach". – To, co odróżnia ich od innych brygad to to, że u nich bardzo duży nacisk kładzie się na prawa człowieka – mówi Serhij Żadan, który napisał dla Chartii hymn, zaciągnął się do niej i prowadzi dziś wojskowe radio oraz pomaga w zbiórkach pieniędzy na rzecz korpusu. – Na ludzkie relacje między dowódcami a żołnierzami, na docenianie zasług, uczciwe traktowanie.

Charkowska Chartia to właściwie filar obrony miasta. To oni między innymi gonili w 2022 roku Rosjan aż po samą rosyjską granicę, brali udział w obronie Bachmutu i odbiciu Kupiańska.

Chartia, jak wiele wojennych i państwowych projektów w Ukrainie, jest projektem prywatnym. Założył ją charkowski miliarder Wsewołod Kożemiako. Można byłoby powiedzieć, że jest prywatną armią, gdyby nie to, że Chartia funkcjonuje w ramach państwa i podlega pod MSW. A armie zakładane przez miliarderów to nic w Ukrainie nowego: własne oddziały zbrojne stworzył też swego czasu Ihor Kołomojski, oligarcha i były mentor prezydenta Zełenskiego – to dzięki nim Rosjanie i separatyści nie zajęli miasta Dniepropietrowsk, dziś przemianowanego na Dniepr.

Dawniej przypominało więc to nieco magnackie wojska w czasach Pierwszej Rzeczpospolitej i widzieli to również ukraińscy komentatorzy, którzy – od szacownego establishmentowego intelektualisty Mykoły Riabczuka po popularnego youtubera od geopolityki, przedsiębiorcę i polityka w jednym Dmytra Kadubina – porównują współczesną Ukrainę właśnie do naszego wspólnego, sarmackiego państwa. Dzisiejsza Polska w tych koncepcjach jednak już nie jest bezpośrednią spadkobierczynią dawnego systemu: przyjęła zachodni model państwowości i typ demokracji w miejsce tej szlacheckiej. Ale fakt, że państwo ustrukturyzowało i koordynuje prywatne siły zbrojne, świadczy o tym, że i Ukraina w tę stronę idzie. Wolno, bo wolno, potykając się o afery, nadużywanie władzy, łapówkarstwo, wałowanie i egoizm, ale jednak.

No ale Chartia rządzi w Charkowie. Jeśli jeździć po tym mieście, co jest nieco utrudnione, Rosjanie zakłócają sygnał GPS i mapy Google'a co chwila informują kierowcę, że znajduje się w Limie, stolicy Peru, to wszędzie widać pełno logotypów tej brygady rysowanych sprayem, malowanych przez szablony. Pełno billboardów i plakatów i wszystkie wykrzykują jedno hasło, choć formułowane różnymi słowami, to oznaczające zawsze mniej więcej to samo: „BĘDZIEMY TRAKTOWALI CIĘ JAK CZŁOWIEKA".

W Chartii, faktycznie, trudno o zarzuty o złe traktowanie żołnierzy, a przecież armia to nie jest świętych obcowanie i przemoc czy wykorzystywanie to patologia znana w każdym wojsku. W innych ukraińskich jednostkach się takie rzeczy zdarzają: w 211. Brygadzie Mostów Pontonowych na przykład jeden z dowódców został oskarżony o bicie żołnierzy,

• **„Masz dosyć jazdy metrem? Zadzwoń 3333" – zachęca w centrum Kijowa billboard rekrutacyjny armii ukraińskiej (4.01. 2026)**

FOT. SERGEI SUPINSKY/AFP/EAST NEWS

Przy ukraińskich drogach stoją billboardy. Jak wszędzie. Tylko, że te ukraińskie w czwartym roku wojny są dziwne. Uśmiechnięty żołnierz strzela z działa i podpis: „Azowska szkoła modelowania krajobrazu". „Wstydzisz się łysienia?" i zdjęcie wojskowej czapki z logo brygady Chartia. Albo jak w ogłoszeniu headhunterów: „Trzeci Korpus Armijny. Wyrozumiali dowódcy. Szanujemy zasługi. Znajdziemy ci pracę"

wymuszanie pieniędzy i zmuszanie do wykonywania nieodpłatnej pracy: kilku jego podwładnych musiało budować dla niego dom pod miastem Chmielnicki. W ten sam zresztą sposób wykorzystują swoich żołnierzy oficerowie rosyjscy: to spadek jeszcze po Związku Radzieckim.

Pojawiają się też skargi na samych busyfikatorów: nie dość, że często zatrzymań dokonują brutalnie, to jeszcze zdarzają się podczas tego przymusowego poboru pobicia, oszustwa i wymuszenia. Na Wołyniu na przykład funkcjonariusze służby rekrutacyjnej uderzyli samochodem w rowerzystę, po czym zamiast mu pomóc, to go zmobilizowali. A podczas procesu mobilizacji pobili i spryskali gazem łzawiącym.

Przemoc, zdarza się, działa w obie strony. Na Wołyniu napadnięto na samochód, którym transportowano zmobilizowanego mężczyznę: napastnicy pobili rekruterów, a niedoszłego żołnierza odbili.

W kraju wymęczonym czteroletnią wojną i ciężką zimą cudów nie ma i nie ma się co dziwić, że wojskowi, obciążeni ciągłym stresem, cierpiący na PTSD i żyjący w specyficznych, dalekich od cywilnej normalności warunkach, przestają być wzorami jasnych i klarownych zasad etycznych, bo każde społeczeństwo w takich warunkach traci moralny kompas.

Tym bardziej że jedno napędza drugie i społeczeństwo ciągle jest wystawione na próby cierpliwości: gdy jedni podlegają brutalnej busyfikacji, inni – ci, którzy mają pieniądze – wyłgują się za pomocą łapówek i fałszywych lekarskich zaświadczeń o niezdolności do służby. Na początku 2026 roku aresztowano Ołeha Druza – naczelnego psychiatrę ukraińskiej armii, który tak na nich się wzbogacił, że od początku pełnoskalowej inwazji dorobił się kilku nieruchomości oraz SUV-ów marki BMW. Takich jak te, których ostentacja tak bardzo drażni zwykłych Ukraińców.

Ludzie są zmęczeni. I wielu uważa, że jedynym ratunkiem dla kraju są weterani, którzy po wojnie dojdą do władzy i zrobią porządek. Zwłaszcza weterani Chartii, ale też Trzeciego Korpusu Armijnego Biłeckiego. I gdyby rzeczywiście weterani weszli do polityki, to Chartia mogłaby być odtrutką na skrajną prawicowość Biłeckiego i z czasem środowiska obu jednostek przekształciłyby się w normalne partie, jedną centrową, drugą prawicową, ale cóż: te dwa ugrupowania zaczynają właśnie ze sobą współpracować.

•

Ale tu i teraz ludzie żyją wiosną. W wojennej Ukrainie nawet ona jest jednak polityką.

Kraj powoli rozmarza po ciężkiej zimie, podczas której Rosja intensywniej niż zwykle ostrzeliwała energetyczną infrastrukturę, a ludzie marzli w niedogrzanych domach i w ciągłym mroku nabawiali się ciężkiej depresji. I jest wściekły na własne polityczne elity, które zarabiały na tej bezcennej energii grube miliony. I czeka, kiedy to wszystko się skończy, nie tylko zima, ale i wojna, i będzie można na poważnie zająć się rozliczeniami.

Zima przeczołgała Ukrainę. We Lwowie część lokali ograniczyła działanie do kilku dni w tygodniu, by nie przynosić strat.

A ukraińskie restauracje są niesamowite: kucharze transformują lokalną – chłopską i nieskomplikowaną w formie wyjściowej – kuchnię w coś naprawdę niesamowitego, wystroje są równie pomysłowe co menu, menu pojawia się w komórkach gości po przeskanowaniu kodu QR, komórką też można zapłacić, bez przywoływania kelnerów.

W ogóle aż zazdrość bierze, jak sektor IT się rozwija – ukraińscy informatycy należą do najlepszych na świecie, DIA, ukraiński odpowiednik mObywatela, pozwala załatwić mnóstwo urzędowych spraw przez telefon komórkowy, a mandaty przychodzą na komórkę kierowcom same, niedługo po tym, jak namierzy ich radar.

Jak w jakimś filmie postapo, niestety na żywo: to wszystko, ta cyfrowa płynność, ta automatyzacja, przenikają świat codziennej apokalipsy.

W Kijowie oglądałem dramatycznie puste w nocy centrum miasta i myślałem, że aż tak pustego to go dawno nie widziałem. Charków wydawał się żyć normalnie, ale dziwna była ta normalność. Ludzie chodzili po ulicach, załatwiając swoje sprawy, zupełnie nie zwracając uwagi na alarmy i wybuchy w tle. Zupełnie, jakby żyli w cieniu pomrukującego wulkanu, ale nie mieli ani czasu, ani siły przejmować się tym, kiedy wybuchnie. Ani wpływu na to, czy wybuchnie.

Wojna to udręka dla codzienności. Mężczyźni boją się wychodzić na ulice, by ich nie zbusyfikowano. Staruszkowie mieszkający w blokach muszą targać zakupy na wysokie piętra, bo rosyjskie drony zniszczyły stację energetyczną i nie działają windy.

No i wszechobecna śmierć. W wojnie zginęło już około 150 tysięcy ludzi. Widać to na każdym cmentarzu w Ukrainie. Zawsze jest na nim co najmniej jeden świeży grób z powiewającą żółto-błękitną flagą. A często i czarno-czerwoną.

Ale cmentarz pod Charkowem przy drodze na Izjum to co innego. Ten wygląda jak supermarket ze śmiercią. To niemające końca pole żółto-błękitnych proporców wbitych w błotnistą ziemię. Zdjęcie za zdjęciem młodych ludzi w jasnych pikselowych kamuflażach, krzyż przy krzyżu, błotnista, świeża mogiła przy błotnistej, świeżej mogile. Buty oblepiają się brązowym błotem, rzadkim i lepkim. U nas, w Polsce, gdzie – jak się mówi w Ukrainie – są głównie „piaski i laski", chowa się ludzi „do piachu". Tu – gdzie czarnoziem i gleba tłusta – ludzi chowa się „w syrij zemlji". „W wilgotnej ziemi".

Co jakiś czas widać wykopane świeże jamy. Jeszcze puste. Ziemia wygląda, jakby rozdziawiała paszczę w oczekiwaniu na kolejne ofiary. Jamy nie są głębokie. Błotniste. Zwłoki obrońców Ukrainy od świata żywych oddziela tylko cienka warstwa błota. I tylko czekałem, kiedy to wszystko się rozstąpi i z chlupotem, cmoknięciem wessie świat żywych do środka.

Szybko więc stamtąd odszedłem, spomiędzy tych zdjęć dzieciaków pozujących w dumnych pozach z karabinami w dłoniach o brudnych, okopowych paznokciach. Z tej republiki błota i śmierci ledwie trzydzieści kilometrów od rosyjskiej granicy, z widokiem na betonowy płot, jedyną rzecz, która oddziela od płaskiego bezkresu. Uciekając od pytania, gdzie tu, na tym płaskim, pomiędzy Rosją a Ukrainą, postawić mur i jaki to musiałby być mur, żeby to, co widać na tym cmentarzu, nie musiało się już powtarzać. ●

eprasa.pl 2b2d0f0434

FOT. REUTERS/DANIEL COLE

• **Prezydent Karol Nawrocki podczas tegorocznej konferencji amerykańskich konserwatystów CPAC, która odbyła się w Dallas**

KLASA ŚREDNIA VS. POTWORY

Polska – jak wielokrotnie bywało w naszej historii – **znajduje się bardzo blisko bólów porodowych nowego świata.**

Włodzimierz Czarzasty dla Wyborczej

Gdy dwa miesiące temu powiedziałem, że Donald Trump zwyczajnie nie zasługuje na Pokojową Nagrodę Nobla, wylało się na mnie wiadro pomyj.

To co rzec dzisiaj? Rozpoczęcie wojny bez wyraźnego celu, bez kalkulacji potencjalnych konsekwencji, bez realnego planu jej zakończenia to działanie zasługujące na krytykę. Trump apeluje do krajów europejskich o pomoc w konflikcie. Amerykanie są naszymi sojusznikami, ale skoro atak na Iran nie był z nami konsultowany, to nie jest to nasza wojna. Co gorsza, nie widać jej końca, a rachunki płacimy wszyscy.

Działania wojenne w Afganistanie i Iraku można oceniać różnie. Ale z pewnością prezydent George W. Bush konsultował swoje działania z sojusznikami, a polscy żołnierze walczyli na tych misjach bohatersko, za co należy im się wielki szacunek. Prezydent Bush w sprawie broni masowego rażenia w Iraku mijał się z prawdą, ale co powiedzieć o powodach, które podaje jego następca? Decyzje Donalda Trumpa podpaliły Bliski Wschód, zdestabilizowały światową ekonomię i wysadziły w powietrze ceny paliw na stacjach benzynowych również w Polsce.

Trudno powiedzieć, jaka jest strategia USA wobec Iranu. Wiemy, czego chce Izrael. Chodzi o pokonanie śmiertelnego wroga. Jednak ani Izrael, ani USA nie mają pojęcia, jak ma wyglądać Iran po zakończeniu konfliktu. W upadek reżimu ajatollahów chyba mało kto wierzy. Europa patrzy na to wszystko z trwogą. Choćby dlatego, że wiemy, że jeśli dojdzie do trwałej destabilizacji Iranu, łącznie z wojną domową, to fala uchodźców prędzej czy później dotrze do nas. Nie do Kalifornii czy na Florydę.

Potrzeba mądrej decyzyjności

W międzyczasie koncepcja Rady Pokoju zdezaktualizowała się w ekspresowym tempie. Początkowo ciało to miało zająć się odbudową Strefy Gazy. Budziło to uzasadnione wątpliwości, ale w sprawie Gazy panuje deficyt dobrych pomysłów. Postanowiono więc dać tej koncepcji kredyt zaufania. Następnie zakres działalności Rady był coraz bardziej rozszerzany, a władza nad tym ciałem zaczęła być koncentrowana w ręku Donalda Trumpa. To był moment, kiedy jasno powiedziałem, że Polska nie powinna przystępować do Rady Pokoju. Rząd zajął stanowisko sceptyczno-wyczekujące. A prezydent Nawrocki szukał kogoś, kto zdejmie z jego barków ciężar decyzji. Ostatecznie Polska zachowała się jak należy. Jak widać, władze naszego państwa pomimo napięć potrafią na koniec dnia podejmować rozsądne decyzje. A w zmieniającym się cały czas świecie, targanym emocjami i napięciami potrzeba mądrej decyzyjności będzie tylko narastać.

Co więc robić? Europa powinna stanąć na pozycjach jasnych i jednoznacznych. Wspierać inicjatywy zmierzające do jak najszybszego zakończenia wojny, uspokojenia światowej gospodarki i opanowania cen paliw. Długofalowo musimy popierać działania zmierzające do budowy suwerenności energetycznej Unii opartej na OZE i atomie. Musimy też wyciągnąć z szuflad stary pomysł prezydenta Macrona mówiący o autonomii strategicznej Europy. Kiedyś sami do tej szuflady go schowaliśmy. Obawialiśmy się bowiem, że Francja będzie chciała budować pozycję Europy w opozycji do USA. Dzisiaj jednak to Amerykanie postawili na autonomię strategiczną wobec Europy. I pewnie, póki w Waszyngtonie rządzi Trump, nic w tej sprawie się nie zmieni.

Włoski filozof Antonio Gramsci pisał przed stu laty, że kryzys polega na tym, iż stare umiera, a nowe nie może się narodzić. Świat jest dziś w takim właśnie momencie. Polska – jak wielokrotnie bywało w naszej historii – znajduje się bardzo blisko bólów porodowych nowego świata. Na szczęście jednak na tyle daleko, by Polki i Polacy mogli czuć się bezpiecznie. Najważniejszym zadaniem polityków jest utrzymanie tego bezpieczeństwa.

Tukidydes i targowica

Na czym polega ta epokowa zmiana? Ład oparty na powojennym prawie międzynarodowym odchodzi do przeszłości. Stara równowaga sił między skonsolidowanym Zachodem a ZSRR już od dawna nie istnieje. Najpierw rozpadł się Blok Wschodni za sprawą Polaków, a dzisiaj drży w posadach wspólnota transatlantycka. Coraz częściej zaczyna dominować siła – siła stosowana przez mocarstwa, a więc logika koncertu mocarstw. To system, którego Polska była wielokrotnie ofiarą: podczas rozbiorów, w 1939 roku, czy podczas powojennego meblowania świata w Jałcie. Nigdy więcej!

Premier Kanady Mark Carney mówił ostatnio w Davos, że stary ład opierał się na wielu fikcjach, w które wierzyliśmy, ponieważ ta wiara przynosiła wszystkim korzyści. Zgadzam się z tą diagnozą. Carney odwoływał się także do tekstów kultury, w tym do modnego w ostatnich latach Tukidydesa. Za jego przykładem opisywał, jak pycha wobec słabszych może doprowadzić demokrację do upadku. Grecki historyk pisał oczywiście o Ateńczykach, ale chyba nikt nie ma wątpliwości, do kogo odnosił się Carney.

W Polsce bliższe są nam jednak inne analogie. Bardziej niż Tukidydes przemawia do nas

eprasa.pl 2b2d0f0434

targowica – symbol zdrady, który w ostatnich miesiącach zaczął być niepokojąco rehabilitowany. W internecie pojawiły się nagrania, których bohaterami są osoby z kręgu Grzegorza Brauna przekonujące, że to targowiczanie mieli rację. Ludzie boją się wojny, a w konsekwencji w polskim społeczeństwie istnieje mniejszość, która boi się jej tak bardzo, że przyjmuje kapitulancką perspektywę Brauna. Polska lewica tę perspektywę odrzuca. Pojawia się więc pytanie: jak działać racjonalnie w coraz mniej racjonalnym otoczeniu międzynarodowym?

Ostatnie wydarzenia na Bliskim Wschodzie, zwłaszcza kryzys w Cieśninie Ormuz, pokazują, że łatwo wywołać kryzys (oby nie długotrwały) i zachwiać globalną gospodarką. Ja jednak chcę skupić się nad tym, jak odpowiedzialnie budować międzynarodowe bezpieczeństwo Polski i jej pozycję.

Globalna klasa średnia

Gdy mocarstwa i supermocarstwa próbują dzielić świat na podległe sobie strefy wpływów, państwa średnie muszą zewrzeć szeregi. To najważniejsza teza wspomnianego przeze mnie wystąpienia premiera Kanady – i teza słuszna. Jego koncepcja geopolityczna jest szeroka. Jeśli jednak na chwilę zapomnimy o kanadyjskim kontekście, okaże się, że idea sojuszu państw średnich to w istocie dzisiejsza Unia Europejska. Oczywiście Francja posiada broń atomową, a Niemcy są wciąż potężnym producentem i eksporterem. Jednak wobec Chin czy Stanów Zjednoczonych żadne pojedyncze państwo europejskie nie jest wystarczająco silne, by grać na równorzędnych zasadach.

Takim samodzielnym mocarstwem jest – i powinna być – Unia Europejska jako całość.

Polska jest jej ważnym elementem i powinna mieć ambicje do bycia jednym z jej liderów. Nowa Lewica, podobnie jak europejska socjaldemokracja, zdecydowanie odrzuca propagandę polexitową. Jedna z jej odmian polega na nieustannym powtarzaniu, że Unia jest słaba, stara, przeregulowana itp. Skończmy z tą gadaniną. Zamiast tego zastanówmy się, co zrobić, aby Unia była silniejsza, dynamiczniejsza i konkurencyjna. Bo bez wątpienia wciąż jest bezkonkurencyjnym i najlepszym miejscem do życia, nie tylko dziś, ale w całej historii cywilizacji. Nie boję się tego pisać i mówić wyraźnie.

Carney mówił o realizmie opartym na wartościach. W warunkach europejskich realizm oznacza przyjęcie faktu, że dwa najsilniejsze państwa Unii Europejskiej to Niemcy i Francja.

Są także podstawowymi partnerami Polski we Wspólnocie. Stąd moje starania na poziomie parlamentarnym na rzecz reanimacji Trójkąta Weimarskiego. Gościłem w Berlinie na zaproszenie przewodniczącej Bundestagu Julii Klöckner. Pod koniec lutego dwudniową wizytę w Warszawie złożyła przewodnicząca francuskiego Zgromadzenia Narodowego Yaël Braun-Pivet. Chciałbym, by nasze spotkania stały się zwyczajem oraz by nasze parlamenty wspólnie uczciły trzydziestopięciolecie Trójkąta Weimarskiego w Warszawie. Takie symbole mają znaczenie.

Europejscy partnerzy

Przypadek Francji i Niemiec jest pouczający. Państwa te posiadają na wielu polach odmienne interesy – wystarczy wspomnieć energetykę. Spierają się niemal w każdej kwestii, ale to spór konstruktywny. Nikt nie obraża się na drugą stronę, nie trzaska drzwiami, nie sięga po argumenty historyczne w każdej dyskusji. Pamięć jest ważna, historia jest ważna, ale histeria nie jest potrzebna.

W naszym przypadku, choćby w relacji z naszym zachodnim sąsiadem, kluczowe dla Polski sprawy nie zostały zamknięte i nigdy o nich nie zapomnimy. Podczas wizyty w Berlinie upominałem się o zadośćuczynienie za niemieckie zbrodnie popełnione na Polakach w czasie drugiej wojny światowej. Mam nadzieję, że w tej sprawie nastąpi przełom. Dzięki temu będziemy mogli iść do przodu – bo dobre relacje z Niemcami i Francją leżą w interesie Polski. O przeszłości należy pamiętać, teraźniejszością należy żyć, a przyszłość trzeba mądrze budować.

Drugim partnerem są państwa Grupy Wyszehradzkiej. Łączą nas interesy, historia i geografia. Różni nas ocena Rosji i wojny na Ukrainie. Można nad tym ubolewać, patrząc, jak ciężko Rosja doświadczyła nasz region. Wszak to w Budapeszcie i w Pradze gościły radzieckie czołgi… Szanujemy jednak fakt, że każdy naród sam wybiera swoją drogę. Niektóre z tych wyborów będą dokonywane już w tym roku i wiele wskazuje na to, że wzmocnią ten ważny format. Nie odwracamy się od Trójmorza. Ten format może dać szansę na lepsze zrozumienie Bałkanów.

Kolejnym ważnym partnerem Polski w Europie są państwa nordyckie. Łączy nas nie tylko Bałtyk, ale też brak złudzeń wobec Rosji oraz wiara w sojusz euroatlantycki. Więzi między Polską a państwami nordyckimi będą dodatkowo cementowane przez wspólne projekty obronne. Relacje te przetrwają nawet tak ciężkie próby, jak podważanie statusu Grenlandii.

Do budowy nowej europejskiej tożsamości w dziedzinie bezpieczeństwa dialog i dyplomacja parlamentarna są idealnymi instrumentami. Nowe czasy wymagają przełamania inercji społeczeństw, a parlamentarzyści muszą być na czele tych zmian. Stąd moja aktywność w polityce zagranicznej, w pełnym zrozumieniu, że kreuje ją rząd. Zaprosiłem do Warszawy na przyszły rok czołówkę europejskich demokratów, aby porozmawiać na ten temat.

Temat NATO pozostawię na koniec, gdyż jesteśmy w oczywisty sposób jego najstabilniejszym i najbardziej lojalnym członkiem, co udowadnia nie tylko historia, ale nasz budżet obronny.

Ład oparty na powojennym prawie międzynarodowym odchodzi do przeszłości. Coraz częściej zaczyna dominować siła – siła stosowana przez mocarstwa, a więc koncert mocarstw

Strategiczne partnerstwo z USA

Prezydentura Donalda Trumpa pokazuje nam znów to, co już wiemy: amerykańska obecność w Europie będzie się zmieniać i zapewne zmniejszać. Europa musi wziąć większą odpowiedzialność za własne bezpieczeństwo. Wielokrotnie do tego zachęcał nas – Europejczyków – właśnie obecny prezydent USA.

Ważne, aby proces ten przebiegał w przyjaznej atmosferze. W Polsce nie stoimy przed wyborem: albo Stany Zjednoczone, albo Europa. To sami Amerykanie zapowiadają ograniczanie swojego zaangażowania na Starym Kontynencie.

Niektórzy w Polsce liczą na to, że proces ten ominie nasze państwo – że Amerykanie będą zmniejszać obecność w Europie, ale nie w Polsce. To myślenie magiczne, a realizm magiczny dobrze sprawdza się w literaturze, ale nie w polityce bezpieczeństwa. Polska nie będzie wysuniętą kasztelanią Ameryki ani „niezatapialnym lotniskowcem" USA. Trzeba sobie zadać przy tym pytanie, czy chcemy być czyimkolwiek lotniskowcem lub czyjąkolwiek bazą. Ja odpowiadam – nie chcę i stawiam na europejską suwerenność.

Stany Zjednoczone są naszym sojusznikiem, a NATO pozostaje gwarancją naszego bezpieczeństwa. Ale jesteśmy i będziemy w Europie. Europa to wspólnota wartości – a w dzisiejszym świecie trzeba mieć siłę, by tych wartości bronić i by je budować. Temu właśnie służyć miał (i mam nadzieję jeszcze posłuży) mechanizm SAFE oraz 43 miliardy euro przeznaczone na polskie bezpieczeństwo – z Europy, z Brukseli.

Nie sposób mówić o bezpieczeństwie Polski bez Ukrainy. Ukraińcy walczą także o nasze bezpieczeństwo. Widziałem to na własne oczy podczas wizyty w Kijowie na obchodach czwartej rocznicy wybuchu pełnoskalowej wojny. Kiedy tego dnia przemawiałem przed Radą Najwyższą Ukrainy, ogromne wrażenie zrobiło na mnie, że niemal wszyscy ukraińscy deputowani mieli na swoich pulpitach europejskie granatowo-złote flagi. To ważne przypomnienie: Unia równa się bezpieczeństwo. Mentalnie Ukraina już jest w zjednoczonej Europie. Zrobię wszystko, by jak najszybciej była tam też formalnie, gdyż na to zasługuje.

Nasz wróg znajduje się na wschodzie, nie na zachodzie. Rosja jest wrogiem śmiertelnym, Zachód – sojusznikiem. Dlatego należy wspierać Ukrainę w jej walce, jednocześnie licząc na sprawiedliwy pokój. Jeśli wysiłki prezydenta Donalda Trumpa zakończą się sukcesem i doprowadzą do sprawiedliwego pokoju dla Ukrainy, w mojej ocenie zasłuży on na Pokojową Nagrodę Nobla. Myślę, że wszyscy w Polsce życzyliby sobie takiego obrotu spraw. Niepodległa, silna i demokratyczna Ukraina pozostaje jednym z kluczowych gwarantów niepodległości Polski.

Potwory i polityka

Polska leży tu, gdzie leży, i tego nie zmienimy. Możemy – i musimy – wybrać jednak strategię: trwałą obecność w UE, budowę europejskiej zdolności do obrony oraz własną odporność państwa. Europejska autonomia obronna nie jest gestem przeciw komukolwiek, lecz rozsądną polisą na epokę, w której sojusze trzeba wzmacniać czynami, a nie tylko deklaracjami. W tym wysiłku potrzebujemy państwa sprawczego: takiego, które inwestuje w bezpieczeństwo, przemysł i infrastrukturę, a jednocześnie potrafi chronić obywateli przed kosztami kryzysów i wstrząsów zewnętrznych. Lewicowe wartości przypominają, że bezpieczeństwo nie może być przywilejem nielicznych – ma obejmować także regiony peryferyjne, ludzi pracy, rodziny i tych, którzy najszybciej płacą cenę niepewności. Solidarność wewnątrz kraju i solidarność w Europie to twarda waluta polityki, która buduje zaufanie, odporność i gotowość do wspólnego wysiłku.

Jeśli chcemy być podmiotem, musimy połączyć realizm w świecie interesów z etyką, która wyznacza granice i nadaje sens decyzjom państwa.

Przywołany przeze mnie cytat z Gramsciego ma swój ciąg dalszy. Dosłowne tłumaczenie mówi, że „w okresie bezkrólewia pojawiają się najróżniejsze zjawiska chorobliwe". Popularne jest również uproszczone tłumaczenie, wedle którego czas, gdy stare umarło, a nowe nie może się narodzić, to czas pojawiania się potworów. Z pewnością jest to moment, w którym państwa takie jak Polska – średniej wielkości demokracje – powinny trzymać się razem, pozostać wierne swoim wartościom i wspólnie zwalczać potwory! ●

Włodzimierz Czarzasty

• rocznik 1960, warszawiak. Polityk i przedsiębiorca, marszałek Sejmu X kadencji od 2025 r. Poseł na Sejm IX i X kadencji, przewodniczący SLD (2016–2021), współprzewodniczący i przewodniczący (od 2025) Nowej Lewicy. Był członkiem Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, przewodniczył zarządowi Stowarzyszenia „Ordynacka".

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414015

W PIĄTEK W WYBORCZEJ

Zapalenie płuc

Boimy się zawału i raka, a umieramy na zapalenie płuc.
Jakie są objawy, leczenie, jak długo trwa

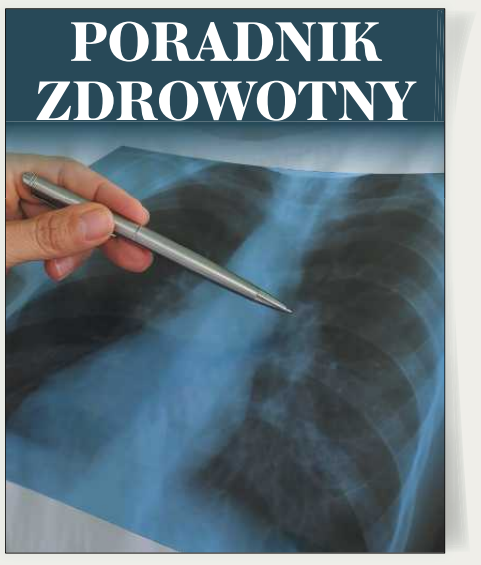

1 RP

eprasa.pl 2b2d0f0434

TO NIE JEST KRAJ DLA SPORTOWYCH KONI

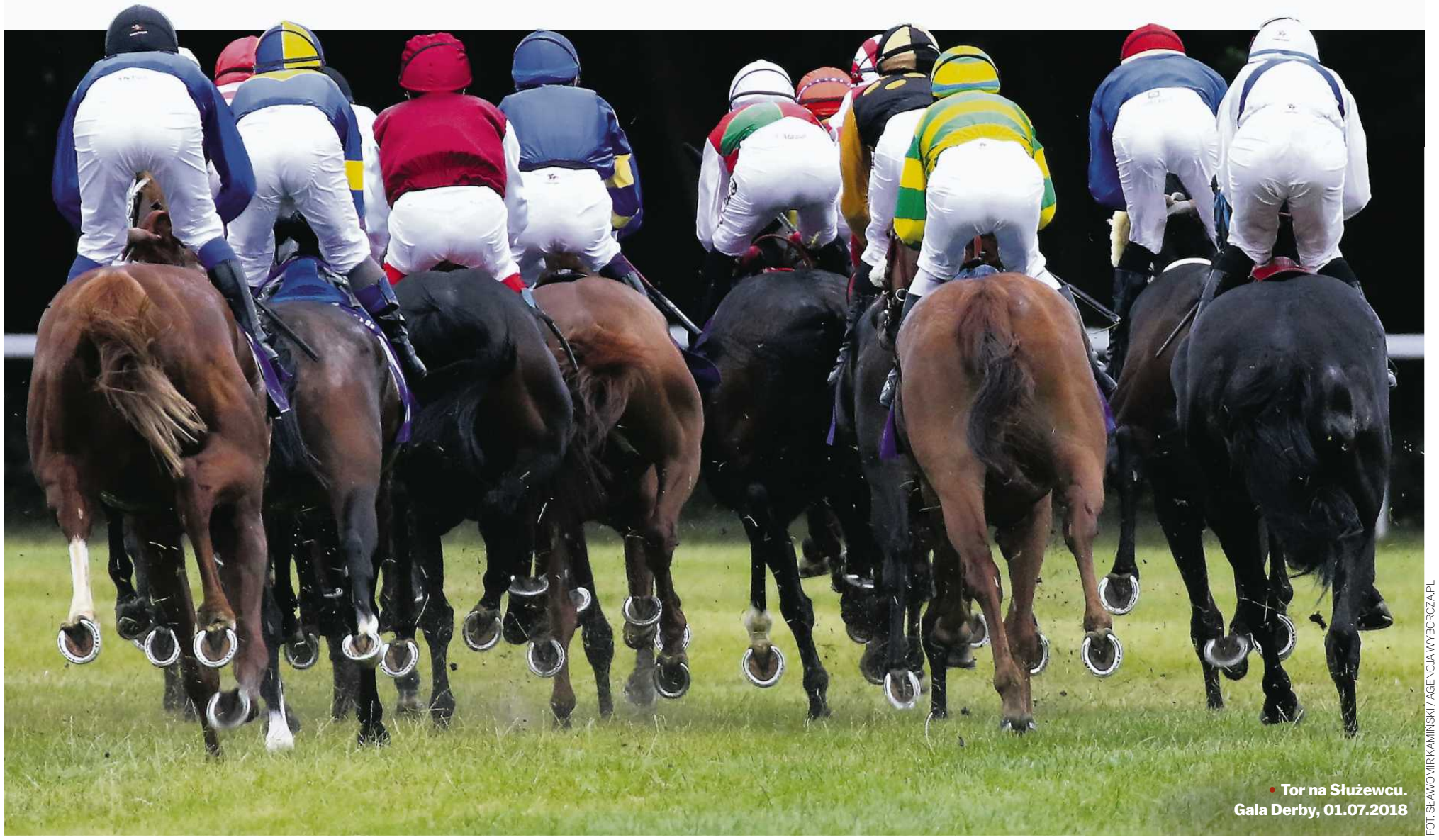

• Tor na Służewcu. Gala Derby, 01.07.2018

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Zarabia się nędznie, więc startują głównie Kirgizi i nastoletnie dziewczyny. Kulisy wyścigów konnych

Monika Redzisz

Tor Wyścigów Konnych na Służewcu, 15 listopada, 45. dzień sezonu wyścigowego. Niebo zachmurzone, chłodno, kilka stopni na plusie. Zaraz rozpocznie się czwarta gonitwa. Konie, niespokojne, nerwowe, wychodzą po kolei na bieżnię toru. Z numerem 5. idzie Real Gold, ogier urodzony we Francji, hodowli Alzhaup Racing, trenowany przez Krzysztofa Ziemiańskiego. W siodle 16-letnia uczennica. „Koń w ubiegłym roku nie biegał, w tym spisuje się bardzo słabo, a mimo to startował w Derby na życzenie właściciela" – zauważa komentator. Wchodzą w maszyny startowe. Gotowi do biegu, start!

Ruszają. Pędzą z szybkością 60 km na godzinę. Wchodzą w zakręt, za moment wyjście na prostą finiszową. Na prowadzenie wychodzi Cassiopea, za nią Soel Mach. Napięcie rośnie, zwycięzcy mają już tylko 300 m do celownika, to na nich skupia się uwaga komentatora.

Tymczasem daleko w tyle, na zakręcie, koń z numerem 5. silnie kuleje. Galopuje jednak dalej, mimo że do mety jeszcze prawie kilometr. Na trybunach robi się ruch. „Koń złamał nogę, trzeba go zatrzymać! Zaraz się przewróci!" – krzyczą ludzie. Amazonka jednak ich nie słyszy, biegną dalej. Po chwili koń zwalnia, przechodzi w kłus i tak, utykając, dociera do mety. Dziewczyna zsiada z niego dopiero po przekroczeniu celownika.

Po gonitwie dyżurny lekarz weterynarii zdiagnozował silną kulawiznę kończyny prawej przedniej z podejrzeniem złamania kości, co potwierdziły późniejsze badania. Real Gold zostaje poddany eutanazji.

Na stronie Polskiego Klubu Wyścigów Konnych pojawiło się nagranie z gonitwy i informacja o śmierci konia. W środowisku zawrzało. Na młodą amazonkę posypały się gromy. („Sadystka! Barbarzyństwo!"; „Dżokejka powinna dostać dożywotni zakaz brania udziału w wyścigach. Bezwzględna baba"; „Dożywotnia dyskwalifikacja i te igrzyska śmierci niech się skończą"; „Co za bezduszna postać! Powinna być zbanowana do końca życia i konie tylko na obrazkach oglądać!").

Kilka godzin później wszystkie nagrania i posty z komentarzami zniknęły. Podobno na prośbę właściciela – pochodzącego z Kirgistanu M. Kozhoeva. Ale sprawa już się wylała.

Do zdarzenia odniosła się komisja techniczna przy Torze Wyścigów Konnych Służewiec. Zarzuciła amazonce naruszenie przepisów regulaminu wyścigów konnych polegające na niezatrzymaniu konia, który uległ kontuzji. Nastolatka tłumaczyła, że nie odczuwała nieprawidłowości w poruszaniu się konia, ale komisja jej nie uwierzyła i nałożyła na nią karę pieniężną w wysokości tysiąca złotych.

Rzeczniczka torów powiedziała się, że wszystko odbyło się zgodnie z procedurami: uczennica dżokejska miała licencję, mogła startować i została ukarana zgodnie z regulaminem. Nastrojów to jednak nie uspokoiło.

Ewa Leszczyńska, prezeska fundacji Przyjaciel Zwierz, złożyła zawiadomienie do prokuratury w sprawie podejrzenia znęcania się nad koniem. Prokuratura rejonowa w styczniu wszczęła postępowanie. Kto ponosi odpowiedzialność za to, co wydarzyło się tamtego dnia?

M. – podajemy tylko inicjał nazwiska jeźdźczyni, aby nie narażać jej na kolejną falę krytyki – nie chce kontaktu z mediami, ale rozmawiałam z dżokejkami, trenerami, pracownikami służewieckiego toru, osobami z fundacji prozwierzęcych, fizjoterapeutą i osteopatą koni. Każdy z nich miał inny pogląd na tę sprawę.

•

– To jest wina tylko i wyłącznie tej dziewczyny! – twierdzi wieloletni pracownik służewieckiego toru, który chce pozostać anonimowy. – Jest młoda, owszem, ale nie ma dziesięciu lat, to nie jest dziecko. Jeżeli się ma jakiekolwiek zastrzeżenie co do tego, jak się porusza koń, to się go zatrzymuje – to podstawa. Człowiek bez takiej wiedzy nie powinien wsiadać na konia wyścigowego. Żeby nabrać doświadczenia w sytuacjach niebezpiecznych, trzeba dużo jeździć, a ona zadebiutowała ledwo trzy miesiące wcześniej i pojawiała się na torze od święta.

– Popełniła błąd, doświadczony jeździec zatrzymałby konia, ale ona na pewno się bała, że jak zatrzyma zdrowego konia, to więcej ją na niego nie wsadzą – mówi Adam Wyrzyk, trener pracujący od lat na Służewcu, z 857 wygranymi gonitwami na koncie. – Proszę się postawić na jej miejscu: jest młoda, ambitna, zafiksowana na wyścigach. Siedzi na tym koniu po raz pierwszy w życiu. Nie zna jego reakcji, nie wie, jak galopuje. Można to porównać do takiej sytuacji: od dwóch miesięcy ma pani prawo jazdy, jeździ Toyotą Yaris, a nagle ktoś panią przesadza do Ferrari i mówi: „Jedź! Gaz do dechy!". Więc rozwala pani samochód na pierwszym zakręcie. Tak mniej więcej było z tą dziewczyną. Ja tam nie wsadzam obcych jeźdźców na swoje konie. Prawda jest taka, że trener obarczył ją całą odpowiedzialnością za to zdarzenie, żeby ratować swoje dobre imię. Nie wiem, czy ona będzie w stanie się odbudować psychicznie po nagonce, jaka ją spotkała.

– Ja tej dziewczyny nie znam, w życiu jej nie widziałem. Tamtego dnia byłem na aukcji we Francji. To właściciel Real Golda, którego miałem w mojej stajni, zażyczył sobie, żeby ona na nim startowała – mówi Krzysztof Ziemiański, trener, który ma uprawnienia trenerskie od 1990 roku i na koncie 1435 zwycięskich gonitw. – To był mój konik, ja też to przeżyłem! Ale wypadki zdarzają się wszędzie; to, co dzieje się na wyścigach, to i tak nic w porównaniu z kontuzjami, jakich konie doznają w innych dziedzi-

eprasa.pl 2b2d0f0434

nach. Kto jest za to odpowiedzialny? 90 proc. wypadków wynika ze złego stanu toru treningowego. Totalizator Sportowy dostał w dzierżawę ten teren, a w zamian miał być mecenasem sportu i rozwijać wyścigi. I co? Od 18 lat nie możemy się doprosić o remont toru.

– W pierwszym rzędzie winnych postawiłbym właściciela – to on jest odpowiedzialny za zwierzę, to on podejmuje decyzje – mówi Michał Białkowski, trener koni sportowych i zawodnik. Konie wyścigowe trenował w Irlandii, konie skokowe w Niemczech, w Polsce szkolił konie, jeźdźców, instruktorów i zawodników, służył w Szwadronie Kawalerii Wojska Polskiego. – To są zwykle ludzie uzależnieni od hazardu. Kupili sobie konia i chcą, żeby biegał. Płacą, więc wymagają nawet, jeżeli koń nie nadaje się do biegania. Trenerzy są w trudnej sytuacji, ale ja też spotykałem się z taką presją i jej nie ulegałem. Na drugim miejscu winiłbym więc trenera, który spełniał chore oczekiwania właściciela. Próba zrzucenia odpowiedzialności na 16-letnią dżokejkę jest hipokryzją. Poza tym taka kontuzja zazwyczaj nie dzieje się w dniu wyścigu, tylko jest efektem wcześniejszych zaniedbań, na które przymyka się oko, póki koń biega. Myślę, że ten wypadek to tylko czubek góry lodowej.

– Ten koń nie chodził czysto już na treningu – potwierdza inny pracownik toru, który prosi o anonimowość. – Miał problemy z nogami już rok temu, dlatego właściciel kupił go tylko za 4 tys. zł. Do niczego się nie nadawał, ale sobie wymyślili z trenerem, że go wyleczą i będzie biegał. A poza tym to nie był koń do eutanazji! Miał pozrywane więzadła i poprzemieszczane drobne kości, ale nie musiał umierać. Właściciel podjął decyzję, żeby go uśpić, bo operacja miała kosztować co najmniej 10 tys. zł., a on nie chciał już w niego inwestować.

– Przyczyn tego wypadku mogło być wiele. Jeździec ma obowiązek zatrzymać konia, jeśli się coś dzieje, ale z drugiej strony może zostać ukarany, jeśli nie dołoży wszelkich starań, żeby wygrać – mówi Anna Stasiak, która ma tytuł dżokeja; ścigała się przez 20 lat, wygrała ponad 100 gonitw. – Przeżyłam podobną sytuację – wspomina. – Tor był bardzo twardy. Pojechaliśmy trochę wolniej, żeby zminimalizować ryzyko kontuzji, ale po gonitwie komisja techniczna dała nam wszystkim upomnienie. Drugi wyścig pojechaliśmy więc już w normalnym tempie. Na prostej finiszowej poczułam, że coś jest nie tak. Klacz zmieniła nogę, ale dalej galopowała już dobrze. Nie wiedziałam, co mam robić, dojechałam do końca. Okazało się, że ma pękniętą kość, ale na szczęście ją udało się uratować. Dziś wiem, że adrenalina potrafi działać znieczulająco. Bywa, że konie z poważnymi kontuzjami kończą gonitwy i jeźdźcowi czasem trudno się zorientować, że coś się stało. Moim zdaniem odpowiedzialność za takie wypadki ponoszą wszyscy, którzy biorą udział w wyścigach i zgadzają się na ten tak ekstremalny dla konia wysiłek: właściciele, trenerzy, jeźdźcy, komisja techniczna, a nawet widzowie, którzy to oglądają. Kiedy więc stanie się coś złego, nie zrzucajmy całej winy na nastoletnią amazonkę.

•

Tor Wyścigów Konnych na Służewcu to 140 hektarów, na których mieszczą się tory wyścigowe i treningowe, stajnie dla 800 koni, szpital dla koni, mieszkania komunalne dla pracowników. To największy z trzech torów wyścigowych w Polsce. Został oddany do użytku w czerwcu 1939 roku; wcześniej wyścigi rozgrywano na Polu Mokotowskim. Nazywany miasteczkiem wyścigowym, był wówczas największym i prawdopodobnie najnowocześniejszym torem w Europie, ale rozegrano na nim jedną gonitwę i wybuchła wojna. Teren zajęli esesmani i lotnicy; w stajniach trzymali sprzęt wojskowy. Wyścigi odbywają się więc tu dopiero od 1946 roku.

W tym roku sezon zostanie otwarty 19 kwietnia. Roczna pula nagród na Służewcu wyniesie 8 322 000 złotych. To pieniądze zapewnione przez Totalizator Sportowy, państwową spółkę, która w 2008 roku wzięła Państwowe Tory Wyścigów Konnych na Służewcu w dzierżawę na 30 lat.

W tym roku czeka nas 45 dni wyścigowych, 370 gonitw, w tym słynna Gala Derby, najbardziej prestiżowa gonitwa dla trzyletnich koni pełnej krwi angielskiej, o której tak czytamy na stronie Polskiego Związku Wyścigów Konnych: „Gala Derby, czyli wyścig o błękitną wstęgę, to gwarancja fascynującej rywalizacji, pięknych zwycięstw i niepowtarzalnych emocji w jednym z najpiękniejszych, zielonych miejsc stolicy”.

Kulminacją sezonu jest Wielka Warszawska, od trzech lat ciesząca się międzynarodowym znakiem jakości Listed. („Wyścigowe święto stolicy. Tego dnia Tor Służewiec przyciąga tłumy widzów, chcących obserwować jeden z najbardziej prestiżowych wyścigów w sezonie. Wielka Warszawska, nazywana Królową Służewieckich Gonitw, ustanowiona została w 1895 r. przez hrabiego Augusta Potockiego. Do dziś ten wyjątkowy wyścig stanowi jeden z wyznaczników warszawskiej tożsamości”).

Wyścigi konne mają swój dress code („Sukienka powinna zasłaniać ramiona i nie być krótsza niż przed kolano. Niezbędnym uzupełnieniem stylizacji jest odpowiednio dobrany kapelusz, fascynator lub toczek. Nieodłącznym elementem męskiej stylizacji jest koszula, spodnie powinny być eleganckie i precyzyjnie skrojone. Szyku i elegancji całej kompozycji doda marynarka. Bywalec wyścigów nie powinien zapomnieć też o nakryciu głowy. Warto tu postawić na klasyczne kapelusze i kaszkiety”).

Mają nawet swój słownik (folblut, fuks, forkenter, frontowy koń – tylko ze słów zaczynających się na F).

•

Czemu w ogóle służą wyścigi? W ustawie o wyścigach konnych z 2001 r. czytam, że gonitwy organizowane są w celu „wybrania odpowiedniego materiału zarodowego dla ulepszania ras koni”. Są to także „publiczne próby, których zadaniem jest ocena stopnia dzielności koni”. Wyścigi mają więc na celu wybór najlepszych koni do hodowli folblutów i arabów, bo to te dwie rasy biorą udział w wyścigach.

– Za komuny może i miało to związek z polskimi hodowlami – można usłyszeć w środowisku koniarzy. Weterani wspominają, że konie na wyścigach przechodziły próby dzielności, żeby móc je dalej selekcjonować pod kątem dalszej hodowli. Ale dzisiaj z polskich hodowli niewiele już nie zostało.

– W rzeczywistości hodowla to tylko pretekst, bo głównym filarem wyścigów jest hazard. Konie są w tym systemie jedynie narzędziem do pomnażania zysków. W tym celu są rozmnażane i wystawiane w gonitwach – mówi Magda Czajkowska vel Czajka, realizatorka filmu „Koń – jaki jest? Fakty i mity”, który powstał w ramach inicjatywy edukacyjnej non profit „Follow The White Horse” na rzecz dobrostanu tych zwierząt. – W Polsce jednym koniem można wygrać kilkaset tysięcy w złotych skali roku. Na świecie stawki idą w miliony dolarów. To jest po prostu biznes. Hazard. Rozrywka. A odbywają się one kosztem zdrowia i życia zwierząt – kwituje.

Bo Real Gold nie jest wyjątkiem. Wypadki koni zdarzały się na wszystkich trzech torach w Polsce: na Służewcu, gdzie odbywają się gonitwy płaskie, na Partynicach we Wrocławiu, które specjalizują się w gonitwach przez przeszkody, o 24 proc. bardziej wypadkowych niż płaskie oraz na sopockim Hipodromie, gdzie wyścigi odbywają się tylko latem.

Partynice zainwestowały co prawda w nowoczesne przeszkody z zabezpieczeniami, ale zdaje się, że ryzyka nie da się wyeliminować. W 2015 roku np. jednego dnia zginęły aż trzy konie: Kora, Habana i Espadon. W 2022 eutanazji poddano Rekiego, który doznał wieloodłamowego złamania kości podudzia podczas skakania przez przeszkodę. W 2024 uśpione zostały: Johnny Double, który złamał nogę, i Emilio Zapata, który złamał łopatkę.

FOT. FRANCISZEK MAZUR/AGENCJA WYBORCZA.PL

Koń, jaki jest, nie każdy widzi

800 koni
• mieszczą stajnie Toru Wyścigów Konnych na Służewcu

8 322 000 zł
• wynosi łącznie tegoroczna pula nagród w wyścigach na Służewcu

1,5 mln funtów
• czyli 7,44 mln zł wynosi pula nagród w jednym wyścigu w Anglii – Epson Derby

ok. 14 tys.
• wyścigowych koni folblutów rodzi się co roku w Irlandii. W Polsce ok. 130

5 proc.
• od wygranej dostaje w Polsce dżokej, 10 proc. trener, 85 proc. – właściciel

230 wypadków
• koni było w 2024 r. na torach wyścigowych w USA, 214 – w Wielkiej Brytanii, 73 – we Francji. W Polsce – nie wiadomo

80 proc.
• koni wyścigowych ma wrzody żołądka z powodu przewlekłego stresu

60 km/h
• to prędkość jaką osiąga koń na torze podczas wyścigu, światowy rekord to 70 km/h. W naturze tak szybko nie biega

3 razy
• podczas wyścigu można uderzyć konia batem w Niemczech. We Francji – 4 razy, w Norwegii nie można w ogóle, w USA nie ma ograniczeń, w Polsce – 6 razy

300 mln zł
• straty odnotowały wyścigi na Służewcu od 2008 roku do dziś

•

Pracownik toru:
To nie był koń do eutanazji! Miał pozrywane więzadła i poprzemieszczane drobne kości, ale nie musiał umierać. Właściciel podjął decyzję, żeby go uśpić, bo operacja miała kosztować co najmniej 10 tysięcy

Ile dokładnie jest takich przypadków? Ile koni pada po zejściu z toru z powodu bezpośrednich następstw przeciążeń? Nie wiadomo. PKWK nie prowadzi takich statystyk.

– To skandaliczne, że w Polsce nie ma żadnych oficjalnych danych dotyczących liczby urazów, wypadków śmiertelnych i eutanazji koni wykorzystywanych w wyścigach. Takie informacje są dostępne w Stanach, w Wielkiej Brytanii, w Australii – mówi Czajkowska vel Czajka. – To tym bardziej oburzające, że wyścigi funkcjonują za publiczne pieniądze, więc mamy prawo żądać pełnej jawności odnośnie do skali cierpienia eksploatowanych tam koni.

•

– To nie jest żaden biznes! – mówi Adam Wyrzyk. – My tego nie robimy dla pieniędzy! My to robimy dla nich, dla koni, żeby biegały. Koń przecież rodzi się po to, żeby biegać. Można powiedzieć górnolotnie, że my po prostu kochamy te zwierzęta. To jest tak nieopłacalne zajęcie, że zostają tylko pasjonaci tacy jak ja, którzy dokładają do interesu. Wie pani, ile płaci się za trening konia wyścigowego w Niemczech? Od 1,2 tys. do 3 tys. euro miesięcznie. We Francji? Minimum 3 tys. A u nas? 700 euro. Finansowo mi się to w ogóle nie spina.

– A właściciele? Roczna pula nagród to u nas 8 mln zł, czyli niecałe 2 mln euro. W jednym wyścigu w Anglii, Epson Derby, pula nagród to 1,5 mln funtów. Jeden ich wyścig przewyższa całą naszą roczną pulę! Nasze wygrane są tak niskie, że rzadko kiedy przewyższają koszty utrzymania i treningu konia. A ponieważ wyścigi są nierentowne, to i hodowle się zamykają. W 4-milionowej Irlandii rodzi się rocznie około 14 tys. wyścigowych folblutów. Hodowla to u nich gałąź gospodarki, stanowi 15 czy 20 proc. ich PKB. A w Polsce, 10 razy większej? Mamy 75 klaczy w hodowli państwowej i około 300 w prywatnej. Rocznie rodzi się około 130 źrebiąt – mówi z goryczą.

Kłopoty finansowe wyścigów zaczęły się po transformacji ustrojowej. W PRL-u hodowle i wyścigi należały do państwa, ale po 1989 r. sprywatyzowano prawie wszystkie stadniny. Prowadzone nieumiejętnie biznesy bankrutowały. Na Służewiec wkroczyła mafia pruszkowska. Jej boss Andrzej Kolikowski pseudonim „Pershing” był tu stałym bywalcem. Gonitwy były ustawiane. Właściciele i hodowcy zaczęli się wycofywać. W 1999 roku „Pershing” został zabity, ale wyścigi podupadły. – Zapaść finansowa była straszna. Wydawało się, że wyścigi padną – wspomina Wyrzyk.

Przed upadkiem uratował je Totalizator Sportowy, spółka państwowa podległa Ministerstwu Rolnictwa – w 2008 r. wziął służewiecki tor w 30-letnią dzierżawę. Wrócili właściciele i hodowcy, bo pojawił się stały, pewny sponsor, który wypłacał pieniądze zarobione przez konie w gonitwach.

– Niestety, Polski Klub Wyścigów Konnych osiadł na laurach – opowiada Jerzy Sawka, dyrektor wrocławskich Partynic. – Warszawa się ścigała, były pieniądze na nagrody, trenerzy trzymali konie w stajniach państwowych za bardzo małe pieniądze. Totalizator łożył na utrzymanie wszystkiego: stajni, mieszkań, infrastruktury. W pewnym momencie pula pieniędzy na nagrody stanęła na 8 milionach, ponieważ jeden z prezesów PKWK zgodził się na jednorazowe podniesienie kwoty, rezygnując z rewaloryzacji. Jemu to pasowało, bo przez chwilę wszyscy mieli więcej pieniędzy, ale ceny szły w góry, inflacja rosła, a nagrody stały w miejscu. To dlatego dzisiaj to wszystko jest tak niedoinwestowane.

Gdy zajrzeć do programów gonitw, uwagę zwracają egzotycznie brzmiące nazwiska jeźdźców. Dominuje Uulu, są także Abaev, Turgaev, Zholchubekov. Zasadniczo to jeźdźcy ze wschodu.

– Jeździectwo wyścigowe to nie jest już dla Polaków atrakcyjne zajęcie – mówi Sawka. – Zarabia się nędznie. Jeździec dostaje 5 proc. od wygranej. Trener – 10 proc., 85 proc. należy do właściciela. Poza tym to niebezpieczna zabawa. Trzeba mieć w sobie jakąś dozę szaleń-

eprasa.pl 2b2d0f0434

stwa, żeby jechać na koniu w stadzie tyle, ile fabryka dała. Startują więc u nas głównie Kirgizi, którym jeszcze się to opłaca. No i nastoletnie dziewczyny.

– 70 proc. obsługi w stajniach to nastolatki zakochane w koniach – mówi Wyrzyk. – Dziewczyny są też lekkie; mężczyznom trudno utrzymać wagę w okolicach 50-60 kilo. Ale dawniej, zanim taka dziewczyna dostała pierwszy dosiad, musiała dwa, trzy lata przepracować w stajni. Teraz przychodzi i trener od razu ją sadza na konia, bo nie ma kogo.

Żeby dostać licencję i zostać dopuszczonym do wyścigów, trzeba mieć minimum 16 lat i zdać egzamin w PKWK. Obowiązkowych szkoleń jednak nie ma.

– Egzamin teoretyczny jest głównie z regulaminu, można go wykuć na blachę w przeciągu dwóch dni. Części praktycznej nie ma, trener musi podpisać świstek, że w jego opinii ta osoba się nadaje, i tyle – mówi mi anonimowo jeden z pracowników toru. – W praktyce wygląda to tak: jeździec amator jeździ rok czy dwa nieodpłatnie. Na to są chętni, bo wyścigi są jedynym miejscem, gdzie nie trzeba płacić za jazdę konną. A dla nas to zysk – jak ktoś przejedzie konia, to my nie musimy tego robić. Jeżeli koniki są grzeczne, to jeżdżą głównie amatorki; dżokej albo inny doświadczony pracownik idzie tylko na poważniejszą robotę. Kiedy dziewczyna już się nauczy, zaczynamy jej płacić. Jeżeli przychodzi osoba nieletnia, to zwykle wymagamy zgody rodzica, ale jest dwóch trenerów, którzy mają w nosie, kogo wsadzają na konia.

Panie w kapeluszach, zgodnie z obowiązującym na wyścigach dress codem. Gala Derby na Służewcu, 1.07. 2018

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wyścigowe miasteczko rozciąga się za bramą, za którą elegancka publiczność nie ma już wstępu. Większość budynków – stajnie, szpital dla koni, domy z mieszkaniami dla pracowników – jest bardzo zaniedbana. Mam wrażenie, że czas się tu zatrzymał. Wieża ciśnień, zbombardowana w czasie II wojny światowej, wciąż leży w gruzach. Mógłby to być bardzo malowniczy teren: przepiękny starodrzew, prawie sto gatunków drzew, niektóre – ponadstuletnie – pozostały tu jeszcze po dawnym majątku. Do tego staw, strumyk, obecnie czarny jak smoła, domy z lat 30., zabytkowe stajnie...

Konie dobrze na tym nie wychodzą – stajnie nie odpowiadają nowoczesnym standardom, ale nie można ich zburzyć i postawić nowych, bo są pod konserwatorem zabytków. Można je tylko myć, ale, jak mówią pracownicy, tynk odpada razem z brudem.

O warunki pracy na Służewcu pytam Annę Goździk, 22-letnią uczennicę dżokejską i studentkę kierunku hodowla i ochrona zwierząt towarzyszących i dzikich w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Startuje od 18. roku życia; podczas sezonu bierze udział nawet w trzech wyścigach tygodniowo, a oprócz tego dosiada koni na treningach.

Ten sport jest niebezpieczny także dla ludzi. Ma za sobą kilka wypadków: połamany nos, naderwane więzadła w kolanie, naderwane ścięgno w ręku. Ale, jak mówi, praca z końmi i adrenalina na wyścigach są tak uzależniające, że jak się zacznie, to nie można przerwać. Jeździ codziennie prócz niedziel; o 6 rano jest już w stajni i jeździ dopóty, dopóki nie musi iść na uczelnię, maksymalnie do 13.

– Warunki? Średnie. Infrastruktura jest stara – krzywi się. – W większości stajni np. nie ma toalet – to dość duże utrudnienie dla pracowników. Nie ma też hali, więc przez cały rok trenujemy na otwartej przestrzeni. Pada, wichura, ulewa, śnieg, a my jeździmy. Stan torów pozostawia wiele do życzenia. Na padoki nie ma miejsca. Młodzi trenerzy starają się robić małe padoczki i wypuszczają konie na zmianę. U niektórych trenerów konie wychodzą codziennie, ale u innych wcale albo na chwilę. Wszystko zależy od stajni. Młodsi bardziej starają się dbać o dobrostan koni, decydują się na usługi fizjoterapeutów, ale starsi raczej robią wszystko tak, jak kiedyś się robiło – mówi. – Jest też za mało ludzi do pracy. Pracowałam kiedyś przez miesiąc na torze we Francji. Tam jedna osoba miała 3-4 konie dziennie do przejechania; u nas – 7-8.

Zdaniem Adama Wyrzyka za wypadki odpowiadają: niekompetencja, presja i brak pieniędzy. – W zeszłym roku dyrektor Nowacki zorganizował wielką imprezę: trybuny porezerwowane, kupa ludzi, dużo z ambasad – opowiada.

– Było bardzo gorąco, ale zapowiadano burze, więc nie polali toru wodą. Burze jednak ominęły Służewiec i tor już w sobotę, poprzedniego dnia, był twardy. Biegałem czterema końmi i jeden wrócił kulawy. „Wycofuję konie z niedzieli" – mówię. Obdzwoniłem właścicieli i trenerów, część się wycofała, ale dwóch zdecydowało, że ich konie pobiegną. Dostałem karę, bo Polska jest jedynym krajem, w którym trener nie ma prawa wycofać swojego konia, nawet jeśli widzi, że są złe warunki! Tylko lekarz może to zrobić. Byłem więc do tyłu o 600 zł wpisowego i 400 zł za wycofanie, ale musiałem ratować swoje konie. Nie tak to się powinno odbywać... Na Służewcu tymczasem wpadli na kretyński pomysł, żeby w niedzielę rano, tuż przed gonitwą, polać te wysuszone, twarde bieżnie wodą. Nawierzchnia rozpuściła się tylko z wierzchu, konie zaczęły się ślizgać. Jednemu nogi się po prostu rozjechały, złamał sobie łopatkę. Wybuchło zamieszanie, komisja chodziła, ale organizatorzy ciągnęli dalej gonitwy na tym twardym, śliskim, niebezpiecznym torze. Tego dnia przewróciły się trzy konie!

Na Hipodromie w Sopocie wyścigi odbywają się tylko latem, ale i tu zauważono nieprawidłowości.

– Docierały do nas liczne sygnały, że infrastruktura hipodromu jest w katastroficznym stanie – opowiada mi Adam Buźniak ze stowarzyszenia Ruch Obywatelski w imieniu Sopocian. – Mieliśmy doniesienia o odchodach szczurów i gołębi w poidłach, i spleśniałym sianie. Były przypadki chorób skórnych i układu pokarmowego u koni, a także okulawień z powodu stert śmieci i niezabezpieczonych studzienek kanalizacyjnych. Niestety, obiekt pod obecnym kierownictwem przypomina stajnię Augiasza. Ale uważam, że o nieprawidłowościach w świecie jeździectwa należy mówić całościowo, nie tylko w kontekście zagrożenia dobrostanu zwierząt, ale także finansów. Przez ostatnie 8 lat spółka, której właścicielem jest miasto Sopot, wygenerowała 14 mln zł straty; czekamy właśnie na kontrolę NIK. Dopiero takie ujęcie pokazuje, że problem nie sprowadza się do pojedynczych incydentów, lecz ma charakter systemowy – ocenia społecznik. – Istnieje powtarzalny mechanizm na każdym z polskich torów: finansowa dziura w portfelu uruchamia spiralę oszczędności tam, gdzie nie powinno się ich szukać, czyli na: dobrostanie zwierząt, wynagrodzeniach pracowników, stanie infrastruktury. To patologiczny model.

Dawniej, zanim dziewczyna dostała pierwszy dosiad, musiała dwa, trzy lata przepracować w stajni. Teraz przychodzi i trener od razu ją sadza na konia, bo nie ma kogo

Jakie są statystyki wypadków śmiertelnych koni na torach za granicą?

W USA w 2024 r. było ich 230, w Wielkiej Brytanii – 214, w Australii – 139, we Francji – 73.

W Polsce – nie wiadomo, ale na pewno mniej, bo mamy tylko trzy tory, na których startuje około 1,5 tysiąca koni.

– W 2025 r. na 1500 zgłoszonych koni kontuzji, które skończyły się śmiercią, mieliśmy trzy – mówi mi anonimowo pracownik toru na Służewcu. – Jeden koń miał wadę serca, drugi otwarte złamanie i nie przeżył operacji. Trzeci to Real Gold.

Ile jest kontuzji, które nie kończą się uśpieniem konia, nie wiadomo. O tym opinia publiczna nie słyszy.

– Konie po wyścigach, z którymi ja pracowałem, były tak zniszczone psychicznie i fizycznie, że trudno było im odzyskać zaufanie do człowieka – mówi Michał Białkowski. – Niektóre miały tzw. bezradność wyuczoną. Nie reagowały już ani na bat, ani na marchewkę. Ciężko było nawiązać z nimi kontakt, były w stanie depresji. Inne były tak znarowione i znerwicowane, że nie potrafiły się odnaleźć na padoku. Znam przypadki, że wypuszczane z boksów wpadały na ogrodzenie i same łamały sobie nogi. Nie znały czegoś takiego jak bieganie na wolności.

– Nigdy nie dopasowywałem siodeł koniom wyścigowym, bo niestety z mojej wiedzy wynika, iż tam nie korzysta się z takich usług – mówi Michał Dobrowolski, osteopata i fizjoterapeuta koni, specjalista od dopasowywania siodeł, ogłowi i wędzideł. – Trafiają natomiast do mnie konie po karierze wyścigowej. Są to w przeważającej części konie kalekie. Mają zwyrodnienia w kręgosłupie, problemy ze ścięgnami, więzadłami, z trzeszczkami, które pokazują, że były zbyt mocno przeciążone w młodym wieku. Bukszyny – stany zapalne okostnej wynikające z przeciążeń i z mikrouszkodzeń kości – występują tylko u koni wyścigowych. Takich urazów nie ma nawet w sporcie. To są często zmiany nieodwracalne, trudne w rehabilitacji, więc konie mogą odczuwać ból już do końca życia. Często nie mogą już nosić jeźdźca bez powodowania dalszych uszkodzeń i bólu. Mogą nie nadawać się już ani do jazdy sportowej, ani rekreacyjnej.

– Badania naukowe pokazują, że 80-90 proc. koni wyścigowych cierpi na wrzody żołądka. To skutek przewlekłego stresu, intensywnego wysiłku, nienaturalnej diety oraz warunków niezgodnych z naturalnymi potrzebami koni – dorzuca Magda Czajkowska.

Dlaczego konie po dwóch, trzech latach ścigania się są w tak fatalnej kondycji fizycznej i psychicznej?

Wyścigi to, jak opowiada mi Jerzy Sawka, dla koni ekstremalny wysiłek. Podczas gonitw osiągają prędkość około 60 km na godzinę. Światowy rekord przekracza 70 km na godzinę na dystansie 400 m. Koń w naturze tak szybko nie biega.

– W naturze konie przemieszczają się głównie stępem; czasem w okresie godowym potańczą, ale na co dzień nie tracą energii bez sensu. Do galopu zrywają się tylko, gdy uciekają przed drapieżnikiem. Żywią się paszą objętościową – trawą, korzonkami. Pasą się przez 16 godzin na dobę. W stajni dostają trzy razy dziennie paszę treściwą, która poprawia ich kondycję, jednak biologia nie zaprojektowała ich na tak ekstremalne biegi. To dlatego kość czasem łamie się jak zapałka, bo nie jest obliczona przez przyrodę na takie obciążenia – mówi Sawka.

Zwłaszcza u tak młodych koni. Zgodnie z prawem konie pełnej krwi angielskiej mogą zacząć startować w wyścigach, kiedy mają dwa lata. Sawka: – Dwulatki nie powinny startować w wyścigach, to są jeszcze dzieci.

– Ścigają się dwulatki, i to według rocznika, czyli zdarzają się nawet kilkunastomiesięczne źrebięta! Dwulatek to, przeliczając na nasz wiek, 12-13-latek. Może być podrośnięty, ale to dalej dziecko – oburza się Michał Dobrowolski. – Lekarz weterynarii bada im co prawda stopień skostnienia stawu nadgarstkowego, ale ta struktura kostnieje bardzo wcześnie. Kostnienie wyżej położonych stawów, łopatki, kręgosłupa, miednicy, trwa nawet do 6.-8. roku życia. Z mojej perspektywy po raz pierwszy konia można obciążać ciężarem jeźdźca najwcześniej, kiedy skończy 4 lata, ale do 6. roku życia powinna to być bardzo delikatna praca. Gdyby wprowadzono takie standardy, kontuzji na wyścigach byłoby znacznie mniej.

Zresztą w ustawie o ochronie zwierząt zabrania się użytkowania koni zbyt młodych. Jest zapis, że do zrywki drewna nie wolno użytkować koni poniżej 5. roku życia. Niestety, co do innych form pracy nie ma twardych wytycz-

eprasa.pl 2b2d0f0434

nych. Ale to, co mówię, dla wielu jest niewygodne. Utrzymywanie konia przez kilka lat dłużej nikomu się nie opłaca.

– Przybija im się podkowy do kopyt, co powoduje u koni w fazie wzrostu deformację i osłabienie kopyt, które odpowiadają za całą nogę – dorzuca Michał Białkowski. – Poza tym przed tak wielkim wysiłkiem brakuje im odpowiedniej rozgrzewki. Jest tylko krótki spacer po płycie, a potem zaraz galop. Żeby wszystkie mięśnie się dotleniły, rozciągnęły, rozgrzały, konie powinny się poruszać przez minimum 30 minut. Na wyścigach są rozgrzane dopiero pod koniec gonitwy.

Jest jeszcze kwestia siodeł. Te stosowane na wyścigach są maksymalnie lekkie; ważą między pół a półtora kilograma. – To zabawki. Nie mają żadnych struktur, które zapewniłyby komfort zwierzęciu. Chodzi wyłącznie o to, żeby jeździec miał na czym stanąć w strzemionach. Waga jeźdźca w ruchu to nawet kilkukrotność wagi statycznej. Można to porównać do ciężkich zakupów w reklamówce, która wbija nam się w rękę, i do zakupów w wygodnym plecaku ze stelażem. Niska masa reklamówki przestaje być w tej sytuacji jej atutem. Tak samo lekkie siodła. Opierają się na wyrostkach kolczystych kręgosłupa zamiast na mięśniach i traumatycznie działają na struktury kostne – mówi Dobrowolski.

– Ale tak jest niestety wszędzie na świecie. Rozmawiałem z producentami brytyjskich siodeł; mówili, że próbowali wprowadzić na rynek siodła o lepszej konstrukcji, ale nie było zainteresowania rynku. Wszyscy powtarzają te mity – wyścig jest krótki, więc to nie szkodzi. – Koniom na wyścigach brakuje tego, czego najbardziej potrzebują – łagodnego, swobodnego ruchu i relacji stadnych – ciągnie. – Źrebaki zabierane są ze stada, w którym się odchowują, i często zamykane są w boksach o wymiarach 3 na 3 metra. Dla takiego konia to jest więzienie.

– Stoją po 23 godziny w boksach. Wychodzą tylko na godzinę treningu dziennie – mówi Anna Stasiak. – Są karmione energetycznymi paszami, ale nie mają gdzie tej energii zużyć. Kiedy taki koń w końcu wyjdzie, jest bombą zegarową. Wyścigowcy nie wypuszczają go więc na padok z obawy, że się uszkodzi. I koło się zamyka.

– Jest na to nawet określenie: chów boksowy… Koń, żeby być zdrowy i szczęśliwy, potrzebuje interakcji z innym koniem, padoku, pastwiska – tu to wszystko jest mu odebrane. A można by było zrobić to inaczej – mówi Białkowski.

Sam wyścig to wielkie emocje, adrenalina, stres. – Wychodzą ze swoich boksów w ten rejwach – tłumy ludzi, megafony, telebimy, baloniki – i cały układ nerwowy aktywuje im się do walki lub ucieczki – opowiada Stasiak.

– Widać, jak bardzo są napięte, zdenerwowane. Kiedy ścigałam się na mojej klaczy Bachtance, przyjeżdżałam z nią specjalnie w inny dzień wyścigowy, żeby z nią pochodzić wśród ludzi, żeby się oswoiła chociaż z tym środowiskiem. Tak się bała telebimu, że spędziłyśmy obok niego chyba z godzinę. Ale zwykle dżokej dosiada dziennie kilku koni i nie ma na to czasu.

– Branża wyścigowa przekonuje, że konie lubią się ścigać. To mit! One uciekają napędzane strachem – mówi Magda Czajkowska. – Podczas gonitwy koń jest w stanie przypominającym panikę. Reaguje ucieczką na zagrożenie, jakim jest człowiek z batem siedzący na jego grzbiecie. Jako zwierzę stadne naśladuje też inne pędzące konie. W naturze konie uciekają razem przed drapieżnikiem, a największe szanse na przeżycie mają te, które są najszybsze. – Do tego ten cały arsenał metod i narzędzi powodujących ból, które środowisko jeździeckie eufemistycznie nazywa „pomocami" jeździeckimi służącymi do „komunikacji" z koniem. Serio? Byłam po tamtej stronie, wywodzę się z branży jeździeckiej, znam te mity, ten zafałszowany język. Bicie batem nazywa się „zachętą" lub „popędzaniem". Zadawanie bólu przy pomocy wędzidła lub ostróg „presją". A odczuwany przez konia ból „dyskomfortem". Podobnie robią myśliwi, którzy krew nazywają farbą… Ostro działające wędzidła i patenty używane na wyścigach służą do podporządkowania sobie zestresowanego i przerażonego konia. Mogą powodować poważne urazy w obrębie pyska: uszkodzenia tkanek, krwawienia, a nawet deformacje i martwicę języka.

– Okrutną praktyką na wyścigach jest wiązanie języków – ciągnie. – Konie, broniąc się przed bólem, próbują przełożyć język nad wędzidło. Żeby tego nie robiły i żeby jeździec miał pełną kontrolę nad koniem, przywiązuje im się język do żuchwy gumą, rajstopą, skórzanymi paskami. To zakazane, ale nadal praktykowane. Są na to dowody – liczne filmy i zdjęcia zrobione podczas gonitw, widać to na zbliżeniach. Ani sędziowie, ani komisje techniczne nie reagują. I to wszystko robią „miłośnicy" koni.

●

– Bez przesady! Większość naszych koni wygląda jak pączki w maśle. Cieszą się, jak idą do roboty, a potem zadowolone z siebie wracają do pełnego żłobu – protestuje Maria Nikonorow, wieloletnia pracowniczka służewieckiego toru. Dawniej startowała w wyścigach, dziś robi zdjęcia podczas gonitw, pomaga sprzedawać konie, zrzesza właścicieli. – Są pod stałą opieką weterynaryjną, bo na Służewcu mamy szpital. Nie wszystkie dwulatki startują; są na torze trzylatki, które zbijają bąki przez cały rok. Bat jest potrzebny do kontrolowania, choć liczbę uderzeń ograniczyłabym do trzech, bo jeżeli koń nie odda po trzech batach, to już nie odda i nie ma sensu go bić. Dzisiaj baty zrobione są z neoprenowej pianki; konie bardziej boją się tego trzasku niż uderzeń. To nie są już te baty co dawniej, które potrafiły ciąć skórę.

Faktycznie przez większość czasu stoją w boksach, bo nie mamy miejsca na padoki. Ale spędzają na wyścigach 2-3 lata, to tylko krótki epizod w ich życiu. Mają czasami lekki problem z przystosowaniem się do życia wśród innych koni, na padoku, ale też to nie są żadne maszyny do zabijania. Po prostu muszą się nauczyć funkcjonowania w nowej rzeczywistości. Latami potrafią potem pracować w rekreacji czy sporcie.

Nasz tor też nie jest taki zły, na pewno łapie się w tej lepszej połowie torów w Europie, choć oczywiście nie jest to Longchamp, gdzie trawa wygląda jak zrobiona przez sztuczną inteligencję. No ale oni tam mają od tego specjalistów, u nas brakuje ludzi. Ale jeżeli chodzi o dbałość o konie, to naprawdę to są pojedyncze przypadki zaniedbań wynikających też po części z tego, że musimy rzeźbić w koniach, które się nie nadają. Jeśli zakażemy wyścigów, to trzeba zakazać też innych sportów jeździeckich. Tam też jest bardzo dużo kontuzji, tylko tam nikt tego nie widzi. A nas ludzie oglądają.

– Powiem tylko jedno: tak dobrze, jak mają konie wyścigowe, konie nie mają nigdzie – mówi Krzysztof Ziemiański. – Są zadbane, dobrze odżywione, dostają najlepsze jedzenie, suplementy. Codziennie 2 godziny sobie trenują, a raz na jakiś czas startują i biegną przez 2 minuty. Na tym polega to całe „zło" wyścigów.

●

– Kiedy się ścigałam, wszystkie te rzeczy wydawały mi się zupełnie naturalne – mówi Anna Stasiak. – Kiedyś jednak zobaczyłam taki filmik na YouTubie: tata dżokej trenuje z batem na sztucznym koniu – opowiada. – A obok niego jego synek, może 4-letni, siedzi okrakiem na kanapie i robi dokładnie to samo co ojciec – okłada bacikiem kanapę. Bardzo dużo polubień miał ten filmik: taka ładna relacja pomiędzy tatą a synkiem, wspólna pasja… A ja zobaczyłam, że to dziecko od samego początku uczy się, że konia się bije. Wstrząsnęło to mną. Gdyby ktoś okładał batem psa – od razu ktoś by zareagował. wezwano by policję. A konie wyścigowe wciąż są bite podczas gonitw i wszyscy uważają to za normalne. I ja też w tym byłam! Przyszłam przecież na wyścigi z miłości do koni. Opiekowałam się nimi, głaskałam, przytulałam, a potem biłam batem. Wydawało mi się, że nie można inaczej.

– Ile razy można uderzyć konia batem? – pytam.

– To zależy od kraju. W Polsce – sześć. W Stanach nie ma ograniczeń; sama widziałam, jak koń, który wygrał Kentucky Derby, dostał kilkanaście batów. W Norwegii – ani razu, chyba że sytuacja zagraża bezpieczeństwu – mówi.

– Kolejnym przełomowym dla mnie momentem było pojawienie się na Partynicach Sang Jang. To był bardzo trudny koń, kopał, gryzł, wariat po prostu. Trener zwrócił się o pomoc do Jurka Sawki, który zajmował się naturalnym jeździectwem – wspomina dżokejka. – Zaczęłam podglądać, jak on pracuje z tym koniem. Nie używał bata, nie było żadnego szarpania, żadnej przemocy. Po trzech miesiącach to był już zupełnie inny koń – spokojny i zrównoważony. Ja sama trzy raz dosiadałam go w gonitwie, raz wygrałam. Zaczęłam uczyć się tego naturalnego jeździectwa. Zrozumiałam, że wcale nie potrzeba siły, żeby się dogadać z końmi. To wrażliwe, inteligentne istoty, chcą z nami współpracować. Wysyłają nam delikatne sygnały, tylko my ich nie słyszymy.

Zakazać wyścigów? Jeżeli lekkoatleta łamie nogę na bieżni albo piłkarz schodzi na zawał serca, to znaczy, że trzeba od razu zamykać stadion? Poza tym wyścigi konne to element naszej tożsamości! Jesteśmy przecież potomkami husarzy

Z trenerem Adamem Suchorzewskim, jej partnerem, tworzyli team. W 2014 otworzyli swój własny ośrodek treningowy, gdzie konie miały przez cały dzień dostęp do padoków, były trenowane bez bata i bez wędzidła, zgodnie z naturalnymi metodami. – Nie zdecydowałam się tylko na starty w gonitwach na bezwędzidłowym ogłowiu, choć przepisy tego nie określają, bo obawiałam się, że koń zostanie wycofany. Jedna z naszych klaczy, Bachtanka, wygrała bez bata bardzo ważną gonitwę i została koniem roku 2015. Pokazaliśmy, że przemoc jest niepotrzebna. Dzisiaj raczej nie jeżdżę już konno. Moje konie żyją sobie w stadzie, na padoku, swobodnie.

●

Stasiak: – Jakbym miała taką moc, chętnie wypuściłabym wszystkie te konie na dzikie łąki. Ale to niemożliwe. Moim marzeniem jest więc, żeby choć trochę polepszyć ich los na wyścigach. Realne jest to, żeby konie w Polsce ścigały się bez bata tak jak w Norwegii. Ale opór środowiska jest bardzo silny. Kiedy zaczęłam o tym mówić, jedna amazonka powiedziała mi: „Ania, jestem po twojej stronie, ale nie powiem tego na głos". Trudno jest się przeciwstawić całemu środowisku. Każda zmiana to wysiłek. Łatwiej uderzyć konia, niż się nauczyć, jak działa jego układ nerwowy, i tak się z nim dogadać, żeby reagował na delikatne sygnały.

Czajka: – To jest wykorzystywanie zwierząt w celach hazardowych i rozrywkowych. Prawo jest po stronie koni: zgodnie z ustawą o ochronie zwierząt zadawanie bólu koniom to znęcanie. Tragedia polega na tym, że nikt nie nazywa rzeczy po imieniu. Wmawia się nam, że bicie batem nie boli. Urazy, kontuzje i wysiłkowe złamania nóg na torze też nie są dla koni bolesne? A co z ich cierpieniem psychicznym? Jeśli będziemy ulegać mitom i ograniczać się jedynie do małych kroków naprawczych, to realna poprawa dobrostanu koni wyścigowych nastąpi, ale za 200 lat. W tym czasie miliony koni na całym świecie nadal będą przechodziły tę całą katorgę. Branża miała dotychczas mnóstwo czasu, aby się uzdrowić, i nie zrobiła tego. Dlatego uważam, że należy zakazać wyścigów.

Dobrowolski: – Ja też jestem za zakazem. To nie są pojedyncze wypadki, to działanie systemowe, świadome przeciążanie zbyt młodych koni. Nawet pojawianie się na wyścigach jest formą wspierania tego procederu. Środowisko wyścigowe nie jest w stanie samo się zmienić; jedynym wyjściem jest presja społeczna.

Wyrzyk: – Zakazać wyścigów? Jeżeli lekkoatleta łamie nogę na bieżni albo piłkarz schodzi na zawał serca, to znaczy, że trzeba od razu zamykać stadion? Ryzyko jest wpisane w każdy sport! Poza tym wyścigi konne to element naszej kultury, tożsamości! Jesteśmy przecież potomkami husarzy, ułanów… To tak, jakby ktoś mi zabronił hymnu śpiewać albo flagi na maszt wciągać! Zakazać wyścigów? A co by się wtedy stało z końmi? Kto by je utrzymywał? Wszystkie poszłyby do rzeźni. Zresztą… Nie trzeba ich zakazywać, same niedługo padną, wiele już nie trzeba. Pomimo takich tradycji Polska jest podłym krajem dla koni. Za chwilę w ogóle znikną z naszego krajobrazu. Nikt ich nie będzie trzymał prócz paru świrów.

●

– Po obaleniu PiS miałem wystąpienie w Senacie na posiedzeniu komisji rolnictwa – mówi mi Jerzy Sawka. – Powiedziałem wtedy, że polskie wyścigi konne już są trupem, marginesem światowych wyścigów. Kompletnie się nie liczą. Podniosły się oburzone głosy, ale po cichu każdy przyznaje mi rację. Nie wierzę w ich rozwój, bo nigdy wielkiej tradycji u nas nie było. To, co opowiadają niektórzy koniarze, że przed wojną to było coś, to jest mit opowiadany przez pasjonatów.

Wyścigi są w Polsce nierentowne, ta dyscyplina musi mieć dziś sponsora. W przypadku Służewca jest nim Totalizator Sportowy. Jestem pewien, że Totalizator chętnie by się z tej umowy wycofał, bo nie ma w tym żadnego interesu. Na całym świecie wyścigi utrzymują się z hazardu. Polska jest jednym z nielicznych krajów, w którym państwo do tego dopłaca. To ewenement – Totalizator, instytucja, która zajmuje się hazardem, nie zarabia na jednej ze swoich branż, tylko ją finansuje. Beata Stelmach, prezes zarządu Totalizatora, powiedziała niedawno na spotkaniu Rady Polskiego Klubu Wyścigów Konnych, że strata, jaką odnotowali na Służewcu od 2008 roku do dzisiaj, to 600 milionów złotych.

W przypadku naszych Partynic sponsorem jest miasto Wrocław, które wykłada 1 840 000 złotych na nagrody i utrzymuje infrastrukturę. Dlatego ja stawiam na to, żeby to było miejsce atrakcyjne dla mieszkańców i turystów. Dbamy o to, żeby było ładnie i elegancko, prowadzimy też potężną rekreację jeździecką. Publiczność wali do nas na wyścigi drzwiami i oknami, ale prawda jest taka, że to jest tylko widowisko rekonstrukcyjne, teatr.

A skoro tak, to uważam, że Ministerstwo Rolnictwa powinno wymusić pewne zmiany. Na świecie dwulatki startują, żeby jak najszybciej zaczęły zarabiać. Skoro wyścigi w Polsce i tak nie są biznesem, to zakażmy startu dwulatków. Derby, najważniejsza gonitwa sezonu, wszędzie na świecie jest dla koni trzyletnich – zróbmy ją u nas dla czterolatków, bo koń pełnej krwi angielskiej pełnię swoich możliwości osiąga w wieku 4-5 lat. Zakażmy stosowania bata. Mały może więcej, bo niczym nie ryzykuje. Świat potrzebuje odważnych przykładów. Ale to jest bardzo konserwatywne środowisko. Kiedy wystąpiłem z takim wnioskiem, zostałem uznany za wariata, który chce ruszać coś, co jest usankcjonowane tradycją.

Tymczasem nowa generacja nie będzie zainteresowana wyścigami. Coraz więcej organizacji prozwierzęcych kieruje reflektor na wyścigi, pytają, po co my się ścigamy na tych koniach. Porównują nas do corridy. To dotyczy całej Europy.

Natomiast perspektywa świata jest inna. 31 października odbędą się inicjujące wyścigi w Chinach. Azjaci uwielbiają hazard. Wkrótce powstanie tam potężny rynek dla hodowców koni pełnej krwi angielskiej z Australii i Europy. To szansa także dla naszych hodowców. ●

eprasa.pl 2b2d0f0434

Zastanawiałem się, jak wykorzystać logikę w rozwiązywaniu problemów trapiących ludzkość.

Z **ROBERTEM KOWALSKIM,** EMERYTOWANYM PROFESOREM LOGIKI OBLICZENIOWEJ W IMPERIAL COLLEGE LONDON ROZMAWIA **ROBERT STEFANICKI**

FOT. GETTY IMAGES

JAK USZCZĘŚLIWIĆ SMOKA

ROBERT STEFANICKI: Heraklit już dwa i pół tysiąca lat temu zauważył, że wszystko płynie, ale dziś to nie rzeka, lecz wodospad. Jak to wygląda z perspektywy człowieka, który całe życie zawodowe poświęcił logice, mieszka na spokojnym południu Anglii i obserwuje świat od ponad ośmiu dekad?

ROBERT KOWALSKI*: Tak, świat zmienia się szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Kiedy Barack Obama został prezydentem USA w 2009 roku, myślałem, że wkraczamy w nową erę rozumu, pojednania i oświecenia. Ale gdy nastał Trump, straciłem wiarę, że historia jest zapisem postępu moralnego ludzkości.

Dziś nie wiemy, jakie spustoszenie wywoła jutro. Zasady, które kiedyś pomagały nam przewidywać przyszłość, zostały zastąpione groźbami, pokazami siły.

Nie mogę powiedzieć, że byłem całkowicie nieprzygotowany. Na emeryturze poświęciłem dużo czasu na studiowanie historii, w tym II wojny światowej. Przeczytałem dzienniki Victora Klemperera, książkę Normana Daviesa o powstaniu warszawskim, książki Anne Applebaum o Gułagu i Ukrainie oraz „Skrwawione ziemie. Europę między Hitlerem a Stalinem" Timothy'ego Snydera.

Dziś Snyder, ostry krytyk aktualnego prezydenta USA, mógłby napisać drugi tom: „Europa między Trumpem a Putinem".

– Natomiast całkowitym zaskoczeniem dla mnie jest ogromny wpływ internetu i mediów społecznościowych na niemal każdy aspekt naszego życia. Na sposób, w jaki robimy zakupy, zdobywamy informacje i komunikujemy się z przyjaciółmi i innymi ludźmi, a w szczególności na to, jak zniekształcają wiadomości.

Nie widzę w historii żadnych paraleli i wskazówek, jak potoczy się przyszłość. Bardziej niż cokolwiek innego martwi mnie to, że garstka wpływowych ludzi kontroluje platformy społecznościowe i wykorzystuje je do manipulowania naszym sposobem myślenia i zachowania. Obawiam się, że dalsza konsolidacja ich władzy i wpływów będzie jednym z głównych zastosowań sztucznej inteligencji w przyszłości.

Jako 23-letni student z USA przyjechał pan do komunistycznej Polski, aby studiować logikę na Uniwersytecie Warszawskim. Skąd tak osobliwy pomysł?

– W 1963 roku ukończyłem matematykę na uniwersytecie w moim rodzinnym Bridgeport w stanie Connecticut i podjąłem studia podyplomowe na Stanfordzie. Na pierwszym roku moim ulubionym przedmiotem była logika matematyczna. Postanowiłem wtedy, że chcę studiować logikę symboliczną.

Od razu wyjaśnijmy, czym różni się logika matematyczna od symbolicznej.

– To dwa terminy stosowane zamiennie na coś, co czasami nazywa się również logiką formalną. Logika jest przedmiotem zainteresowania wielu różnych dyscyplin akademickich, używających odmiennej terminologii. Filozofowie badają to, co nazywają logiką filozoficzną, matematycy – logiką matematyczną, a informatycy – logiką obliczeniową.

Większość używa do tego symboli zamiast zdań języka naturalnego, co pozwala traktować je jako wyrażenia matematyczne. Warto dodać, że niektórzy filozofowie opowiadają się za logiką nieformalną, która pokrywa się z logiką formalną, ale nie wymaga użycia symboli matematycznych.

Dla mnie w 1963 roku jedynym sposobem, aby studiować logikę symboliczną, było podjęcie studiów na kierunku matematyki ogólnej, ze specjalizacją w logice matematycznej. Odkryłem, że Stanford oferuje program wymiany z Uniwersytetem Warszawskim, a uczelnia ta cieszy się międzynarodową renomą w tej dziedzinie.

Dało mi to możliwość studiowania logiki w pełnym wymiarze godzin, bez rozpraszania się innymi dziedzinami matematyki. Program wymiany rozpoczął się od intensywnego kursu języka polskiego pod koniec lata.

Być może silna reprezentacja logiki i matematyki w polskiej nauce stanowiła odtrutkę na absurdy realnego socjalizmu. Czy w dzisiejszym świecie, spolaryzowanym i pulsującym w rytmie zbiorowych emocji, logika może być opoką rozsądku, arbitrem prawdy?

– Czysta logika nie mówi nam, w co wierzyć i co jest prawdą. Mówi nam, jak prawda jednego zdania jest powiązana z prawdą innych zdań. Co więcej, nie dyktuje wyboru języka, którego używamy do opisu świata.

Ujmując nasze doświadczenia w słowa, możemy ignorować lub bagatelizować pewne ich cechy, a uwypuklać inne. Na te filtry może wpływać naturalny język, którym mówimy, kultura, w jakiej jesteśmy osadzeni, a nawet stan naszych emocji.

Czysta logika nie może rozstrzygać między różnymi sposobami postrzegania i opisywania świata ani rozstrzygać o prawdziwości różnych systemów przekonań. Ale może pomóc wykorzystać te przekonania do osiągnięcia celów i określić, czy niektóre systemy przekonań są do tego bardziej przydatne niż inne, niezależnie od tego, czy przekonania są prawdziwe.

Czyli logika może służyć zarówno dobru, jak i złu. Autokratyczny reżim postępuje logicznie, topiąc protesty we krwi, bo jego celem jest przetrwanie reżimu.

1 RP

eprasa.pl 2b2d0f0434

– Ocena, czy działanie jest dobre czy złe, jest częściowo kwestią perspektywy: to, co jest dobre dla jednego podmiotu, może być złe dla innego.

Aby zrozumieć, czy działanie jest dobre czy złe, warto rozróżnić bezpośrednie, zamierzone konsekwencje działań od ich pośrednich konsekwencji.

Na przykład, jeśli jestem głodny (cel), idę do kuchni i robię kanapkę (działanie), bezpośrednią konsekwencją jest zaspokojenie głodu. Ale robiąc tę kanapkę, mogę zużyć ostatni bochenek chleba w domu, a moja żona nie będzie mogła rano zrobić sobie śniadania.

Zło często wynika nie ze złej woli, ale z błędnej kalkulacji lub nieuwzględnienia celów innej osoby w naszym logicznym procesie decyzyjnym. Logika symboliczna pomaga nam budować lepsze modele, które pozwalają nam obliczyć te konsekwencje, zanim wystąpią. A także lepiej oceniać intencje.

Czy ktoś zamierzał mnie skrzywdzić (bezpośrednia konsekwencja), czy po prostu nie przewidział skutków ubocznych (pośrednie konsekwencje)?

Jeśli rozumiem twoje cele i dojdę do logicznego wniosku, że moje działanie – choć dobre dla mnie – ci zaszkodzi, mogę poszukać innej drogi. W ten sposób sucha logika pomaga nam budować świat z mniejszą liczbą konfliktów.

Logika może też pomóc w uniknięciu konfliktów między niekompatybilnymi sposobami osiągania celów. Na przykład załóżmy, że Alicja i Piotr dzielą się samochodem i że Alicja chce nim pojechać do pracy, a Piotr do lekarza.

Załóżmy, że Alicja wie (ma prawdziwe przekonanie), że jeden z jej sąsiadów jeździ do tego samego miejsca pracy. Wtedy może wykorzystać swoją wiedzę, aby zabrać się z sąsiadem jego autem, co umożliwi Piotrowi skorzystanie z samochodu, żeby pojechać do lekarza.

To logiczne, ale i banalnie proste. Potrzebujemy do tego logików?
– To trywialne w przypadku dwóch osób dzielących samochód, ale sytuacja zmienia się diametralnie, gdy przechodzimy do konfliktów takich jak np. spór izraelsko-palestyński. Logicy mogą pomóc w ich rozwiązywaniu, formalnie analizując odmienne cele i przekonania stron konfliktu oraz identyfikując miejsca ich powstawania.

Chętnie się dowiem, co mówi logika na temat „nierozwiązywalnego" konfliktu izraelsko-palestyńskiego.
– Próbując pogodzić sprzeczne interesy Izraela i Palestyny, możemy zacząć od zidentyfikowania i przeanalizowania hierarchicznej struktury ich różnych celów i podcelów, a także leżących u ich podstaw przekonań.

Można wykorzystać drzewa celów: najważniejsze umieszczane są na górze, a fakty i potencjalne działania na dole. Różne gałęzie reprezentują różne sposoby osiągania celów nadrzędnych.

Pozwala to na identyfikację celów nadrzędnych, które zaspokajałyby interesy obu stron bez tworzenia logicznej sprzeczności. Konflikty najczęściej pojawiają się na poziomie czerwonych linii (żądań niepodlegających negocjacjom), które są w istocie konkretnymi podcelami zlokalizowanymi gdzieś pośrodku drzewa celów.

Drzewa celów pomagają określić, czy dana czerwona linia jest koniecznym podcelem, koniecznym do osiągnięcia celu nadrzędnego, czy tylko jednym z możliwych sposobów jego osiągnięcia.

Na przykład palestyńska czerwona linia dotycząca prawa powrotu dla uchodźców jest bezpośrednio sprzeczna z izraelską czerwoną linią zachowania żydowskiej większości.

Analiza drzewa celów pokazuje, że prawo powrotu jest tylko jednym ze sposobów osiągnięcia nadrzędnego celu Palestyny, jakim jest „sprawiedliwe rozwiązanie problemu uchodźców".

Można znaleźć inne sposoby, na przykład przez przesiedlenie uchodźców na obszary, które mogłyby zostać włączone do Palestyny przez wymianę ziemi oraz przez zapewnienie rekompensaty finansowej. Propozycja ta została omówiona w artykule Husseina Aghy i Roberta Malleya „Ostatnie negocjacje" w czasopiśmie „Foreign Affairs" w 2002 roku.

Oczywiście może się zdarzyć, że konfliktu nie da się rozwiązać, bo nie ma bezkonfliktowego sposobu na zaspokojenie wszystkich celów wszystkich aktorów.

Jak się pan odnalazł w gomułkowskiej Polsce?
– Miałem hojne stypendium, a dodatkowo dorabiałem, pomagając w tłumaczeniu na angielski słynnej książki profesorów Kuratowskiego i Mostowskiego o pewnym szczególnym dziale logiki matematycznej. W rezultacie miałem w Warszawie wyższy standard życia niż jako student w Ameryce i wyższy niż przeciętny Polak.

Poznałem dziadków, którzy mieszkali w Knyszynie. Poślubiłem Danusię, studentkę matematyki na UW. Po dziewięciu miesiącach w Polsce wróciłem do Stanów Zjednoczonych, przedstawiłem żonę rodzicom i wznowiłem studia matematyczne na Uniwersytecie Stanforda.

Szybko jednak doszedłem do wniosku, że logika matematyczna, którą studiowałem, ma niewiele wspólnego z logiką praktyczną, która, jak wierzyłem, może być przydatna w rozwiązywaniu ludzkich problemów.

Na przykład jakich?
– Takich jak wojna w Wietnamie, która mnie w tym czasie bardzo wzburzała. Zaangażowałem się w protesty i wpadłem na pomysł zrzucania ulotek antywojennych z samolotów. Z przyjacielem z dzieciństwa Rayem Tiernanem zorganizowaliśmy kilka lotów. Ćwiczyliśmy nad Stanfordem i innymi miejscami w okolicach San Francisco. Nasza pierwsza próba omal nie zakończyła się katastrofą, gdy ulotki zaplątały się w ogon samolotu.

Zamierzaliśmy zbombardować mecz futbolowy Rose Bowl w Los Angeles. Ray i ja opracowaliśmy misterny plan ukrycia numeru rejestracyjnego na boku samolotu, zasłaniając go fałszywym numerem, który podczas ucieczki zrywaliśmy w powietrzu. Niestety, kiedy lądowaliśmy na pustyni Mojave, aby zalepić prawdziwy numer fałszywką, pękła opona i spóźniliśmy się na mecz. Zamiast tego zbombardowaliśmy Disneyland.

Po tym pożegnał się pan z Ameryką i przeniósł do Wielkiej Brytanii.
– Z przystankiem w Puerto Rico. Porzuciłem studia doktoranckie na Stanfordzie i spędziłem rok jako profesor matematyki na Uniwersytecie Interamerykańskim w San Juan. Wciąż zastanawiając się jak znaleźć drogę do celu, czyli jak wykorzystać logikę w rozwiązywaniu problemów trapiących ludzkość.

Aby zagrać na zwłokę, postanowiłem złożyć podanie o studia doktoranckie z logiki matematycznej na Uniwersytecie Edynburskim. Otrzymałem stypendium na doktorat z zakresu automatycznego dowodzenia twierdzeń matematycznych za pomocą komputerów. Nie była to dziedzina, która mnie ekscytowała, ale lepszej opcji nie widziałem.

Kiedy w październiku 1967 roku przyjechałem do Edynburga z żoną i dziewięciomiesięczną córką, nie wiedziałem, że robię doktorat z zakresu sztucznej inteligencji ani że Uniwersytet Edynburski jest wiodącym ośrodkiem tej dziedziny poza Stanami Zjednoczonymi.

Nic nie wiedziałem o sztucznej inteligencji i nie interesowałem się nią. Nie angażował mnie cel, jaki wyznaczyli sobie niektórzy z moich kolegów z Edynburga, jakim było stworzenie komputerów, których inteligencja mogłaby dorównać inteligencji ludzkiej, a nawet ją przewyższyć.

Większość ludzi uważa sztuczną inteligencję za nowe zjawisko. Czym była pół wieku temu?
– W tamtych czasach logika matematyczna była jednym z głównych narzędzi wykorzystywanych w rozwoju AI. Wykazano, że te same metody logiczne, które służyły do dowodzenia twierdzeń matematycznych, sprawdzają się np. w programowaniu robotów i generowaniu odpowiedzi na zapytania w języku naturalnym.

Jednak wielu badaczy sztucznej inteligencji nie było przekonanych do podejścia opartego na logice. Wydawała się zbyt złożona i zbyt odległa od ludzkiego myślenia. Niektórzy opowiadali się za podejściem, które bardziej przypomina sposób, w jaki procedury rozwiązywania problemów są reprezentowane w programach komputerowych.

> Zło często wynika nie ze złej woli, ale z błędnej kalkulacji

Skoro komputery i technologia pana nie interesowały, to jak został pan jednym z ojców programowania logicznego i języka Prolog?
– Kończyłem doktorat w trakcie tych sporów i, broniąc logiki, usiłowałem pogodzić pozornie sprzeczne podejścia logiczne i proceduralne. Dodawało mi otuchy przekonanie, że rodzaj logiki, którą rozwijałem do dowodzenia twierdzeń matematycznych, może być również wykorzystywany przez ludzi do doskonalenia ich własnej inteligencji.

Proszę o przykład.
– Rozumowanie wsteczne. Rozważmy na przykład przekonanie, że naciśnięcie przycisku alarmowego w pociągu ostrzega maszynistę o możliwym niebezpieczeństwie. Można to wyrazić jako zdanie warunkowe: jeśli A (przyciśnięcie przycisku), to B (ostrzeżenie maszynisty).

Standardowym podejściem w logice formalnej jest rozumowanie w przód od A do B: wychodząc od faktu lub założenia, że naciśniesz przycisk alarmowy, wnioskujesz, że w konsekwencji maszynista zostanie ostrzeżony.

Jednak możliwe jest też rozumowanie wsteczne, od B do A. Zaczniemy od celu ostrzeżenia maszynisty o możliwym niebezpieczeństwie i sprowadzimy ten cel B do podcelu A: naciśnięcia przycisku alarmowego.

Mój wkład w rozwój tego, co obecnie nazywamy programowaniem logicznym, polegał na wykazaniu, że rozumowanie wsteczne może stanowić podstawę uniwersalnego, opartego na logice, proceduralnego języka programowania komputerowego. Współpracowałem z innymi badaczami z Edynburga i Marsylii, którzy przekształcili tę teoretyczną ideę w praktyczny język programowania – Prolog.

Dlaczego Prolog był przełomowy i jak przyczynił się do rozwoju dzisiejszej sztucznej inteligencji?
– Konwencjonalne języki programowania instruują komputery, jak rozwiązywać problemy za pomocą procedur obliczeniowych. Aby napisać konwencjonalny program, trzeba myśleć jak komputer i nauczyć się języka, który służy wyłącznie do programowania.

Prolog umożliwił programowanie komputerów w języku, który ma wiele innych zastosowań, od dowodzenia twierdzeń matematycznych po wyszukiwanie faktów w bazach danych. Przez wiele lat po jego wprowadzeniu Prolog i aplikacje komputerowe w nim napisane należały do najpotężniejszych i najbardziej zaawansowanych narzędzi wykorzystywanych nie tylko w sztucznej inteligencji, ale też w informatyce w ogóle.

U szczytu popularności Prolog odegrał ważną rolę we wdrożeniu Watsona, pionierskiego systemu sztucznej inteligencji stworzonego przez IBM.

Sławę Watson zyskał w 2011 roku, gdy wygrał z ludzkimi mistrzami w amerykańskim teleturnieju wiedzy „Jeopardy!" [odpowiednik „Va Banque"], co pokazało zdolność maszyny do rozumienia naturalnego języka, niuansów, gier słownych oraz błyskawicznego analizowania ogromnych ilości danych.

Jednak w dużej mierze sukces Watsona można przypisać jego dostępowi do ogromnej ilości informacji dostępnych w internecie. Mniej więcej w tym samym czasie dostęp do dużych ilości danych zaczął odgrywać istotną rolę w rozwoju systemów głębokiego uczenia wykorzystujących sztuczne sieci neuronowe do rozpoznawania obrazu, mowy, diagnostyki medycznej i gier.

Rozwój ten przyćmił osiągnięcia „symbolicznej sztucznej inteligencji", w tym zastosowania logiki i języka Prolog.

Od mniej więcej 2020 roku neuronowe systemy trenowane na ogromnych ilościach danych całkowicie zdominowały rynek AI. To duże modele językowe (LLM), takie jak ChatGPT i Gemini, które generują tekst w języku naturalnym oraz obrazy na podstawie żądań użytkowników. Prawdopodobnie LLM są bliskie osiągnięcia poziomu ogólnej sztucznej inteligencji (AGI).

Czyli takiej, która potrafi samodzielnie się uczyć, adaptować, rozumieć kontekst i rozwiązywać problemy z rozmaitych dziedzin. Podobnie jak ludzki mózg.
– Na razie LLM mają jednak istotne ograniczenia, w tym niezdolność do wyjaśnienia wyników i tendencję do halucynacji. Aby przezwyciężyć te ograniczenia, wielu badaczy opracowuje hybrydowe systemy AI, które łączą te neuronowe z symbolicznymi, takimi jak Prolog.

Te neuronowo-symboliczne systemy sztucznej inteligencji mogą być kolejnym przełomowym osiągnięciem.

Jak to działa?
– Moduł symboliczny zapewnia rozumowanie i kontrolę wyższego poziomu, a moduł neuronowy zajmuje się translacją danych sensorycznych na formę symboliczną. Na przykład w pojeździe autonomicznym moduł symboliczny (mózg) mógłby decydować, jaką trasę obrać, z jaką prędkością jechać, kiedy wyprzedzić inny pojazd i czy zaparkować w tym czy innym miejscu.

Moduły neuronowe (oczy) rozpoznawałyby inne pojazdy, ich prędkość i kierunek, a także inne przeszkody. Mogłyby też przekształcać działania koncepcyjne, takie jak

Robert Kowalski

• Rocznik 1941. Emerytowany profesor logiki obliczeniowej w Imperial College London, współtwórca języka programowania Prolog, sztuczną inteligencją zajmuje się od lat 60. XX wieku.

eprasa.pl 2b2d0f0434

wciśnięcie pedału gazu lub hamulca i skręcenie kierownicą, w czynności motoryczne.

Innym sposobem współpracy jest monitorowanie przez systemy symboliczne sygnałów wyjściowych systemów neuronowych i ich zatwierdzanie, ignorowanie lub udoskonalanie. Przypomina to połączenie szybkiego, podświadomego myślenia u człowieka z jego myśleniem powolnym, świadomym, rozważnym. Zostało to opisane w słynnej książce noblisty Daniela Kahnemana pt. „Myślenie szybkie i wolne".

Powinniśmy się obawiać AI? Czy jeśli osiągnie poziom superinteligencji, to jej cele będą spójne z ludzkim dążeniem do szczęścia i przetrwania, czy istnieje niebezpieczeństwo, że będzie realizowała własne interesy?

– Zapytałem ChataGPT: „Co to znaczy, że sztuczna inteligencja może kiedyś osiągnąć superinteligencję?". Odpowiedział: „Kiedy ludzie tak mówią, zazwyczaj mają na myśli to, że AI może przewyższyć najtęższe ludzkie umysły praktycznie w każdej dziedzinie poznawczej". Nakreślił paralelę: „To podobne do relacji między ludźmi a zwierzętami – tyle że odwróconej".

Moim zdaniem taka superinteligencja z natury niekoniecznie ma własne cele. Bardziej prawdopodobne jest, że służyłaby celom tych samych aktorów politycznych, którzy już wykorzystują media i sztuczną inteligencję do manipulowania naszymi myślami i działaniami. Superinteligencja umożliwi im robienie tego skuteczniej niż dotychczas.

Czyli jest pan bardziej entuzjastą AI czy sceptykiem?

– Ważne jest rozróżnienie dwóch rodzajów sztucznej inteligencji. Obecnie dominuje neuronowa, która wykorzystuje „nieprzeniknione" algorytmy do generowania wyników. Ona przypomina ludzkie intuicyjne i instynktowne myślenie, które jest w większości podświadome i trudne do ujęcia w słowa.

Starsza, symboliczna AI jest bliższa ludzkiemu myśleniu logicznemu, które jest świadome i można je komunikować innym ludziom przez wyrażanie myśli w języku naturalnym.

Obecna debata na temat AI błędnie zakłada, że podejście symboliczne zawiodło. To jednostronne spojrzenie stoi w całkowitej sprzeczności ze sposobem, w jaki te dwa rodzaje myślenia współistnieją i współdziałają w ludzkim myśleniu. W szczególności ignoruje ono sposób, w jaki ludzie wykorzystują świadome, logiczne myślenie do monitorowania i kontrolowania podświadomego, intuicyjnego myślenia.

Wdrożenie neuronowo-symbolicznych systemów sztucznej inteligencji nie tylko sprawi, że będzie ona bardziej wiarygodna, ale także umożliwi ludziom komunikację z systemami AI w kategoriach ludzkich i przejęcie nad nimi kontroli. Do tej perspektywy jestem entuzjastycznie nastawiony.

Wierzę, że interakcja z takimi modelami AI zachęci ludzi do doskonalenia własnych umiejętności logicznego i krytycznego myślenia, niezależnie od praktycznych korzyści, jakie czerpią z korzystania z AI. Jestem jednak bardzo zaniepokojony wykorzystaniem sztucznej inteligencji do szerzenia dezinformacji i kontrolowania ludzkiego myślenia i zachowania.

Pańskie badania miały realne zastosowanie, na przykład do modelowania przepisów prawnych. Jak logika w tym pomogła?

– Na początku lat 80. wraz z kolegami z grupy programowania logicznego w Imperial College London odkryliśmy, że logika warunkowa języka Prolog przypomina logikę przepisów prawnych.

Sprawdziliśmy to, przepisując znaczną część brytyjskiej ustawy o obywatelstwie (BNA) z 1981 roku w języku Prolog. Pokazaliśmy, jak Prolog może być używany nie tylko do udzielania odpowiedzi „tak" lub „nie" na pytania o to, czy dana osoba jest obywatelem brytyjskim, ale także do generowania warunków, w których dana osoba byłaby obywatelem brytyjskim.

Okazało się, że logika obliczeniowa wbudowana w Prolog była wystarczająco ekspresyjna, aby móc reprezentować złożony język ustawodawstwa w precyzyjnej i wykonywalnej komputerowo formie. Wiele innych grup na całym świecie poszło w nasze ślady, używając Prologu do kodowania różnych przepisów i regulacji prawnych.

W 2021 roku otrzymaliśmy Inauguracyjną Nagrodę CodeX Uniwersytetu Stanforda za naszą pracę nad BNA jako „jedną z pierwszych i najbardziej znanych prac z zakresu prawa obliczeniowego".

Współpracował pan też z agencjami ONZ.

– W latach 2009-2013 współpracowałem z grupą roboczą WHO/UNICEF w Genewie – miała opracować szacunki wyszczepialności niemowląt. Należało wymyślić, jak uzgadniać niespójności danych z różnych źródeł – na przykład gdy dane podawane przez rząd są niezgodne z danymi z międzynarodowych badań ankietowych. Moim wkładem było dopracowanie i wyrażenie nieformalnych reguł w bardziej rygorystycznych, logicznych terminach.

Współpraca okazała się sukcesem – od 2010 roku WHO/UNICEF stosują ten program przy tworzeniu corocznych oficjalnych szacunków szczepień.

Kiedy zafascynowała pana logika?

– Taką skłonność miałem już pod koniec szkoły podstawowej. Byłem nieco niespokojny na lekcjach i prowokowałem nauczycieli do udowadniania swoich twierdzeń. Ale może to był po prostu jeden z przejawów dojrzewania.

Tę predyspozycję wzmocniły lekcje teologii w moim jezuickim liceum. Uczono nas nie tylko dogmatów religijnych, ale też rozumowania nad konsekwencjami tych dogmatów. Nie zawsze byłem przekonany, że konsekwencje są tak oczywiste, jak nam wmawiano. I nie zawsze byłem przekonany, że dogmat, od którego zaczynaliśmy, był niepodważalny.

Z logiką matematyczną zetknąłem się na pierwszym roku studiów na Uniwersytecie Chicagowskim. Ta dziedzina potwierdza moje wcześniejsze przeczucia dotyczące natury logicznego myślenia i przyciągnęła mnie myśl, że można ją wykorzystać do odkrywania prawdy.

Dowiedziałem się, że matematyka ma strukturę logiczną, w której aksjomaty przyjmuje się za prawdziwe bez dowodu, a twierdzenia można wyprowadzić jako logiczne konsekwencje aksjomatów.

Spostrzegłem, że dogmaty religijne są jak aksjomaty w matematyce, a konsekwencje dogmatu jak twierdzenia matematyczne.

Ludzie akceptują dogmaty religijne, ponieważ mają one użyteczne konsekwencje, które pomagają im osiągnąć cele życiowe.

Później, studiując filozofię nauki, dowiedziałem się, że teorie naukowe mają podobną strukturę logiczną, która również opiera się na fundamencie przekonań podstawowych. Te przekonania obejmują zarówno fakty, jak i teorie.

Fakty reprezentują nasze bezpośrednie doświadczenie świata, a teorie – ogólne prawa, które wstępnie przyjmujemy jako prawdziwe, aby wyprowadzić z tego użyteczne konsekwencje albo zaspokoić nasze pragnienie zrozumienia natury świata.

Dowiedziałem się też, że logika zajmuje się nie treścią przekonań, lecz jedynie ich formą i logicznymi relacjami między przekonaniami. Logikę można stosować do przekonań o treści naukowej lub inżynieryjnej, do przekonań o charakterze społecznym lub politycznym, a także do przekonań, które reprezentują osobiste rozumienie świata przez podmiot.

Udało się panu odnaleźć prawdę?

FOT. YONGYUTH PERMPOONTANALARP/CC BY 3.0

Robert Kowalski: Ludzie akceptują dogmaty religijne, ponieważ mają one użyteczne konsekwencje, które pomagają im osiągnąć cele życiowe.

– Sprecyzuję: nie chodzi o to, że szukam wszystkich prawdziwych twierdzeń o świecie. Stawiałem sobie pytania w stylu: „Jaki jest sens życia?", „Czy życie w ogóle ma sens?", „Czy istnieje wyjaśnienie istnienia wszechświata?" albo „Czym jest świadomość?". Nie poznałem odpowiedzi na te pytania.

Jednak nauczyłem się, że nie tylko można prowadzić dobre życie, ale wręcz trzeba prowadzić dobre życie, nawet jeśli na te pytania nie ma odpowiedzi.

Stworzył pan kurs logiki dla 12-latków. Dzieci potrafią pojąć tak abstrakcyjną naukę?

– Nigdy nie próbowałem uczyć dzieci logiki jako abstrakcji. Uczyłem za pomocą konkretnych przykładów, oczekując, że podświadomie zbudują własną intuicję na temat tego, na czym polega myślenie logiczne w bardziej abstrakcyjny sposób.

Przykład: „Alicja lubi logikę i Alicja lubi każdego, kto lubi logikę. Kogo lubi Alicja?".

Albo:

„Smok jest szczęśliwy, jeśli wszystkie jego dzieci potrafią latać. Smok potrafi latać, jeśli jedno z jego rodziców potrafi latać. Co powinien zrobić smok, który nie potrafi latać, jeśli chce być szczęśliwy?".

Przetestowałem swój kurs logiki w szkole średniej mojej córki w 1978 roku. Potem wraz z innymi programistami logiki i pedagogami zamierzaliśmy opracować materiały do nauczania logiki dzieci. Te wysiłki upadły po części z powodu „zimy AI" w latach 90.

Tempo rozwoju sztucznej inteligencji było rozczarowujące, więc zainteresowanie i fundusze przesunęły się w stronę innych metod.

– Jednak teraz, gdy umiejętności krytycznego i logicznego myślenia są potrzebne bardziej niż kiedykolwiek, niewytłumaczalne i niewybaczalne jest to, że są one niemal nieobecne w programach nauczania.

Ten brak jest jeszcze bardziej zdumiewający, biorąc pod uwagę dostępność ulepszonych narzędzi do programowania logicznego i materiałów edukacyjnych, które można wykorzystać do wprowadzenia umiejętności logicznego myślenia na wszystkich poziomach i we wszystkich przedmiotach.

Pozwalają uczniom porównywać własne wrodzone umiejętności logicznego myślenia z umiejętnościami komputera i omawiać z nauczycielami względne zalety własnego myślenia.

Uczniowie mogą badać logiczne konsekwencje alternatywnych hipotez i baz wiedzy oraz oceniać, w jakim stopniu różne alternatywy przyczyniają się do osiągnięcia ich celów. A także sprawdzać, czy ich cele są realistyczne i właściwe, a nawet czy są podcelami celów wyższego rzędu, których istnienia mogli wcześniej nie być świadomi.

Logika podlega zmianom czy jest wyryta w kamieniu?

– Dobre pytanie. Cofnijmy się i zadajmy powiązane pytanie, a następnie połączmy je: czy logika jest wynalazkiem czy odkryciem? Istnieją argumenty za obydwoma punktami widzenia.

Jednak z mojego doświadczenia wynika, że logikę i programowanie logiczne najlepiej rozumieć jako odkrycie dotyczące struktury i mechanizmów ludzkiego języka i myślenia. Z tego punktu widzenia logika jest teorią opisową dotyczącą tego, jak ludzie faktycznie myślą.

Jednak logika jest również teorią normatywną dotyczącą tego, jak ludzie powinni myśleć.

Teorie opisowe mogą ewoluować w normatywne. Na przykład teoria budowy mostów może się zaczynać od opisu praktycznego sposobu ich budowy i funkcji (celów), jakie pełnią. Następnie, uogólniając praktyki budowlane, które prowadzą do powstania najlepszych mostów, teoria opisowa może stanowić podstawę dla teorii normatywnej dotyczącej tego, jak budować lepsze mosty.

Podobnie jest z logiką. Zaczynamy od obserwacji, jak ludzie rozwiązują problemy i osiągają cele, a następnie staramy się zidentyfikować wzorce związane z najlepszymi metodami rozwiązywania problemów, które zaobserwowaliśmy. Możemy również wynaleźć nowe metody, które rozwiązują problemy lepiej niż dotychczas.

Żadna dobra teoria nie jest wyryta w kamieniu. Trwa, dopóki nie pojawi się lepsza. Co więcej, możemy rozwijać różne teorie o różnych właściwościach dla tej samej dziedziny problemowej.

W przypadku logiki możemy mieć specjalne logiki zoptymalizowane pod kątem efektywnego myślenia w różnych poddziedzinach. Możemy również spróbować opracować uniwersalną logikę, która będzie przydatna dla wszystkich poddziedzin, nawet jeśli nie będzie optymalna dla wszystkich.

Pod tym względem programowanie logiczne jest dobrym kompromisem, bo jest znacznie prostsze niż większość innych logik, a jednocześnie wystarczająco ekspresyjne i skuteczne w przypadku większości dziedzin problemowych, z którymi większość ludzi spotyka się w życiu codziennym.

Skoro mowa o kamieniach... Na emeryturze został pan lokalnym archeologiem. Czy to zajęcie ma cokolwiek wspólnego z logiką?

– Chodzę po polach i szukam kamieni, które mogły zostać zmodyfikowane przez działalność człowieka. Muszę z dystansu zdecydować, czy warto przyjrzeć się bliżej kamieniowi, który wygląda na kandydata godnego udokumentowania lub kolekcjonowania.

Kiedy przyglądam się mu bliżej, decyduję, czy jego wygląd potwierdza początkową hipotezę, że kamień jest rzeczywiście artefaktem. Jeśli tak, muszę zdecydować, czy jest wystarczająco znaczący, aby go zarejestrować lub kolekcjonować.

Muszę zastosować logikę zarówno do mojej wiedzy o prehistorycznych obiektach w ogóle, jak i do moich przekonań na temat tego, które prehistoryczne obiekty są znaczące. W przeciwnym razie, jeśli nie zastosuję logiki, to albo stracę dobrą okazję do zebrania potencjalnie cennego obiektu, albo wrócę do domu ze stertą kamieni, które trzeba będzie wyrzucić. ●

1 RP

eprasa.pl 2b2d0f0434

Majonez a sprawa polska

Oburzenie jest najszybszą drogą do zgody w swojej bańce – nie trzeba rozumieć, wystarczy czuć.

Marcin Matczak

Nic tak nie uwypukla naszej polaryzacji, jak spór o wyższość świąt Bożego Narodzenia nad Wielkanocą. Dla wierzących wygrywa Wielkanoc, dla niewierzących Boże Narodzenie. Odpowiedź wierzących ma oparcie w teologii, odpowiedź niewierzących – w braku jasnych konwencji wielkanocnych, które pozwalałyby je tak spektakularnie świecko obchodzić jak gwiazdkę.

Przede wszystkim nie ma kolęd. Palma to gorsza wersja choinki, jajka nieudolnie zastępują karpia, a gdzieniegdzie obchodzony zajączek to biedny krewny św. Mikołaja. I chociaż w tym roku jest szansa na śnieg, nikt przecież nie zachwyca się białą Wielkanocą.

Puenta zamiast myślenia

Co więc ludzie będą robić w te święta? Pewnie dyskutować w internecie. I raczej emocjonalnie niż racjonalnie, bo coraz mniej chodzi o myśl, a bardziej o oburzenie.

Bo jak jesteś oburzony, to wiadomo, że chodzi ci o coś naprawdę ważnego. Poza tym oburzenie jest najszybszą drogą do zgody w swojej bańce – nie trzeba rozumieć, wystarczy czuć. „Nie wiem jak wy, ale ja mam dość" – to już konkluzja, choć rozpisana na kilka akapitów.

Dlatego w tę Wielkanoc nie pisz: „To złożony problem". Zamiast tego pisz: „TO SKANDAL!". A jeśli nie jesteś pewien, czy to skandal – to tym bardziej pisz, że skandal.

Potem uprość. Rzeczywistość ma tę wadę, że kreuje ją wiele przyczyn, a to bardzo źle wygląda w tekście. Wpis internetowy lubi jedną przyczynę. Najlepiej taką, która ma twarz, nazwisko i złe intencje.

Poza tym pisz tak, żeby nikt nie musiał doczytać do końca. W trzecim zdaniu daj wniosek. Najlepiej taki, który pojawia się przed pytaniem. Czytelnik nie przyszedł tu po drogowskaz, tylko po poczucie, że już jest na miejscu. Jeśli zacznie się zastanawiać, czy coś jeszcze trzeba sprawdzić – przegrałeś.

I pamiętaj, by zastąpić argumenty odpowiednim tonem. Dlatego nie pisz, broń Boże: „Ten konflikt ma wiele wymiarów", ale „Zawsze chodzi o jedno".

Jeśli zdanie ma więcej niż jeden przecinek, to już zaczyna niebezpiecznie zbliżać się do analizy. A twój wpis ma dawać poczucie zdobywania wiedzy bez wysiłku.

Dzisiaj pewność siebie to forma dowodu, dlatego nie musisz mieć racji. Wystarczy, że będziesz brzmieć jak ktoś, kto ją ma. Twój czytelnik nie musi wiedzieć, dlaczego coś jest głupie, jeśli poczuje, że głupie jest.

Dlatego twoimi ulubionymi frazami powinny być: „Każdy rozsądny człowiek widzi, o co tu chodzi" i „Nie kompromitujmy się". Absolutnie unikaj zdań typu: „Istnieją kontrargumenty, które warto rozważyć".

I puenta. Zawsze kończ czymś, co można udostępnić bez myślenia. Nie pisz nigdy: „To raczej początek rozmowy niż jej koniec". Pisz: „Zapamiętajcie to sobie", a najlepiej: „Historia nas z tego rozliczy". Dobra puenta nie kończy myślenia, tylko je zastępuje.

O małych sprawach

I jeszcze kilka bardziej zaawansowanych rad. Rozdawaj nagrody czytelnikom. „Na szczęście są jeszcze ludzie, którzy to rozumieją", „Nie wszyscy dali się nabrać". Pisz tak, żeby ktoś poczuł się lepszy.

Używaj wielkich słów do opisu małych spraw. Im mniejszy problem, tym większe słowa – inaczej nikt go nie zauważy. W twoim pisaniu każda decyzja powinna być haniebna, sytuacja absurdalna, a manipulacja oczywista.
Pisz: „To koniec normalności", „Stoimy na krawędzi". Krawędź jest szczególnie użyteczna, bo można na niej stać latami.

To działa w każdym temacie. Weźmy zakaz sprzedaży samochodów spalinowych od 2035 roku w UE. Nie możesz przecież napisać: „Regulacja wynika z połączenia polityki klimatycznej, presji przemysłowej i długoterminowych strategii energetycznych". Musisz napisać: „Gratulacje! Unia właśnie zdecydowała, że masz zezłomować swoje auto".

Przecież to koniec motoryzacyjnej wolności, jaką znaliśmy! Najpierw kontrolują, czym palisz w piecu, potem – czym jeździsz, wreszcie kontrolują całe twoje życie! Tyle w temacie. Na koniec jeszcze argument zapłakanej kuzynki albo znajomego mechanika („Mówi, że elektryki to dramat"). I pytania retoryczne, dużo takich pytań („Serio ktoś wierzy, że to uratuje planetę?!").

Albo SAFE, czyli pieniądze na obronność. Z Unii czy z polskiego złota? Nie piszemy: „Te rozwiązania różnią się konstrukcją finansową, ryzykiem i wpływem na budżet państwa, co wymaga dokładnego porównania". Piszemy: „To proste: albo suwerenność, albo Bruksela".

Mamy darmowe rozwiązanie u siebie, ale wolimy drogie z UE? To test naszej niepodległości, a nie „decyzja fiskalno-monetarna o wielowymiarowych skutkach". Na szczęście są jeszcze ludzie, którzy rozumieją, że nie trzeba się zadłużać u innych.

Wybór sześciu sędziów do Trybunału Konstytucyjnego i ślubowanie wobec prezydenta? Źle: „To spór o zakres kompetencji Sejmu i rolę prezydenta w procedurze powoływania sędziów TK". Dobrze: „Władza właśnie próbuje przejąć Trybunał". I robi to na naszych oczach! Wybrali swoich i chcą ich przepchnąć. Kropka. To koniec państwa prawa!

Kwestia wartości, nie smaku

Nawet eschatologiczny spór o majonez da się tak toczyć. Kielecki czy Winiary? Nie wiem jak wy, ale ja mam już serio dość udawania, że wybór majonezu to kwestia smaku. Nie chcę nawet słuchać, że, „oba mają swoje zalety". Są jakieś granice relatywizacji.

To nie kwestia smaku, ale kwestia wartości. Nasz to majonez dla prawdziwych Polaków, którzy pamiętają smak dzieciństwa i nie dają sobie wciskać chemii z wielkich korporacji. Tamten to majonez dla zdrajców, dla ludzi, którzy jedzą guacamole i głosują na Tuska. Oni oddaliby suwerenność za darmowy parking pod biurowcem w Warszawie.

Globalny kapitał chce rozwodnić naszą tożsamość tym mdłym, przemysłowym kremem. Jeśli dziś pozwolimy, by on zdominował polskie stoły, to jutro zabronią nam dodawać chrzanu do szynki. Jak długo jeszcze będziemy tolerować tę dyktaturę nijakości?

Tu nie chodzi więc o konsystencję, ale o egzystencję. I to nie przypadek, że ta dyskusja nasila się akurat teraz. To moment dziejowy dla polskiego stołu, być może koniec kulinarnej normalności. To krawędź. Na szczęście są tacy, którzy to rozumieją.

Najlepszy tekst to nie taki, który coś wyjaśnia, tylko taki, który mówi czytelnikowi, że miał rację od samego początku. Dobrych Świąt Zmartwychwstania Pańskiego! ●

Upraszczanie

Jeśli ekspansja „dowożenia" będzie dalej postępować, niewykluczone, że niedługo usłyszymy o chęci dowiezienia np. polexitu – czyli w tym przypadku właściwie wywiezienia.

Michał Rusinek

Na instagramowym profilu Ministerstwa Sprawiedliwości pojawiła się niedawno tzw. karuzela, propagująca posługiwanie się prostym językiem w oficjalnych komunikatach: „Używaj słów, które są powszechnie znane i zrozumiałe dla odbiorcy. Unikaj specjalistycznych terminów, skrótów i urzędowych sformułowań". I np. zamiast zdania: „Istnieje możliwość dokonania aplikowania drogą elektroniczną", urzędnicy powinni mówić i pisać: „Mogą Państwo złożyć wniosek online", a zamiast: „Dokonaj uzupełnienia przedmiotowego formularza i przekaż go do właściwej jednostki organizacyjnej" – „Wypełnij formularz i wyślij go na adres XYZ".

●

Wiele wskazuje na to, że karuzelę tę wzięli sobie natychmiast do serca politycy oraz urzędnicy państwowi najwyższego szczebla – co zapewne można uznać za sukces Ministerstwa. Na przykład kandydat na premiera z ramienia Prawa i Sprawiedliwości, prof. KUL Przemysław Czarnek w czasie przemówienia inaugurującego ogłoszenie jego kandydatury posłużył się krótkim i wysoce potocznym oraz wyśmiewającym niejasny skrót sformułowaniem „OZE-sroze", zamiast długo i zawile krytykować odnawialne źródła energii. Tego typu zabiegi słowotwórcze pojawiały się już w języku ulicy, jako (raczej kiepskie) hasła na transparentach, bardzo rzadko jednak na politycznych salonach. Przede wszystkim jednak występowały w literaturze sowizdrzalskiej (w XVI i XVII w.) i ludowej jako tzw. skatologizmy („skatós" to po grecku kał). Czarnek dokonał więc zarazem pożądanego przez MS uproszczenia języka, jak i odwołał się do pewnej zapomnianej literackiej tradycji. Oto gest godny podziwu.

●

Tymczasem ministra Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, przewodnicząca partii o niefortunnie pleonastycznej nazwie Polska 2050 Rzeczypospolitej Polskiej, promuje potoczne słowo, do niedawna występujące wyłącznie w języku młodzieżowym: zapewnia bowiem, że jej partia będzie „dowozić obietnice mieszkaniowe" oraz potrzebuje stanowiska wicepremiera, żeby „dowozić rzeczy". Wiemy, że jest to zapożyczenie z języka angielskiego – „to deliver" – oznaczające spełnianie obietnic lub oczekiwań, ewentualnie utrzymywanie wyników lub pozycji.

W języku polityki jako pierwsza posługiwała się tym słowem lewica: po ogłoszeniu wyników wyborów 15 października 2023 roku Włodzimierz Czarzasty powiedział, że obecność lewicy w rządzie „daje mandat do tego, żeby dowozić nasze tematy". Widać więc, że „dowożenie" wkroczyło do dyskursu politycznego od lewej strony i idzie w prawo. W kontekście Konfederacji wciąż odnosi się wyłącznie do dowożenia piwa z browaru Sławomira Mentzena, ale jeśli ekspansja „dowożenia" będzie dalej postępować, niewykluczone, że niedługo usłyszymy o chęci dowiezienia np. polexitu – czyli w tym przypadku właściwie wywiezienia.

●

Natomiast pan prezydent Karol Nawrocki zamiast powiedzieć do dziennikarza TVN24 Mateusza Półchłopka w oficjalnym, prezydenckim stylu, żeby zechciał zachowywać się stosownie do sytuacji rozmowy z głową państwa i zadawać owej głowie wyłącznie pytania stosowne, a także słuchać ze zrozumieniem tego, co owa głowa mówiła wcześniej na konferencji prasowej (mimo że mówiła o czymś innym niż to, czego dotyczyło pytanie dziennikarza), powiedział: „Pan redaktor się ogarnie i słucha, co mówi prezydent Polski!". Abstrahując od zawartej w tej wypowiedzi agresji – werbalnej i niewerbalnej – która doczekała się już publicystycznych analiz, wyrazów głębokiego oburzenia i frenetycznej aprobaty (w zależności od strony politycznej), a także memów, warto zwrócić uwagę na propagowanie języka potocznego przez pana prezydenta.

Po pierwsze, forma rozkazująca pozbawiona partykuły „niech" występuje wyłącznie w języku potocznym, np. w filmie „Miś" Stanisława Barei: „Pani Iwonko, pani wytrze tę szminkę, bo klient znów się będzie pieklił" lub „Pan usiądzie, pan poczeka, się załatwi". Jest to kategoryczne żądanie o odcieniu nakazu lub polecenia, o negatywnym zabarwieniu emocjonalnym, tzn. wyrażamy w nim lekceważenie wobec odbiorcy. Dodajmy, że wzmocnione mocno lekceważącym gestem.

Po drugie, jeszcze niedawno „ogarnąć" (od prasłowiańskiego *garnoti, oznaczającego „chwytać") można było kogoś ramionami, czyli inaczej objąć lub opasać. Potem dawało się coś metaforycznie „ogarnąć" wzrokiem lub umysłem, można też było „ogarnąć się", czyli poprawić swój wygląd. Dziś, kiedy doszło do semantycznej innowacji, można także „ogarnąć się" w sensie zapanować nad swoimi emocjami lub zacząć zachowywać się właściwiej, a także coś zrozumieć lub poradzić sobie z czymś, czyli „ogarnąć coś". Można też być „nieogarem" (jeśli się nie ogarnia) lub „ogarem" (jeśli się ogarnia) i dopiero wtedy można pójść w las.

●

To tylko kilka przykładów na najnowsze potocyzmy w języku polityki. Owszem, staje się on dzięki nim być może bardziej zrozumiały i bliższy – ale komu lub czemu? Jeśli językowi młodych ludzi, to może i dobrze. Jeśli językowi ulicy – to trochę gorzej, bo teraz ulica będzie musiała się natrudzić, żeby się odróżnić językowo od parlamentarzystów. Pozostaje mieć nadzieję, że apel Ministerstwa Sprawiedliwości wezmą sobie do serca przede wszystkim urzędnicy państwowi średniego i niższego szczebla i rzeczywiście uproszczą komunikaty kierowane do obywateli i obywatelek, nie popadając przy tym jednak w skatologizmy, anglicyzmy i innowacje znaczeniowe. ●

eprasa.pl 2b2d0f0434

KULTURA OBYCZAJE

Alfabet zakochanego w Japonii

Tekst **Andrzej Kulasek** zdjęcia **Justyna Michalska**

1

2

A

AKIHABARA – miejsce jak z bajki, niekoniecznie dla grzecznych dzieci, bo tej cyberpunkowej, gdzie wszechobecna technologia i sztuczna inteligencja zastąpiły Stumilowy Las, krasnoludki i wilka.

Akihabara to dzielnica Tokio, która słynie ze sklepów z elektroniką (patrz: RTV/AGD), gigantycznych pawilonów z tomikami mangi i figurkami anime czy salonów gier. Określa się ją często jako Electric Town.

W tych ostatnich, z których najpopularniejsze są GiGO – sieć przejęta od znanej firmy Sega – czeka na nas mnogość wszelkich automatów do gier. Miejscowi zalegają tam na długie godziny, często grając jedną ręką, a w drugiej trzymając smartfona.

Nie rozgryźliśmy w ogóle tych gier, z pachinko czy chwytaków, niezwykle popularnych w Japonii, zrezygnowaliśmy, za to w salonie Super Potato z automami retro, dorwaliśmy coś w stylu Street Fightera. Bosko!

Akihabara słynie też z *meido kafe* (maid cafe), czyli barów, gdzie kelnerki są poprzebierane za pokojówki. Ale nie tylko pokojówki, bo motyw przewodni knajpy bywa przeróżny. Przed owymi „cosplayowymi barami" stoją też obowiązkowo stosownie wystrojone dziewczyny, zapraszając do odwiedzenia przybytku. Stoją wytrwale, często kuląc się z zimna.

Wieczorem i w nocy Akihabara świeci niezliczonymi neonami, a po ulicach śmigają fury żywcem wyjęte z „Szybkich i wściekłych: Tokyo Drift". Cudowne miejsce.**(zdj. 7)**

• **ARIGATO** – zdecydowanie najpopularniejsze słowo w Japonii, a na pewno najczęściej wypowiadane z racji mnogości turystów. Oczywiście zgrabnie jest dodać do niego *gozaimasu*, co oznaczać będzie „dziękuję bardzo", ale *gozaimasu* ma dalece szersze zastosowanie – służy też jako uprzejma odpowiedź, potwierdzenie etc.

Wszyscy, nie tylko Japończycy, ma się rozumieć, wypowiadają je raczej twardo, choć pewnego razu w Osace usłyszeliśmy je wymawiane z angielska – wówczas przed oczami stanął nam Brad Pitt, który w „Bękartach wojny" jako Enzo Gorlami przedstawiał się Hansowi Landzie.

B

BAMBUS – ten najsłynniejszy rośnie w dzielnicy Arashiyama, w Kioto. Japończycy wpisali szumiący las bambusowy na listę 100 pejzaży dźwiękowych swej ojczyzny, mając na myśli głównie las w Arashiyamie. Ale jako że to żelazny punkt każdej wycieczki, to trudno doświadczyć tego mistycyzmu wśród tłumów próbujących – choć po większej części jednak nie – wsłuchać się w bambusową melodię.

W Arashiyamie spotkało nas i drugie niepowodzenie – dzielnica ta słynie również z parku małp Iwatayama. Przy kasach okazało się jednak, że bilety można nabyć tylko gotówką (patrz: gotówka). Tę akurat chwilę wcześniej... przejedliśmy.

Wspaniały jest za to most Togetsukyo (Most Przechodzącego Księżyca) i widok z niego na leniwie toczącą się w dole rzekę Katsura i kormorany dybiące na ryby.

• **BASEBALL** – wielka miłość Japończyków, której dowody znajdziecie wszędzie – w tematycznych knajpach, w sklepach i na ulicy, łatwo bowiem spotkać młodych adeptów dyscypliny wracających z treningu. Oczywiście każdy z nich marzy, by pójść w ślady Shohei Ohtaniego, najlepszego obecnie baseballisty świata, który za 10 lat gry dla Los Angeles Dodgers zainkasuje 700 mln dol.

• **BENTO** – to japoński posiłek na wynos, pakowany w specjalne pudełko, rzecz jasna z zegarmistrzowską precyzją, a szczególnym przypadkiem bento jest eki-ben, czyli bento przygotowywane na podróż.

Mnogość różnych rodzajów bento podróżnego i trudności z dokonaniem wyboru nie sprawiły wprawdzie, że spóźniliśmy się na pociąg, ale wałówkę do Shinkansena (patrz: japoński superszybki pociąg) wybieraliśmy naprawdę długo. A już po konsumpcji zastanawialiśmy się, czy nie zostawić sobie pudełka, bo jedno było naprawdę zgrabne. Ale to na Tokyo Station.

Bo kiedy szukaliśmy bento na dworcu Shin-Osaka, wybór był dalece bardziej nikczemny. Eki-ben to też jeden z nielicznych przypadków, kiedy Japończycy tolerują jedzenie w miejscu publicznym, bo zasadniczo jest to bardzo źle widziane (patrz: etykieta).

1 RP

eprasa.pl 2b2d0f0434

3

6

Skąd się wzięła moja fascynacja Japonią? Tak na poważnie to zaczęło się chyba od kreskówki „Kapitan Tsubasa" na Polonii 1, a skończyło niedawno wyprawą do ziemi obiecanej, czyli dwutygodniowym objazdem Tokio – Kioto – Osaka.

Standardowym w zasadzie, bo wielu odwiedzających Japonię po raz pierwszy decyduje się na taką właśnie objazdówkę. Ale i tak myślę, że zgodzą się ze stwierdzeniem, że jeśli gdzieś na ziemi istnieje kraina Upside Down, to właśnie tam.

A

C **CESARZ** – w zasadzie ma pewnie klawe życie, bo Japonia jest fajnym krajem, ale kiedy wybraliśmy się do cesarskich ogrodów, by złożyć uszanowanie władcy Naruhito, zaskoczyła nas ich skromność. Podobnie zresztą jest z kompleksem pałacowym – nie uświadczysz żadnego przepychu.

Na urodzinach cesarza – przypadają 23 lutego – znaleźliśmy się zresztą przypadkiem – o tym, że akurtsą, dowiedzieliśmy się z internetowej przeglądarki, kiedy sprawdzaliśmy godziny otwarcia jakiegoś sklepu.

Pojechaliśmy do cesarskiej dzielnicy, po drodze do pałacu zostaliśmy zaopatrzeni w japońskie flagi, które rozdawali liczni wolontariusze. Na bramce sprawdzono nam plecak – ci, którzy mieli otwarte butelki wody, musieli pociągnąć z gąsiora, czy w środku na pewno jest H2O – i tak dotarliśmy z falą ludzką przed cesarski balkon.

Była 10:49, a po chwili na telebimie pojawił się komunikat, że Jego Cesarska Wysokość pokaże się o... 11. Szok! Nie mieliśmy już żadnych wątpliwości, że spotkanie z władcą było nam pisane, dlatego ochoczo machaliśmy chorągiewkami i wznieśliśmy okrzyk: *Banzai!*, który dosłownie oznacza „10 tysięcy lat!" – oczywiście pomyślności dla cesarza.

(zdj. 8. cesarz Naruhito, cesarzowa Masako i ich córka, księżniczka Aiko)

5

D **DON-QUIJOTE** – ogromny sklep, kilkupiętrowy, w którym znajdziesz wszystko. Ale absolutnie wszystko, choć przejścia między półkami przypominają labirynt.

Miejsce pielgrzymek nie tylko miejscowych, ale i turystów (kosmetyki!), dla których wizyta w Don-quijote kończy się z reguły kupnem dodatkowej walizki – też do nabycia w Donki oczywiście.

Tłumy w Don-quijote są nieprzebrane niemal o każdej porze dnia i nocy, choć sklep czynny jest 24 godziny na dobę. Samo miejsce i wwiercająca się w ucho piosenka „Don Don Donki" to jedna z tych licznych uzależniających japońskich rzeczy, które sprawiają, że tęsknisz i masz ochotę natychmiast tam wrócić.

• **CZYSTOŚĆ** – wspomniane flagi, które rozdawali nam przed wizytą u cesarza, można było potem oddać delegowanym do tego elegancko ubranym ochotnikom po to, by nie zaśmiecać ulicy i chodników. Bo w Japonii jest uderzająco czysto, na pierwszy papierek na ulicy natrafiliśmy dopiero w Osace, która była naszym trzecim przystankiem, i która różni się od Tokio czy Kioto.

A tak – czyściutko. Dotyczy to także samochodów – na ulicy nie uświadczysz brudnego auta. Co ciekawe, trudno też natrafić na śmietnik (znów: łatwiej o to w Osace), bo Japończycy po prostu nie śmiecą.

• **DOTONBORI** – jeden z symboli Osaki, rozrywkowa dzielnica, którą przecina kanał o tej samej nazwie, nad którym znajdziecie setki barów, knajp, restauracji, a którym kursują wycieczkowe promy.

Na Dotonbori pełno jest też sklepów i ludzi, których jak magnes przyciąga słynny neon Glico przedstawiający wysportowanego dżentelmena reklamującego produkty tej marki. To jeden z trudniejszych do zdania w Japonii egzaminów, jeśli chodzi o odporność ludzkiego mózgu na bodźce. Wytchnienia można szukać – i znaleźć – w ogrodach zamku w Osace ***(zdj. 1)***

E **ETYKIETA** – o jedzeniu i piciu na ulicy już było, a ponieważ z reguły śniadaliśmy w sklepie 7-Eleven, racząc się kanapkami, raczej kryliśmy się z jedzeniem, przeżuwając słynne wśród turystów kanapki – tak, przetestowaliśmy też tę z truskawkami – na przemian z wyrzutami sumienia.

Źle widziane są też głośne rozmowy w metrze, ale i tak nikt nie zwróci ci uwagi, bo Japończycy są niezwykle taktowni i kulturalni. Kierowca nie zatrąbi, choćbyś paradował mu przed maską samochodu. Jeśli staniesz po złej stronie schodów ruchomych, Japończycy, którzy się śpieszą (a jest ich trochę), zatrzymają się i poczekają, aż będzie możliwość ominięcia zawalidrogi.

Przestrzeń osobista jest szanowana na tyle, że w knajpie z ramenem ***(zdj. 4)***, słynnej sieciówce Ichiran, nie musisz nawiązywać interakcji z kucharzem – obok

eprasa.pl 2b2d0f0434

ciebie wiszą tabliczki z odpowiednimi uwagami, m.in. z komunikatem, że nie jest dla ciebie jasny sposób zamawiania jedzenia.

Żaden Japończyk nie podejdzie też do ciebie z ofertą pomocy, nawet jeśli wyglądasz na totalnie zagubionego. Chyba że na zachodzie – gdy coś takiego spotkało nas w Osace, byliśmy w wielkim szoku.

O tej etykiecie przypominają też instrukcje **(zdj.11),** które bardzo często do zobrazowania tego, czego robić się nie powinno, wykorzystują animowane rysunki, np. Hello Kitty.

F

FUJI – obsesji na punkcie tej góry, – nie tylko Japończyków, głównie przyjezdnych, którzy, parafrazując Tadeusza Drozdę, „bez jej ośnieżonego szczytu ani rusz...", – nie rozumieliśmy przed przyjazdem. Ale nawet z okna pociągu **(zdj. 10)** robi piorunujące wrażenie. Majestatyczna, wzniosła, choć nie mierzy nawet czterech kilometrów, po prostu piękna. Zbliżenie się do Fuji-san musieliśmy jednak odłożyć do kolejnej wizyty w Japonii.

G

GOOGLE MAPS – bez tego albo innej internetowej mapy po Japonii poruszać się w zasadzie nie da, tym bardziej że oznaczenia nie zawsze znajdziemy po angielsku, ale nawet jej posiadanie nie gwarantuje sukcesu – zwłaszcza na stacjach tokijskiego metra, kiedy mapa wariuje i zaczyna przypominać grę w Pac-Mana: tak wiele jest kropek obrazujących potencjalne trasy, a ta większa oznaczająca nas śmiga po całym ekranie.

• **GOOGLE TRANSLATE** – podobnie jak w przypadku Maps – Google Translate się przydaje, bo wiele produktów nie ma objaśnień po angielsku. Tłumaczenie bywa jednak, hm, sporne, a użycie Translate w pewnym sex-shopie – rzecz jasna o imponującym asortymencie – dało zaskakujące rezultaty. Niekoniecznie nadające się do cytowania.

• **GOTÓWKA** – niby Japonia kojarzy się z technologicznym zaawansowaniem, ale są miejsca, w których bez gotówki ani rusz. Dostać ją łatwo – w sklepach ogólnospożywczych często są bankomaty (pamiętajcie, żeby wybierać opcję „bez przewalutowania") i zaopatrzeni w 5 tys. jenów możemy już podbijać targi jedzeniowe.

Chociaż na Kuromonie w Osace, kiedy postanowiliśmy napić się ciepłej sake i okazało się, że nie mamy już na to środków, pani ze stoiska zdobnego karteczką „cash only", by nas zatrzymać, skierowała nas do sąsiadki, gdzie był terminal. Opłaciło się, bo kupiliśmy też przy okazji coś na ząb.

H

HIGHBALL – nie jest to wynalazek japoński, bo oznacza po prostu drink z wykorzystaniem alkoholu i gazowanego (z reguły) napoju, ale to w Japonii zyskał niesamowitą popularność. Jako że highball to najczęściej whisky z wodą sodową, przeto i highball to w Japonii z reguły whisky – z gorzelni Suntory – z gazowaną mineralną.

W knajpach często towarzyszy temu gra w koło fortuny bądź kości – można wygrać dodatkowego drinka, zniżkę, ale można też przegrać i wtedy płaci się podwójną cenę.

To pozostałość z kampanii reklamowej Suntory, która przed laty chciała wypromować w ten sposób swój produkt, czyli whisky Kakubin. Udało się, bo Kaku highball dostaniecie wszędzie.

I

IZAKAYA – to malutkie knajpy, często na kilka ledwie miejsc przy barze, gdzie można się napić i do tego czymś zakąsić. Wiele z tych przybytków skasuje klienta za samo miejsce do siedzenia – nie wszystkim turystom się to podoba, choćby naszym rodakom, co słyszeliśmy na uszy własne – niektóre wymagają zamówienia co najmniej po drinku i przekąsce na osobę.

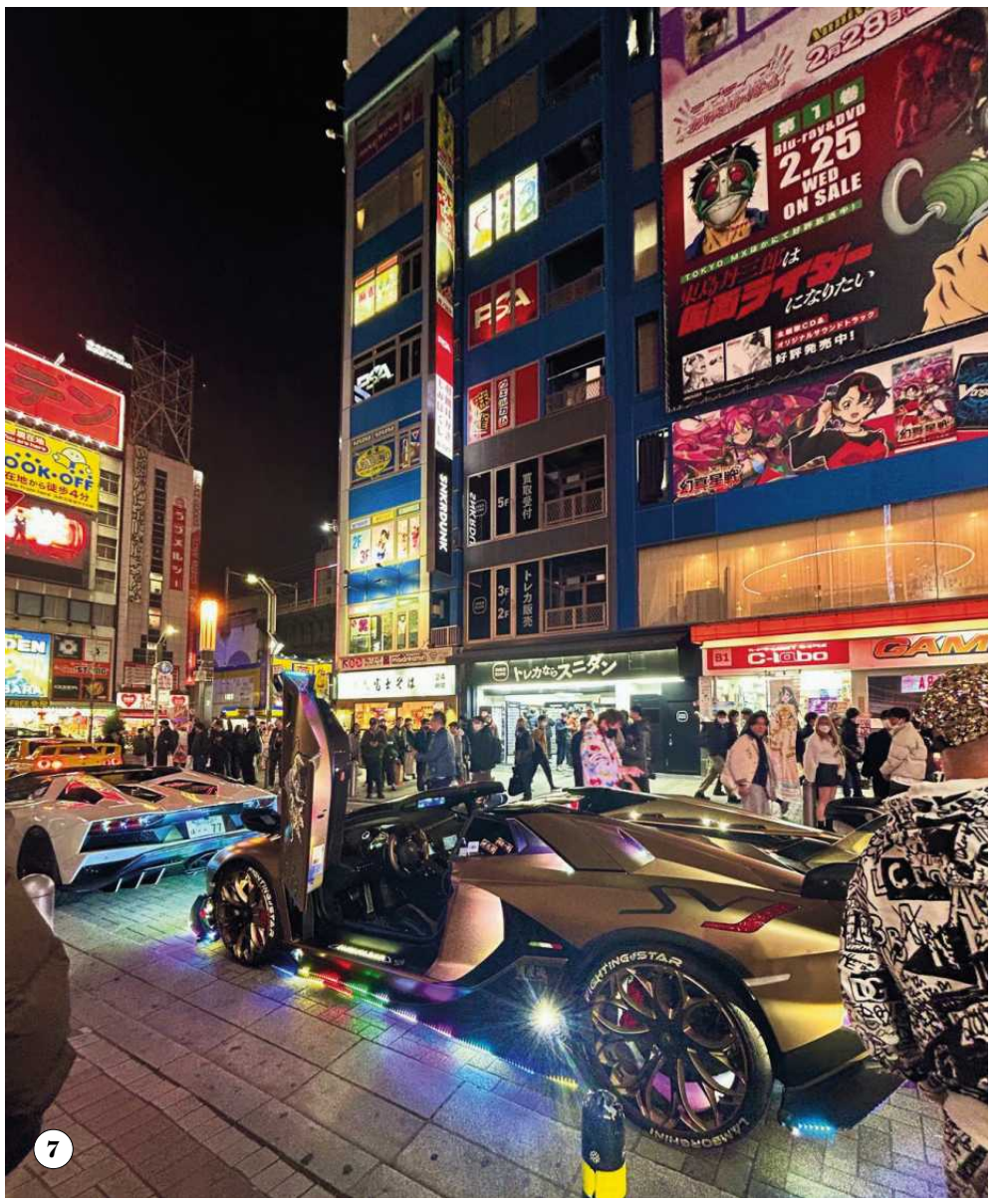

7

• Odwiedziliśmy izakayę, jak na stonkę przystało, w słynnej Omoide Yokocho, czyli Alei Wspomnień w Shinjuku w Tokio, zjedliśmy obowiązkowe yakitori, czyli szaszłyk z kurczaka (pyszny), wypiliśmy.

W pobliżu jest jeszcze, nie mniej sławne skupisko izakai, czyli Golden Gai, z klimatem bardziej lokalnym i miejscami, gdzie mniej chętnie rozmawia się po angielsku i oferuje menu w innym niż japoński języku.

• **ILE** – „Ile to będzie na nasze?" to sakramentalne pytanie zadawane na każdym zagranicznym wyjeździe, ale w Japonii z racji miejscowej oferty konsumpcyjnej zadawaliśmy je sobie bardzo często.

Cenę podaną w jenach dzieli się przez 43, by otrzymać równowartość towaru w złotówkach. Wychodzi okazyjnie, bo za sprawą spadku wartości japońskiej waluty ceny zrobiły się konkurencyjne. Choć tiktokowe hasło ostrzega: czy to my korzystamy na tanim jenie, czy to tani jen korzysta na nas?

J

JEDZENIE – umówmy się, większość zagranicznych wypadów kręci się wokół kulinariów, a w Japonii jest tyle ciekawych rzeczy do skosztowania, że trudno pamiętać o miejscowej zasadzie, by najadać się tylko w 80 proc.: *Hara hachi bun me* – „jedz, by być sytym w ośmiu [na dziesięć] częściach".

Tym bardziej że tradycją jest kuszenie klientów sztucznym jedzeniem, które jednak wygląda 1:1 jak prawdziwe! Ba, to sztuczne jedzenie, jakby ktoś miał życzenie, można sobie kupić, choć już nie w punktach gastronomicznych.

Wołowina wagyu **(zdj. 3)**, tako tamago (ośmiorniczki nadziane jajem przepiórczym), takoyaki (smażone kuleczki z ciasta z kawałkami ośmiornicy) czy jeżowce były jak żywe. Tzn. jadalne. A te prawdziwe wyborne.

Poddaliśmy się w zasadzie tylko raz, przy okonomiyaki. Kto by się spodziewał, że nie damy rady powszechnie chwalonym plackom z kapusty, ale rzeczonej kapusty było tam tyle, że nie tylko my odpadaliśmy przed metą.

Bo starcie z dziwacznym ebi senbei, wielkim ryżowym krakersem z zapieczoną w środku całą ogromną krewetką, robionym na żywo w specjalnym tosterze mimo wszystko uważam za zwycięskie.

• **JĘZYK** – japoński jest piękny i faktycznie Japończycy cieszyli się na rzucone *ohayo gozaimasu*, *oyasumi* czy *oishikatta desu*", ale umówmy się – w użyciu dla przybyszy będzie głównie angielski, a z tym jest różnie.

Najlepiej po angielsku śmigali Chińczyk i Filipińczyk, kelnerzy. Ale dogadać się oczywiście idzie, zawsze też zostaje mowa gestów albo onomatopeje. Jak w pewnej knajpie w Osace, kiedy kasjer objaśniał mi, żebym włożył kartę do czytnika i wpisał PIN, wyśpiewując dźwięki imitujące przyciskanie klawiszy na terminalu.

K

KAPCIE – japońska kultura kapci jest powszechnie znana, do pomieszczenia Nie wchodzi się w butach, zzuwa się je przed wejściem czy w przedpokoju i wbija w gustowne kapcie. Dostawaliśmy je regularnie w hotelach, bywa, że są dwie pary – oddzielna do łazienki. Jeśli w hotelu jest onsen (patrz: onsen)) – u nas raz był – to do wyprawy do niego dostaje się jeszcze oddzielną parę.

Buty obowiązkowo należało także zdjąć w przymierzalniach w sklepach, przed wejściem do świątyni i w jednej restauracji z ramenem, jeśli chciało się pójść po schodkach na górę do toalety. Ale oferowane tam kapcie nie były już tak gustowne jak te hotelowe.

• **KONBINI** – to japońskie określenie na convenience store, sklepy wyposażone we wszelkie najpotrzebniejsze artykuły, głównie spożywcze, ale traficie tam też na leki, kosmetyki, konfekcję, czasopisma albo artykuły nagłej potrzeby, jak parasol.

Jako się rzekło, w konbini znajdziemy też bankomat. Są trzy główne sieci konbini: 7-Eleven, Lawson i Family Mart. Tu kupicie osławione kanapki z trójkątnego pieczywa tostowego z najprzeróżniejszymi wypełniaczami, od truskawek po indyka, ale też onigiri, zmyślnie zapakowane tak, by przy otwieraniu ryżowy trójkąt z nadzieniem wylądował prawilnie w nori, arkusiku wodorostów.

Potraw jest mnóstwo, na ciepło i na zimno, może je zresztą podgrzać u sprzedawcy, który wyposaży nas również w jednorazowe pałeczki, sztućce i serwetki. Są całe pojemniki napojów, na zimno (oznaczenie niebieskie) i ciepło (czerwone), fantastyczne desery na bazie matchy, sakury czy zaskakująco smacznej w takim wydaniu czerwonej fasoli.

Konbini jest mnóstwo, otwarte są całą dobę, więc w pilnej potrzebie na pewno nas nie opuszczą.

L

LITERA „L" – w japońskim alfabecie nie występuje. Na przykład Polska to Pōrando, choć to nie tak, że „r" zastępuje „l". Dlatego w książce „Dziwne obrazki" Uketsu czytamy o prefekturze L, czyli całkowicie fikcyjnym, stworzonym na potrzeby fabuły miejscu.

M

MAIKO – to adeptka ucząca się na gejszę (geiko), nosi zdobne, piękne kimona i fantazyjnie upięte włosy – to ma przyciągać wzrok i maskować niedoskonałości w prowadzeniu konwersacji.

Maiko mają niespełna 20 lat – słowo oznacza „tańczące dziecko" – szkolenie na gejszę trwa około pięciu lat. Gejszę w Japonii nie jest łatwo spotkać – najlepiej w tym celu odwiedzić Gion, dzielnicę Kioto, sławną nie tylko domami gejsz (oki-ya), ale i tradycyjną drewnianą architekturą.

Ale tu uwaga – mnóstwo uliczek i domów jest prywatnych, nie można tam zaglądać, a już na pewno robić zdjęć. Porządku pilnują liczni policjanci, którzy nie dadzą się ułagodzić grzecznym sumimasen.

Ale w Kioto mieszkaliśmy w hotelu, którego atrakcją były występy maiko **(zdj. 2)** dla gości. To była początkująca uczennica, co poznać można było po uczesaniu i czerwonej wstążce w białe kropki wystającej z koka. Obsługa odnosiła się do niej z wielką rewerencją, a sam występ był istotnie niezwykły.

• **MIEJSCE** – Japończycy zbyt wiele go nie potrzebują. A co za tym idzie, my też nie. Dlatego hotelowe pokoje o powierzchni 13-14 m kw., w których nie tylko nie da się otworzyć walizki, ale nawet wyminąć się jest trudno, to standard.

Uważajcie też w rollercosterach Universal Studios w Osace. Nie, że są niebezpieczne. Po prostu może się okazać, że nie mieścicie się w krzesełkach i z przejażdżki nici. W ostatniej chwili z trudem wbiłem się w fotelik na kolejce Hipogryf, bo obsługa już w zasadzie zdecydowała, że sorry, ale nie jadę.

O

ONSEN – to kąpielisko wykorzystujące naturalne gorące źródła, może to być basen, może to być łaźnia. Onseny są istotnym elementem ryokanu, czyli tradycyjnego japońskiego zajazdu, takiego z rozsuwanymi drzwiami, podłogą wyłożoną matą tatami oraz futonami, czyli japońskimi posłaniami.

W hotelu w Kioto, w którym nocowaliśmy, jedną z atrakcji – oprócz występu maiko – był właśnie onsen. To nie jest li tylko miejsce, gdzie można poleżeć w gorącej wodzie. Do onsenu wchodzi się nago – nie są koedukacyjne, przed wejściem do wody trzeba starannie wymyć ciało, dokładny prysznic bierze się na specjalnych stanowiskach, z plastikowymi krzesełkami do siedzenia oraz całą masą różnych kosmetyków.

I niezwykle ważna rzecz – chyba że jest wspomniane inaczej – tatuaże są zakazane. Chodzi o to, że w Japonii tatuaże kojarzą się ze światem przestępczym (zupełnie jak mojej

eprasa.pl 2b2d0f0434

mamie!). Choć moim obrazkom daleko do horimono, tatuaży całych partii ciała, jakimi tradycyjnie ozdabiają się yakuza, to jeśli chciałem skorzystać z onsenu, musiałem je zakryć. Hotel oferował oczywiście stosowne plastry wodoodporne.

Ja przed wizytą w onsenie stresowałem się bardziej niż przed maturą, czy aby ogarnę wszelkie formalności, ale poszło gładko. A kiedy zobaczyłem, że jeden z gości nie zastosował się do prośby o zakrycie tatuażu, byłem gotowy deportować go z Japonii.

• **OMAKASE** – nie zamawia się jedzenia, ale zdaje się na wybór szefa kuchni, słowo „omakase" oznacza po japońsku „zostawiam to tobie".

Omakase to nie jest zwykły posiłek. To jedzeniowe misterium, w którym się uczestniczy, bo samemu jest się świadkiem wszystkiego: od przygotowywania przez mistrza składników – już samo patrzenie, jak specjalnymi nożami nacina plastry strzępiela czy tuńczyka, było jak obserwowanie jakiegoś rytuału – po przyrządzanie dań i serwis.

Przy stole było nas w sumie sześcioro, szef kuchni tłumaczył, co dokładnie podaje, opowiadał, dlaczego wybrał taki, a nie inny składnik, np. młode surowe sardynki, i rzecz jasna doradzał, jak jeść. I pić też, bo ustrzegł nas przed błędem niewzięcia do posiłku sake.

P

POCIĄG – ten najważniejszy to oczywiście Shinkansen, którego nazwę tłumaczy się jako „nowa główna linia", ponieważ powstał początkowo jako szybki pociąg łączący Tokio, Jokohamę, Osakę i Nagoję przed igrzyskami olimpijskimi w 1964 roku.

Są Shinkansenów różne typy, w zależności od liczby stacji, na których się zatrzymują (nozomi, hikari, kodama), są też różne linie – ta najpierwsza, która powstała, a którą użytkowaliśmy, zwie się Tokaido – a także różni ich operatorzy.

Shinkanseny są megapunktualne, bardzo wygodne i niestety stosunkowo drogie. Ale zapewniają bezstresową i szybką komunikację między punktami podróży. No i bento smakuje w nich tak wspaniale...

Q

QR KOD – pierwsze zetknięcie z nim nastąpiło na lotnisku Haneda, gdy trzeba było potwierdzić formularz wjazdowy, ale to w zasadzie nic nowego. Szybko się okazało, że z tabletów, z których trzeba zeskanować kod QR i w ten sposób na swoim telefonie zamawiać jedzenie, korzysta mnóstwo knajp w Japonii.

W pierwszym takim przybytku, gdzieś w Akihabarze, była to jeszcze dla nas sensacja, ale potem, kiedy w Roppongi w barze specjalizującym się w pierożkach gyoza (absolutnie wspaniałe miejsce, GYOPAO) wskazano nam tablet, z pewnymi siebie minami zapewniliśmy, że my to już znamy.

Sposobów zamawiania było jeszcze kilka – w ramenowni w Asakusie wybierało się dania z menu jeszcze przed wejściem do knajpy, z kolei w Ichiranie służył do tego specjalny automat, ale tablet i QR kod, jak kraj szeroki i długi, rządzi.

R

RTV/AGD – do miejscowego sklepu z elektroniką weszliśmy, by nabyć kartę SIM do telefonu potrzebną do korzystania z internetu. Padło na Yodobashi Camera, jedną z głównych sieci w Japonii.

W Yodobashi Multimedia Akiba już za progiem zaatakowało nas tyle sygnałów dźwiękowych i wizualnych wydawanych przez ludzi i maszyny, że musieliśmy się skryć za sklepowym filarem. Naprawdę.

Wydawało się, że jest tam wszystko, by zmienić się w bohaterów „Cyberpunk: Edgerunners" albo przynajmniej w Johnny'ego Mnemonica, a byliśmy dopiero na parterze. Karty SIM do internetu też mieli. Całe ściany.

FOT. TOMOHIRO OHSUMI/GETTY IMAGES

8

9

FOT. JUSTYNA MICHALSKA

10

S

SAKE – o pierwsze sake poprosiliśmy we wzmiankowanym barze w Roppongi. Jedno do końca pozostało klarowne, drugie, po wstrząśnięciu, zrobiło się mętne. Oba były pyszne.

Na stoisku przy stacji kolejowej obok świątyni Fushimi Inari, głośnej tysiącami pomarańczowych bram torii, po raz pierwszy podano nam je w kieliszku w drewnianej skrzyneczce **(zdj. 5)**, żeby nie uronić kropli – kieliszek kosztował 100 jenów, okazało się, że miałem akurat dwie 100-jenowe, miedzioniklowe monety.

Na Kuromonie w Osace dostaliśmy podgrzaną sake, która smakowała inaczej – alkohol, tak schowany w chłodnej wersji, tu wybił się na pierwszy smak.

• **SHIBUYA** – dzielnica Tokio znana m.in. z najsławniejszego chyba skrzyżowania świata, Shibuya Crossing. Charakterystyczne przejście dla pieszych, gdzie następuje wstrzymanie ruchu pojazdów we wszystkich kierunkach, żeby można było przejść skrzyżowanie niezależnie od tego, gdzie się stoi, także na ukos, pojawiało się już w tylu filmach i serialach, że chyba powinno występować w napisach końcowych. Widzieliśmy je najpierw z 220 m, czyli 46. piętra Shibuya Sky (z racji brzydkiej pogody otwarty taras piętro wyżej był nieczynny), a potem już z poziomu zero. I to chyba było jedyne miejsce w Japonii, które odwiedziliśmy, a które nas rozczarowało.

• **SUICA** – to taki japoński niezbędnik, który warto sobie ogarnąć od razu na lotnisku. Prepaidowa karta, która umożliwia płacenie niemal wszędzie (nie kupicie nią tylko biletów na Shinkansen), zarówno w sklepach, jak i na bramkach na dworcach i stacjach metra.

Do automatów ze Suicą ustawia się długa kolejka, ale idzie dosyć szybko. Ja załadowałem swoją na 10 tys. jenów (można ją uzupełniać w specjalnych punktach, ale tylko gotówką), a to, co zostało, spieniężyłem w barze na

11

lotnisku. Lepiej tak, bo w przypadku Welcome Suica przeznaczonej dla turystów niewykorzystane środki przepadają.

Wygodniejsza jest e-Suica, gdzie wszelkie płatności i doładowania odbywają się w telefonie, ale ta fizyczna jest duuużo ładniejsza niż wirtualna!

• **SUMO** – nie widzieliśmy walki sumo na żywo. To straszne niedopatrzenie, ale mogliśmy poczuć ducha sportu narodowego Japonii w Osace, gdzie nasz przystanek wypadał tuż przed jednym z sześciu dorocznych profesjonalnych turniejów w Japonii.

Odwiedziliśmy Edion Arena Osaka **(zdj.9)**, a w tamtejszym Universal Studios, wielkim parku rozrywki, widzieliśmy zawodników raczących się posiłkiem w... Trzech Miotłach, czyli gospodzie odwzorowanej w świecie Harry'ego Pottera. Tam nie odważyliśmy się do nich podejść (no kaman), ale kiedy jeden z zapaśników spacerował po Dotonbori, już ustawiliśmy się do zdjęcia. Nie tylko my zresztą.

• **SUSHI** – w Japonii jest inne niż w Europie czy w Stanach. Jest znacznie prostsze w kompozycji, bo trudno tu uświadczyć jakieś rolki, maki wypchane różnościami. Dominują nigiri – kulka doskonale ugotowanego ryżu z plastrem ryby.

Tu liczy się przede wszystkim prostota i wysokiej jakości składnik. Less is more, zasada ta dotyczy nie tylko sushi zresztą: na wystawach sklepowych ekskluzywnych butików zobaczysz prędzej prosty, biały top, czarne spodnie niż feerię barw z najnowszej kolekcji.

Restauracje z gwiazdkami Michelina, a Tokio i Kioto mają ich najwięcej na świecie, bynajmniej się tymi wyróżnieniami nie chwalą. Ba, czasami trudno nawet poznać, że to w ogóle jest restauracja.

T

TOALETA – bohaterka tysiąca i jednej opowieści o Japonii. Na pewno wszystkie są prawdziwe. Toalety w Japonii – także te w miejscach publicznych, choćby w metrze – są arcyczyste, mają podgrzewane deski, panele do sterowania, by ustawić sobie funkcję bidetu, prysznica, głośność melodyjki wygrywanej, by zagłuszała niepożądane odgłosy.

Luksus, do którego przywyknąć najłatwiej – w hotelu w Osace uznaliśmy, że deska jest za chłodna (tam był akurat jakiś starszy model toalety, gdzie nie można było manualnie sterować temperaturą) i na naszą prośbę obsługa szybko to skorygowała.

U

UNIQLO – to ta marka, w strojach której grał kiedyś Novak Djoković. Sklepy Uniqlo są na całym świecie, ale zrobić zakupy w ojczyźnie marki to punkt obowiązkowy. Tylko tam znajdziecie choćby serie ubrań dla różnych klubów piłkarskich J-League czy miejscowych destylarni sake. Ceny są też bardziej niż okazyjne.

W

WRÓŻBY – Japończycy są przesądni – nie zabija się pająka rano, bo to nieszczęście (wieczorem już można, bo taki wieczorny pająk to pech), nie obcina się paznokci w nocy, nie śpi się z głową skierowaną na północ, lepiej w nocy nie gwizdać, bo przywołuje się demony.

Nie pamiętam, czy tego unikaliśmy – na pewno w żadnym z hoteli, w których spaliśmy, nie pominięto czwartego piętra, choć liczba cztery (shi) wymawiana jest ta samo jak słowo „śmierć". Za to na pewno widzieliśmy mnóstwo miejsc w świątyniach, gdzie można kupić wróżby. Jeśli wylosuje się złą, trzeba ją przywiązać do specjalnego rusztowania na terenie świątyni, by pozostawić ją do „zaopiekowania się" przez dobre bóstwa.

• **WODA** – jest wspaniała. Z pewnością za sprawą dodatkowych filtrów, które montuje się często w kranach i prysznicach, co sprawia, że skóra, która poza Japonią traktowana w kąpieli bywa sucha, tam jest gładka jak u niemowlaka. Swoje robią też z pewnością tamtejsze kosmetyki, ale prysznic w Japonii to totalna ulga dla skóry.

Y

YOTSUGI – dla mnie miejsce szczególne. To stacja kolejowa w dzielnicy Katsushika w Tokio. Katsushika to rodzinne miejsce Yoichiego Takahashiego, twórcy mangi o kapitanie Tsubasie **(zdj.6)**.

Stacja jest niezwykła – cała ozdobiona kadrami z anime o Tsubasie, Kojiro, Matsuyamie i reszcie, wejście do toalet przypomina bramkę, a komunikaty o przyjazdach pociągów poprzedza muzyka z serialu. Wzruszenie? Mało powiedziane!

Z

ZAKUPY – mnóstwo już o zakupach w Japonii było, to na zakończenie abecadła powiedzmy, że nie ma reguły, gdzie będzie taniej. Wydawałoby się, że najkorzystniej powinno być w dużych sklepach, a nie jest, bo za pięć par pałeczek, w Donki zapłacisz pod 1000 jenów, a w rodzinnym sklepiku w Asakusie dostaniesz je za 600. I wtedy już chodzisz dumny jak paw z miną biznesmena, który ubił świetny interes, póki się nie okaże, że przepłaciłeś 100 jenów za hachimaki – bo mogłeś mieć opaskę za 300 jenów, a nie 400. ●

eprasa.pl 2b2d0f0434

„ANDRZEJ TALAR TO JA!”

„Nowy dom” podzielimy na dwie serie.
W drugiej opowiemy o pokoleniu synów i córek, wnuczek i wnuków bohaterów „Domu”. Po co?
Bo „Dom” to była prawdziwa polska saga i uważam, że warto ją doprowadzić do naszych czasów i zamknąć.

Z AKTOREM **TOMASZEM BORKOWYM**
ROZMAWIA **MARTA GÓRNA**

Czy zdarza się, że ktoś zwraca się do pana per „panie Andrzeju”?
– Często! „Panie Andrzeju, to, panie Andrzeju, tamto”. Uśmiecham się zawsze i mówię: „Nie, nie, nie. Tomku”.

Chyba dwa lata temu do Edynburga przyjechał Jurek Owsiak. Poszedłem na spotkanie z nim, nigdy wcześniej go nie poznałem. Kiedy mnie zobaczył, powiedział: „O, Andrzej!”. I padliśmy sobie w ramiona.

Andrzej Talar to moje aktorskie zwycięstwo. Dostałem tę rolę przez przypadek z rekomendacji Jurka Gościka. Jan Łomnicki [reżyser] przekonywał mnie, żebym zagrał w „Domu”, a ja nie chciałem porzucać teatru, w którym wtedy się spełniałem. Poleciłem mu nawet Krzysztofa Pieczyńskiego. Spotkali się, Łomnicki zadzwonił do mnie i mówi: „Tak, on się świetnie nadaje. Ale na pana brata, Bronka”.

Moją wielką miłością była wówczas Basia Hollender, dziennikarka filmowa, a moim przyszłym – jak to wówczas zakładałem – teściem wybitny producent i scenarzysta Wilhelm Hollender. Zadzwonił do mnie i powiedział, że jeśli nie wezmę roli Talara, to nie mam co pokazywać się w jego domu. No i jak tu odmówić ojcu ukochanej? Rolę dostałem bez zdjęć próbnych, ale...

...ale Jan Łomnicki dostał innego Talara niż w scenariuszu.
– Mój Andrzej był bardziej miastowy, niż Janek zakładał. To Bronek Pieczyński był wiejski – impulsywny i wprost. Ja nie potrafiłem znaleźć w sobie takiego chłopstwa. Doszedłem do wniosku, że dla Talara muszę znaleźć coś pośredniego, bo dzięki temu będzie prawdziwszy.

Łatwo się było z nim utożsamiać. Miewał słabości, giętką moralność, był ludzki.
– I uparty. Tak jak ja. Andrzej Talar jest podobny do mnie. Każdy aktor ma jedną, góra dwie role, które siedzą w nim przez całe życie. Mnie przypadł Talar. To moja życiowa rola, nie ma co do tego wątpliwości.

Jakieś dwa czy trzy dni przed emisją pierwszego odcinka „Domu” w 1980 roku chodziliśmy z Janem Englertem po Krakowie. On był jednym z moich aktorskich idoli, w „Domu” znakomicie zagrał Rajmunda Wrotka. Ludzie rozpoznawali go na ulicy. Ja chciałem być taki jak on, mieć to, co on: popularność, uznanie. Oczywiście nie mogłem mu tego powiedzieć, ale on to wyczuł. Patrzyłem na niego z podziwem, a on zerknął na mnie, zaśmiał się i mówi: „Za parę dni będziesz miał to samo”.

I miał pan?
– Po emisji pierwszego odcinka zadzwoniła do mnie Basia Hollender. Zapytałem ją: „No jak?”. Powiedziała, że nieźle. Dopytywałem, wiadomo. W końcu dodała: „Było więcej niż nieźle. Bardzo dobrze”.

Po pierwszej serii „Domu”, tuż przed stanem wojennym, wyjechałem do Wielkiej Brytanii. Na Wyspach byłem jednym z tysięcy ludzi na ulicy, a „Dom” i Andrzej Talar to było moje polskie życie. Prawdziwe szaleństwo zaczęło się w latach 90., po pierwszej części drugiej serii, którą zrealizowaliśmy w połowie dekady.

Przyjeżdżałem tu i moja popularność była ekscytująca, wręcz bajeczna, ale po jakimś czasie mnie przerastała i wracałem do edynburskiej normalności, do spokoju. Ale nawet w Szkocji zdarza się, że ktoś mnie rozpozna.

Opowiem pani taką historię. Wchodzę do zakładu fotograficznego w Edynburgu, żeby zrobić sobie zdjęcie do paszportu. Dużej postury fotograf koło pięćdziesiątki mówi do mnie: „Wont du ju wont”. Oho – myślę. Polak. Ale mówię spokojnie moim najczystszym angielskim akcentem, że chcę sobie zrobić paszportowe zdjęcie. Facet patrzy na mnie i patrzy, usadza, ustawia głowę, odchodzi kilka kroków i znowu patrzy. W końcu, równie świetnym angielskim jak wcześniej, pytam go: „Where are you from?”. Na co on: „Ajem from Poland”. A ja na to: „Ja też”. On zaniemówił na chwilę i nagle wyrwało mu się: „O kurwa, Talar!”. Od tego czasu zaprzyjaźniliśmy się serdecznie.

Brytyjczycy też pana rozpoznają?
– Ktoś mi kiedyś powiedział, że aktor filmowy bez rozpoznawalności jest jedynie szeregowym wykonawcą swojego zawodu. W Wielkiej Brytanii zagrałem chyba w 30 filmach i może ze dwie-trzy znaczące role. Rozpoznają mnie tylko zagorzali fani „Doktora Who”, to wszystko. Jestem tu „pracującym aktorem”, czyli po prostu wykonuję swój zawód.

W Polsce wszedłem na półkę, na której nie było zbyt tłoczno. Ale jakoś mnie to męczyło. Popularność to jest też jakaś odpowiedzialność. Szedłem kiedyś w Warszawie z moim przyszywanym bratem i agentem Edkiem Dargiewiczem. Coś mnie wnerwiało i zacząłem przeklinać, na to Edek zatrzymał mnie i mówi bardzo serio: „Tomek, zamknij się! Ludzie cię rozpoznają”.

Chyba do połowy lat dwutysięcznych, kiedy przyjeżdżałem do Polski, widzowie wciąż rozpoznawali mnie na ulicy. W Wielkiej Brytanii jestem zwykłym człowiekiem znanym z tego, że prowadzę i programuję teatry festiwalowe, realizuję i produkuję filmy o sztuce, ale jestem tu normalnym gościem jak tysiące podobnych do mnie.

Andrzej Talar nie uderzył więc panu do głowy?
– Uważam, że aktor musi mieć w sobie ogromne pokłady pokory. To dziwny zawód,

• **Kadr z serialu „Dom”. Tomasz Borkowy jako Andrzej Talar i Halina Rowicka jako jego druga żona Ewa. Postać Ewy grały serialu dwie aktorki – pierwsza była Joanna Pacuła. Halina Rowicka przejęła rolę w 1982 r. i grała ją przez kolejne lata** FOT. KRZYSZTOF FUS/TVP/EAST NEWS

Serial „Dom”

• TVP emitowała go w latach 1980-2000, w czterech seriach, 25 odcinków. Jego reżyserem był Jan Łomnicki, a scenarzystami Jerzy Janicki i Andrzej Mularczyk.

• W szczycie popularności oglądało go nawet 15 mln widzów. Opowiada o losach mieszkańców kamienicy przy ul. Złotej w Warszawie, którzy próbują sobie ułożyć życie po II wojnie. Głównym bohaterem jest Andrzej Talar, chłopak ze wsi, w czasie wojny partyzant, po wojnie przyjeżdża do stolicy, żeby studiować na Politechnice. W serialu wykorzystywano socjalistyczne kroniki filmowe, to zapis pewnej epoki, komentarz społeczny i obyczajowy.

• W obsadzie poza Tomaszem Borkowym wystąpili m.in. Jan Englert, Krzysztof Pieczyński, Tadeusz Janczar, Piotr Fronczewski, Jolanta Żółkowska, Joanna Pacuła, Bożena Dykiel i Adam Ferency.

eprasa.pl 2b2d0f0434

w którym jest się ciągle narażonym na dyskwalifikację. Dlatego nawet mały sukces może uderzyć do głowy. W tym zawodzie nie można myśleć o sobie więcej, niż że się jest.

Moje pokolenie aktorów uczyło się tego w szkołach teatralnych. Krakowska PWST słynęła z wpajania w nas pokory do zawodu. Mam wrażenie, że dziś tej pokory w zawodzie już trochę brak.

Talar to typowy Polak rzucony w wir historii. Produkt czasów, które wymagały trudnych wyborów i często moralnie niejednoznacznych decyzji. To opowieść o moim ojcu i jego przyjaciołach. W Andrzeju zawsze była naiwność i jakaś niezgoda. On często wybuchał, reagował frustracją na to, z czym się nie zgadzał albo czego nie rozumiał. Dlatego myślę, że jest tak bliski widzom.

TVP emitowała „Dom" z przerwami od 1980 roku do roku 2000. Powstało 25 odcinków w czterech seriach, ale widzowie mogli zobaczyć dzieje mieszkańców kamienicy przy ul. Złotej jedynie do 1980 roku, bo na nich ich historia się zakończyła.
– Akcja pierwszej serii zakończyła się chyba w latach sześćdziesiątych. Kiedy przyjechałem do kraju po raz pierwszy po wyjeździe, w 1990 roku, zobaczyłem Polskę zupełnie inną. Marszałkowska była jednym wielkim bazarem, na rozłożonych wszędzie stolikach i łóżkach polowych można było kupić wszystko. To był początek kapitalizmu, ale innego, niż znałem z Wysp. Inaczej sobie to wyobrażałem. Wtedy właśnie zaczęła się we mnie rodzić myśl, że do „Domu" trzeba wrócić, pokazać te przemiany na ekranie.

Zacząłem się zastanawiać, kto ma prawa do „Domu". Telewizja Polska czy autorzy, a może zespół filmowy, który to realizował? Chciałem kupić te prawa, ale nikt nie wiedział, jak się do tego zabrać. Chyba w 1992 roku spotkałem się z Jankiem Łomnickim i mówię: „Janku, a może byśmy tak znowu zaczęli?". A on na to: „Nie, Tomek, to już się nie da. Teraz telewizja nie będzie chciała tego wznowić".

Byłem uparty jak Talar, powiedziałem mu: „Janek, zróbmy taki hollywoodzki trik reklamowy. Od dziś zaczynamy mówić wszystkim, że wracamy do »Domu«. Ja będę gadał w wywiadach, a ty na spotkaniach towarzyskich mów wszystkim, że wrócił Borkowy i robimy nowe odcinki". Namówiliśmy do tego także obu autorów. Pół roku później zadzwonił do Janka ówczesny szef Telewizji Polskiej, chyba Maciej Pawlicki, i mówi: „To kiedy chcesz wejść na plan?".

W 1996 roku zaczęliśmy realizację kolejnych dwóch serii i „Dom" miał oglądalność 15 milionów widzów. Jak opowiadałem o tym w Wielkiej Brytanii, to wszyscy mówili, że to niemożliwe. Tłumaczyłem, że i owszem, możliwe, bo w Polsce są tylko dwa kanały telewizyjne.

Teraz jest ich więcej, a pan znów chce wrócić do „Domu".
– Jestem przekonany, że fani nas nie zawiodą i będziemy mieć wysoką oglądalność. Piszę scenariusz „Nowego Domu" z Robertem Klennerem, reżyserem, scenarzystą, moim przyjacielem. To niełatwe, bo ja mieszkam w Edynburgu, a on w Sydney, i jest między nami 12 godzin różnicy. Ale pracujemy jak w kieracie.

Akcja tej miniserii toczy się w 1992 roku i będzie ona zamknięciem bezpośredniej kontynuacji „Domu". Łącznikiem między starym a nowym „Domem" będą postacie i losy dzieci i wnuków głównych bohaterów „Domu".

Właśnie zakończyliśmy szkic scenariusza pierwszego odcinka, w którym historii Talara towarzyszą historie o Heniu Lermaszewskim, Wrotkach, o ich córkach i Krzysztofie Talarze.

Czyli granym przez Zbigniewa Buczkowskiego warszawskim cwaniaczku, sąsiadach Talara i jego synu. A co się zmieniło dla samego Andrzeja Talara przez te wszystkie lata?
– Po 12 latach od ostatniego odcinka „Domu" Andrzej jest już starszym panem w drodze na emeryturę. Stara się odnaleźć w nowej rzeczywistości i ma kilka dylematów zarówno rodzinnych, jak i moralnych. Lata 90. były trudne dla Polski i wielu Polaków. Transformacja, kapitalizm, mafie, a w tym wszystkim nasz Talar z historią pogmatwaną, jego nienajlepszymi decyzjami i problemami.

W wieku 65 lat Andrzej rozumie o wiele więcej, choć wciąż jest w nim ten PRL-owski Polak. Kiedy mówię, że Andrzej Talar to ja, mam też na myśli pewne podobieństwa naszych losów, ale z drobnymi różnicami. Andrzej nigdy nie należał ani do partii, ani do związków zawodowych, ale zawsze był po ich stronie. Ja byłem członkiem partii, ale dwa razy mnie z niej wyrzucano, bo byłem czemuś przeciwny. Jako członek „Solidarności" też nie ze wszystkim się zgadzałem. Tak samo jak Andrzej nie umiem być fałszywy. Kiedy próbuję trochę coś przekłamać, moja żona zawsze się śmieje i mówi: „Tomek, jesteś dobrym aktorem, a kłamać nie umiesz za grosz".

W „Nowym domu" chcielibyśmy pokazać ostatni wielki zakręt polskiej historii ostatnich 75 lat – wejście do Unii Europejskiej i konsekwencje z tym związane. To będzie też opowieść o rozdarciu, bo po 2004 roku ponad półtora miliona Polaków wyjechało z kraju. Głównie młodych, wykształconych, z dobrymi zawodami – przyszłość Polski.

Chcemy postawić pytanie, jak ten historycznie największy exodus młodych Polaków odbił się na kraju, na zatrudnieniu, na ekonomii, ale przede wszystkim na kontaktach międzyludzkich. Wielu z mojego pokolenia wraca po kilku dekadach i próbuje się odnaleźć w tej nowej Polsce. Jak pogodzić wiedzę zdobytą poza Polską, czerpaną z innej kulturalnej i politycznej rzeczywistości z warunkami i sytuacją w kraju?

Jak chcecie to opowiedzieć?
– Przez pryzmat synów Andrzeja: Kajtka i Krzyśka, ale również trochę młodszych od nich córek Lermaszewskich i Wrotków, jak i nowych postaci z pokolenia milenialsów, chcemy opowiedzieć polską historię pierwszego ćwierćwiecza XXI wieku.

Będziemy starali się pokazać dwa sposoby widzenia Polski. Jeden z wewnątrz, a drugi z zewnątrz, a tego jeszcze chyba nikt nie zrobił. Chcemy dodać trochę tego, jak to jest być Polakiem za granicą.

A jak jest?
– Od 44 lat mieszkam na Wyspach Brytyjskich, znam język dosyć dobrze, ale nigdy nie będę posługiwał się nim tak jak moja żona, która jest Szkotką wykształconą w UK i Europie. Bycie Polakiem w innym kraju to ciągłe poczucie wewnętrznej rozterki i czasem wyobcowania. Często na własne życzenie.

Znałem Polaków, którzy przyjechali tu za armią Andersa i nigdy nie nauczyli się angielskiego. Ale, co gorsza, wielu moich znajomych z pokolenia unijnej emigracji żyje w polskiej bańce, kisząc się w swoim sosie. Boją się wyjść z tej bańki, mówią Polglish, nie używając angielskiej gramatyki, nie rozumieją brytyjskiej kultury i nawet nie chcą jej poznać. Takich jest, niestety, sporo, ale są i ci, którzy, mimo że są bardzo „polscy", znaleźli swoje miejsce wśród miejscowych i są wysoce cenieni.

Po moim przyjeździe do Londynu, z bardzo kiepskim angielskim, od razu poszedłem do szkoły. Po pół roku jako tako mówiłem po angielsku. Pracowałem jako kierowca u pewnej zamożnej Brytyjki. Któregoś dnia zapytała mnie, dlaczego jako aktor z dużym dorobkiem w Polsce gram tylko małe, trzecioplanowe role. Odparłem zgodnie z prawdą, że to przez mój polski akcent w angielskim. „No to dlaczego nie weźmiesz lekcji dykcji?" – drążyła. Ja na to: „Bo zarabiam u ciebie 150 funtów tygodniowo, a godzina takich lekcji kosztuje ponad 40". Powiedziała, że ona za to zapłaci. Miałem szczęście. Uczyła mnie ta sama nauczycielka, która nauczyła trudnego szkockiego akcentu francuskiego aktora Christophera Lamberta obsadzonego w głównej roli w serii czterech hollywoodzkich filmów „Nieśmiertelny".

I co potem?
– Moja nauczycielka zarządziła, że aby to miało sens, przez minimum pół roku nie wolno mi otwierać gęby po polsku, nawet z polskimi przyjaciółmi mówiłem tylko po angielsku. Kazała mi słuchać nagrań tekstów w wykonaniu wielkich angielskich aktorów i oryginalnego nagrania „The Importance of Being Earnest" Oscara Wilde'a z 1956 roku.

Pomogło?
– Kiedy po raz pierwszy zacząłem się śmiać z tego bardzo angielskiego dziewiętnastowiecznego humoru, dotarło do mnie, że naprawdę zacząłem rozumieć angielski, a nie tylko go używać. Miałem już dosyć obszerne słownictwo, ale właśnie wtedy zacząłem pojmować coś znacznie ważniejszego.

I przypomniało mi się to, co mówił mi mój ojciec: „Tyle razy jesteś człowiekiem, ile znasz języków".

Miał rację?
– Język, w którym aktor pracuje, jest jego niezbędnym narzędziem, bez którego nie ma możliwości zatrudnienia.

Wielu Polaków za granicą nie zadaje sobie trudu, żeby mówić choćby tylko jako tako poprawnie i być lepiej rozumianym. Polski Most, polonijna organizacja, którą współzakładałem, wyprodukowała film dokumentalny o dzieciach Polaków w Szkocji. Wiele z tych dzieciaków mówiło o wstydzie, że ich rodzice nie mówią dobrze po angielsku. To smutne, bo te dzieciaki mają problem tożsamościowy. Są Szkotami? Anglikami? Polakami? Na spotkaniach w polskich szkołach mówię zawsze: „Jesteście jednymi i drugimi. I to jest właśnie wspaniałe, bo jesteście przyszłością obu krajów".

Do połowy lat dwutysięcznych, kiedy przyjeżdżałem do Polski, widzowie wciąż rozpoznawali mnie na ulicy. W Wielkiej Brytanii jestem zwykłym człowiekiem znanym z tego, że prowadzę teatry festiwalowe

Mój własny syn stara się mówić do swojej czteroletniej córki po polsku. Sam mówi świetnie, ale przejmuje się ciągle, że robi błędy i że uczy jej błędnej polszczyzny. Mówię mu, że ważne jest, żeby mała miała stały kontakt z językiem, a błędy da się poprawić.

Chcemy „Nowym domem" pokazać, że to wszystko jest do zrobienia, że da się być i tu, i tam na pełnych obrotach, nie trzeba rezygnować z niczego.

Syn Andrzeja Talara, o którym chce pan opowiadać w „Nowym domu", od lat mieszka w Wielkiej Brytanii.
– W „Domu" żona Kajtka miała przeszczep nerek, w mojej historii, niestety, zmarła, zostawiając kilkuletniego syna. Tuż przed stanem wojennym Kajtek wyjechał na stypendium do Edynburga i przez wiele miesięcy nie mógł wrócić. W końcu zdecydował się, że zostaje na stałe. Andrzej nie mógł się z tym pogodzić. Nie rozmawiał z synem przez 10 lat.

„Nowy dom" podzielimy na dwie serie. W drugiej opowiemy o pokoleniu synów i córek, wnuczek i wnuków bohaterów „Domu".

FOT. JACZEWSKI PIOTR/BE&W

Panie Tomaszu, ale po co?
– Bo „Dom" to była prawdziwa polska saga i uważam, że warto ją kontynuować, doprowadzić do naszych czasów i zamknąć jako sfabularyzowany zapis części historii Polski ostatnich 75 lat.

Czym przyciągnie nowych widzów w czasach streamingu?
– A czym przyciągał widzów stary „Dom"?

Oglądali dylematy głównych bohaterów, z którymi sami musieli się zmagać w realnym życiu.
– No i teraz podobnie, bo to będzie nowa opowieść o ludziach, którzy nie są ani dobrzy, ani źli, o ich dylematach, które przyniosły historyczne i polityczne zmiany. W „Nowym domu" chcemy wróć do czasu, kiedy polskie kino opowiadało historie o charakterach ludzi, a nie tylko o wydarzeniach.

Jak pan to napisze, żeby to był serial dla wszystkich widzów? Polska jest teraz podzielona.
– To będzie trudne. Wyznaję zasadę, że trzeba rozmawiać. Nauczyłem się tego na Wyspach. Na nieszczęście my, Polacy, nie rozmawiamy ze sobą, bo jesteśmy ciągle... wkurwieni. Polska emigracja, jak cały kraj, jest również spolaryzowana. Kiedy się spotykamy przy jakichś projektach, mówię, że musimy zapomnieć o podziałach i skoncentrować się na tym, co mamy do zrobienia. I to działa. Takie założenia ma Polski Most.

Jestem w dość dobrych stosunkach z paroma Polakami po czterdziestce. Gdyby pani posłuchała, o czym i jak mówią, pomyślałaby pani, że to czysta Konfederacja. Ale rozmawiam z nimi. Jestem społecznikiem, poglądy mam socjaldemokratyczne i proeuropejskie, jestem ze starego rozdania. O polityce nie chcą ze mną rozmawiać? W porządku, porozmawiajmy o historii. Wy mówicie, że żołnierze wyklęci to bohaterowie? Mój ojciec był jednym z nich. Do śmierci nie mógł sobie dać z tym rady. Śniły mu się twarze ludzi, których zastrzelił. I to ich zastanawia. To punkt wyjścia do poważnej rozmowy.

Da się rozmawiać z każdym?
– Każdy z nas ma jakieś doświadczenia, balast, tło rodzinne. Jeśli tylko spotkamy się gdzieś pośrodku i porozmawiamy, to wierzę, że uda nam się dogadać. Byłem dość mocno zaangażowany w obie kampanie prezydenckie Rafała Trzaskowskiego. I nie dlatego, że był to kandydat Koalicji Obywatelskiej. Uznałem po prostu, że to jedyny człowiek, który chce i umie rozmawiać z opozycją, bo i ona ma polityków przeciwnych podziałom. Niestety, nie wszyscy chcieli go słuchać, mam wrażenie, że nawet jego własna partia mu nie pomogła.

A jeśli pani pyta o to, czy „Nowy dom" będzie serialem dla wszystkich, to nie tylko mam taką nadzieję, ale z mojej strony zrobię wszystko, żeby był. Na pewno wnerwię i jedną, i drugą stronę, ale może właśnie przez to obie strony zaczną myśleć, jak wyjść z tej czarnej dziury. ●

Tomasz Borkowy

• Rocznik 1952. Aktor filmowy, teatralny, producent i scenarzysta. W Polsce najbardziej znany ze swojej ikonicznej roli w serialu „Dom". Tuż przed stanem wojennym wyjechał do Wielkiej Brytanii. Za granicą jako Tomek Bork wystąpił m.in. w filmach „Nieznośna lekkość bytu", „Murder by Moonlight", a także w kultowym serialu „Doktor Who". Od 44 lat mieszka w Edynburgu, związany jest ze słynnym festiwalem Edinburgh Festival Fringe, jest także dyrektorem organizacji teatralnej i szkoły aktorskiej Universal Arts.

eprasa.pl 2b2d0f0434

Jeden dzień w Rzymie

• „Męczeństwo św. Wawrzyńca" marmurowa rzeźba Gian Lorenza Berniniego na wystwie „Bernini i Barberini" w Palazzo Barberini w Rzymie, marzec 2026 r.

FOT. ROBERTO SERRA - IGUANA PRESS/GETTY IMAGES

Włoski przyjaciel napisał: „Umarł Gino Paoli". Jego arcydzieło „Il cielo in una stanza" – zawoalowaną opowieść o miłości w domu publicznym – śpiewały największe gwiazdy, a Włosi im wtórowali nie mając pojęcia o czym jest ta historia.

Jarosław Mikołajewski

FELIETON Z CYKLU ZA PIĘĆ TRZYNASTA

Nędzne, wspaniałe miasto", pisał o Rzymie Pasolini, który szukał w nim schronienia i nowego miejsca na ziemi po skandalach obyczajowych w rodzinnym Friuli. „Nędzne, wspaniałe miasto", mówię dziś jego słowami na początku wiosny, tej prawdziwej, kiedy Rzym znów wchodzi w moje życie tą swoją wyjątkową aurą. Kiedy wszystko kwitnie i śpiewa wcześniej niż w miastach północy, z których tu przyjeżdżam, gdzie ptaki i kwiaty czekają wciąż w przyczajeniu na znak, że trzeba powrócić do radości istnienia, odkrywania, bycia z ludźmi w ich potyczkach i pracach.

Twórca dramatycznych Jezusów

Mam tu dla siebie tylko jeden dzień, i wiem co chcę robić. Po pierwszej kawie idę na wystawę Gian Lorenzo Berniniego w Palazzo Barberini, którego bohater ekspozycji jest współautorem, konkurentem Francesca Borrominiego w arcydzielnych projektach dwóch rzędów skłóconych ze sobą schodów.

Idę więc na wystawę Berniniego i widzę, co może znaczyć dla artysty przyjście na świat w artystycznej rodzinie: w pierwszej Sali, gęsto zaludnionej marmurowymi rzeźbami, znajduję wspaniałe dzieła ojca Gian Lorenza, Pietra, autora słynnej „barcacci" – łodzi na Placu Hiszpańskim. Obecna wystawa oddaje Pietrowi, często pomijanemu, należne mu miejsce nie tylko ojca geniusza, lecz przede wszystkim utalentowanego, spełnionego twórcy świętych Sebastianów, alegorii pór roku, dramatycznych Jezusów.

Za pierwszą salą wszystko należy już do Gian Lorenza, z drobnymi ustępstwami na rzecz rysunków architektonicznych Borrominiego czy obrazów Guida Reniego. Wśród szkicowych autoportretów malarskich i surowych popiersi, które przywołują siłę charakteru rozmaitych kardynałów i papieży, króluje głowa Costanzy Bonarelli – kochanki artysty. Dzieło prywatne, stworzone przezeń tylko dla siebie, zmysłowe, pokazujące młodą kobietę u schyłku miłosnej nocy, jeszcze rozchełstaną i potarganą. Gorącą.

Złapać cień między medytacją a popem

Po wyjściu z wystawy czeka jednak arcydzieło największe – grupa studentów architektury, uczących się pod okiem starszej profesorki „łapać" cień. „Spieszcie się – mówi mistrzyni. – Za chwilę wszystko będzie inne niż zdążyliście zapisać. I od razu nastawcie się na rysunek dwóch następujących krótko po sobie momentów cienia..."

Z wystawy Berniniego jadę szybko do MAXXI – Muzeum sztuki XXI wieku – na wystawę poświęconą Franco Battiato, jednemu z moich muzycznych bohaterów, piosenkarza i pieśniarza, oscylującego pomiędzy medytacją a popem, nierzadko zamierzoną tandetą.

Są plakaty, płyty, jest kabina opisana tytułem jednego z najsłynniejszych utworów Battiato „Stały środek ciężkości", gdzie przy wygaszonym świetle oglądam legendarny wideoklip z przerysowanym tańcem, będącym kwintesencją estetyki nowego (zamierzonego) kiczu, i słucham po raz bodaj setny słów „Szukam stałego środka ciężkości, który sprawi, że moje poglądy na rzeczy i ludzi będą pozostawać niezmienne...".

Niespodzianką jest malarstwo pieśniarza – portrety sprowadzone do minimum rysów twarzy, prawie umowne. I inne, duchowe, w których łatwo zaobserwować buddyjską przemianę artysty, jego nową filozofię i wiarę.

„Nędzne, wspaniałe miasto", mówię dziś na początku wiosny, tej prawdziwej, kiedy Rzym znów wchodzi w moje życie tą swoją wyjątkową aurą.

Odnowił język włoskiej piosenki miłosnej

Wystawa Franco Battiato jest wspaniała, ogarnia mnie i wciąga całego, a przecież wychodząc słyszę dźwięk telefonu, ulegam jednak pokusie by odczytać wiadomość od mojego włoskiego przyjaciela: „Umarł Gino Paoli"... Z ekstazy, w którą wprawia mnie wystawa Battiato, szybko przechodzę w melancholię.

Smutek wywołany wiadomością o śmierci rówieśnika mojej mamy (rocznik 1934), który odnowił język włoskiej piosenki miłosnej, uwolnił ją od stereotypu, lukru, pokazując jak można pisać i śpiewać o uczuciach oryginalnymi słowami i brzmieniami.

Kilka miesięcy temu odeszła Ornella Vanoni, z którą Gino Paoli był długo związany. Jego arcydzieło „Il cielo in una stanza" – subtelnie zawoalowaną opowieść o miłości w domu publicznym (o chłopcu, który zakochał się w prostytutce) – śpiewały największe gwiazdy, z Miną na czele, a Włosi wtórowali wykonawcom nie mając na ogół pojęcia o czym jest ta historia.

O wspaniałości Rzymu, o której wspomniałem na początku, stanowi dziś dla mnie jego łagodne powietrze, najlepsze słońce, różnorodność wątków i rozmów, wystawy, spotkania z przyjaciółmi (Marco Munaro – poeta i wydawca, Marco Vanchetti – tłumacz i artysta).

O jego nędzy – furia, z jaką mieszkańcy mówią o politykach, zwłaszcza burmistrzu, który miał zainicjować zbyt wiele robót na jedną chwilę. ●

1 RP

eprasa.pl 2b2d0f0434

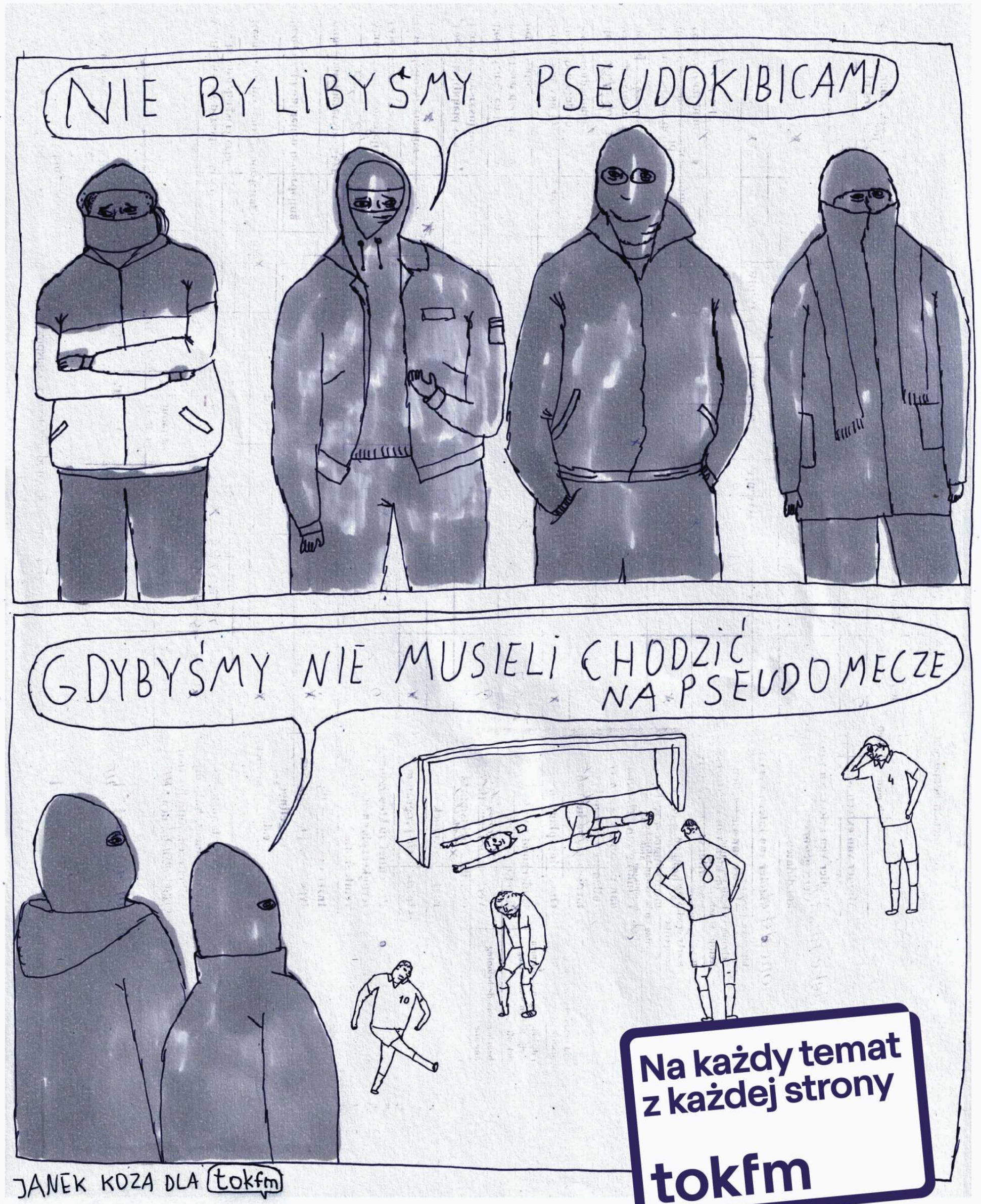

eprasa.pl 2b2d0f0434

GAITA ZAMIAST FLAMENCO

Tu się nie przyjeżdża robić kariery, ale w poszukiwaniu spokoju, zrównoważonego życia i przyjaźni. Galicję albo się kocha, albo się jej nie rozumie

Tekst: **Ludmiła Anannikova**
Zdjęcia: **Jakub Orzechowski/Agencja Wyborcza.pl**

KORESPONDENCJA
Z SANTIAGO DE COMPOSTELA

Galicja jest zupełnie nieodkryta przez Polaków. Jadąc tutaj, często myślą, że jadą do Hiszpanii skąpanej w słońcu, walczącej z bykami, a zostają coś zupełnie innego. Ale nie są rozczarowani, wręcz przeciwnie. No chyba że ktoś wydał pieniądze na urlop z nastawieniem, że chce skorzystać ze słońca, a przyjechał w porze deszczowej – mówi **Katarzyna Jabłońska**, która mieszka w Galicji od 20 lat. Uważa, że Galicję można i należy zwiedzać o każdej porze roku, tylko trzeba się ubrać stosownie do pogody.

– Mamy naprawdę czym się pochwalić. Łagodny klimat z niższymi temperaturami niż na południu, pyszne jedzenie w przystępnej cenie, region nie jest wyeksploatowany turystycznie. To fantastyczne miejsce, żeby odpocząć, pożyć spokojnie, na luzie. Jak ludzie przyjeżdżają z Polski, to na początku zachowują się, jakby się czegoś wstydzili, myślą, że są oceniani, że sąsiad na nich patrzy, a tu każdy żyje po swojemu, jak chce. Do sklepu można wyjść w piżamie i nikt cię za to nie oceni.

Taka Szkocja na końcu świata

W Hiszpanii byłam wielokrotnie, ale w Galicji jestem po raz pierwszy. To rzeczywiście inny świat. Jadąc przez pagórkowate tereny, widzi się lasy, winnice, kamienne domy, porośnięte gdzieniegdzie mchem i trawą. Zamiast flamenco usłyszeć można dźwięki gaity – tradycyjnych dud, które są elementem obecnej w Galicji kultury celtyckiej. W połączeniu z wilgotnym oceanicznym powietrzem i zmienną pogodą krajobraz miejscami bardziej przypomina Irlandię czy Szkocję niż Hiszpanię z pocztówek.

W starożytności i średniowieczu Galicję, a dokładnie położony tutaj przylądek Fistrerra, uważano za koniec świata. Choć w Galicji są trzy lotniska, z Polski najłatwiej dostać się tu lecąc do Porto w Portugalii i stamtąd autokarem znanego przewoźnika dotrzeć do największego miasta Galicji, Vigo.

Naszym celem podróży – moim i fotoreportera Jakuba Orzechowskiego – jest Santiago de Compostela, stolica regionu. Chcemy sprawdzić, czy warto tu przyjechać, jeśli nie pielgrzymujesz którymś ze szlaków św. Jakuba i nie specjalnie interesuje cię turystyka sakralna.

Stolica z rozsądku

Santiago de Compostela zostało stolicą Galicji w 1981 roku, gdy po upadku dyktatury generała Franco wprowadzano w Hiszpanii nowy podział administracyjny. Nie był to oczywisty wybór. Jednym z głównych kandydatów była A Coruña, miasto na północy regionu, ośrodek przemysłowy z liczbą ludności ponad dwukrotnie przewyższającą Santiago.

Jednak wtedy mogłoby się obrazić jeszcze większe i także rozwinięte gospodarczo Vigo (blisko 300 tys. mieszkańców, a cała aglomeracja prawie pół miliona). Santiago było więc kompromisem – ma niezaprzeczalne znaczenie historyczne i kulturowe, no i w odróżnieniu od nadmorskich Vigo i Coruñi znajduje się w centrum regionu.

Jeżeli chodzi o liczbę ludności, to Santiago dopiero w 2025 roku osiągnęło 100 tys. mieszkańców.

Na pielgrzymkach nie trzeba już cierpieć

Choć zarzekałam się, że turystyka sakralna mnie nie interesuje, nie da się, będąc w Santiago, nie zobaczyć katedry. Monumentalny budynek jest od wieków jedną z najważniejszych katolickich świątyń. Jest też jednym z największych dzieł architektury romańskiej w Hiszpanii.

Budowę rozpoczęto w 1075 roku, a zakończono w 1122 roku. Jednak prace wykończeniowe i dekoracyjne, zajęły kolejne 90 lat. W tym czasie w katedrze odprawiano już nabożeństwa, ale uroczysta konsekracja odbyła się dopiero w 1211 roku.

Na *Plaza do Obradoiro* (tu i dalej będę podawać nazwy w jęz. galicyjskim) przed katedrą trudno tak się ustawić, żeby zrobić zdjęcie bez innych ludzi w kadrze, chociaż teraz pod koniec marca pielgrzymów jest stosunkowo niewielu. **Wiktoria Grygierzec**, która prowadzi biznes powiązany z pielgrzymkami, mówi, że najwięcej jest ich w Santiago od kwietnia do października.

Wiktoria mieszka w Galicji od 18 lat. Z mężem prowadzą firmę, która pomaga organizować pielgrzymom „camino", czyli drogę do Santiago. – Mamy w różnych częściach świata partnerów, którzy komercjalizują pielgrzymki. Sprzedają wyprawy, a do nas zwracają się po pomoc w organizacji tu, na miejscu. Żeby dostać dyplom pielgrzyma, trzeba przejść minimum 100 km – wyjaśnia.

• **Wszelkie owoce morza, na czele z przegrzebkami (muszlami św. Jakuba) na Mercado de Abastos w Santiago – jednym z największych tradycyjnych targów w Hiszpanii**

1 RP

eprasa.pl 2b2d0f0434

◀ Santiago de Compostela – stolica regionu Galicja – leży 35 km od wybrzeża Atlantyku. Na zdj. widok na słynną katedrę – cel piegrzymujących szlakami św. Jakuba

▶ Pomnik poetki Rosalia Castrow parku Alameda (Parque da Alameda)

Firma Wiktorii załatwia pielgrzymom nocleg, bo jeśli nie masz nic zorganizowanego, musisz być szybki i pojawić się w schronisku przed południem, żeby zaklepać miejsce. Klientami jej biura są najczęściej osoby w wieku 60 plus, którzy marzą o pielgrzymce, ale na własnych warunkach.

– Dzięki nam nie muszą się martwić noclegiem, przewozimy też ich bagaż z jednego miejsca noclegu do drugiego. Zajmujemy się tym od 2011 roku. Z naszych usług korzystają głównie Europejczycy, ale też na przykład obywatele RPA. W Polsce przez długi czas bałam się wystartować, bo u nas długo pokutowała wizja, że na pielgrzymkę się idzie, żeby cierpieć. Trzeba spać w schronisku, samemu nieść plecak i jeść tuńczyka z puszki. Ale przez ostatnie lata bardzo to się zmieniło. I dziś zdarzają się także klienci z Polski – opowiada Wiktoria.

Rexurdimento

Wiktoria zabiera nas na spacer po mieście. Bo Santiago to coś więcej niż centrum pielgrzymów. Jest to również miasto studenckie. Na tutejszy uniwersytet przyjeżdżają studenci z całego świata. Wiktoria studiowała filologię portugalską, była na Erasmusie w Lizbonie i przyjechała na uniwersytet w Santiago na stypendium. – Wymyśliłam, by pracę pisać z gramatyki historycznej, a źródła języka portugalskiego wskazują na Galicję – tłumaczy.

Rzeczywiście, język galicyjski (galego/hiszp. gallego) brzmi jak połączenie hiszpańskiego i portugalskiego, w wymowie przypominając bardziej portugalski. W skrócie, historia jest taka, że przed wyodrębnieniem się Portugalii w osobne królestwo Galicja i Portugalia rozwijały się razem i mówiły tym samym językiem. Rozdział nastąpił w 1139 roku. Galicja pozostała częścią królestwa Leonu, a później Królestwa Kastylii-Leonu. Portugalia szła swoją ścieżką. Tak samo języki.

Dziś galicyjski jest oficjalnym językiem Galicji, obok hiszpańskiego. Uczą go w szkołach, jest powszechnie używany w życiu publicznym i mediach, słychać go na ulicach.

Pozycja języka byłaby zapewne inna, gdyby nie *Rexurdimento* – galicyjskie odrodzenie narodowe, ruch kulturowy, literacki i polityczny z XIX wieku, który za cel stawiał sobie przywrócenie językowi galicyjskiemu należnego miejsca, a także odrodzenie galicyjskiej tożsamości.

W parku Alameda, do którego prowadzi nas Wiktoria, stoi pomnik Rosalíi de Castro, poetki i pisarki, czołowej przedstawicielki galicyjskiego zrywu. – W XIX wieku mniejsze nacje zamieszkujące Hiszpanię zdały sobie sprawę, że mają własny język i trochę odręb-

Galicja

INFOGRAFIKA: ŁUKASZ RUDNIKOWSKI / WYBORCZA.PL/BIQDATA

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.
W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją.
Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

eprasa.pl 2b2d0f0434

• Gigantyczne Cidade da Cultura de Galicia (Miasto Kultury Galicji) na szczycie Monte Gaias

ną kulturę, tak było też w Galicji – opowiada Wiktoria. – Rexurdimento zaczęło się od tego, że Rosalía i jej mąż wydawali teksty po galicyjsku – on polityczne, a ona poezję. W języku ludu, biedoty. Dziś Rosalía ma wszędzie swoje pomniki, ulice, alejki.

Jeśli od pomnika pójść alejką w lewo, dojdzie się do granicy parku, skąd ze wzgórza widać jak na dłoni katedrę. Warto tu dotrzeć dla pamiątkowego zdjęcia.

Dwie Marie

– To prawda, galicyjski Mickiewicz był kobietą – śmieje się **Katarzyna Jabłońska** ze stowarzyszenia Polaków w Galicji (Polonia en Galicia), która pracuje m.in. jako przewodniczka. – W ogóle kobiety Galicji to bardzo ciekawy temat – dodaje.

Pod koniec XIX i na początku XX wieku Galicja mierzyła się z masową emigracją. – Tu było bardzo biednie, Galicyjczycy emigrowali z głodu, głównie do Argentyny i innych krajów Ameryki Południowej. Wypływali z portu w Vigo, głównie mężczyźni. Najczęściej mieli żony i dzieci. Kobiety zostawały. Wiele z nich miało tragiczną historię: mężowie przestawali się odzywać, zakładali w nowym kraju nowe rodziny, nie przesyłali pieniędzy, a kobiety musiały przetrwać. Nie mogły też ponownie wyjść za mąż, bo przecież miały męża – opowiada Jabłońska.

Był to też okres, kiedy Katalończycy zakładali w Galicji pierwsze fabryki przetwórstwa rybnego. Wiele kobiet znalazło w nich pracę. Dla wielu była to pierwsza praca wykonywana poza domem za wynagrodzenie. Zwiększyło to niezależność galicyjskich kobiet, pozwoliło wyżywić siebie i dzieci i zająć ważne miejsce na rynku pracy.

Dziś również kobiety są widoczne na ulicach Santiago i innych miast. Bardzo często kierują autobusami, również na trasach międzymiastowych. Przewodniczka Katarzyna, z wykształcenia filolożka, pracuje także w fabryce maszyn. – Śrubki, materiały, żelazo różnych jakości. Uczę się dużo i nie ukrywam, że bardzo się też męczę – mówi.

Spośród pomników postawionych kobietom w Galicji mnie osobiście najbardziej wzruszyły Dwie Marie – As Dúas Marías. Kolorowo ubrane starsze panie stoją niemal na wejściu do parku Alameda od strony Starego Miasta. Jedna puszcza oko do przechodniów i wyciąga rękę.

W rzeczywistości nazywały się Coralia i Maruxa Fandiño Ricart. Były siostrami, zmarły w latach 80. – Lubiły spacerować w tym parku. Kolorowo się ubierały, zagadywały studentów. Postrzegano je trochę jak wesołe wariatki, ale ich historia była bardzo smutna. Ich bracia walczyli przeciwko frankistom i byli przez nich ścigani. Policja nachodziła siostry, żeby dowiedzieć się, gdzie się ukryli. One ich nie wydały. Zostały skatowane, prawdopodobnie były też ofiarami przemocy seksualnej – opowiada Wiktoria Grygierzec.

Po wojnie domowej w czasach dyktatury Franco siostry były napiętnowane jako przeciwniczki reżimu. Ich ekscentryczny, jak na tamte czasy, ubiór był wyrazem ich oporu wobec dyktatury. Kiedy zmarły, mieszkańcy Santiago postawili im pomnik. Autor César Lombera stworzył go w 1993 roku.

Licor do negro café i kasztany

Opowieść o Galicji, to także opowieść kulinarna. Katarzyna poleca nam sklepik na ulicy Rua Nova, który prowadzi **Czeszka, Ewa**. Sprzedaje produkty z kasztanów. Jest ich tyle, że człowiek nie wie, na co spojrzeć. Kasztanowy miód, kasztanowe ciastka, nalewki na bazie kasztanu, kasztanowe kosmetyki, syropy, kompoty, piwo, a nawet whisky, która leżakowała w beczce z kasztanowca.

Ewa pochodzi z Pragi, mieszka w Santiago od 20 lat. Spod lady wyciąga kieliszki i częstuje nas nalewką. Ale nie z kasztanu, tylko z kolcolistu, rośliny z rodziny bobowatych. Ma ciernie i żółte kwiaty. W Galicji mówią na nią *toxo*.

• Pomnik Dwie Marie (Las dos Marías) w parku Alameda

• Dziedziniec Pazo de Fonseca na terenie uniwersytetu, który założono w Santiago w 1495 r.

– To symbol Galicji. Ludzie robią sobie tatuaże z tymi kwiatami. Też na osoby o szorstkim usposobieniu mówi się tutaj *toxo* lub pieszczotliwie *toxiño* – tłumaczy Ewa.

Pytamy, skąd pomysł na sklep z kasztanami. – W Czechach kasztanów prawie nie ma, a tutaj od wieków są pożywieniem. W czasie wojny domowej ratowały ludzi przed głodem, bo można było je po prostu zbierać. Były pieczone, gotowane, dodawano je do zup. Kiedyś pojechaliśmy z mężem do Bierzo w prowincji Leon, to sąsiedni region, i tam mi się te kasztany objawiły. Zobaczyłam, jak dużo można z nich zrobić. Ludzie starsi pamiętają, jak jedli kasztany, żeby przeżyć, ale kolejne pokolenia o nich trochę zapomniały. Uznałam, że zasługują na swoje miejsce – opowiada Ewa.

Częstuje nas kolejną nalewką, tym razem z *grelo*. To pędy rzepy, zbierane przed kwitnieniem, o zielonej barwie i intensywnym aromacie. Dodaje się je do wielu dań kuchni galicyjskiej, najbardziej popularna to *caldo galego*, kapuśniak z różnymi rodzajami mięsa.

Grelo bywa też składnikiem pasty na chleb, który w Galicji, nota bene, jest naprawdę dobry. Moje rozmówczynie twierdzą, że ich znajomi z innych regionów Hiszpanii proszą, żeby im przywozić trochę chleba ze sobą.

Na końcu próbujemy *licor do café*, tradycyjny w Galicji likier kawowy. Doczekał się nawet swojej piosenki: *„Licor do negro café. Que me tumbas, que me matas”* („Likierze z czarnej kawy, powalasz mnie, zabijasz mnie”). Na mój gust jest mocny, ale nie żeby

1 RP

eprasa.pl 2b2d0f0434

• **POLKI MIESZKAJĄCE W GALICJI (od lewej):**

• **Ewa Pawłowska**
prezeska stowarzyszenia Polonia en Galicia. Doktor ekonomii. Pracuje w agencji rządowej, m.in. ocenia nowe technologie medyczne od strony finansowej

• **Katarzyna Jabłońska**
filolożka, skończyła też administrację w Hiszpanii. Pracuje jako przewodniczka oraz w fabryce maszyn

• **Anna Dudek**
pracuje w firmie szyjącej luksusowe torebki. Z zawodu jest technikiem krawiectwa. Jej mąż Robert, też Polak, pracuje w budownictwie

• **Izabela Niechwiadowicz**
pracuje w hotelu i uczy angielskiego w szkole językowej

• **Wiktoria Grygierzec,**
prowadzi z mężem firmę, która pomaga organizować pielgrzymki. Absolwentka filologii portugalskiej

od razu zabijać. Ma 26-30 procent. No i jest bardzo słodki. Trudno byłoby wypić więcej niż kieliszek.

Ostrygi, małże i gwiazdki Michelina

Spacerując przez miasto mijamy dwie restauracje z gwiazdką Michelina. Choć Galicja nie należy do regionów z największą liczbą gwiazdek (Katalonia, Madryt czy Kraj Basków mają ich więcej), to jej gastronomia słynie na całą Hiszpanię.

– Mamy w Galicji turystykę gastronomiczną, zdarzają się nawet promocje na bilety pod hasłem „weekend gastronomiczny w Galicji" – opowiada Ewa Pawłowska, prezeska stowarzyszenia Polaków w Galicji.

Wiktoria dodaje, że restauracje z gwiazdką są w Galicji przystępne cenowo. – Kiedyś przyjechał do nas Holender, z którym współpracujemy, zabraliśmy go do takiej restauracji. Kiedy przynieśli rachunek – 180 euro za trzy osoby, zaczął się śmiać, że w Amsterdamie zapłaciłby nie mniej niż 400 euro – opowiada.

Galicja najbardziej słynie z owoców morza i jest ich głównym producentem w Hiszpanii. Ostrygi i małże stąd jadą do najlepszych restauracji w Hiszpanii, ale też we Francji.

– Mamy szefów kuchni na światowym poziomie, ale najczęściej dlatego, że pochodzą stąd, w pewnym momencie swojego życia wyjeżdżają, szkolą się gdzieś u szefów w Hiszpanii czy za granicą, a potem wracają, bo tu mają bardzo dobre produkty – mówi Katarzyna.

– My w Polsce dużo robimy z mięsem. Gotujemy, smażymy, podajemy z sosami. A tu rzuca się kawałek na patelnię i gotowe. Tak samo z rybą. Naprawdę trzeba się postarać, żeby zepsuć ten produkt. Generalnie gdziekolwiek w Galicji się wejdzie, to się dobrze zje – dodaje Ewa Pawłowska.

Tapasy? Trzeba znać zasady

Według moich rozmówczyń Galicja wciąż jest miejscem, gdzie zachowała się kultura *tapas*. W wielu miejscach nie zobaczysz ich w karcie, ale na pewno coś dostaniesz, jeśli przyjdziesz o odpowiedniej porze.

Na przykład, kupując kawę na dworcu za cenę znacznie niższą niż w Polsce (1,5-1,7 euro), dostaliśmy rogalik i ciastko, a do kieliszka wieczornego piwa przynieśli nam chipsy i pierożki nadziewane mięsem.

Nasze przewodniczki radzą wybrać się na tapas w południe, kiedy jeszcze jest przed obiadem, a jednocześnie minęło już trochę czasu od śniadania i Hiszpanie robią się głodni.

– Z tapasami wszędzie jest inaczej – przyznaje Katarzyna. – W Santiago po prostu coś dostajesz. W Lugo kelnerka przychodzi i czyta listę, co mają. Trzeba uważać, bo bardzo szybko mówią. Są też miejsca, gdzie na barze są ustawione wielkie tace i możesz sobie brać, co chcesz. Zalecany jest jednak umiar. No i trzeba wiedzieć, o której godzinie przyjść. Między 13.30 a 15.30 podają tu obiad, wtedy tapasów nie ma, a potem do 20.00 kuchnie w restauracji są zamknięte i nic dodatkowo nie podają, bo Hiszpanie uważają, że wszyscy są najedzeni. O 21.00 idzie się na kolację. I wtedy z reguły coś się dostanie do picia, o ile nie zamawiasz jedzenia. W kwestii tapasów trzeba być sprytnym. Jeśli gdzieś widzisz, że wszyscy mają na talerzykach to samo, to przecież nie mogą mieć tak zgodnego gustu. To jest tapa, którą tu dają. No i trzeba wybierać miejsce, gdzie jest dużo ludzi.

Powszechnym zwyczajem w Galicji jest też obdarowywanie pracowników przed świętami koszykami z jedzeniem.

Katarzyna: Nigdy nie będziemy Galicyjkami ani Hiszpankami, co się w ogóle nie kłóci z tym, że jesteśmy super zintegrowane, mówimy po hiszpańsku i galicyjsku. Celebrujemy wszystkie tradycje, ale mamy tę polską nogę, o którą też musimy dbać.

– Mój mąż, jak dostaje koszyk, to tylko z produktami z Galicji. Wino [najpopularniejsze to *albariño*], dżemy, konserwy z owocami morza, co dla Polaków jest trochę dziwne, bo u nas puszek nikt nie daje. Ale to produkty wysokiej jakości – opowiada Anna Dudek, także ze stowarzyszenia polonijnego. – Ja natomiast dostaję w prezencie świńską nogę z kokardą, czyli *jamón serrano*. Uwielbiamy *jamón*, ale trzeba się namęczyć, żeby go nakroić. Trzeba mieć specjalny nóż, specjalną drewnianą podstawkę, szmatkę bawełnianą do przykrycia, która zawsze musi być czysta. I potem jemy na śniadanie, obiad i kolację, żeby się nie zepsuł. Jak jechaliśmy dwa lata temu na święta kamperem, to w składzie: pies, ja, mąż, dwie córki – i *jamón*.

Projekt, który przerósł potrzeby Galicji

Katarzyna koniecznie chce nam pokazać jeszcze jedno miejsce – leżące nieco na obrzeżach *Cidade da Cultura de Galicia*. Inicjatorem jego powstania był Manuel Fraga Iribarne, Galicyjczyk. Polityk, prawnik, dyplomata. Działał w czasach dyktatury Franco, jak i później. W latach 1990-2005 był prezydentem autonomicznego regionu Galicji.

– To Fraga jest odpowiedzialny za to, że wszyscy widzą Hiszpanię jako skąpaną w słońcu i tańczącą flamenco. Zabawne, że to właśnie Galicyjczyk wymyślił ten obraz, będąc ministrem turystyki w latach 60., kiedy zaczęto promować Hiszpanię – opowiada Katarzyna Jabłońska. – Jako prezydent autonomii galicyjskiej chciał coś po sobie zostawić. Był przełom wieków, wielu wierzyło, że zbliża się koniec świata i stąd zapewne ten rozmach – uśmiecha się.

W 1999 roku *Xunta de Galicja* (rząd autonomii galicyjskiej) ogłosiła konkurs dla architektów z całego świata. Zwyciężył Amerykanin Peter Eisenman, twórca m.in. Pomnika Pomordowanych Żydów Europy w Berlinie.

– Cidade da Cultura miało być dziełem życia Eisenmana. Osoby znające się na architekturze są zachwycone, gdy tu przyjeżdżają. Pomysł przerósł to, co było tu potrzebne, ale zobaczcie, na czym polegał! – mówi Katarzyna. – Znajdujemy się na górze, która nazywa się Gaiás. Żeby wybudować ten kompleks, trzeba było wyrównać jej szczyt, a w jego miejscu zbudowano szczyt w postaci tych budynków.

Od razu przypomina mi się film „Brutalista" Brady'ego Corberta, zdobywca trzech Oscarów. W nim emigrujący z Węgier do USA architekt, grany przez Adriena Brody'go, spotyka magnata finansowego, który każe ściąć górę i zbudować na jej szczycie centrum społeczne dla mieszkańców Filadelfii.

– Pomysł Eismana wygrał, bo nawiązywał do tradycji szlaku jakubowego i do samego Santiago. To, co tu widzicie, z lotu ptaka ma formę muszli. Jak przegrzebek, małża św. Jakuba – opowiada Katarzyna.

Budowa kompleksu rozpoczęła się w latach boomu gospodarczego i była niezwykle kosztowna. Nasza przewodniczka opowiada, że żadne ograniczenia nie wchodziły w grę z powodu umowy, którą podpisano z architektem: decydował absolutnie o wszystkim. Dlatego do Galicji, która stoi na złożach granitu, sprowadzano kamień z Brazylii. Ostatecznie, jak mówi, na Cidade Galicyjczycy wydali 400 milionów euro, budżet został przekroczony kilkukrotnie.

W czasach kryzysu 2008-10 mieszkańcy krytycznie patrzyli na tę ekstrawagancję. – Były czasy, kiedy połowa budżetu Galicji przeznaczonego na kulturę, szła na budowę Miasta Kultury – mówi Jabłońska.

W 2014 roku podjęto decyzję, żeby przerwać budowę. – Były zaplanowane jeszcze dwa budynki, których tu nie ma – precyzuje Katarzyna. – Na przykład teatr tak wielki, żeby jednocześnie na pięciu scenach można było prezentować pięć różnych spektakli. My nie mamy takiej publiczności w Galicji. A drugi budynek? Nawet nie do końca wiemy, co tam miało być, bo oni w trakcie budowy zmieniali przeznaczenie budynków.

W budynkach, które powstały, mieści się: centrum kulturalne i konferencyjne, muzeum – jak mówi Katarzyna, Galicja jest „na końcu świata", więc nie jest łatwo przyciągnąć tutaj wystawę, która jeszcze przyciągnie publiczność, oraz centrum współpracy trzech galicyjskich uniwersytetów. Jest też biblioteka, w której są wszystkie książki wydawane po galicyjsku – przynajmniej jeden egzemplarz musi trafić tutaj. I inkubator przedsiębiorczości dla osób działających w sferze kultury.

Proste galicyjskie szczęście

Kiedy odwiedzamy kompleks jest dość pusto, pochmurnie i wieje, ale w dobrą pogodę i w weekendy są tu podobno tłumy.

– Na początku nie podobało mi się to miejsce, ale teraz lubię tu przychodzić. Jest plac zabaw. Dzieci jeżdżą na rowerach, grają w piłkę – mówi Anna Dudek.

– Jest oczko wodne, trasy spacerowe, latem odbywają się koncerty. Są pufy i można sobie słuchać muzyki. Grają, aż słońce nie zajdzie, bo potem robi się zimno – śmieje się Katarzyna. – W Galicji nawet jak jest ciepło, trzeba wychodzić ze sweterkiem albo kurtką. Ale coś za coś. Hiszpanie z południa zazdroszczą nam, że nawet jak w dzień mamy 37 stopni, to w nocy jest chłodno.

– A czy gdybym chciała przyjechać do Galicji latem na urlop, to da się kąpać, czy jest za zimno? – pytam.

– Pewnie, że się da! Woda jest zimna, ale Polak nie szuka ciepłej wody! Latem ludzie się kąpią. Ale są też tacy, co pływają cały rok. Mamy tu 1600 km plaży. Starczy dla każdego – dodaje Izabela Niechwiadowicz, kolejna Polka ze stowarzyszenia, która także przyjechała na spacer z nami.

Ewa: – Woda jest rześka, ale to ocean. Mnie to odpowiada. Plusy są takie, że nie ma meduz, woda jest czysta.

– A jak ktoś woli gorącą wodę, to w Ourense są wody termalne. Lubimy wsiąść z mężem wieczorem do kampera i dwie godziny później relaksujemy się z lampką wina w gorącej wodzie. I to za darmo! Galicja rzeczywiście jest jeszcze taka, że daje ci wolność w podróżowaniu – dodaje Anna Dudek.

Wszystkie moje rozmówczynie deklarują, że kochają Galicję i odnalazły tu swoje miejsce.

Ewa: – Zawsze powtarzam, że Galicję albo się kocha, albo się jej nie rozumie. Tutaj naprawdę świetnie się żyje. Jest spokój, wysoki poziom bezpieczeństwa.

– Życie tutaj nie jest proste i ma wiele zakrętów i zawsze tak było, ale Galicyjczycy zawsze sobie poradzą, bo sobie pomagają. Nieprzypadkowo galicyjskie miasta często lądują wysoko w rankingach szczęśliwości – dodaje Katarzyna. – To wynika z mentalności, bo nie chodzi o ekonomiczny poziom życia czy perspektywy zawodowe. Galicja nie jest miejscem, do którego przyjeżdża się robić karierę. Ludzie przyjeżdżają po spokojne, zrównoważone życie, gdzie jest czas na przyjaźnie, wycieczki, oddech czystym powietrzem. Żadna z nas nie zamieniłaby tego na nic innego. ●

Polonia en Galicia

• Stowarzyszenie polonijne powstało w 2006 roku. W wydarzeniach, które organizuje, regularnie bierze udział ok. 60 osób. Na większe imprezy przychodzi do 100 osób.

• Według spisu powszechnego w całej Galicji obecnie mieszka nieco ponad 500 Polaków. Gdy Polonia en Galicia powstawała, było ich 214. Chodzi o osoby, które zadeklarowały, że urodziły się w Polsce.

• Stowarzyszenie organizuje weekendowe zajęcia dla dzieci i młodzieży, na które zjeżdżają się rodziny z całej Galicji. Rekordzistka jedzie z dzieckiem przez 2,5 godziny, spod granicy z Kastylią.

eprasa.pl 2b2d0f0434

ADAM MICHNIK POLECA

PODEJRZANY OKULARNIK, NIEWPRAWNY JASNOWIDZ

Barańczak: „Poezja jest niewygodnym świadkiem wszystkiego, czego dopuszcza się nasz świat”.
Jak w filmach gangsterskich ktoś, kto zobaczył zbrodnię

Anna Arno

Osobiste spotkanie było tylko jedno: kolacja w Newtonville w 2004 roku, umówiona dzięki życzliwości Ireny Grudzińskiej-Gross. Pamiętam, że była zima, dom tonął w śniegu i o mały włos planów nie zniweczyło przeziębienie. [W Newtonville w stanie Massachusetts mieszkał w USA i zmarł w 2014 roku Stanisław Barańczak].

Pamiętam, że tego wieczoru poeta czekał na odcinek „Rodziny Soprano” i przeprosił towarzystwo, aby go obejrzeć. Czerwonym cienkopisem wpisał dedykację w „Sonetach” Szekspira – trzeba było poczekać, aż ręka się uspokoi. Pamiętam świeże zaspy. Zima jest porą poezji Stanisława Barańczaka.

W „Śniegu IV” pisał: „Należy go oglądać z autobusu »Jelcz«/ starego typu, w którym okna całkiem czyste/ nie są nigdy, z zasady; i należy mieć/ miejsce siedzące z dermy pociętej żyletką/ przez chuligana (...)/ dopiero wtedy można znieść ten ból puszysty,/ tę biel przeszywającą, ten zbyt czysty śnieg”.

Dla młodszych czytelników oraz kolejnych pokoleń edytor „Wierszy” Stanisława Barańczaka (Biblioteka Narodowa 2025) dodaje przypis: „»Jelcz« – marka autobusu produkowanego w miejscowości Jelcz na Dolnym Śląsku”. Zimowy krajobraz stycznia i lutego 1980 roku, kiedy powstawał cykl „Śnieg”, rzeczywiście wymaga przypisów, pomocniczej ikonografii. Bure pasy lamperii, ciężarówki nakryte plandeką, kioski z gazetami, kolejka pod pustym sklepem. Zatrzymania na 48 godzin, porozumiewawcze mrugnięcia, atmosfera wiecznej podejrzliwości.

„Brnąc przez świeżo spadły śnieg,/ ja/ toruję drogę jemu,// nigdy odwrotnie”.

•

A jednak poezja Barańczaka nie zamyka się w historycznym kontekście swoich czasów:
sztucznego miodu, dorsza drugiej świeżości i proszenia: „niech pan zajmie mi miejsce”. I tylko wygodnictwo krytyków sprawia, że autor „Chirurgicznej precyzji” bywa kwalifikowany jako buntownik, poeta lingwistyczny czy zaangażowany.

On sam się irytował, gdy ktoś stwierdzał,
że dopiero w „Widokówce z tego świata” (1988) „odkrył” perspektywę metafizyczną. Komentując „Spójrzmy prawdzie w oczy” zadawał pytanie: „czy to, co ten wiersz mówi o jedynej dostępnej nam prawdzie, jaką jest szarość i bezwyjściowość konkretnej ludzkiej egzystencji, ma znaczenie w sferze doświadczeń jednostki – czy też społeczeństwa?”.

Dodawał: „Moją ambicją było ZAWSZE – podkreślam to słowo – pisanie, owszem »poezji protestu«, ale takiej, aby protest obejmował jednocześnie wszystko, z czym człowiek w swojej egzystencji nie potrafi się pogodzić, na co nie może przystać”.

Dlatego też Barańczak odżegnywał się od pokoleniowej szufladki – określania jego poezji jako „publicznej” czy „politycznej”. Unikał też, nie do końca trafnego, przeszczepionego z francuskiego gruntu terminu Nowa Fala. Bliższe było mu niewygodne dla komunistycznych władz, bo wywołujące skojarzenia z Marcem, określenie „pokolenie 1968”.

„Był głosem tego pokolenia – pisał w 1977 roku Adam Michnik – jego poezja i eseistyka podnosiły na duchu, przynosiły poczucie, że więzienia i poniżenia nie są beznadziejnym, honorowym gestem, pomagają ocalić »coś głębszego i autentycznego«”.

•

„Poezja powinna być nieufnością. Krytycyzmem. Demaskacją. Powinna być tym wszystkim aż do chwili, gdy z tej ziemi zniknie ostatnie kłamstwo, ostatnia demagogia i ostatni akt przemocy” – pisał Barańczak w 1970 roku.

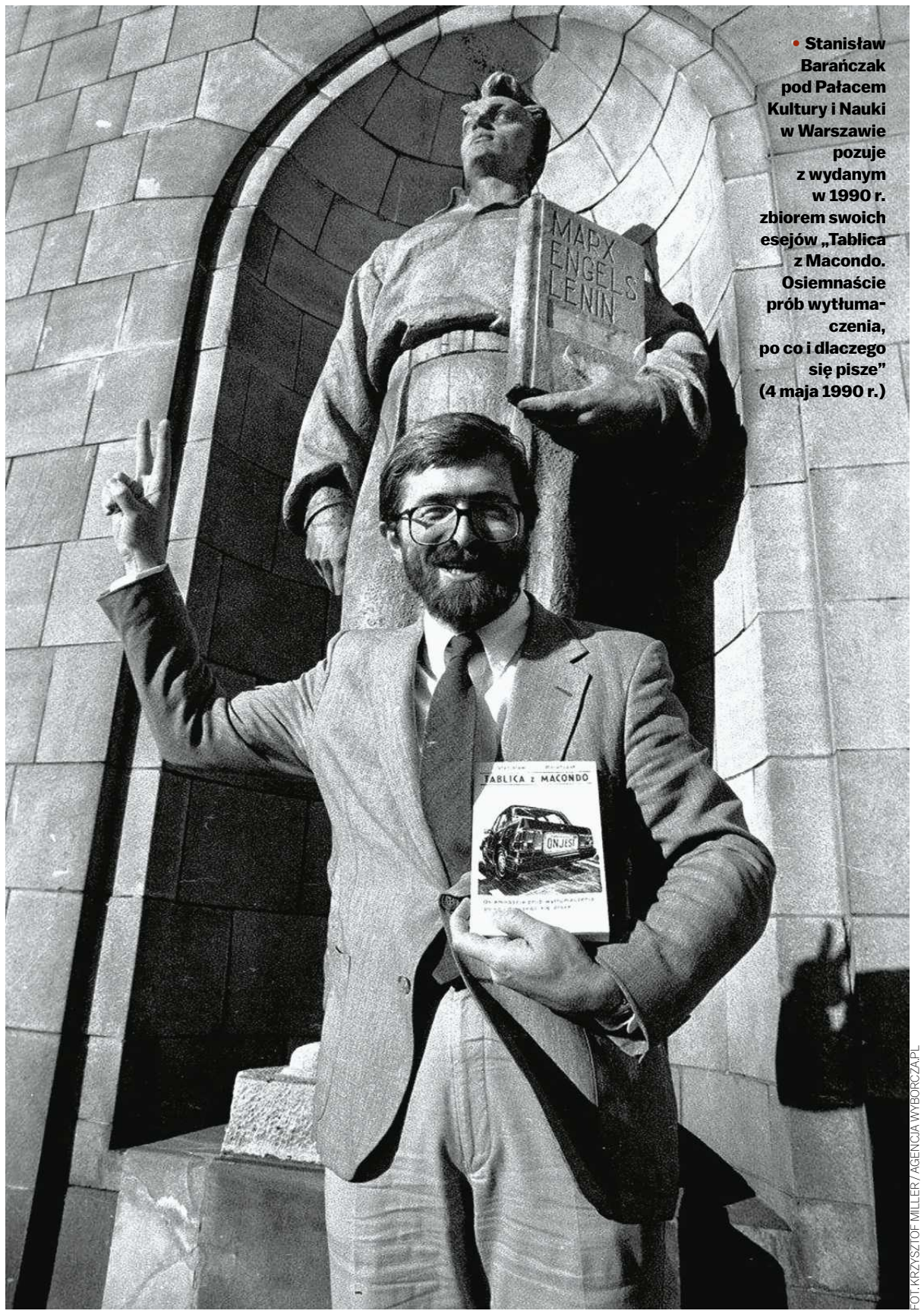

• Stanisław Barańczak pod Pałacem Kultury i Nauki w Warszawie pozuje z wydanym w 1990 r. zbiorem swoich esejów „Tablica z Macondo. Osiemnaście prób wytłumaczenia, po co i dlaczego się pisze” (4 maja 1990 r.)

FOT. KRZYSZTOF MILLER / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jego słowa się nie zdezaktualizowały; nie tylko dlatego, że stare kłamstwa trwają, do władzy doszli nowi dyktatorzy, a za pomocą technologii przemoc osiąga nową siłę rażenia.

Ćwierć wieku później, odbierając doktorat honoris causa Uniwersytetu Śląskiego, Barańczak na nowo sformułował swoją definicję:

„W jednym z niedawno pisanych artykułów porównałem rolę poezji w dzisiejszym świecie do roli pewnego typu bohatera w filmach gangsterskich – tak zwanego Człowieka, Który Za Dużo Wie. Bohater taki jest zwykle kimś, kto skutkiem przypadku stał się świadkiem jakiejś zbrodni; wykonawcom zbrodni z oczywistych przyczyn zależy na tym, aby go na wszelki wypadek usunąć spomiędzy żywych, zastraszyć albo przekupić.

Poezja jest takim niewygodnym świadkiem wszystkiego, czego dopuszcza się nasz świat. Jedyna różnica: nie jest nim z przypadku”.

Nieufny bywa detektyw i lekarz diagnosta, ale także poeta urodzony w czasach porozumiewawczego mrugania, czytania między wierszami. „Czy korzysta/z telefo-

eprasa.pl 2b2d0f0434

nu zaufania? (tak,/nie); czy żywi/i czym żywi nieufność?" - te pytania stawia Barańczak w „Wypełnić czytelnym pismem".

Jednak mruganie może stać się tikiem, a poezja publicystyką. Kiedy mija „określona epoka", dezaktualizuje się poezja doraźna, nie trzeba już „puszczać do siebie oka, nie puszczając farby". Gdyby wiersz próbował przekazać jedynie „co jest grane", choć wszyscy i tak to wiedzą, pozostałby zaledwie pamiątką minionej epoki.

Poniekąd słusznie we wstępie do wydania Biblioteki Narodowej Dariusz Pawelec podkreśla, że wiersze Barańczaka z okresu krajowego „ukazywały bardzo wiernie PRL jako ponury, szary świat podstawowych problemów bytowych, powszechnego niedostatku, kolejek, tandety i prowizorki, inwigilacji, zniewolenia, bierności i konformizmu, konfrontowanych z doświadczeniami cierpienia, lęku, gestami niezgody, potrzebą buntu, poszukiwaniem realnych i symbolicznych sfer niezależności".

To skrupulatne wyliczenie pomija jednak to, co w tej poezji niezależne od sklejki, dykty i urzędowej nowomowy. Poeta jest podejrzliwy wobec języka, a jednocześnie nie zapomina, by, jak pisze Tomas Venclova w tłumaczonym przez Barańczaka „Komentarzu": „Przede wszystkim, chociaż to trudne, kochać język".

Barańczak język przenicowuje, wypróbowuje, przekracza niewidzialne granice. Nie ma rymu tak zgrzytliwego czy jarmarcznie połyskliwego, aby nie mógł się dobijać do prawdy. Nie ma zbitki wyrazów tak oklepanej, by nie dało się jej przeszczepić w obcy, zaskakujący kontekst.

Prymus i przymus? Okruchy stali i Stalin? Barańczak nie boi się katarynkowego rytmu. Muzykę wiersza potrafi znaleźć nawet w zapamiętanej sprzed lat wypowiedzi sąsiada: „bo jak czasem odłamek pryśnie,/ no to tego".

•

W eseju „Wirtuoz i moralista" Jerzy Kwiatkowski uporządkował stosowane przez Barańczaka gry słów oraz figury etymologiczne. W jego wierszach możemy szukać paronomazji, deleksykalizacji, paragramów, antymetabolii i aprosdoketonów, nie wspominając o aliteracjach, paradoksach i oksymoronach.

Klasyfikacje i analizy środków poetyckich pozostawiam rozkoszy teoretyków. Zresztą Barańczakowi nie wystarczała jazda figurowa w ramach istniejącej poetyki. Igrał z językiem, tworząc nowe „gatunki": alfabetony, palindromadery, onanagramy czy obleśniki. Choć publikowana osobno, jego poezja niepoważna wbrew pozorom nie pozostaje całkowicie osobna i lekce-ważona. Bowiem w wierszu Barańczaka nie ma niepodważalnych praw.

Krytycy chwalili go za zaskakujące koncepty oraz kunsztowną kompozycję. Wszystkie te określenia wskazują na artyzm poety, który stwarza „sztuczne" konstrukcje. Tymczasem u Barańczaka nie ma barokowego ornamentu, który maskuje i stwarza pozory. Nie ma barokowej sztuki iluzji, fałszywej głębi. Precyzyjna kompozycja wiersza Barańczaka nie tworzy szkatułki, o wielu dnach i szufladach, która ma dziwić i olśniewać. Przeczytany na głos wiersz Barańczaka brzmi nieraz jak nasycona potocznymi wyrażeniami naturalna mowa.

•

Mowa Barańczaka, wcale nie prosta, dąży nie do piękna, lecz do prawdy, przy założeniu, że piękno z prawdy wynika. Jak pisze Adam Michnik w otwierającym wybór 74 wierszy (Universitas 2025) eseju „Nieufny wszelkim zadufaniom": „my wszyscy, próbujący swoich sił w »tworzeniu pięknych zdań«, doszliśmy do wniosku, że naszym zadaniem powinno być przede wszystkim tworzenie zdań prawdziwych: mówienie słowami, które budziłyby ludzi z uśpienia, które potrząsałyby wspomnieniami i uczyły myśleć. Takie są źródła poezji tego pokolenia".

W kilkunastu linijkach wiersza „Altana" Barańczak zapisuje intensywność miłości i utraty, a przy tym zaznacza, że jego altana naprawdę była „budką z dykty i blachy falistej". Altana Barańczaka to nie jest ażurowa konstrukcja godna Bouchera czy Fragonarda [XVIII-wieczni malarze francuscy]. Wychowywał się w kraju „braków, odrzutów, produktów zastępczych".

„Mój język/ szeleści jak zwiędły strzęp/ gazety" – pisał w wierszu „Pięć pocztówek od i do Emily Dickinson". Ten utwór powstał za oceanem, gdzie nie było erzaców ani pustych magazynów. W języku angielskim nie było też słów, zdolnych wyrazić takie wybrakowanie. Zniknęło „ń" w nazwisku poety, były za to „cmentarzyska samochodów".

Barańczak niestrudzenie tłumaczył i tłumaczył się z siebie. Podglądał podszewkę obu języków: zamiast dermy, płyty pilśniowej i październiowej na Yard sale [wyprzedaż garażowa; zarazem tytuł wiersza Barańczaka] oglądał wystawione na sprzedaż „ubogie" towary: „popielniczka, abażur, rowerek dziecięcy/ stary mikser (ebonit o lepkiej powierzchni/ z wżartym w szczeliny kurzem), dwie walizy,/ jaskrawe bluzki, krzesło bez lewej poręczy,/ budzik, książki z zakresu psychoanalizy/ i kuchni chińskiej, toster – na wszystkim przywieszki/ z cenami jak dla zgrywy (dziesięć centów, dolar)...".

Barańczak znów bierze na warsztat rzeczy używane, wyciągnięte ze złomowiska cywilizacji. Podsłuchuje small talk na letnim garden party i przyznaje: „Naród, który wygrał lepszy los,/ jest godny twojego podziwu, nie taniej kpiny".

Poeta zapewne nigdy do końca nie pozbył się zdumienia krajem, gdzie „Jedyny problem – znaleźć miejsce do parkowania". Powoli pogodził się ze zmarnowaniem zdobytych w młodości kwalifikacji; mógł się przecież legitymować jako „dyplomowany specjalista w dziedzinie czekania na autobus/ godzinami, w zamieci, w polu szczerym jak uzasadnienie wyroku".

Przekroczony Atlantyk okazał się Atlantydą, krainą „pojemnego, nieczyniącego różnic uśmiechu". Ameryka stała się probierzem poezji Barańczaka. W tym kraju nie przyda się wprawa w staniu w kolejce. Nie znaczy to jednak, że Barańczak stracił emploi: rozbrajanie języka opresji, gazetowego frazesu, biurokratycznego formularza. Nie interesowała go bowiem sama „ezopowa mowa" i wizja człowieka zakleszczonego w beznadziejności politycznej sytuacji, brnącego przez niekończące się grudnie.

Perspektywa Barańczaka zawsze była egzystencjalna, zza kurtyny czy zza oceanu, wysyłał „Pocztówki z tego świata". I nie w tym rzecz, że z Jelcza przesiadł się do Greyhounda, a nowomowę wymienił na small talk. Barańczak nie wyszydza amerykańskich uśmiechów, standardowych pozdrowień i poklepywania po ramieniu: „dlaczego niby skłamany/ miałby być mój dialog z nimi (...) Co Słychać, Wszystko W Porządku; przecież serdecznie gawędzi/ ze mną, wśród tylu gości, ten świat, gospodarz przyjęcia".

•

Nieomal jednocześnie, w 2025 roku, ukazały się dwa tomy Stanisława Barańczaka: „Wiersze" w wydaniu Biblioteki Narodowej oraz „»...nie nieistnienie, które, zgódź się, nie istnieje«. Znaleźć dla niej nową mowę. 74 wiersze", przygotowane przez wydawnictwo Universitas.

Wydanie BN to opatrzona aparatem naukowym cegiełka, z obszernym wstępem i bibliografią. W przypisach znajdujemy wyjaśnienie, czym były kartki żywnościowe, co to jest lizol i co znaczy wyrażenie „gazetowy petit".

Edytor tomu wyjaśnia, że w wyrażeniu „na mózgowej korze" „poeta wykorzystał homonimię słowa kora: warstwie mózgu przypisany jest wygląd właściwy korze drzew". Podpowiada również, że „Wa... no, ten z wąsami" to aluzja do nazwiska Lecha Wałęsy".

To edycja konieczna dla potomności (a może i dla współczesnych), którym trzeba wytłumaczyć znaczenie słów takich jak szalbierz, szulerstwo, ale także krokiew, poliester czy flanela.

Domyślam się, że studiowanie przypisów do własnych wierszy zainspirowałoby Barańczaka do napisania co najmniej „niepoważnego" utworu. Ten tom to jednak „niezbędnik" dla studentów, uczonych oraz nieprzymuszonych czytelników. Jednak pomimo swojego wyczerpującego charakteru, wydanie BN nie wyczerpuje „zapotrzebowania na Barańczaka".

Zupełnie inny charakter ma wybór 74 wierszy, którym towarzyszą eseje (m.in. Andrzeja Franaszka, Tadeusza Nyczka czy Adama Zagajewskiego). Wszystkie teksty wybrali Adam Michnik i Ryszard Krynicki.

To mała i subiektywna antologia, przygotowana przez przyjaciół, których z Barańczakiem łączyło więcej niż pokoleniowe doświadczenie. Stronniczość jest w tym przypadku walorem: czytelnik ma poczucie, że to są wiersze, które były czytane „jednym tchem". Barańczak dedykował utwory Krynickim i Zagajewskim.

Wszyscy z jednej „paczki", pokolenia 1968 roku? Owszem. Ale również po tę antologię sięgną przyszłe pokolenia. I być może, z perspektywy kolejnych dekad, wezmą sobie do serca wersy utworu dedykowanego Adamowi Michnikowi:

„A tak niewiele brakowało: mogłem/ po prostu wraz z innymi podnieść rękę,/ po prostu wraz z innymi ją opuścić -/ aby w tej samej chwili wrosła ciężkim/ łokciem w zielone sukno prezydialnych stołów,/ w skórę wyściełającą przepastne siedzenia/ czarnych limuzyn, w polakierowane/ pulpity mównic, w bankietową biel/obrusów...". ●

Stanisław Barańczak (1946-2014), **„Wiersze",** wstęp i opracowanie Dariusz Pawelec, Ossolineum, Biblioteka Narodowa, seria I, nr 346, Wrocław 2025

Stanisław Barańczak, **„»...nie nieistnienie, które, zgódź się, nie istnieje«. Znaleźć dla niej nową mowę. 74 wiersze"**, seria „Poezje" pod redakcją Andrzeja Nowakowskiego, Universitas, Kraków 2025

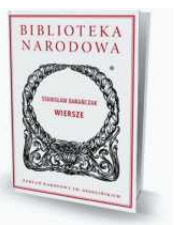

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Stanisław Barańczak

Płakała w nocy, ale nie jej płacz go zbudził

Ani, jedynej

Płakała w nocy, ale nie jej płacz go zbudził.
Nie był płaczem dla niego, chociaż mógł być o nim.
To był wiatr, dygot szyby, obce sprawom ludzi.

I półprzytomny wstyd: że ona tak się trudzi,
to, co tłumione, czyniąc podwójnie tłumionym
przez to, że w nocy płacze. Nie jej płacz go zbudził:

ile więc było wcześniej nocy, gdy nie zwrócił
uwagi - gdy skrzyp drewna, trzepiąca o komin
gałąź, wiatr, dygot szyby związek z prawdą ludzi

negowały staranniej: ich szmer gasł, nim wrzucił
do skrzynki bezsenności rzeczowy anonim:
„Płakała w nocy, chociaż nie jej płacz cię zbudził"?

Na wyciągnięcie ręki - ci dotkliwie drodzy,
niedotykalnie drodzy ze swoim „Śpij, pomiń
snem tę wilgoć poduszki, nocne prawo ludzi".

I nie wyciągnął ręki. Zakłóciłby, zbrudził
toporniejszą tkliwością jej tkliwość: „Zapomnij.
Płakałam w nocy, ale nie mój płacz cię zbudził,
To był wiatr, dygot szyby, obce sprawom ludzi".

Wiersz z tomu **„Chirurgiczna precyzja"** (1998), tutaj za: Stanisław Barańczak, „Wiersze", Ossolineum 2025.

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl

WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o.,
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZESKA ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl 2b2d0f0434

Bóg muzyki

W Wielki Piątek 7 kwietnia 1724 roku po postnym obiedzie, mniej więcej za kwadrans druga, obywatele miasta Lipska zeszli się do Kościoła Świętego Mikołaja. Tego dnia Jan Sebastian Bach przedstawił miastu i światu swoją „Pasję według św. Jana".

1 RP

eprasa.pl 2b2d0f0434

Michał Cichy

„Pasja Janowa” (BWV 245 – Bach Werke Verzeichnis, katalog dzieł kompozytora stworzony przez muzykologa Wolfganga Schmiedera) w nagraniach trwa od 1 godz. 45 do 2 godz. 20 minut. Ale wtedy, u Świętego Mikołaja, nie odbywał się koncert, tylko uroczysta liturgia Męki. Trwała około czterech godzin, samo kazanie zabierało godzinę. W kościołach luterańskich wierni śpiewają w trakcie nabożeństw po kilka hymnów ze specjalnych śpiewników. W warszawskim luterańskim Kościele Świętej Trójcy, do którego zacząłem chodzić, żeby poznać ewangelicką duchowość, przed każdym nabożeństwem wystawione są tablice z numerami pieśni. Wierni szukają ich w kancjonale, który ma ponad 1600 stron.

W lipskim kościele na początek wierni zaśpiewali hymn „Da Jesus an dem Kreuze stund” („Gdy Jezus na krzyżu wisiał”). Po nim następowała część pierwsza Pasji – opowieść o pojmaniu Jezusa, przesłuchaniu go przed Sanhedrynem i zaparciu się Piotra. Następnie kongregacja śpiewała hymn „Herr Jesu Christ, dich zu uns wend” („Ku nam się zwrócić, Jezu, chciej” – jest nadal w polskim śpiewniku ewangelickim). Potem było kazanie. Następowała część druga Pasji – przesłuchanie przed Piłatem, biczowanie, skazanie, ukrzyżowanie, śmierć i pogrzeb Jezusa. Następnie zabrzmiał motet – wielogłosowy utwór wokalny – „Ecce, quomodo moritur justus” Jacoba Handla z 1587 roku (parafraza fragmentu Księgi Izajasza 57,1 „Sprawiedliwy ginie”), potem zmówiono modlitwę kolekty, odczytano werset z Księgi Izajasza (53,5) „Die Strafe liegt auf ihm” („Kaźń pokoju naszego jest na nim”) i na zakończenie odśpiewano hymn „Nun danket alle Gott” („Dziękujmy Bogu wraz”, nadal śpiewany przez polskich luteranów).

Pierwsza część Pasji zaczyna się porywającym chórem. Słowo „Herr” („Panie”) zostaje powtórzone trzy razy, co pewnie nie jest tylko muzyczną figurą, ale symbolem Trójcy Świętej.

Herr, unser Herrscher, dessen Ruhm
In allen Landen herrlich ist!
Zeig uns durch deine Passion,
Dass du, der wahre Gottessohn,
Zu aller Zeit,
Auch in der größten Niedrigkeit,
Verherrlicht worden bist!

Panie, nasz Władco, którego sława
Świetna jest we wszystkich krajach!
Ukaż nam przez Swoją Mękę,
Że Tyś jest prawym Synem Boga,
Przez cały czas,
Nawet w największym upadku,
Będziesz wychwalany.

Pierwsze dwa wersy są początkiem Psalmu 8: „Panie, Panie nasz! Jakoż zacne jest imię twoje po wszystkiej ziemi!”.

OPOWIEŚĆ O MĘCE

Akcję „Pasji” prowadzi tenor Ewangelista, podając tekst biblijny za pomocą tak zwanych recytatywów, czyli formy pośredniej między mową a śpiewem. Na przemian pojawia się osiem solowych arii ułożonych do pozabiblijnych wierszy religijnych, chóry przedstawiające lud żydowski, oraz 12 chorałów – bardzo charakterystycznych dla kultury luterańskiej – reprezentujących zbór, czyli kongregację wiernych.

Recytatywy i arie przeniknęły do oratoriów z kultury świeckiej – z włoskiej opery. Był to świeży wynalazek; w Lipsku oratorium pasyjne tego typu wykonano po raz pierwszy dopiero w roku 1721. Dwa lata później w mieście osiedlił się Bach.

Szczerze mówiąc, w XVIII-wiecznych operach i oratoriach recytatywy to ta najnudniejsza część całości. To są te fragmenty, które przewijamy na odtwarzaczu, żeby dobrać się do arii i chórów. Jednak miarą geniuszu Bacha jest to, że jego recytatywy są pełne melodyjności i dramatyzmu. Wymagają od tenora Ewangelisty mistrzostwa w opanowaniu i ekspresji głosu.

Na przykład w scenie zaparcia się Piotra przy słowach „und weinete bitterlich” („gorzko płakał”) recytatyw Ewangelisty zmienia się w arioso, melizmat, czyli wstęgę dziewięciu dźwięków na sylabie „wei”, z użyciem ekspresyjnej chromatyki, czyli nut podwyższonych o pół tonu w stosunku do swojej skali h-moll, wstrząsający głos żalu i skargi. Podobnie w scenie z Piłatem jest ze słowem „geißelte” („ubiczował”) – 49 ruchliwych nutek na jednej sylabie „gei”, obraz smagania batem.

◀ **Jan Sebastian Bach (1685-1750), portret autorstwa Eliasa Gottloba Haussmanna z 1746 roku. Kompozytor trzyma w ręku nuty Kanonu na sześć głosów, skomponowanego z okazji wstąpienia do Towarzystwa Nauk Muzycznych**

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Najbardziej znaną arią z tej „Pasji” jest aria altu z towarzyszeniem miodowego tonu violi da gamba „Es ist vollbracht” („Wykonało się”), ale moją ulubioną jest sopranowa „Ich folge dir gleichfalls mit freudigen Schritten” („Podążę za Tobą również radosnymi krokami”). Jak to bywa z muzycznymi freakami, kolekcjonowałem przez 40 lat wiele nagrań każdego z utworów Bacha. Mam na półkach około 800 płyt z jego muzyką, w tym jedenaście nagrań „Pasji Janowej”. Moim ulubionym jest pierwsze nagranie Anglika Johna Eliota Gardinera z 1986 roku. Tę arię śpiewa tam Ruth Holton, której sopran ma szczególnie jasną i przeszywającą barwę przypominającą sopran chłopięcy.

Bo też w Lipsku czasów Bacha w muzyce sakralnej soprany (i alty) były tylko chłopięce. Kobietom nie wolno było śpiewać w kościele zgodnie z Pawłową zasadą „taceat mulier in ecclesia” – „Niewiasty wasze niech milczą we zborach; albowiem nie pozwolono im, aby mówiły, ale aby poddanemi były, jako i zakon mówi. A jeźli się czego nauczyć chcą, niechże w domu mężów swoich pytają, ponieważ sromota niewiastom we zborze mówić” (1 Kor 14, 34-35).

Gardiner jest jednym z najważniejszych przedstawicieli tak zwanego historycznego wykonawstwa muzyki barokowej. W tym nurcie skrzypce mają struny – tradycyjnie – z jagnięcych jelit, a nie – jak dzisiaj – z głośniej brzmiącego nylonu albo metalu. Używa się obojów, trąbek oraz rogów bez klapek i wentyli, co wymaga od dęciaków o wiele doskonalszej techniki. Twórca nurtu historycznego wykonawstwa – Austriak Nikolaus Harnoncourt – w swoim pierwszym nagraniu „Pasji Janowej” z 1966 roku zatrudnił chłopięcych solistów, jednak wszyscy następni dyrygenci tego stylu (i Harnoncourt w drugim nagraniu z 1995 roku) angażowali już kobiece wokalistki, ewentualnie w partiach altu męskich kontratenorów, czyli śpiewaków używających rejestru falsetowego.

Co do historycznego wykonawstwa, niemiecki dyrygent Helmuth Rilling, który pokierował nagraniem kompletu utworów Bacha, używając współczesnych instrumentów i zatrudniając kobiece soprany i alty, powiedział, że dla historycznej akuratności powinniśmy mieć jeszcze XVIII-wieczną publiczność. Istotnie: pasję wykonywano w trakcie wielogodzinnej liturgii. Kilku podstawowych wokalistów śpiewało – inaczej niż dzisiaj – wszystkie role. Publiczność nie widziała muzyków. Stali na galerii na piętrze, obok organów; muzyka dobiegała do słuchaczy z tyłu i z góry.

DŹWIĘKOWY FELIETON

Po „Pasji Janowej” nastały trzydniowe obchody Wielkanocy. Bach w ciągu tych trzech dni poprowadził wykonania czterech kantat. W kolejne kwietniowe niedziele 1724 roku – trzy następne kantaty. Z tych siedmiu kwietniowych dwie były nowe, a pięć było adaptacjami dawniejszych utworów, co nie znaczy, że Bach nie musiał się przy nich napracować. Musiał dopasować do istniejącej muzyki nowy tekst, a potrzebna była zgodność liczby sylab i akcentów. Czasem korygował też instrumentację.

W maju – kolejnych siedem kantat, z czego cztery nowe. W czerwcu – pięć kantat, z czego cztery nowe. I tak niedziela w niedzielę, święto w święto. Bach pisał kantatę co tydzień, tak jak mój przyjaciel Krzysztof Varga pisze w „Newsweeku” felieton. Przeciętna kantata Bacha to utwór kilkunasto- lub dwudziestokilkuminutowy (zimą poniżej 20 minut, żeby kongregacja nie marzła w nieogrzewanym kościele) składający się z arii, recytatywów i chórów, a na koniec na ogół chorałów. Trzeba było wybrać i zaadaptować teksty, zdobyć dla nich akceptację pastora, skomponować muzykę, dać do przepisania (uczniom i własnej – drugiej – żonie Annie Magdalenie oraz dzieciom) poszczególne głosy wokalne i instrumentalne, w sobotę odbyć próby i w końcu wykonać kantatę w kościołach Świętego Tomasza albo Świętego Mikołaja.

Ten człowiek przez całe życie był w pracy. Rozmawiałem o tym, stojąc po gali Literackiej Nagrody „Nike” przed gmachem Biblioteki Uniwersyteckiej, z filozofką Agatą Bielik-Robson.

Zwróciła mi uwagę na to, że ewangelicki „Beruf” (zawód, zajęcie) ma w tej religii rangę uświęconej zasady. Bach powiedział: „Każdy, kto by tyle pracował, osiągnąłby to wszystko, co ja”. Protestanci wierzyli, że praca zawodowa jest Bożym powołaniem. Sukces w pracy był postrzegany jako znak wybrania przez Boga.

Bach na początku partytur swoich utworów sakralnych wpisywał monogram JJ (Jesu Juva, czyli Jezu, pomóż), a na końcu SDG (Soli Deo Gloria, czyli Chwała tylko Bogu). Mamy szczęście, że Bach tworzył w kraju luterańskim, a nie kalwińskim. Kalwin uważał muzykę za podejrzaną dystrakcję i zabronił instrumentom wstępu do kościoła. A Luter kochał muzykę. Twierdził, że Bóg poprzez nią głosi Ewangelię. Sam układał chorały, które ewangelicy śpiewają po dziś dzień.

Organy były w tamtej epoce odpowiednikiem współczesnej orkiestry symfonicznej. Potężny dźwięk wzbudzał odczuwalne w całym ciele wibracje. W surowym białym okrągłym wnętrzu XVIII-wiecznego luterańskiego Kościoła św. Trójcy w Warszawie w ostatnią niedzielę roku kościelnego organista Roman Szlaużys zagrał chorał „Wachet auf, ruft uns die Stimme” („Zbudźcie się, tak ci wołają”) BWV 645 w katalogu Schmiedera. Potem śpiewaliśmy go w czasie nabożeństwa (nr 282 w śpiewniku ewangelickim). Bach wykorzystał go w kantacie BWV 140.

Emil Cioran skonstruował ironiczny bon mot: „Bez Bacha Bóg byłby postacią drugorzędną”

Na tle natchnionej melodii smyczków odzywa się w tenorze druga zwrotka tego chorału pochodzącego jeszcze z 1599 roku: „Zion hört die Wächter singen” („Serca rozbudzonej rzeszy wołanie straży świętej cieszy; powstaje Syjon, stroi się”). Ta kantata jest jednym z najbardziej znanych hitów Bacha.

Jego prawie 200 kantat kościelnych to cały kosmos muzyki religijnej. Można na ich słuchaniu spędzić lata. Kiedyś był taki sławny cykl prof. Mirosława Perza w radiowej Dwójce – jedna kantata co tydzień, łatwo obliczyć, ile to trwało. Co do nagrań, to nigdy nie zawiedli mnie Japończycy pod kierunkiem Masaakiego Suzukiego i gandawskie Collegium Vocale Philippe'a Herreweghe.

Gardiner – który w roku 2000, w 250. rocznicę śmierci Bacha, poprowadził tak zwaną Pielgrzymkę Bachowską, wykonując w różnych kościołach Europy wszystkie kantaty Jana Sebastiana – też jest świetny, zwłaszcza jego chór bije intonacją i precyzją wszystkie inne, chociaż parę razy zdarzyło mu się włączyć tempo jak dla mnie za szybkie.

Crash course w sprawie kantat – proszę znaleźć w streamingach chociaż te cztery fragmenty:

- część IX świeckiej kantaty myśliwskiej „Was mir behagt, ist nur die muntre Jagd” („Co mnie cieszy, to tylko żwawe łowy!”) BWV 208, aria „Schafe können sicher weiden”, „Owce pasą się bezpiecznie, kiedy pasterz dobry czuwa” – z niebiańsko delikatnym sopranem Emmy Kirkby, (The Parley of Instruments, Roy Goodman);
- część I kantaty „Vergnügte Ruh, beliebte Seelenlust” („Błogi spokoju, rozkoszy mej duszy”) BWV 170, najlepszy kontratenor ostatnich 30 lat, Niemiec Andreas Scholl, Collegium Vocale Gent, Philippe Herreweghe – polecam wersję na YouTubie na kanale Smalin, czyli animację Stephena Malinowskiego, która pięknie w kolorach pokazuje, jak płyną poszczególne linie melodii);
- część I kantaty „Jauchzet Gott in allen Landen” („Wysławiajcie Boga po sam świata kraj!”) BWV 51 – tnący jak diament szkło sopran Marii Stader, Münchener Bach-Orchester, Karl Richter);
- część V kantaty „Ich habe genug” BWV 82 (aria „Ich freue mich auf meinen Tod”, bas Siegfried Lorenz, Neues Bachisches Collegium Musicum, Max Pommer).

Ta ostatnia kantata opowiada o biblijnym starcu Symeonie, który doczekał ofiarowania małego Jezusa w świątyni i wypowiada tytułową frazę „Ich habe

eprasa.pl 2b2d0f0434

genug", czyli „Mam dość", „wystarczy". Finałowa aria „Ich freue mich auf meinen Tod" – dosłownie: „Raduję się na moją śmierć, ach, gdyby przyszła wreszcie już!", jest niesamowita, bowiem Bach na pierwszej sylabie motywu „freue mich" („raduję się") oddaje dźwięk ludzkiego śmiechu.

„Wszystkie jego myśli – pisze biograf Bacha Albert Schweitzer – prześwietlała cudowna, radosna i pełna pogody tęsknota za śmiercią". U Bacha śmierć jest czymś upragnionym, czymś zasadniczo pozytywnym.

Kiedyś rozmawiałem z lekarką zakonnicą, która opiekowała się moją chorą na starczą demencję ciocią Zosią. Powiedziałem: „Mówią, że starość nie udała się Panu Bogu". „Wręcz przeciwnie – odpowiedziała siostra Ancilla (co po łacinie znaczy „służebnica"). – Im człowiek starszy, tym bliżej do nieba!". Śmierć jako wyzwolicielka, jako brama wieczności, pojawia się u Bacha wiele razy. Przykładem jest kantata BWV 161 „Komm, du süße Todesstunde" („Przyjdź, słodka mej śmierci godzino").

Obcujemy tutaj z duchowością czasów poprzedzających nasze, tak skoncentrowane na wymazywaniu cierpienia i śmierci.

MUZYCZNA SUMMA

Muzyka Bacha jest zwieńczeniem półtora tysiąca lat historii kościelnego śpiewu. Schweitzer napisał zwięźle: „Bach jest kresem. Nic od niego nie wychodzi; wszystko tylko do niego prowadzi". Manfred Bukofzer w historii muzyki barokowej nazwał go „mistrzem przeszłości". Bach był w muzyce ostatnim przedstawicielem scholastyki. Doprowadził do doskonałości, do ostateczności średniowieczną i renesansową praktykę polifonicznej (wielogłosowej) kompozycji.

Robił w muzyce to, co 500 lat wcześniej robił w filozofii św. Tomasz z Akwinu: pisał summy. Jego dorobek jest ogromny. J.S.B. skomponował 194 kantaty sakralne (było około 300, ale tyle przetrwało), 17 kantat świeckich, 21 sakralnych utworów wokalno-instrumentalnych (w tym obszerne dzieła, jakimi są „Pasja według św. Jana" BWV 245 i „Pasja według św. Mateusza" BWV 244, „Oratorium na Boże Narodzenie" BWV 248 i „Msza h-moll" BWV 232), 189 chorałów, 80 pieśni i arii, 255 utworów organowych, 215 utworów klawesynowych, 29 koncertów i suit na orkiestrę i różne instrumenty, 19 utworów na instrumenty solo i 15 na składy kameralne.

Summą gatunku fugi jest „Kunst der Fuge" BWV 1080, summą jest 48 preludiów i fug z „Das wohltemperierte Klavier" BWV 846-893, summami są cykle organowych chorałów, preludiów i fug, summami są kolejne zestawy (na ogół układane szóstkami) utworów na klawesyn i inne instrumenty.

Interesująca jest swoją drogą ta skłonność Bacha do szóstek. Sześć „Koncertów brandenburskich" na orkiestrę, sześć sonat i partit na skrzypce solo, sześć suit na wiolonczelę solo, sześć motetów, sześć sonat triowych na organy, sześć sonat na skrzypce i klawesyn, a spośród utworów na klawesyn solo – sześć partit, sześć suit francuskich i sześć suit angielskich.

Brytyjski wiolonczelista Steven Isserlis uważa, że Bach nawiązywał do sześciu dni stworzenia. Święty Augustyn powiedział, że szóstka nie dlatego jest liczbą doskonałą, że Bóg stworzył świat w sześć dni, raczej odwrotnie: dlatego Bóg stworzył świat w sześć dni, że szóstka jest liczbą doskonałą. W istocie w matematyce istnieje pojęcie liczb doskonałych: są to liczby, które są sumą wszystkich swoich dzielników. Szóstka jest pierwszą z nich, ponieważ 6 równa się 3+2+1. Następne jest 28, potem 496, 8128 i tak dalej.

Bach zaszyfrował w swojej muzyce wiele symboli. Na przykład w „Pasji według św. Mateusza" akcentuje melizmatem składającym się z 23 nutek sylabę „kreu" w słowie „kreuzigen" (ukrzyżować). Pierwsza z tych nut jest poprzedzona symbolem krzyżyka, który w notacji muzycznej oznacza podwyższenie nuty o pół tonu, ale tu jest aluzją do krzyża Chrystusowego. Tak samo jest we wspaniałej kantacie BWV 56 „Ich will den Kreuzstab gerne tragen" („Chcę drzewo krzyża nieść na barkach swoich") – pierwsza z nut słowa „Kreuz" (krzyż) jest poprzedzona krzyżykiem podnoszącym wysokość dźwięku z c na cis. A tam, gdzie w tekstach kantat pojawia się szatan, Bach oddaje go w postaci biblijnego węża pełznącego krętym tokiem nutek w górę i w dół.

DZIEDZICTWO I WYBÓR

Muzyka Bacha rozwijała się na tle wielkiego procesu sekularyzacji Europy. Powszechnie uważa się, że bez wynalezienia druku nie byłoby reformacji, bez reformacji nie byłoby Oświecenia, a bez Oświecenia nie byłoby zachodniej nowoczesności.

Kościół i szkoła św. Tomasza w Lipsku, pokolorowana rycina miedziorytnika Johanna Georga Schreibera z 1733 roku FOT. DOMENA PUBLICZNA

Pasja, msza, kantata, preludium i fuga organowa należały do obszaru muzyki sakralnej. Koncert na instrument solowy i orkiestrę, symfonia, sonata i opera należały do obszaru muzyki świeckiej. Synonimem poprzedniej epoki jest Bach. Synonimem następnej – Beethoven.

Kapela dworska należała do poprzedniej epoki. Orkiestra filharmoniczna – do następnej. Technika polifonii baroku – do poprzedniej. Homofonia klasycyzmu i romantyzmu (jeden główny głos plus akompaniament w tle) – do następnej. Podobnie było w innych gałęziach cywilizacji.

Żywoty świętych, modlitwy i pieśni nabożne, poematy epickie – do poprzedniej. Powieść – do następnej.

Święty obraz na ołtarzu i fresk na sklepieniu – do poprzedniej. Autoportret, martwa natura i pejzaż – do następnej.

Bogactwo efektów architektury barokowej – do poprzedniej. Surowość i prostota architektury klasycystycznej, a potem modernizmu – do następnej.

Geometryczny ogród francuski – do poprzedniej. Naśladujący dziką przyrodę ogród angielski – do następnej.

Pałacowa kunstkamera (gabinet osobliwości) – do poprzedniej. Publiczne muzeum – do następnej.

Kreacjonizm – do poprzedniej. Systematyka Linneusza i będący jej logicznym skutkiem ewolucjonizm Darwina – do następnej.

Wiara w planetarną harmonię sfer – do poprzedniej. Nauka o grawitacji Newtona – do następnej.

Gospodarka oparta na rolnictwie, rzemiośle i kupiectwie – do poprzedniej. Przemysł, węgiel, stal, silnik parowy i spalinowy, elektryczność aż po internet i sztuczną inteligencję – do następnej.

Monarchia, feudalizm i panowanie arystokracji – do poprzedniej. Republika, demokracja i rządy burżuazji – do następnej.

Prawa osobne dla każdego ze stanów społecznych – do poprzedniej. Uniwersalne prawa polityczne w rodzaju prawa do głosowania albo praw człowieka – do następnej.

Obowiązkowa przynależność kościelna karząca za herezję śmiercią – do poprzedniej. Swoboda wyznania, w tym prawo do niewiary – do następnej.

Łacina – do poprzedniej. Języki narodowe – do następnej.

Teologia – do poprzedniej. Socjologia i psychologia – do następnej.

Dziedziczenie, czyli tradycja – do poprzedniej. Wolność, czyli wybór – do następnej.

Wielki nowożytny proces ma stopnie i jest długotrwały. Można go datować między XIV wiekiem a naszymi czasami. Myśląc o historii, lubimy cezury takie jak rewolucja francuska, ale procesy cywilizacyjne z natury są gradientami. Są nieostre w granicach, nierównomierne w różnych dziedzinach, czasach i miejscach. Średniowieczne miasta kupieckie Włoch i Hanzy, a później także protestanckie Holandia i Anglia przeżyły wielki proces kilkaset lat wcześniej niż katolicka Hiszpania czy Polska. Dialektyka chrześcijaństwa i świeckości do dziś definiuje cywilizację zachodnioeuropejską.

„To jakby wiekuista harmonia sama ze sobą mówiła – pisał o muzyce Bacha stary Goethe – tak się to chyba działo w piersi Boga na krótko przed stworzeniem świata". „Boski Bach", nazwał swoją książkę Piotr Wierzbicki. „Bach es Dios" („Bach jest Bogiem"), śpiewała hiszpańska

piosenkarka Sheila Blanco do melodii sławnej Badinerie kończącej „II Suitę orkiestrową h-moll" BWV 1067. „Bez Bacha Bóg byłby postacią drugorzędną", skonstruował ironiczny bon mot Emil Cioran. Muzyka Bacha kontaktuje współczesnego człowieka z wielką epoką chrześcijańską, która przez ostatnich kilkaset lat jest – jednym się to podoba, drugim nie – w stopniowym odwrocie.

RYTOWNIK I MALARZ

Rok 1981. Glenn Gould umrze za rok w wieku 50 lat. Na filmie Bruno Monsaingeona siedzi przy fortepianie zgarbiony jak średniowieczny gargulec. Na niskim połatanym krzesełku, które zawsze zabierał ze sobą do studia. Przedramiona nieułożone poziomo, jak każą zasady sztuki, dłonie nie wiszą nieważko nad klawiszami. Sięgają po dźwięk z dołu, szponiaście. Gould gra „Wariacje Goldbergowskie" BWV 988. To jego czwarte nagranie tego arcydzieła pełnego, jak pisze Schweitzer, „łagodnej i pocieszającej pogody".

Zaczynał w 1954 roku, jako 22-latek, w audycji kanadyjskiego radia. Rok później zachwycił świat kolejną wersją na swojej pierwszej płycie studyjnej. Potem była rejestracja live z Salzburga w 1959 roku, a ponad 20 lat później – jedno z jego, jak się okazało, ostatnich w życiu nagrań. Płyta ukazała się tydzień przed jego śmiercią, a początkową arię odtworzono na nabożeństwie żałobnym.

Słychać, jak Gould sobie podśpiewuje, grając. Był z tego znany, podobnie jak z innych osobliwości w rodzaju noszenia zimowego płaszcza, szalika i beretu w upalne letnie dni albo moczenia w gorącej wodzie rąk aż do łokci 20 minut przed grą. Warto porównać wczesne wersje wariacji z wersją ostatnią. Wczesne nagrania są szybkie, wręcz błyskawiczne, wirtuozerskie, słychać, jak pianista demonstruje fenomenalną technikę. Wersja finalna jest o wiele wolniejsza, pełna namysłu. Jest jak dojrzałość, która zastąpiła młodzieńczą dezynwolturę. Bach późnego Goulda to więcej niż muzyka; to mądrość.

Rosjanin Światosław Richter był o kilkanaście lat starszy od Goulda i przeżył go też o kilkanaście lat. Pierwszy raz usłyszałem go – nie wiedząc wtedy, że to on – w latach dziewięćdziesiątych na pokazie genialnego filmu animowanego Jurija Norsztajna „Baśń nad baśniami". To było preludium es-moll BWV 853 z I tomu „Das wohltemperierte Klavier". Schweitzer nazywa je „przepojonym bólem", ja jednak słyszę w nim tylko wielką, nieograniczoną zgodę. Potem kupiłem dwupłytowe nagranie Richtera. Kiedy potrzebuję odprężenia, włączam je i zanurzam się w kąpiel w aromatycznej pianie dźwięków.

Obaj – Richter i Gould – nagrali komplet tego cyklu. Gould uważał Richtera za najwybitniejszego współczesnego mu pianistę. Richter notował z kolei, że Gould jest „absolutnie błyskotliwy, [ma] bardzo indywidualny ton".

Warto ich porównać. Są przeciwieństwami pianistyki. Richter jest malarzem, gra cantabile (śpiewnie) i legato (łącząc dźwięki), a jego dynamika (wyciszenia i pogłośnienia) jest arcybogata i wielopoziomowa. Gould jest rytownikiem, gra konturowo, intensywnie. Jego dźwięku nie da się z nikim pomylić: wszystko oddzielnie, staccato, mówię o tym stylu „stukando". Robił muzyce – jak to określił Stefan Rieger – „zdjęcia rentge-

1 RP

eprasa.pl 2b2d0f0434

nowskie”. W jego grze jest coś robotycznego, a jednak to działa. Działa w Bachu, bo Mozart czy Beethoven Goulda moim zdaniem nie nadaje się do słuchania. Działa w Bachu, bo Gould w swojej zasadzie izolowania dźwięków eksponował architekturę, uwidaczniał poszczególne głosy polifonicznej faktury.

Bardzo mi szkoda, że Richter nie nagrał „Wariacji Goldbergowskich”. Albo że nie zrobił tego mój ulubiony współczesny pianista, czyli Piotr Anderszewski. Ciekaw jestem, jak zabrzmiałby w nich dźwięk jego miękkich, kocich łapek. (Na szczęście Anderszewski nagrał niektóre partity, suity oraz wybrane preludia i fugi z II księgi „Das wohltemperierte Klavier”).

DOBRA TEMPERACJA

Ludzki umysł słyszy dowolny dźwięk i ton o dwa razy wyższej częstotliwości jako „ten sam dźwięk, tylko wyższy”. Powiedzmy, a1 i a2. Ten interwał nazywamy oktawą, czyli ósmą nutą. Oktawa dzieli się na 12 półtonów – na klawiaturze fortepianu 7 białych i 5 czarnych klawiszy.

Pitagorejczycy w VI wieku przed naszą erą uważali, że muzyka jest podstawową zasadą wszechbytu. Zauważyli, że główne interwały miłe dla ucha mają postać prostych ułamków. Oktawa (a2:a1) – 2:1. Kwinta (e2:a1) – 3:2.

W geometrii wstrząsnął pitagorejczykami fakt, że przekątna kwadratu, czyli pierwiastek z 2, nie jest liczbą wymierną, nie da się przedstawić w postaci skończonego ułamka. W muzyce znajduje się analogiczna pułapka. Problem polega na tym, że oktawy i kwinty nie są ze sobą kompatybilne. Decyduje o tym wynik prostego działania potęgowania. Oktawa oktawy to 2/1 razy 2/1, czyli 2 do potęgi drugiej. Kolejne oktawy są następnymi potęgami dwójki. Kiedy poruszamy się wzdłuż klawiatury fortepianu od lewej basowej strony aż do najwyższych dźwięków po prawej, teoretycznie 7 oktaw powinno być równych 12 kwintom, ale potęgi dwójek nigdy nie zejdą się z potęgami trójek. (2/1) do potęgi siódmej nie jest równe (3/2) do potęgi dwunastej. Różnica nie jest wielka, jak 128 do w przybliżeniu 129,746, co wynosi niecałą ćwierć półtonu. Ale ta niezgodność, zwana komatem pitagorejskim, przez stulecia zatruwała życie muzykom.

Teoretycznie można zbudować skalę muzyczną, zaczynając ją od każdego z dwunastu półtonów, z których składa się oktawa. Istnieją dwa podstawowe typy skal – durowa i molowa – różniące się rozłożeniem interwałów. Dur (durus, łac. twardy) uchodzi za energiczny i radosny, a moll (mollis, łac. miękki) za melancholijny i zamyślony. W systemie zachodnim (bo na przykład w muzyce orientalnej używa się interwałów mniejszych niż półton), czyli w systemie dur-moll, istnieje więc 2 razy po 12 możliwych tonacji.

Jednak ze względu na rozbieżność kwint i oktaw przez długi czas używano tylko kilku podstawowych tonacji. Próbowano ten problem rozwiązać przez lekkie skrzywienie niektórych interwałów. Nazywano to temperacją. Było ich wiele. Oznacza się je z reguły nazwiskami ich twórców. Bach sam stroił swój klawesyn. Jego temperację odtworzył później jego uczeń Johann Philipp Kirnberger, nazywa się ją Kirnberger III.

To był więc ten tak zwany „Das wohltemperierte Klavier”, czyli „dobrze temperowany klawesyn”. Bach był pierwszym kompozytorem, który wykorzystał w cyklu utworów (preludiów i fug) wszystkie 24 tonacje możliwe w systemie dur-moll, i to zrobił tak dwa razy, „Das wohltemperierte Klavier” składa się łącznie z 48 utworów w dwóch księgach. W cyklu Bacha pojawiają się nie tylko proste tonacje takie jak C-dur, G-dur, a-moll czy e-moll, w których dzisiaj na gitarze potrafi zagrać każdy harcerz, ale też tak zwane odległe tonacje jak Fis-dur czy gis-moll, w których potem chętnie komponował Chopin.

Od mniej więcej 1770 roku stosujemy inną temperację niż w czasach Bacha. W tak zwanym stroju równomiernie temperowanym odrobinę skrzywiono wszystkie interwały poza oktawami. Przyjęto podział oktawy na równiutkich 12 półtonów. Każdy z nich jest więc matematycznie równy pierwiastkowi dwunastego stopnia z 2, który jest liczbą niewymierną. Każdy półton jest odrobinę fałszywy, ale nasze ucho (czy raczej umysł) tego minimalnego fałszu nie wychwytuje.

Kiedy upowszechnił się strój równomierny, dokładnie nie wiadomo. Jakoś pomiędzy połową XVIII a połową XIX wieku. Używano różnych strojów, a także zmieniających się wysokości określonych tonów. Dzisiaj dźwięk a ma standardową częstotliwość 440 herców, ale uzgodniono to dopiero w połowie XX wieku.

NAJWYBITNIEJSZY KOMPOZYTOR NRD

Jan Sebastian był piątym pokoleniem muzyków w rodzinie Bachów. Urodził się w 1685 roku w mieście Eisenach w Turyngii, gdzie jego ojciec Jan Ambroży był szefem miejskich muzyków, tak zwanych Stadtpfeifern, czyli dosłownie „miejskich piszczków”. Byli to muzycy rzemieślnicy należący do gildii. Grali miejskie hejnały, odmierzali godziny, obsługiwali wydarzenia takie jak wybory burmistrzów, wesela czy pogrzeby.

Tak się złożyło, że wszystkie miasta, w których pracował Jan Sebastian, znajdowały się w latach 1945-89 w granicach NRD, czyli komunistycznych Niemiec wschodnich. Weimar, gdzie był muzykiem książęcym w dwóch okresach rozdzielonych kilkuletnią przerwą, Arnstadt i Mühlhausen, gdzie był organistą kościelnym, Köthen, gdzie znalazł się na służbie miejscowego księcia (który był kalwinem, co nie dopuszczało instrumentów do kościołów, dzięki czemu Bach nie poświęcał się tam muzyce sakralnej, tylko – za co jesteśmy księciu wdzięczni – tworzył swoje najlepsze utwory instrumentalne) i wreszcie Lipsk, gdzie od 1723 roku do śmierci w roku 1750 był kantorem szkoły przy Kościele św. Tomasza.

Kantor był nauczycielem, trzecim w hierarchii szkolnej po rektorze i konrektorze. Szkolił chłopców do użytku w kapeli i chórze (Thomanerchor, założony w 1212 roku, jest najdłużej nieprzerwanie działającym chórem w Europie). Od obowiązku udzielania lekcji łaciny wykręcił się, opłacając z własnej kieszeni innego nauczyciela. Odpowiadał też za muzykę sakralną w dwóch głównych świątyniach Lipska – św. Tomasza i św. Mikołaja – oraz okazjonalnie w mniejszych kościołach. Odpowiadał nie przed duchownymi, tylko przed radą miejską. Był krewki (kiedy organista zagrał fałszywą nutę, rzucił w niego peruką, którą zdarł z głowy, krzycząc: „Powinieneś był zostać szewcem!”). Nieustannie narzekał na nadmiar obowiązków i niedomiar pieniędzy.

Kiedy byłem studentem w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, chodziłem na Świętokrzyską do Ośrodka Kultury NRD i kupowałem tam czarne płyty. Wschodni Niemcy mieli wspaniałych muzyków, którzy nie zdobyli światowej sławy tylko dlatego, że mieli pecha pracować po złej stronie żelaznej kurtyny. Do dzisiaj nie znam lepszych nagrań muzyki organowej Bacha niż te Roberta Köblera dla NRD-owskiej Eterny (spora część nie została nigdy wznowiona na kompaktach).

No i przede wszystkim była orkiestra Neues Bachisches Collegium Musicum zu Leipzig pod dyrekcją Maxa Pommera. Wysłuchałem wszystkich nagrań Pommera i są one po prostu niezrównane. „Koncerty brandenburskie” BWV 1046-1051, „Suity orkiestrowe” BWV 1066-1069, „Kunst der Fuge” BWV 1080 rozpisana na barwny ansambl różnych instrumentów, a także koncerty skrzypcowe, obojowe i tak dalej pochodzące z epoki Köthen, rekonstruowane przez muzykologów na podstawie wersji na klawesyny z orkiestrą, które sam Bach zaaranżował już w swoich lipskich latach.

Lubię puszczać przyjaciołom te mało znane, te „najbardziej moje” hity Bacha. Jednym z nich jest „Sinfonia D-dur” BWV 1045 na skrzypce, trzy trąbki, kotły i orkiestrę, utwór triumfalny, energiczny i odświętny, na moje ucho pochodzący z epoki fantastycznych „Koncertów brandenburskich”, które Bach napisał dla księcia Leopolda z Köthen w najlepszym okresie swojej młodości. Na trąbce gra tu sławny Ludwig Güttler. Ale przede wszystkim na skrzypcach gra tu Karl Suske.

Wanda Wiłkomirska powiedziała podobno, że żeby dobrze grać na skrzypcach, trzeba być Żydem. I ta reguła prawie się sprawdza, ale nie ma w świecie reguły, od której nie byłoby wyjątków. Karl Suske urodził się w 1934 roku w stolicy Niemców sudeckich Reichenbergu (dziś Liberec w Czechach), ale większość życia spędził w Lipsku i Berlinie wschodnim. Jest moim zdaniem najwybitniejszym skrzypkiem bachowskim w historii. Jego styl gry jest obiektywny, apolliński, lekki, zrelaksowany i zrównoważony, długooddechowy, perpetuiczny, dokładnie taki, jaki pasuje do Bacha. Bachowi nie można nadmiernie akcentować fraz, nie można dodawać emocji od siebie. Trzeba tylko w jasnym widzeniu wydobyć wszystko, co w tej partyturze już jest.

Trzypłytowy album „Rekonstruierte Konzerte” / „Solo Concertos”, gdzie pod kierunkiem Pommera grają Suske, Güttler i najlepszy oboista świata Burkhard Glaetzner, to szczyt bachowskiej fonografii. Suske nagrał też znakomicie cykl sonat i partit na skrzypce solo BWV 1001-1006. Miał też własny kwartet, z którym nagrał utwory Mozarta oraz Beethovena.

W bloku wschodnim, na Węgrzech, działał też multiinstrumentalista – lutnista i klawiszowiec, grający również na instrumentach smyczkowych – Gergely Sárközy. Jego nagrania muzyki lutniowej Bacha są niezrównane (na przykład „Fuga” BWV 1000, transkrypcja „Fugi” z „Sonaty g-moll na skrzypce solo” BWV 1001; lubię puszczać sobie na zmianę wersje Sárközy'ego i Suskego).

Niektóre z utworów lutniowych Bach przeznaczył na tajemniczy instrument klawiszowy zwany lautenwerk. Nie wiadomo, co to dokładnie było, bo żaden z nich nie zachował się do naszych czasów. Inwentarz pośmiertny majątku Bacha stwierdza, że kompozytor miał dwa lautenwerki. Na życzenie Sárközy'ego skonstruowano stojące na nóżkach monstrualne pudło lutni z klawiaturą. Klawilutnia ma swoisty dźwięk, ciężki i industrialny w porównaniu z delikatną lutnią. Uwielbiam słuchać „Suity c-moll” BWV 997 na lautenwerku w nagraniu tego węgierskiego geniusza.

> „Wszystkie jego myśli – pisze biograf Bacha Albert Schweitzer – prześwietlała cudowna, radosna i pełna pogody tęsknota za śmiercią”. U Bacha śmierć jest czymś upragnionym, czymś zasadniczo pozytywnym

SEKUNDY I GODZINY

Bach był mistrzem zarówno drobiazgu, jak i formy monumentalnej. Piętnastotaktowe „Praeambulum F-dur” BWV 928 trwa w nagraniu Glenna Goulda 36 sekund, a „Pasja wg św. Mateusza” BWV 244 w różnych nagraniach od 2 godz. 40 min do 3 i pół godziny. Przez ponad sto lat była najdłuższym utworem w historii muzyki, pokonały ją dopiero XIX-wieczne opery Rossiniego, Berlioza, Verdiego, a zwłaszcza Wagnera.

Jest Bach delikatność i jest Bach moc. Monachijczyk Karl Richter, klawesynista i szef Münchener Bach Orchester, miał ciężką łapę do muzyki, a jego dwumanuałowy XX-wieczny instrument firmy Neupert brzmiał za sprawą stalowej ramy i dodatkowego zestawu basowych strun znacznie bardziej grzmiąco niż subtelniejsze klawesyny z epoki, a jednak jego i rosyjskiego Żyda Leonida Kogana adagio z „Sonaty skrzypcowo-klawesynowej f-moll” BWV 1018 jest jak sygnał z kosmosu, ze świata czystej pneumy.

Wszystko dlatego, że Karl Richter używa tu na klawesynie tak zwanego rejestru lutniowego i brzmienie staje się ciche, selektywne i delikatne. W tym adagio to klawesyn podaje melodię o nieco katarynkowym narkotycznym charakterze, a skrzypce mu akompaniują. Na ogół jest odwrotnie: to skrzypce z zasady są instrumentem melodycznym, a nie akompaniującym – na klawiszach można trafić naraz oburącz 10 dźwięków, tyle, ile jest palców – a na skrzypcach najwyżej dwa, i to niezbyt dalekie od siebie, bo smyczkiem można pociągnąć naraz tylko po dwóch sąsiednich strunach.

Z sonat skrzypcowo-klawesynowych polecę znowu coś mało znanego: cantabile, ma un poco adagio (śpiewnie, ale dość wolno) z „Sonaty G-dur” BWV 1019a. To „a” oznacza pierwotną wersję, którą Bach następnie zrewidował, pozbywając się Bóg jeden wie czemu jednej ze

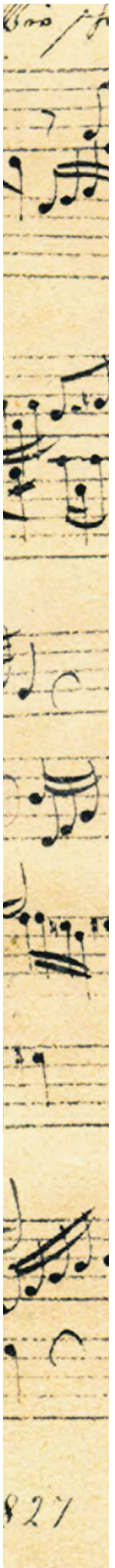

eprasa.pl 2b2d0f0434

swoich najpiękniejszych melodii. Wykonanie Holendrów Lucy van Dael i Boba van Asperena jest warte tych sześciu minut.

PUSZCZA GŁOSÓW

Mówimy „Bach", myślimy „fuga". To charakterystyczna dla baroku technika, która polega na tym, że melodia tematu (na ogół więcej niż jednego) wchodzi stopniowo, w pewnych odstępach czasu, w kolejnych głosach, wyżej lub niżej, a następnie poddawana jest rozmaitym przekształceniom. Jest to kwintesencja stylu polifonicznego. Ciekawe, jak wielogłos wpływa na ludzki umysł. Uwaga, która z zasady jest niepodzielna, nagle jest w stanie odbierać wszystkie głosy jednocześnie. Jakbyśmy znajdowali się w pokoju z wieloma osobami i słyszeli kilka rozmów naraz. Polifonia jest bardziej intelektualna niż emocjonalna w porównaniu z takimi technikami homofonicznymi, jak na przykład aria. Polifonia jest muzyczną matematyką w stanie czystym. Stwarza wrażenie, że świat to porządek.

Polifonia Bacha naturalnie kojarzy mi się ze współczesną mu barokową architekturą z jej obfitymi piętrami gzymsów i eliptycznymi zakrzywieniami. Ciekawe, że zarówno Bukofzer, jak i Gardiner korzystają z tej samej metafory: określają tematy jego fug jako „wykute z granitu".

W fudze melodia staje się swoim własnym akompaniamentem. Kompozytor musi ułożyć dźwięki w taki sposób, żeby uniknąć dysonansowych współbrzmień pomiędzy głosami – no, chyba żeby świadomie wzmóc ekspresję. Fuga wymaga więc precyzyjnego liczenia wysokości i czasu trwania dźwięków we wszystkich głosach. Melodia w fudze może być powtarzana dosłownie, wstecz – nazywa się to rakiem, albo w lustrzanym odbiciu względem wybranej poziomej osi symetrii, czyli w inwersji. Może też być rak w inwersji. Można w poszczególnych głosach wydłużać albo skracać dźwięki (augmentacja i dyminucja). Bach bawił się tymi wszystkimi szykanami. Potrafił godzinami improwizować fugi na organach i klawesynie. Melodie fugowały mu się w głowie automatycznie. Napisał ponad 150 fug – głównie na klawisze, ale na mnie największe wrażenie robią te na orkiestrę i chór.

„Mszę h-moll" BWV 232 Bach skomponował w kilku podejściach w latach 1733-49. Nigdy nie została wykonana za jego życia. Jest to najdłuższa msza muzyczna w historii. Tak Gloria, jak i Credo trwają po pół godziny i składają się z dziewięciu części (trójca razy Trójca, pozostałe ogniwa całości też są podzielne przez trzy, a całość to 27 odcinków, czyli trzy razy trzy razy trzy albo trzy do trzeciej potęgi). „Msza h-moll" to obowiązkowy punkt dla zwiedzających muzykę J.S.B. Kiedy słucham początkowych chórów – zwłaszcza drugiego „Kyrie eleison" – mój synestetyczny umysł ma wizję jodłowej puszczy na górze Beskidu uginającej się falami pod mocą wiatru halnego.

Byłem w marcu 1989 roku na „Mszy h-moll" w warszawskiej filharmonii. Bilety były wyprzedane długo naprzód, ale miałem sposób. Wtedy nie było oczywiście ani kodów kreskowych, ani nawet porządnych kartoników. Bilety były odrywane z bębna papierowej taśmy. Opieczętowywano je datą i godziną. Co zrobiłem? Kupiłem bilet na koncert w innym terminie i podałem go bileterowi, jak gdyby nigdy nic. I zadziałało. Wszedłem.

Grała znana holenderska orkiestra barokowa – Orkiestra XVIII Wieku – pod dyrekcją Fransa Brüggena. Kiedy doszli do Agnus Dei (Baranku Boży), doznałem jednego z najwspanialszych doświadczeń muzycznych w życiu. Śpiewał angielski kontratenor Michael Chance. Był wtedy w swoich najlepszych latach. Wspaniały. Miałem ciarki na całym ciele. Można znaleźć go w nagraniu Gardinera z 1985 roku.

Jednak wam, czytelniczki i czytelnicy, polecę na koniec inny utwór z tych mniej znanych, a wspaniałych: część niedokończonej kantaty na święto mojego archanielskiego patrona „Nun ist das Heil und die Kraft" BWV 50. To monumentalna fuga rozpisana na dwa czterogłosowe chóry. Bach użył tutaj tekstu Apokalipsy (12,10):

Nun ist das Heil und die Kraft und das Reich
und die Macht
unsers Gottes seines Christus worden,
weil der verworfen ist, der sie verklagete Tag
und Nacht vor Gott.

Terazci się stało zbawienie i moc i królestwo
Boga naszego, i zwierzchność Chrystusa jego
iż zrzucony jest oskarżyciel braci naszych,
który na nich skarżył przed obliczności Boga
naszego we dnie i w nocy.

Jednym z ostatnich dzieł Bacha jest „Kunst der Fuge" BWV 1080, summa tej techniki muzycznej, utwór nieprzeznaczony na konkretny instrument, raczej rodzaj encyklopedii kontrapunktu, czyli sztuki zestawiania dźwięków w polifonicznym układzie głosów. Jej nagrania na instrument solowy, taki jak organy, klawesyn albo fortepian, po jakimś czasie mnie nużą: stała tonacja d-moll, powracający odcinek za odcinkiem niezbyt ciekawy temat poddawany metodycznej obróbce poprzez te wszystkie raki, inwersje, augmentacje, dyminucje i rozmaite interwały – jesteśmy tu bardzo daleko od młodzieńczej energii i egzuberancji Bacha z epoki Köthen; to raczej „zimna przestrzeń abstrakcji", „szczyty lodowe", że zacytuję Jarosława Iwaszkiewicza. Lepiej jest z aranżacjami na zespół, jak u Maxa Pommera z jego lipskim Kolegium Bachowskim albo u Katalończyka Jordiego Savalla z Hespérion XX.

Bach użył tu w finałowej fudze swojego nutowego monogramu b-a-c-h. Jego syn, kompozytor Carl Philipp Emanuel Bach, napisał na partyturze: „Gdy motyw b-a-c-h został wprowadzony w kontratemacie tej fugi, autor umarł". Jednak nie może to być prawda, bo cztery miesiące przed śmiercią Bach oślepł. Nie pomogła operacja katarakty wykonana przez angielskiego okulistę Johna Taylora. Bach mógł już tylko dyktować nuty. Fuga pozostała niedokończona, dźwięki rozplatają się jak rozpuszczony warkocz. Bach swoim podpisem pożegnał się ze światem, a przywitał się z Panem Bogiem, ku chwale którego żył i tworzył.

Jego przykład pokazuje, jak bardzo przez tych 275 lat zmieniła się kultura, w której żyjemy. I jak jednocześnie nie zmienił się człowiek. Człowiek nadal jest zdolny doświadczyć absolutu w muzyce. Bach komunikuje się z tym, co w nas uniwersalne i będące poza czasem, poza zasięgiem zmiany. Bach jest wieczysty. ●

Za konsultację dziękuję klawesyniście dr. hab. Aleksandrowi Mockowi, mojemu kuzynowi, tak jak i ja potomkowi pradziadka Michała Głowackiego.

Cytaty z niemieckojęzycznych utworów Bacha podaję w tłumaczeniach Pawła Piszczatowskiego albo Andrzeja i Armina Teske. Cytaty biblijne z kalwińsko-luterańskiej Biblii Gdańskiej z 1632 roku.

Literatura: Christoph Wolff: „Bach. Muzyk i uczony", przeł. Barbara Świderska; John Eliot Gardiner: „Muzyka w zamku niebios. Portret Johanna Sebastiana Bacha", przeł. Katarzyna Matwiejczuk; Albert Schweitzer: „Bach", przeł. Maria Kurecka i Witold Wirpsza, Manfred Bukofzer: „Muzyka w epoce baroku", przeł. Elżbieta Dziębowska, Alfred Dürr: „Kantaty Jana Sebastiana Bacha", przeł. Andrzej A. Teske; Jarosław Iwaszkiewicz: „J.S. Bach"; Piotr Wierzbicki: „Boski Bach", Javier Arbonés, Pablo Milrud: „Harmonia tkwi w liczbach. Muzyka i matematyka", przeł. Katarzyna Rączka; Daniel R. Melamed: „Hearing Bach's Passions"; John Butt: „Bach: Mass in B minor", Steven Isserlis: „The Bach Cello Suites. A Companion"; Stefan Rieger: „Glenn Gould, czyli sztuka fugi"; Geoffrey Payzant: „Glenn Gould. Muzyka i myśl", przeł. Jerzy Jarniewicz; Bruno Monsaingeon: „Sviatoslav Richter. Notebooks and Conversations"; Józef M. Chomiński: „Historia harmonii i kontrapunktu" t. III.

GDZIE JEST ŚRODEK PARYŻA

Nie będę taił: dla mnie, 22-letniego chłopaka, panienki tańczące kankana z gołymi biustami były pewnym szokiem.

Fragment książki „Duma i wstyd. O historii i potrzebie pamiętania".

Z **PROF. TOMASZEM SZAROTĄ** ROZMAWIAJĄ **EMIL MARAT I MICHAŁ WÓJCIK**

PROF. TOMASZ SZAROTA: Znacie Paryż?

EMIL MARAT, MICHAŁ WÓJCIK: Comme ci, comme ca. Spędziliśmy tam razem i osobno sporo czasu, pewnie łącznie po kilka miesięcy.
– Doskonale! Kiedyś ktoś mnie pytał, jak najlepiej poznać Paryż. Powiedziałem, żartując rzecz jasna, że najlepiej to przez trzy dni... Bo pozostaje oszołomienie – człowiek wyjeżdża i wydaje mu się, że wszystko widział: wieżę Eiffla i Pola Elizejskie, Luwr, kawiarnie i że „zna Paryż". Po dłuższym pobycie każdy uświadamia sobie, że nie widział prawie nic, i to może być przykre. Ja po pierwszym dłuższym pobycie uświadomiłem sobie, ile jeszcze jest do zobaczenia – czyli bardziej myślałem o tym, czego jeszcze nie zdążyłem zobaczyć, niż o tym, co już widziałem i czego dotknąłem.

Łącznie, kiedy podliczałem czas spędzony w Paryżu, doszedłem do mniej więcej dwóch lat. Najdłuższy pobyt to sześć miesięcy... To dla mnie ważne miejsce. I nie chcę, żeby to brzmiało jakoś snobistycznie, ale cóż. To nie jest tylko „mój Paryż" czy Paryż mojej żony...

Pańska matka urodziła się w Paryżu.
– Tak. Ale to nie wszystko, bo nic nie jest proste. W zeszłym roku nagle dowiedziałem się, że mam we Francji kuzynów. Zależało im, żeby odnaleźć rodzinę w Warszawie... I tak się zapalili do tego nawiązywania kontaktów i szukania korzeni, że odnaleźli w Paryżu akt ślubu mojego dziadka Marcelego Szaroty z Eleonorą Kalkowską. Przysłali mi go. Mam dokument z 1 grudnia 1903 roku – dokument ślubu moich przyszłych dziadków. Jak wiadomo, powstanie w Paryżu nie było takie jak w Warszawie i dzięki temu archiwalia przetrwały.

Skąd ten Marceli nagle znalazł się w Paryżu i jak Eleonora się tam znalazła? Otóż Marceli Szarota był działaczem Polskiej Partii Socjalistycznej. Był więźniem X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej i w pewnym momencie, nie wiem, na jakiej zasadzie, może za kaucją, został zwolniony – może na leczenie, może inaczej...

X Pawilon. Podkładał bomby? Był lewicowym terrorystą?
– Nie, podejrzewam, że był agitatorem, może ktoś go wsypał, zrobiono rewizję, znaleziono jakieś ulotki. Nie był aż taki bojowy, żeby bomby podkładać, co, owszem, było wtedy modne. W każdym razie wyszedł z tego X Pawilonu i zrobił najsłuszniejszą rzecz, jaką mógł zrobić, czyli dał dyla. I oczywiście dokąd uciekać, jak nie do Paryża? Taka polska tradycja.

Wylądował tam chyba w 1901 roku. Rok później pisywał już do polskiej prasy korespondencje z Francji, czyli jakoś tam zapuścił korzenie jako człowiek działający w gronie Polonii, utrzymujący kontakt z socjalistami i w Paryżu, i w Warszawie. Studiował też w École Libre des Sciences Politique.

I nagle ślub z Eleonorą Kalkowską. Rzecz bardzo istotna: i on, i ona urodzeni w Warszawie. I jak już mówiłem: Eleonora ma z jednej strony poczucie, że jest Polką, bo miała ojca Polaka (który szybko umarł po jej przyjściu na świat – miała pół roku, więc kontaktów z nim nie pamiętała), z drugiej – jej matka była rodowitą Niemką. Dlatego Eleonora wychowywała się w domu, w którym mówiło się po niemiecku. Mało tego, maturę zdawała w Petersburgu, w typowej szkole dla dziewcząt, ale niemieckojęzycznej. I po tej maturze w 1901 roku

eprasa.pl 2b2d0f0434

FOT. MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Prof. Tomasz Szarota

• Jeden z najwybitniejszych polskich historyków, przez całą karierę związany z Instytutem Historii PAN. Prekursor badań życia codziennego podczas okupacji w Warszawie i Paryżu, autor wielu książek, m.in. biografii gen. Stefana „Grota” Roweckiego i Stefana Starzyńskiego, badacz zaangażowany w proces pojednania polsko-niemieckiego.

◀ **Lata 60., para młodych paryżan przed jedną z wielu w mieście cukierni (patiserii). Prof. Szarota: „Nie miałem pretensji do Francuzów, że są bogaci, ale uważałem, że jest w tym duża niesprawiedliwość: to nie jest OK, że my żyjemy w porównaniu z nimi tak źle”**
FOT. TADEUSZ ROLKE / AGENCJA WYBORCZA.PL

postanowiła studiować, bo była ambitna. Chętnie poszłaby na filozofię w Berlinie – w końcu niemiecki był jej językiem – ale Berlin był „zapóźniony” i kobiet na studia wyższe nie przyjmował. Wylądowała więc w Paryżu.

Zatem Sorbona. W momencie ślubu z Marcelim była studentką nauk przyrodniczych. 22 listopada 1904 roku w tymże Paryżu urodziła się Elida Maria. Gdyby się nie urodziła, tobyśmy teraz nie rozmawiali. No i stąd ten Paryż, jako miejsce istotne rodzinnie. Moja matka studiowała przez jakiś czas na Sorbonie, a potem romanistykę w Genewie.

Gdzie w Paryżu dziadkowie mieszkali?
– Zdziwicie się: nie tylko wiem, gdzie mieszkali, ale byłem tam. Podczas któregoś z pobytów sfotografowałem tę kamienicę – to jest w Dzielnicy Łacińskiej, przy Jardin des Plantes. Piękny, jak na tamte czasy bardzo nowoczesny budynek, wybudowany bodaj w 1902 roku. Nie wiem, jak ich było stać, żeby akurat tam wynajmować mieszkanie. Tajemnica. No ale moja matka tam właśnie się urodziła.

Jeśli chodzi o Paryż i dzieje mojej rodziny, to bardzo ważne wydarzenie nastąpiło w Wigilię 1929 roku w domu przy ulicy Lamandé. To był dom gościnny dla Polaków. Ni z tego, ni z owego, właściwie przez przypadek, obchodzili tam wspólną Wigilię trzej panowie: Tadeusz Manteuffel, Michał Walicki i Rafał Marceli Blüth. Tak! Mój ojciec [Rafał Marceli Blüth – red.] spotkał się z ojcem mojej żony [Tadeuszem Manteufflem, jednym z najwybitniejszych polskich historyków – red.], zanim ja i ona w ogóle na tym świecie się pojawiliśmy, jeszcze nawet planów na nas nie było. Mój przyszły ojciec był tam na stypendium, mój przyszły teść również. Obaj korzystali intensywnie z Bibliotheque Nationale. Widzicie więc, jak ważny jest ten piękny Paryż w losach rodziny.

Bywał azylem, schronieniem. W 1933 roku moja babka Eleonora Kalkowska, która miała obywatelstwo polskie, po dojściu Hitlera do władzy jako autorka „Sprawy Jakubowskiego” [sztuka wydana w Niemczech, opowiadająca prawdziwą historię polskiego robotnika Józefa Jakubowskiego niewinnie skazanego w czasach Republiki Weimarskiej na śmierć za zabicie dziecka i straconego – red.] i w ogóle za całokształt swojej działalności w Berlinie została aresztowana. Jak już mówiłem, interweniował nasz poseł, wypuścili ją, ale oczywiste było, że musi z Niemiec uciekać. No i uciekła. Do swojego miasta. Do Paryża.

Z jakiego paragrafu ją aresztowano?
– Prawdopodobnie za działalność antyrządową na niwie literatury – jej twórczość była zdaniem hitlerowskich władz antyniemiecka. Jak wiadomo, to się często zdarza – i tak było po 1933 roku w Niemczech – że „antyrządowe” równa się „antynarodowe” i „antypatriotyczne”. Babcia została „wypędzona” – to ciekawe określenie w kontekście niemieckim. Wypędzona z miejsca, które de facto było jej miejscem na świecie. Berlin był jej ukochanym miastem, matecznikiem. Niemiecki był jej językiem. „Sprawę Jakubowskiego” napisała po niemiecku, dla Niemców. No i tym dramatem się przebiła, był głośny, tak samo spektakl. W czasie jego wystawiania bojówki faszystowskie protestowały przed gmachem teatru. Pisano o tym w gazetach, była masa recenzji, w pismach lewicowych były one entuzjastyczne.

Kalkowska musiała więc z Berlina uciekać. Wybrała Paryż, to naturalne. Zatem mogłaby też czuć się paryżanką. Także moja matka była tu zadomowiona. Po wojnie, w 1946 roku, znowu przyjechała do Paryża, żeby zbierać materiały do podręczników języka francuskiego. Bodaj 50 stron w jednym z nich to właściwie ilustrowany przewodnik po Paryżu.

Ja sam byłem z matką w Paryżu dwukrotnie. To były wyjazdy mniej więcej na miesiąc, nie dłużej. I oboje pracowaliśmy w paryskiej Bibliotece Narodowej. Ona mieszkała w jakimś hotelu, ja na Lauristonie, w pokojach gościnnych Polskiej Akademii Nauk. Spotykaliśmy się zawsze o dziewiątej rano. W Bibliotheque Nationale im wcześniej się przyjdzie, tym większa jest szansa na przyzwoite miejsce – przyjeżdżają tam ludzie z całego świata i prawie walczą o te miejsca. Myśmy przychodzili rano i obsługa już wiedziała, że to matka z synem. Byli pod wrażeniem i mieliśmy dwa miejsca zarezerwowane jedno obok drugiego. A jeśli chodzi o „mój Paryż” i samodzielny wyjazd, to pierwszy raz byłem tam latem 1962 roku.

[...]

Gdzie dla was jest środek Paryża?

Katedra Notre Dame? Nie, nie wiemy.
– Zapytałem mamę: słuchaj, jak jestem w Warszawie, to na rogu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich jestem w środku miasta. Powiedz mi, jak będę w Paryżu, w tym twoim Paryżu, w Paryżu ojca i babki Eleonory, to gdzie mam pójść, żeby być naprawdę w samym centrum? Jej odpowiedź była ładna, co zrozumiałem poniewczasie: słuchaj, w tym mieście jest coś tak cudownego, że takich miejsc, w których możesz powiedzieć: „jestem w sercu miasta”, jest tak dużo, że ci ich nie wymienię. Ładne, prawda? I plac Concorde, i Pola Marsowe pod wieżą Eiffla, i pod Łukiem. Dla lewicy plac Bastylii jest centrum. A może tym środkiem jest dziedziniec Luwru albo Notre Dame, albo któryś z mostów? I tak dalej, i tak dalej.

Albo cmentarz Pere-Lachaise lub Panteon? Tak jak za symboliczne centrum inteligencji warszawskiej można by uznać Powązki.
– To podejście – nazwijmy to – mistyczne, a na razie rozmawiamy faktograficznie. Wróćmy do naszej podróży do Paryża. Polecieliśmy parę dni wcześniej przed całą grupą i na lotnisku odbierał nas – uwaga, wielka postać w późniejszej polskiej historii – Bronisław Geremek. Wtedy jeszcze dla mnie oczywiście nie

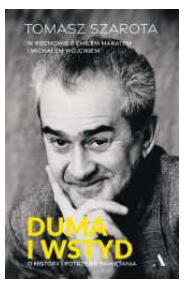

Duma i wstyd. O historii i potrzebie pamiętania.

Tomasz Szarota w rozmowie z Emilem Maratem i Michałem Wójcikiem

Wyd. Agora

eprasa.pl 2b2d0f0434

„Bronek", tylko 30-letni doktor Geremek. Zawiózł nas do akademika mieszczącego się przy malutkiej uliczce w pobliżu Gare de Lyon.

I teraz – znowu – parę słów na temat nas, czyli szczęśliwych, ale biednych ludzi, którzy lądują w ówczesnym Paryżu. Dostaliśmy po trzy posiłki w akademiku, bilet na metro (bo sami nie mogliśmy sobie przecież na to pozwolić) i bodaj po sto franków na wydatki na cały miesiąc. Koszmarna nędza z bidą. Do dzisiaj nie rozumiem – mówię szczerze i możecie to napisać – dlaczego rodzice mojej przyszłej żony, państwo Manteuffel, ani moja matka, znająca przecież Paryż, nie wpadli na pomysł, żeby kupić nam na czarnym rynku ze sto dolarów, żebyśmy mieli łatwiej.

Sto dolarow? Wtedy to było kilka polskich pensji!
– A ja myślę, że dla nich ważne było co innego: uważali, że bez względu na to, jaka ta Polska Ludowa jest, poniżej ich godności byłoby narażenie się na zarzut, że korzystają z czarnego rynku.

To nie wchodziło w rachubę! Jako lojalni obywatele nie mogli popełnić takiego przestępstwa. Tragicznie odbiło się to na naszym losie w Paryżu, bo byliśmy żenująco biedni. Wyszedłem z Hanią na tę małą uliczkę przed akademikiem i akurat była tam jakaś taka mała winiarnia. Nasza francuszczyzna była wówczas pod zdechłym Azorem, ale pamiętam, że wszedłem i powiedziałem, że my sobie życzymy vin rouge tres, tres bon marche!! (czerwone wino w bardzo, bardzo dobrej cenie). Poczucie bycia żebrakiem jest traumatyczne. To pozostaje w człowieku na dłużej. Nie wiem, czy sami tego zaznaliście. Ten rodzaj przykrości jest trudny do zapomnienia. Musieliśmy odsprzedać jeden posiłek dziennie, żeby mieć odrobinę więcej pieniędzy. Pobyt kojarzył mi się zatem z głodem, z upałem i z chodzeniem po Polach Elizejskich, gdzie ludzie pijący na tarasach kawiarni grenadine (jakoś mnie to poruszyło, bo pierwszy raz widziałem) albo kawę czy inne napoje wydawali nam się bogaczami. I – zgodnie z ideologią socjalistyczną – burżujami, milionerami. Jak to możliwe, że kogoś stać na to, by tak sobie usiąść w kawiarni i zamówić kawę?

Więcej zdziwienia czy upokorzenia?
– Zdziwienia. Ale upokorzenie też. Ogromne. To samo co w Wiedniu: jestem z innej planety, jakiejś gorszej. Jestem innego gatunku.

Żal do Polski? Budzi się w panu bunt? Że ten świat może być lepiej urządzony niż w socjalistycznej ojczyźnie?
– Nie, nie. Skłamałbym, gdybym teraz przypisywał sobie taki sposób myślenia. Powiedziałbym raczej, że propagandowe tezy, którymi indoktrynowano nas w domu i w szkole, w prasie i w mediach, jakoś utwierdzały nas w podskórnym przekonaniu, że „im się to wszystko nie należy". Tak to czuliśmy, gdy zobaczyliśmy to wszystko na Zachodzie. To nie był gniew. Raczej jakiś żal i zdziwienie. Bo niby skąd ten ich dobrobyt? Pewnie coś ukrywają, obłudni kapitaliści. I jak to? Warszawa w gruzach, a Paryż, Boże, taki piękny! [...] Wchodzimy do galerii Lafayette i jesteśmy w świecie dla nas niewyobrażalnym. Skala różnicy materialno-cywilizacyjnej była porażająca.

Matka opowiadała mi o swoich przeżyciach w Berlinie w latach 50. Jako opiekunka i tłumaczka pilotowała jakąś grupę turystów, nie pamiętam, chyba Bułgarów, w każdym razie ludzi z państwa bloku socjalistycznego. Wtedy jeszcze można było wsiąść do metra na wschodzie i przejechać do Berlina Zachodniego. I ona z tą grupą tam pojechała. Opowiadała mi potem: to było niesamowite, niektóre kobiety z tej wycieczki miały łzy w oczach, stawały przed wystawami, patrzyły na przechodniów na Kudammie, jak są ubrani, na samochody i mówiły: „To oni przegrali wojnę?", „Boże, jak oni żyją!". A ja w Paryżu nie miałem pretensji do Francuzów, że są bogaci, ale uważałem, że jest w tym duża niesprawiedliwość: to nie jest OK, że my żyjemy w porównaniu z nimi tak źle.

• **Paryskie Hale Targowe, lata 60. Prof. Szarota: „Spacerowałem z tą panią po halach i wokół nich i była to naprawdę niezwykła noc, jakbym dotknął jakiegoś drugiego Paryża, ukrytego"**
FOT. FOT. GAMMA-KEYSTONE / GETTY IMAGES

Pan, syn sowietologa, mógłby to zrozumieć.
– Wówczas nie wiedziałem tego wszystkiego, co wiem w tej chwili. W Paryżu w 1962 roku żadne ideologiczne rozprawy, zwłaszcza w kontekście prac ojca, w ogóle mnie nie zajmowały. Dla naszej grupy z Alliance Française przygotowano specjalny program. Francuzi chcieli, żebyśmy poczuli ducha Paryża. Zabrali nas na rewię w Folies Bergeres. Nie będę taił: dla mnie, 22-letniego chłopaka, panienki tańczące kankana z gołymi biustami rzeczywiście były pewnym szokiem. Coś takiego w Warszawie było niewyobrażalne. Taki show!

Natomiast to, co teraz opowiem, to chyba jedna z najpiękniejszych historii. Otóż, gdy już minął czas naszego pobytu, postanowiliśmy, że o kilka dni go przedłużymy. Była taka możliwość. Wylądowaliśmy na Lauristonie, w pokojach gościnnych PAN. Okazało się, że moja narzeczona Hanusia ma szansę na łóżko, akurat się zwolniło w sali damskiej. A ja? Męskie będzie wolne dopiero następnego dnia. Co robić? Pokazali mi, że tuż przy wyjściu z Lauristonu jest mały hotelik, nazywa się Cimarosa. No ale przecież nie stać mnie na nocleg w tym miejscu. Ktoś mi poradził: ukryj się w metrze. A jak się nie uda, to połóż się przy kracie, czyli takim wywietrzniku z metra, tam jest ciepło. Rzeczywiście, widywałem kloszardów przy kratach metra. I w tym momencie jakaś pani – wtedy wydawała mi się stara, bo musiała mieć ponad 40 lat – mówi do mnie: przepraszam, czy ja dobrze usłyszałam, że pan nie ma gdzie nocować? No tak, nie mam. To ja panu coś zaproponuję: jestem tu już od paru miesięcy i moim marzeniem jest spędzić noc w Halach – Les Halles. Sama nie mogę tam pojechać, bo to i niebezpieczne, i nie wypada. A skoro pan i tak nie ma gdzie nocować, to pojedźmy tam razem ostatnim metrem. Zobaczymy życie, które tam nocami wrze.

Teraz oczywiście to miejsce już się zmieniło, dziś to nowoczesna dzielnica, ale wtedy to były prawdziwe hale targowe, do których w nocy przywożono zaopatrzenie dla milionów paryżan. Wszystko: frutti di mare, mięso, warzywa, kwiaty. Pomyślałem, że owszem, to mogłoby być niesamowite przeżycie. Folklor unikalny. Tam życie tętni całą noc. I rzeczywiście, spędziłem tam całą noc, spacerując i chłonąc te wszystkie wrażenia. No i przyznam się: jakaś mała ryba spadła z ciężarówki na chodnik, więc ją zabrałem. Pomyślałem, że zrobimy sobie obiad na Lauristonie. I zrobiliśmy.

Tej nocy nie zapomnę nigdy. Zresztą potem dowiedziałem się, że takie wypady do hal były wśród paryżan modne, nawet bogaci tam chodzili. Potem rano obowiązkowo wpadali na zupę rybną bouillabaisse do jakiejś pobliskiej restauracji. Oczywiście to już było nie dla mnie. [...]

Pańska towarzyszka była Polką?
– Tak. Była bardzo łakoma wrażeń. Na skraju hal ciągnie się Boulevard de Sébastopol, a po nim kręci się w nocy sporo podejrzanych typów. W paryskim półświatku obowiązywało wówczas niepisane prawo: choćby kobieta była najpiękniejsza na świecie, ale w towarzystwie mężczyzny, nawet małego, brzydkiego, sięgającego jej do ramion, to nie wolno jej zaczepić. To było swoiste tabu: ta kobieta jest pod ochroną mężczyzny, par się nie zaczepia. Spacerowałem więc z tą panią po halach i wokół nich i była to naprawdę niezwykła noc, jakbym dotknął jakiegoś drugiego Paryża, ukrytego. I rzeczywiście, nic nam się złego nie stało. A typów mijaliśmy – uwierzcie – wielu.

Jeszcze dwa zdania na temat tego, jak i dzięki komu polscy stypendyści mogli się pojawiać w Paryżu. Mało kto o tym wie. A ja wiem nie tylko dlatego, że byłem akurat zięciem tego pana. Otóż to właśnie Tadeusz Manteuffel w 1960 roku nawiązał kontakty z Akademią Nauk w Paryżu i udało mu się zorganizować dla polskich studentów i pracowników naukowych stypendia. Podczas tego samego pobytu Manteuffel spotkał się z Jerzym Giedroyciem i załatwił to, że Instytut Historii PAN dostawał odtąd regularnie „Kulturę" i „Zeszyty Historyczne".

Do działu cymeliow. Był taki zbior zastrzeżony w Bibliotece Narodowej i chyba w Bibliotece Uniwersyteckiej.
– Ale my jako pracownicy mieliśmy prawo z niego korzystać bez ograniczeń. Legalnie. Widocznie służby doszły do wniosku, że w gruncie rzeczy dobrze, że te wydawnictwa przychodzą. Oni też – być może – z nich korzystali.

Mój pierwszy wyjazd naukowy (a nie na banalny kurs języka) był bardzo znaczący. Leciałem do Paryża z panem (wówczas był dla mnie „panem") Stanisławem Trawkowskim – potem się zaprzyjaźniliśmy, razem mieszkaliśmy przez trzy miesiące. Był z pokolenia Kolumbów – rocznik 20., zatem dużo starszy ode mnie, uczeń Manteuffla, mediewista. Z Warszawy wylatywaliśmy 6 września 1967. A kto tego samego dnia przyleciał do Warszawy? Wiecie?

eprasa.pl 2b2d0f0434

Rolling Stonesi? A nie, oni byli parę miesięcy wcześniej.
– Niejaki generał Charles de Gaulle. Szarota do Paryża, de Gaulle z Paryża... Wymiana taka. Śledziłem jego polską wizytę w prasie francuskiej. I wiedziałem jednocześnie, że nie wszystkie momenty wizyty były relacjonowane przez polskie gazety. Na przykład de Gaulle, będąc w Krakowie, zażyczył sobie, że chce zobaczyć Nową Hutę. Ale nie po to, by spojrzeć na tę sztandarową budowę socjalizmu. Usłyszał, że w tej Hucie budują wielki kościół. Chciał zobaczyć, jak w socjalistycznej Polsce powstaje świątynia... Paryska prasa opublikowała fotografie z tej jego wizyty. W Polsce [...] ani słowa.

Pobyt de Gaulle'a w Polsce to było szaleństwo – wielki entuzjazm, tłumy na ulicach, kwiaty, chorągiewki. Oto przybywa symbol wielkiej Francji i to jest znak, że Zachód o nas jednak pamięta.

A 11 listopada roku 1967 Tomek Szarota i starszy Stasio Trawkowski w Paryżu wybrali się na Pola Elizejskie, żeby zobaczyć defiladę wojskową. I przy okazji generała, którego nie mogli zobaczyć w Warszawie. Zwyczajowo jechał odkrytym citroënem. I co? Zbliża się wielki de Gaulle, a oklaski... niemrawe. Trochę gwizdów. Zero sympatii. Absolutne przeciwieństwo polskiego entuzjazmu.

Wracając do mojego pierwszego wyjazdu naukowego: przylecieliśmy z panem Trawkowskim do Paryża, żadne Geremki tym razem nas nie witały, sami musieliśmy dojechać na Lauriston. Oczywiście o taksówce mogliśmy pomarzyć, więc z bagażami do metra. Nie ma schodów ruchomych... Zmordowani, na ostatnich nogach dotarliśmy do stacji naukowej PAN.

Ważna sprawa a propos stypendiów i stypendystów: dostałem te trzy miesiące w nagrodę za szybko zrobiony doktorat, na zasadzie: „Ten młody człowiek nieźle się zapowiada, więc niech pozna trochę świata”. Dostawałem miesięcznie 700 franków. Stasio – docent – 900. Po wielu, wielu latach dowiedziałem się, że władze PAN obcinały nam o połowę stypendia przyznane przez Francuzów. Ci, którzy o tym zadecydowali, nie żyli nigdy na Zachodzie. 700 franków, które dostawałem na miesięczny pobyt, to byłaby stawka zupełnie głodowa, gdyby nie to, że nocleg na Lauristonie kosztował tylko 5 franków. Jadaliśmy wyłącznie w stołówkach uniwersyteckich. Znałem je wszystkie na pamięć. Nie umieraliśmy z głodu, ale luksusów nie było. W niedziele ja kucharzyłem. Wycieczki były tanie – byłem w Mont-Saint-Michel za 50 franków. [...]

Podczas tej mojej wizyty w 1967 roku byłem na wykładzie wielkiego Fernanda Braudela [francuski mediewista] w College de France. Jasne było, że wypada polskim stypendystom pójść na taki wykład i wysłuchać. Pamiętam, że wielkich tłumów nie było, widzieliśmy na sali staruszków, którzy przysypiali. Braudel, jak zobaczył, że w sali siedzi paru Polaków, wykonał bardzo miły gest. Zaprosił nas po wykładzie do kawiarni, postawił kawę i ciastko. Nie pamiętam ani kawy, ani ciastka, ale temat rozmowy już tak, bo to było dla mnie olśniewające. Pan Fernand Braudel mówił tak: „Wy nie zdajecie sobie sprawy, jakiego wielkiego uczonego macie w Polsce”. Nadstawiamy uszu. Okazuje się, że chodzi o Aleksandra Gieysztora. Wtedy sobie uświadomiliśmy, jak „Piękny Olo” (tak go nazywaliśmy) był już wtedy postrzegany poza Polską... Potwierdziłem to potem zresztą jeszcze raz na międzynarodowym kongresie nauk historycznych w Stuttgarcie. Zatem cokolwiek by powiedzieć o wielkości legendarnego Braudela, to nie ma cienia wątpliwości, że nasz Aleksander Gieysztor był równym mu Europejczykiem i światowym uczonym, a nawet większym, wobec którego ten wielki francuski naukowiec czuł pokorę. To cieszyło, budowało nas. Bo nie muszę wam mówić – przeciętny Francuz nie miał wtedy szczególnie wysokiego mniemania o Polakach, zwłaszcza w kontekście własnego przeświadczenia o wielkości narodu francuskiego.

Najdłuższy pobyt w Paryżu przydarzył mi się już prawie współcześnie, bo w nowej polskiej rzeczywistości – w roku 1996. Zostałem stypendystą rządu francuskiego. Celem wyjazdu było zebranie materiału do pracy „Warszawa i Paryż – dwie stolice pod okupacją niemiecką. Studium porównawcze”. Z żalem stwierdzam, że ta książka nigdy nie powstała. [...] Ale wyjazd był świetny. Byłem razem z żoną. Mieszkaliśmy w sercu Dzielnicy Łacińskiej. Hania przed snem szła na spacer i po pięciu minutach była pod katedrą Notre Dame, a jak chciała pójść w drugą stronę, to po chwili była na bulwarze Saint Michel albo Saint Germain. Cichutka uliczka Suger w sercu Paryża. Cudownie się tam czuliśmy. Było drogo, ale cudownie.

Szczęście polegało też na tym, że podczas któregoś z poprzednich pobytów mieszkałem przez jakiś czas w Niemieckim Instytucie Historycznym i dzięki temu, że miałem z nimi kontakt, oni pozwolili mi bezpłatnie korzystać z ich garażu. Wzięliśmy więc z Polski samochód i przez te całe dziewięć miesięcy mieliśmy gdzie parkować w środku miasta, a to nie jest takie proste.

Wielkie wrażenie zrobił na mnie wtedy cmentarz rozstrzelanych komunistów w Ivry. To jest na południu, peryferie miasta, taki odpowiednik naszych Palmir. Różnica polega na tym, że zachowały się nazwiska wszystkich tam rozstrzelanych. Znana jest data, godzina i minuta każdej egzekucji. A jeśli chodzi o Palmiry, znamy nazwiska jedynie połowy zamordowanych. Wśród tych rozstrzelanych komunistów w Ivry jest bardzo, bardzo wielu polskich Żydów. Polskie nazwiska! I każdy z nich ma na grobie gwiazdę Dawida.

Rozmawiałem z bratem rozstrzelanego tam Żyda węgierskiego. Czy on miał takie judaistyczne przekonania? Bo na jego grobie widnieje gwiazda Dawida.

A on na to: proszę pana, wręcz odwrotnie! Przecież po to się zapisał do tych komunistów, żeby wreszcie uchodzić za Francuza, a nie za Żyda! To wszystko przez tych waszych polskich Żydów! Oni mają fisia na tym punkcie i każą te gwiazdy na nagrobkach umieszczać! Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

Może był to nietakt, choć kiedyś popełniłem być może jeszcze większy, prosząc jako zwykły stypendysta o audiencję u wielkiej gwiazdy francuskiej nauki. Opowiem wam.

To było w 1981 roku. Miałem wtedy 41 lat, byłem doktorem. Zwróciłem się do francuskich organizatorów mojego stypendium w Paryżu: proszę państwa, mam taką prośbę – skoro już tutaj jestem, czy nie byłoby możliwe zorganizowanie dla mnie spotkania, audiencji u profesora Maurice'a Agulhona? W tym momencie zrozumiałem, że stosunek tych urzędników do doktora Szaroty bynajmniej nie jest taki, jak stosunek profesora Braudela do Gieysztora. Popatrzyli na mnie jak na wariata: „Czy myśli pan, że profesor Sorbony ma czas i będzie rozmawiał z każdym stypendystą, który przyjeżdża do Paryża? No niech się pan zastanowi”. Odpowiadam: ale może państwo by chcieli posłuchać, dlaczego ja chcę spotkać Agulhona? „Więc pan chce go nie tylko poznać, ale i rozmawiać?”– zdumienie. Chcę mu coś podarować, odpowiadam. „Pan chyba żartuje. Wykluczone”. No ale, tłumaczę dalej tej pani w sekretariacie, Agulhon wydał w roku 1979 książkę – pierwszy tom historii Marianny jako symbolu Republiki. A ja, skromny doktor z Warszawy, przygotowuję właśnie książkę o takiej postaci, która w pewnym sensie ma podobnie symboliczny charakter jak Marianna, widnieje na znaczkach pocztowych i w karykaturze, zupełnie jak angielski John Bull czy amerykański Wuj Sam. Otóż piszę o niemieckim Michelu. I ponieważ dowiedziałem się, że profesor Agulhon przygotowuje drugi tom o postaci-symbolu Marianny, to pomyślałem, że może będzie pisał i trzeci tom pod tytułem „Marianna w oczach obcych”. I chciałbym się z nim spotkać, bo przywiozłem mu zestaw kilkunastu karykatur z niemieckiej prasy satyrycznej, w których ukazana jest Marianna. Ooo... – zobaczyłem u pani sekretarki oznaki zainteresowania. No i doszło do tego spotkania. Rozmawiałem z nim, dałem mu te rysunki, podziękował, był bardzo miły.

Puenta polega na tym, a to był rok 1981, że dwa lata później Tomasz Szarota z niemieckim przyjacielem Hansem Henningiem Hahnem i z panią Annette Laborey (wbrew nazwisku Niemką) zorganizował konferencję i zaprosił profesora Agulhona z wykładem na temat Marianny. I – będę nieco zarozumiały – podejrzewam, że był to jego jedyny występ o Mariannie poza granicami jego kochanej ojczyzny. Ale to na marginesie.

Podczas któregoś z kolejnych pobytów w Paryżu, w maju 1984, zdarzył się moment dla mnie bardzo wzruszający. Nawiązałem wtedy kontakt z Józefem Handelsmanem, który był przez jakiś czas dyrektorem Biblioteki Polskiej w Paryżu, a wcześniej żołnierzem generała Maczka, czołgistą. Dostałem listy polecające od teścia – profesora Manteuffla. I pan Józef zabrał mnie na uroczystość: w księgarni Libella na wyspie Świętego Ludwika Jan Nowak-Jeziorański podpisywał francuskie wydanie swojej książki „Kurier z Warszawy”. Tej sceny nie zapomnę nigdy: siedzi Nowak i podpisuje książki, Józef mnie przedstawia i mówi: „To jest Szarota, ten, który opublikował w Warszawie biografię Grota-Roweckiego”. Na co Nowak odpowiada: „Świetnie znam tę książkę!”. I dodaje: „Ja wiedziałem, że w Polsce można napisać uczciwą książkę, ale nie miałem pojęcia, że można ją też wydać”. Ładne, co? Strasznie jestem z tego dumny. [...]

Te wspomnienia o Paryżu, moich wyjazdach i stypendiach chciałbym zakończyć opowieścią o dwóch ludziach – warszawiaku i paryżaninie. Otóż pierwszym Polakiem rozstrzelanym w Warszawie w 1939 roku był niejaki Karol Leszniewski. Skazano go za posiadanie broni. Został zamordowany w pierwszej połowie października, dwa tygodnie po upadku Warszawy. Tymczasem pierwszym rozstrzelanym przez Niemców paryżaninem był niejaki Jacques Bonsergent. Zginął w grudniu 1940 roku, pół roku po wejściu Niemców do Paryża. W Paryżu jest stacja metra Jacques Bonsergent. Jest też plac jego imienia. A co Polacy albo warszawiacy wiedzą o Karolu Leszniewskim? To przykre, ale kompletnie nic. A przecież na pewno miał jakąś rodzinę, może są jakieś daty jego życia, może jest jakieś zdjęcie. Nigdy nic na ten temat się nie ukazało. ●

Rozmawiali Emil Marat i Michał Wójcik

Skróty redakcji.

• **Na górze: Rafał Marceli Blüth, ojciec profesora Szaroty, sowietolog, krytyk i historyk literatury, rozstrzelany przez Niemców 13 listopada 1939 roku, niespełna dwa miesiące przed narodzinami syna; prof. Elida Maria Szarota, matka profesora, historyczka literatury, germanistka i romanistka, lata 80. XX wieku. Pod nimi: dziadek Marceli Szarota w mundurze legionowym w 1915 roku i babka Eleonora Kalkowska, na zdjęciu z 1912 roku**

FOT. REPRODUKCJE WALDEMAR GORLEWSKI (4)

eprasa.pl 2b2d0f0434

DZIEJE ZAPISANE W

Z perspektywy najstarszego drzewa Ukrainy drugim, po Rosji, wrogiem jest Polska. Nasze najstarsze drzewo cięli szablami Kozacy i dłużej pod nim mówiono po niemiecku niż po polsku. I w dodatku – o zgrozo – może zmienić płeć.

Marta Panas-Goworska
Andrzej Goworski

Łukasz Surowiec, artysta interdyscyplinarny, w ramach projektu „Berlin-Birkenau" na 7. Berlin Biennale w 2012 roku przywiózł kilkaset młodych brzózek z okolic Auschwitz-Birkenau. Posadzono je w parkach i na terenach szkół. Na stronie Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie przeczytamy: projekt jest „symbolicznym gestem zwrotu Niemcom części ich dziedzictwa narodowego", a same drzewa „są żywym ucieleśnieniem traumatycznej przeszłości".

Efektem projektu jest też film. Widzimy na nim mężczyznę, który po wojnie wychowywał się w okolicach obozu i teraz pokazuje fundamenty budynku, do którego wchodziło 1200 osób – domyślamy się, że było to krematorium. Wskazuje brzozy sadzone przez Niemców w czasie wojny nad masowymi grobami. Zatrzymuje się przy górującym drzewie i mówi: „Ta wierzba musiała tu być świadkiem".

Podobną historię usłyszeliśmy i my. W połowie lat dziewięćdziesiątych na Podlasie przyjeżdżali handlarze z całego nieistniejącego już imperium radzieckiego. Jeden zatrzymał się nam na stopa i podwiózł do Białegostoku. Pytał, skąd znamy rosyjski. Odpowiedzieliśmy, że nauczyła nas babcia, która była na Syberii. To skłoniło go do opowieści. Lata osiemdziesiąte spędził na północy ZSRR, „tam, gdzie były Gułagi". „Idziesz przez tajgę – mówił – widzisz skupiska drzew, jakby sadził je człowiek: tu prawie same brzozy, tam modrzewie, gdzie indziej tylko olsze". Wyrosły nad jamami, w których grzebano zwłoki. Ofiary, jeszcze za życia, jadły szyszki i nasiona drzew, żeby zabić głód. „Nasiona przetrwały w trzewiach i wykiełkowały w grobowych dołach".

Tak miałyby powstawać zagajniki anomalii leśnych? Trudno nam było w to uwierzyć i o weryfikację poprosiliśmy Nikitę Pietrowa, wiceprzewodniczącego rosyjskiego Stowarzyszenia „Memoriał". W jego ocenie „historia o kiełkowaniu nasion z ciał rozstrzelanych jest legendą – to znaczy jest niemal nieprawdopodobna". Sugeruje jednak inne możliwe wyjaśnienie: nasiona nietypowych dla okolicy drzew mogły zostać przyniesione w kieszeniach i rzeczach ofiar. Rzeczy zakopywano płytko, nasiona mogły wysypać się podczas egzekucji, a następnie – być może – zakiełkować w ziemi lub w pobliżu mogił. Zastrzega, że konieczne są badania takich miejsc, by uzyskać wiarygodne wnioski.

Skoro niespełna stuletnie brzozy i wierzba w Birkenau świadczą o Holokauście, a syberyjskie iglaki mogą wyznaczać obszar nekropolii Gułagów, to jaką historię mogą nam opowiedzieć najstarsze drzewa Ukrainy i Polski?

DĄB MAKSYMA ŻELEŹNIAKA

W głębi lessowych wąwozów Chłodnego Jaru – po prawej stronie Dniepru, w obwodzie czerkaskim – rośnie najstarsze drzewo Ukrainy – dąb, któremu patronuje Maksym Żeleźniak, przywódca kozackiego powstania. Szacuje się, że drzewo ma około 1000-1100 lat, czyli pamięta czasy Rusi Kijowskiej. Mierzy 30 metrów wysokości i ponad 8 metrów w obwodzie pnia. Należy do najpotężniejszych dębów w Europie Wschodniej. Od 1972 roku jest chronione jako relikt przyrodniczy. Jego istnienie wiąże się z unikalnym ekosystemem jaru – obszarem o chłodniejszym mikroklimacie niż okoliczne stepy. Jedna z koncepcji mówi, że to rozległe obniżenie terenu mogło powstać po upadku meteorytu.

Okolice Chłodnego Jaru są silnie związane z historią Kozaczyzny. Trzydzieści kilometrów w linii prostej od dębu, w Czehryniu, urodził się Bohdan Chmielnicki. To on w 1648 roku stanął na czele największego powstania kozackiego przeciw Rzeczypospolitej. Bunt zapoczątkował nową epokę w dziejach Ukrainy. Na dziesięciolecia uczynił Czehryń politycznym centrum Kozaczyzny. Chociaż nie ma legend łączących Chmielnickiego bezpośrednio z tym dębem, tradycje kozackie w regionie były kontynuowane przez pokolenia.

Sto lat później, w pobliskiej Medwediwce – oddalonej od dębu o 11 kilometrów – przyszedł na świat Maksym Żeleźniak. Był jednym z przywódców koliszczyzny, krwawego powstania Kozaków i chłopów w 1768 roku. Bunt wymierzony był w szlachtę Rzeczypospolitej, duchowieństwo unickie i żydowskich dzierżawców. Źródła historyczne nie potwierdzają, czy Żeleźniak podczas walk bywał w Chłodnym Jarze. Jednak ludowe opowieści przypisują mu organizowanie narad dla oddziałów właśnie pod tym starym dębem.

Kluczową rolę w utrwaleniu tych związków odegrał Taras Szewczenko. W poemacie „Hajdamacy" umieścił scenę narady pod starym drzewem i jego literacki obraz na stałe złączył się z Chłodnym Jarem w ukraińskiej świadomości narodowej. W 1886 roku artysta i etnograf Opanas Slastion wykonał rycinę do poematu. Przedstawia ona hajdamaków zebranych pod rozłożystymi konarami. To ta ilustracja ukształtowała wizualne wyobrażenie miejsca, gdzie jakoby naradzali się uczestnicy koliszczyzny.

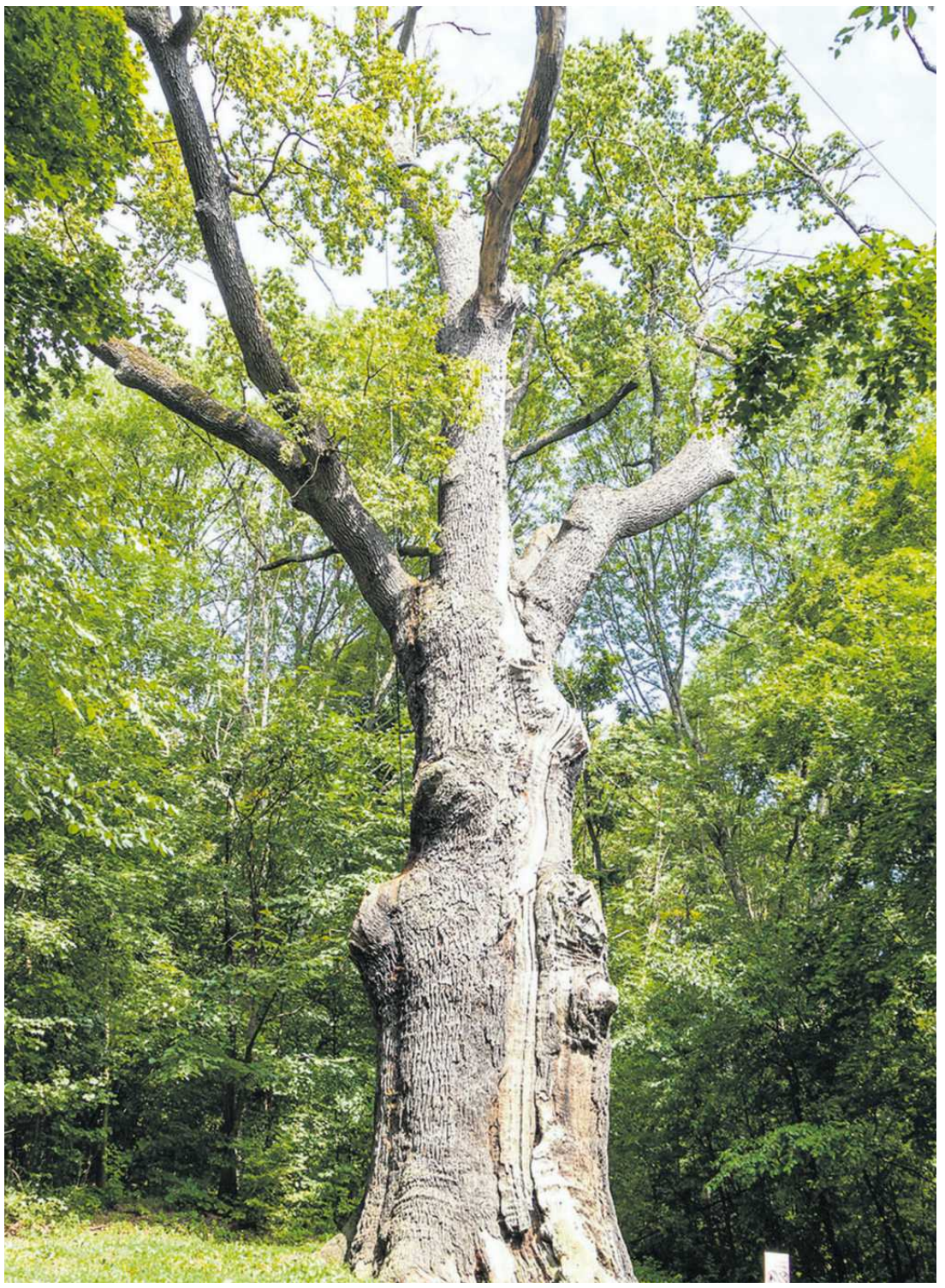

• **Dąb Maksyma Żeleźniaka, najstarsze drzewo Ukrainy, szacuje się, że ma około 1000-1100 lat, mierzy 30 metrów, a obwód pnia ma 8 metrów** FOT. SASHKO TKACHENKO / SHUTTERSTOCK

Można przeczytać, że cis „Henryk" „pamięta" nawet Chrzest Polski w 966. Badacze Paweł Zarzyński i Robert Tomusiak w „Roczniku Polskiego Towarzystwa Dendrologicznego" ustalili jednak, że ma około 1290 lat

RZEŹ HUMAŃSKA I SELEKTYWNA PAMIĘĆ

Kulminacyjnym momentem koliszczyzny była tak zwana rzeź humańska. Jędrzej Ki-

eprasa.pl 2b2d0f0434

SŁOJACH DRZEW

towicz w „Opisie obyczajów za panowania Augusta III” przedstawił obraz masakry, podczas której ofiarą padło ok. 20 tysięcy Polaków i Żydów. Współczesna historiografia skłania się ku niższym szacunkom, ale nie podważa faktu masowych mordów.

Samo to drzewo jest tu przykładem, jak historyczne miejsce staje się narodowym symbolem, często kosztem ścisłości faktograficznej. Ukraiński historyk Orest Subtelny z dystansem podchodził do mitologizacji takich miejsc i wskazywał, że opowieści o spotkaniach Kozaków pod starożytnymi dębami mają charakter bardziej romantyczny niż rzeczywisty.

Ta symbolika jest jednostronna i wpisuje się w szerszy mechanizm selektywnej pamięci, na który zwraca uwagę Stefan Chwin. W esejach podkreśla, że Polacy chętnie przywołują ukraińskie akty przemocy – od Chmielnickiego, przez rzeź humańską, po Wołyń – pomijając jednocześnie polskie represje wobec ludności ukraińskiej. Jak pisze w tekście „Polska pamięć – dzisiaj. Co pozostaje?”: „Słabo pamiętana – i w prawie żadnym stopniu niełączona w powszechnej świadomości z genezą rzezi wołyńskiej z lipca 1943 roku – jest dzisiaj pełna sprzeczności, trudna polityka ukraińska II Rzeczypospolitej: represyjne burzenie cerkwi prawosławnych na terenach zamieszkanych głównie przez ludność ukraińską (maj-lipiec 1938), aresztowania działaczy ukraińskich czy przeprowadzanie pacyfikacji”.

Ta asymetria sprawia, że dla ukraińskiej narracji historycznej symbole takie jak dąb w Chłodnym Jarze niosą przede wszystkim treści emancypacyjne – są znakiem oporu przeciwko systemowemu uciskowi, o którym polska pamięć zbiorowa milczy. Z kolei dla Polaków, którzy koncentrują się na ofiarach rzezi, dąb Maksyma Żeleźniaka może być co najwyżej niemym świadkiem mordu, a jego ukraińska gloryfikacja – aktem historycznego zakłamania.

REPUBLIKA CHŁODNEGO JARU

Na początku XX wieku Chłodny Jar znów stał się sceną zbrojnego oporu. W latach 1918-22, w okresie wojny domowej i walk o niepodległość Ukrainy, w okolicznych lasach działały oddziały partyzanckie walczące z nowymi okupantami – Niemcami, białogwardzistami i zwłaszcza bolszewikami. Centralnym punktem oporu był Motroniński Monaster, położony w sercu jaru, 5 kilometrów od dębu. To w jego murach planowano akcje, przechowywano broń i leczono rannych.

Z inicjatywy ihumena, przełożonego klasztoru, mieszkańcy pobliskiej wsi Melnyky utworzyli oddział samoobrony. Dowództwo objął Ołeksa Czuczupak, a wkrótce dołączyli jego bracia – Wasyl i Petro. Wasyl, nauczyciel z doświadczeniem w carskiej armii, okazał się utalentowanym organizatorem. W 1919 roku niewielka grupa przekształciła się w regularny pułk, a następnie w siłę zdolną kontrolować rozległy obszar. Republika Chłodnego Jaru – bo tak zaczęto nazywać terytorium wolne od bolszewickiej władzy – obejmowała ponad 25 wsi, a pod bronią mogła postawić nawet 15 tysięcy ludzi.

We wrześniu 1920 roku w Medwediwce, miejscowości kojarzonej z początkami koliszczyzny, zebrali się atamani. Na głównego dowódcę wybrano Kosti Błakytnego. Jurij Horlis-Horski, uczestnik tych wydarzeń i autor książki „Chłodny Jar” (1934), przytaczał słowa jednego z przywódców o przysiędze składanej pod dębem – drzewem mającym pamiętać bunty przodków. Nawet jeśli relacja ta ma charakter heroizujący, oddaje mechanizm, w jakim mit dawnego oporu służył legitymizacji ówczesnej walki.

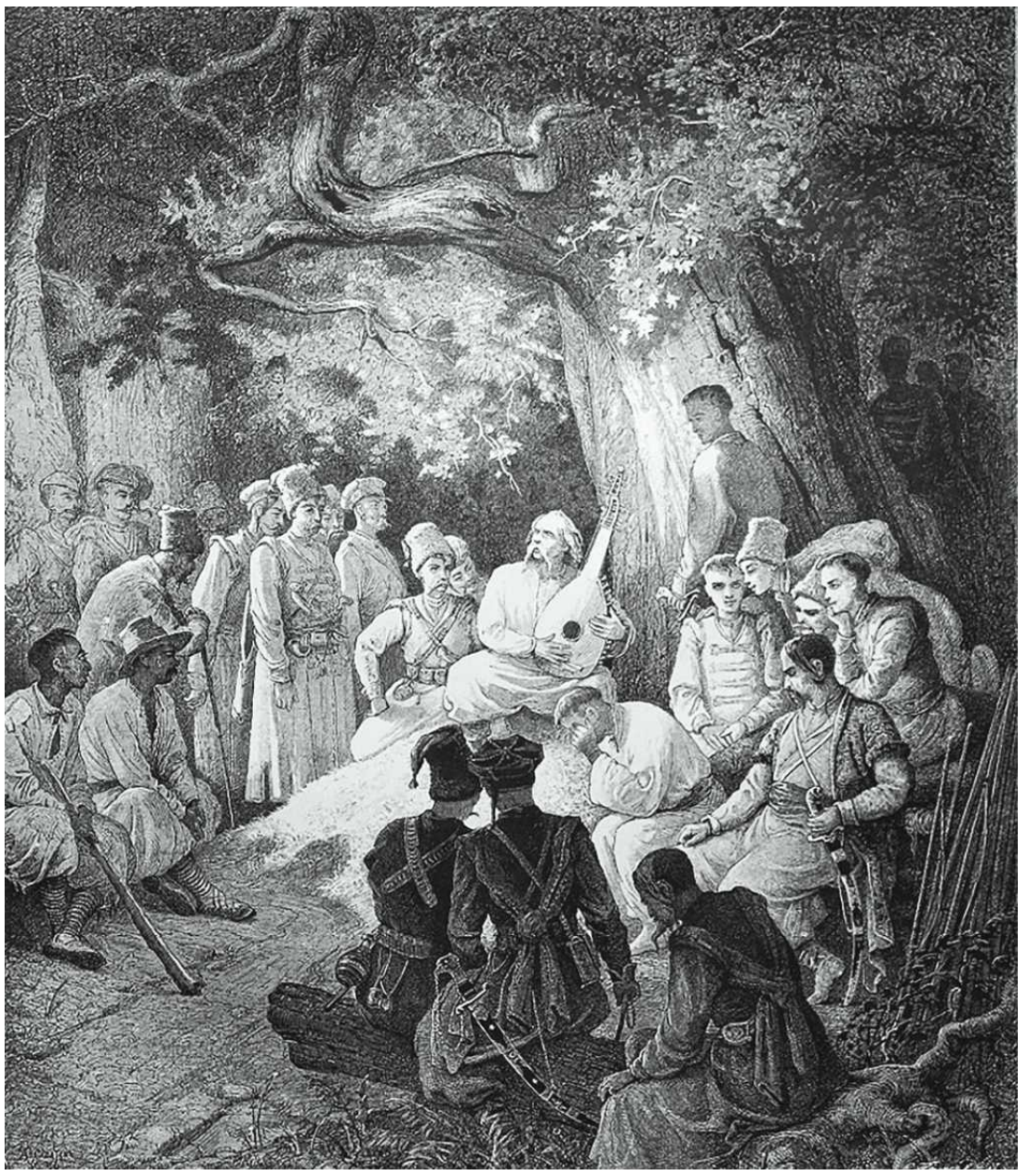

• **Hajdamacy pod dębem Maksyma Żeleźniaka, rycina Opanasa Slastiony z 1886 roku do poematu Tarasa Szewczenki „Hajdamacy”**
FOT. WIKIPEDIA

Republika upadła w 1922 roku, gdy funkcjonariusze Czeki podstępem schwytali przywódców. W lutym 1923 roku w kijowskim więzieniu na Łukjanówce skazani na śmierć powstańcy stawili zbrojny opór. Walka trwała cztery godziny, zginęło 38 więźniów i jeden funkcjonariusz.

TRANSFORMACJE SYMBOLU

W czasie drugiej wojny światowej symbolika dębu pojawiła się na insygniach UPA – jedna z grup nosiła nazwę „Chłodny Jar”, bezpośrednio nawiązując do tradycji powstańczej z lat 1918-22. Kultywowano pamięć i w grudniu 2013 roku, podczas protestów na kijowskim Euromajdanie, wśród demonstrantów znów pojawiła się flaga Republiki Chłodnego Jaru. Był to sygnał, że tradycja sprzed wieku wciąż rezonuje w społeczeństwie i może być przywoływana w nowych kontekstach politycznych.

W 2018 roku 93. Samodzielna Brygada Zmechanizowana Sił Zbrojnych Ukrainy otrzymała imię „Chłodny Jar”. Na jej sztandarze, obok skrzyżowanych noży hajdamackich, umieszczono wizerunek dębu. Dowódca jednostki mówił o „niezniszczalnej woli walki”, którą symbolizuje drzewo. Dziś kluczową rolę w kultywowaniu tego dziedzictwa odgrywa Historyczny Klub „Chłodny Jar” organizujący coroczne uroczystości ku czci bohaterów. Podczas tych spotkań dochodzi do symbolicznego przenikania się pokoleń – weterani UPA spotykają się z żołnierzami 93. Brygady i ochotnikami z Prawego Sektora.

Pod dębem, w czasie festiwalu „Nieskorena Nacija” (Niezłomny Naród), święcono broń żołnierzy i ochotników – od „Azowa” przez „Prawyj Sektor” po „Karpacką Sicz” – tak jak przed wiekami mieli to czynić hajdamacy. Związek z Prawym Sektorem jest szczególnie silny: wspólne walki z Rosjanami pod Karliwką i Pisky w 2014 roku zadecydowały o braterstwie broni, a wielu ochotników przeszło później do służby w 93. Brygadzie. W 2023 roku na Memoriale poległych w Chłodnym Jarze odsłonięto tablice ku czci żołnierzy, którzy zginęli w latach 2022-23, w tym ochotników Prawego Sektora. W nieoficjalnych komentarzach pojawiały się głosy, że symbol ten współtworzy także pamięć o walkach przeciwko Rzeczypospolitej, sięgających czasów koliszczyzny. Źródła oficjalne, jak teksty na portalu ArmyInform (armyinform.com.ua), podkreślają jednak współczesny kontekst: dąb jako symbol oporu przeciwko rosyjskiej agresji.

A sam dąb? Pod koniec XX wieku zaczął się wyraźnie starzeć i mimo zabiegów naukowych – opryskiwania przeciw szkodnikom, nawadniania, usuwania martwych konarów – chorował. W 2000 roku sięgnięto też po ludowe rozwiązania i zakopano pod nim kilka martwych krów jako naturalny nawóz. I drzewo do dziś, każdej wiosny, wciąż pokrywa się liśćmi.

CIS „HENRYK”

W Henrykowie Lubańskim na Dolnym Śląsku, nieopodal ściany wiejskiej stodoły, rośnie najstarsze drzewo w Polsce. To cis pospolity – wolno rosnące, długowieczne drzewo iglaste. Osiąga do 20 metrów wysokości, ale ten konkretny okaz ma 13, a obwód jego pnia wynosi dziś 4,25 metra. Wszystkie jego części, z wyjątkiem jaskrawoczerwonej osnówki otaczającej nasiono, są silnie trujące ze względu na zawartość alkaloidu toksyny, powodującej paraliż serca. W przeciwieństwie do większości drzew iglastych nie wytwarza żywicy – zamiast tego posiada inne substancje, w tym cenne związki przeciwnowotworowe, takie jak paklitaksel stosowany w chemioterapii.

W artykułach popularnonaukowych można przeczytać, że cis „pamięta” nawet Chrzest Polski w 966. Badacze Paweł Zarzyński i Robert Tomusiak w „Roczniku Polskiego Towarzystwa Dendrologicznego” ustalili jednak, że ma około 1290 lat. Ocena opiera się na metodzie Cezarego Pacyniaka z 1967 roku, który używał specjalnego świdra do pobrania próbek. Proces dekompozycji pnia i jego nietypowy, skręcony kształt komplikują jednak precyzyjny pomiar, uniemożliwiając dokładne zliczenie słojów.

Przyjęło się nazywać drzewo Cisem Henrykowskim lub cisem „Henrykiem”. Imię pochodzi od legendy związanej z Henrykiem Pobożnym. Według tradycji podczas najazdu mongolskiego w 1241 roku książę miał się schronić właśnie pod tym drzewem. Historycy nie potwierdzają tej opowieści – Jan Długosz w „Rocznikach” opisuje samą bitwę i śmierć księcia, ale nie lokalizuje tego wydarzenia pod konkretnym drzewem. Historyczne przekazy wskazują jednak, że drzewo od wieków było utożsamiane z ważnym, obarczonym szczególnym znaczeniem miejscem. W XIX wieku mieszkańcy wsi gromadzili się pod nim podczas świąt kościelnych i targów, a w okresie powojennym stało się punktem odniesienia dla przesiedleńców, którzy organizowali pod nim nieformalne spotkania.

Przed wojną drzewo nosiło niemiecką nazwę Eibe von Hennersdorf, czyli „Cis z Hennersdorf”. Sama wieś do 1815 roku nazywała się Katholisch Hennersdorf (Katolicki Hennersdorf). Dodatek „Katholisch” służył do odróżnienia jej od pobliskiej osady Evangelisch Hennersdorf (Ewangelicki Hennersdorf), co podkreślało wyznaniowy podział regionu po reformacji w XVI wieku. Nadanie drzewu po wojnie imienia „Henryk” pozornie nic nie zmieniało, bo Hennersdorf to „wieś Henryka”. Jednak pasowało do nowej narracji na ziemiach odzyskanych, gdzie po 1945 roku repolonizowano nazwy miast i wsi. W przypadku drzewa wystarczyło zaś przetłumaczyć istniejące imię,

eprasa.pl 2b2d0f0434

co można było odczytywać jako dowód słowiańskości nie tylko tych terenów, ale i samego cisa.

JAGIEŁŁO, OBROŃCA PRZYRODY

Wokół cisa przez wieki dokonywało się wiele takich geopolitycznych zmian. W VII-IX wieku ziemie te zamieszkiwały słowiańskie plemiona, takie jak Ślężanie czy Opolanie. W X wieku Śląsk znajdował się przejściowo pod panowaniem czeskim, a około 990 roku został przyłączony do państwa Piastów. Dopiero w XIV wieku, w wyniku osłabienia związków z Polską, książęta śląscy zaczęli składać hołdy lenne królom Czech – proces ten przypieczętował układ w Trenczynie w 1335 roku.

Drzewo rosło wtedy formalnie pod praską jurysdykcją, choć lokalną władzę wciąż sprawowali piastowscy książęta, stopniowo uzależniający się od Pragi. Potem Korona Czeska pod berłem Habsburgów (od 1526) włączyła teren w skład szerszego imperium. Proces kolonizacji i germanizacji, zwłaszcza po przejęciu Śląska przez Prusy w 1742, zaczął zmieniać kulturowy krajobraz – język niemiecki wprowadzono wówczas do urzędów i szkół.

Blisko cisa, w nieodległym Lubaniu – 7 kilometrów w linii prostej, od 1320 roku istniał klasztor sióstr Magdalenek od Pokuty, założony przez księcia Henryka Jaworskiego. Służył początkowo jako ośrodek pokuty dla kobiet, z czasem stał się centrum życia duchowego regionu. Mniszki zajmowały się edukacją i opieką nad ubogimi, propagowały kult Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych. W XV wieku przy klasztorze działały bractwa religijne. I wokół drzewa mogły przechodzić procesje i pielgrzymki zmierzające właśnie do Lubania, do mniszek.

Same cisy były chronione już od 1423 roku Statutem Warckim Władysława Jagiełły, który zakazywał ich wycinania w Królestwie Polskim (prawo obowiązywało głównie w Wielkopolsce i Małopolsce). Król zapisał wtedy: „Jeśliby kto wszedłszy w las, drzewa, które znajdują się być wielkiej ceny, jako jest cis albo im podobne, porąbał, ten może być przez pana albo dziedzica pojman". Powodem była wartość drewna cisowego, używanego do produkcji łuków i kusz – to jeden z najwcześniejszych przykładów ochrony przyrody w Polsce motywowany względami militarnymi i gospodarczymi.

Śląsk w tym czasie był już lennem Korony Czeskiej, więc Statut nie obejmował bezpośrednio tych ziem. Nie wiemy, czy podobne regulacje ochronne obowiązywały wówczas w Czechach, choć cisy były cenne militarnie w całej Europie Środkowej, a na Śląsku mogły obowiązywać lokalne zarządzenia książęce lub przywileje klasztorne chroniące drzewa.

W XVIII wieku, po wojnach śląskich toczonych przez Fryderyka Wielkiego, cis „Henryk" znalazł się w granicach Królestwa Prus. Od XIX wieku Cesarstwo Niemieckie zaczęło go chronić jako pomnik przyrody. Theodor Schube, śląski przyrodnik i autor „Waldbuch von Schlesien" („Księgi lasów śląska", 1906), opisał cisa z Hennersdorf jako okaz godny ochrony, ale uznał, że liczy zaledwie 400-500 lat. Do publikacji dołączył fotografię drzewa stojącego przy wiejskiej stodole, reprodukowaną z pocztówki. Z kronik wiadomo, że w okolicy mieszkały wówczas rodziny niemieckich rolników, takie jak Reiche czy Pohl, znane z inskrypcji na dawnych nagrobkach w regionie, które dbały o drzewo jako lokalny symbol.

KRZEPKI STARZEC DAJE RADĘ

Cis w swojej długiej historii doświadczył wielu zniszczeń. W 1813 roku jego pień siekli szablami Kozacy stacjonujący we wsi podczas wojen napoleońskich. Zachowały się lokalne przekazy, że uszkodzili drzewo „dość poważnie". W 1945 roku, jeszcze w czasie wojny, pocisk artyleryjski wypalił część jego pnia – według relacji był to ostrzał sowieckiej artylerii podczas walk o Dolny Śląsk. W 1989 roku huragan wyłamał jedną z odnóg, a obwód pnia zmniejszył się z 5 do 4,25 metra.

• Mierzący w obwodzie 4,25 metra pień cisa „Henryka" z Henrykowa Lubańskiego
FOT. GERARD/REPORTER

Od 1945 roku drzewo znajduje się w Polsce. W tym samym czasie na Dolny Śląsk zaczęli masowo trafiać przesiedleńcy z Kresów – z Wołynia, Podola i Tarnopolskiego. Wśród nich także Ukraińcy przesiedleni w ramach Akcji „Wisła". Ta mieszanka narodowościowa komplikowała proces integracji, w którym nowi mieszkańcy musieli skonfrontować się z obcym krajobrazem, poniemieckimi domami i nową przyrodą.

W ostatnich latach cis zaczął usychać. Przyczyną były upały, susze i nornice obgryzające korzenie. W kręgach dendrologicznych na Dolnym Śląsku podjęto walkę o jego życie. Ogrodzono większy teren wokół drzewa, zabezpieczono korzenie siatkami przeciw gryzoniom, zastosowano specjalne podłoże i systemy nawadniające. Wokół pnia postawiono rusztowanie chroniące przed wiatrami i mrozem. W 2020 roku drzewo wypuściło nowe pędy i igły, co świadczy o skuteczności zabiegów i niezwykłej sile witalnej tego starca. Jego walka o przetrwanie stała się symbolem – tak jak ludzie musieli odnaleźć się w nowej rzeczywistości po wojnie, tak drzewo musiało zmierzyć się z nowymi warunkami.

Od 2005 roku przez Henryków Lubański przebiega Dolnośląska Droga św. Jakuba – fragment szlaku Camino de Santiago, łączący Głogów ze Zgorzelcem i dalej z Pragą. Pielgrzymi zatrzymują się pod cisem, który w ten sposób znów stał się punktem refleksji religijnej i kulturowej, łącząc dawną katolicką tożsamość wsi z europejską tradycją starej i nowej peregrynacji.

HENRYK CZY HENRYKA?

Jest jeszcze jeden intrygujący wątek – płeć. Cis pospolity jest rośliną dwupienną, co oznacza, że występują oddzielne osobniki męskie – produkujące pyłek i żeńskie – produkujące nasiona z czerwonymi osnówkami. Zdarza się jednak, że pod wpływem suszy, chorób i zwłaszcza starzenia osobnik męski zaczyna produkować nasiona i zmienia płeć na żeńską. Bywa również, że zmiana dotyczy tylko części korony – pojedynczych konarów lub odgałęzień. U najstarszych cisów w Europie, na przykład u słynnego cisa z Fortingall w Szkocji, zaobserwowano to zjawisko. W przypadku cisa z Henrykowa Lubańskiego nie ma potwierdzonych badań wskazujących, że przeszedł taki proces. Biologiczny potencjał takiej przemiany jednak w nim istnieje – jak w każdym sędziwym cisie.

Prof. Wojciech Browarny z Uniwersytetu Wrocławskiego w artykule o bliznach pamięci w biografiach drzew pomnikowych pisze, że każde drzewo podlega zmianom biologicznym i wpływom zewnętrznym, ale przechodzi także operacje semantyczne – nadawanie nazw, reprezentowanie, wartościowanie. Nazywa to dendrohistorią. Z perspektywy cisa krajobraz wokół niego wielokrotnie zmieniał właścicieli, ale on sam trwa, kumulując w sobie warstwy pamięci i znaczeń. Jest jak palimpsest – średniowieczna księga, z której zdrapywano stare teksty, by zapisać nowe, a pod spodem wciąż pozostawały ślady tego, co było.

NACJONALIZM NIE PRZEJDZIE

I tak oto stajemy pod dwoma najstarszymi świadkami tej części Europy. Dąb w Chłodnym Jarze – pomnik przyrody, który Ukraińcy uczynili sztandarem walki, a dla Polaków może być miejscem traumy. Oraz cis w Henrykowie Lubańskim – świadek tysiąca lat zmian, który dziś usycha, jakby chciał powiedzieć, że nawet najpotężniejsze drzewa nie są wieczne, a co dopiero ludzkie państwa.

Cis mówi o Polsce coś, co może zaboleć. Mówi, że ta ziemia, na której dziś wyrasta polska tożsamość, przez wieki była niemiecka, czeska, pruska, słowiańska. Mówi, że Polska przyszła tu późno – z przesiedleńcami z Kresów, z Ukraińcami rozsianymi po nowej ojczyźnie, z traumą Wołynia w bagażu. Że tożsamość narodowa nie jest czymś danym raz na zawsze, ale czymś, co się negocjuje – z naturą, z historią, z sąsiadami.

Cis – o zgrozo dla wyznawców niezmiennych ról – bywa też biologicznie niejednoznaczny, jakby podważał sens naszych sztywnych podziałów. Skoro natura dopuszcza przemianę, dlaczego my tak kurczowo trzymamy się dawnych urazów? A może to cicha ironia wobec polskich turbopatriotów?

Dąb z kolei mówi o Ukrainie coś równie niewygodnego. Mówi, że walka o wolność bywa bardzo krwawa i że jej symbole niosą brzemię win sprzed wieków. Że dąb, który dziś zdobi sztandar brygady walczącej z Rosją, dla Polaków wciąż może być znakiem rzezi humańskiej, a także wołyńskiej. Że historia nie jest czarno-biała, a drzewa – w przeciwieństwie do ludzi – nie muszą wybierać stron.

A jednocześnie w słojach obu drzew zapisany jest czas, gdy jednym z niewielu wspólnych mianowników była rosyjska przemoc – carskie represje, sowieckie deportacje, imperialna dominacja.

Te dwa drzewa łączy coś jeszcze: są wciąż żywymi znakami dla człowieka. Bo one same nie pamiętają. To my, ludzie, wkładamy w nie nasze lęki i nadzieje i je interpretujemy. Jedno jest tylko pewne – historia oglądana z perspektywy tych drzew jest bardziej niejednoznaczna, niż uważają polityczni radykałowie. ●

1 RP

eprasa.pl 2b2d0f0434

Antypolityka historyczna

Gest miłosierdzia

Pamiętacie słynny obraz „Poddanie Bredy”? Velázquez zamiast wojennego tryumfu ukazuje na nim coś zupełnie innego.

Janowski

Sztuka chrześcijańska wczesnego średniowiecza miała problem z ukazaniem zmartwychwstania Jezusa. Ten centralny element chrześcijaństwa („Jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremna jest wasza wiara”, pisze św. Paweł w 1. Liście do Koryntian) wydawał się zbyt metafizyczny, aby mógł być pokazany dosłownie. Jak można przedstawić nieprzedstawialne? Uznano, iż największa tajemnica wiary powinna pozostać niewidoczna, a najlepszą formą symbolicznego wyrażenia misterium Świąt Wielkanocnych będzie zstąpienie Chrystusa do otchłani (które miało miejsce między śmiercią na krzyżu a zmartwychwstaniem, to znaczy w Wielką Sobotę).

W sztuce bizantyjskiej zejście do otchłani jako najważniejsza forma obrazowania tajemnicy Wielkanocy zachowało się aż do końca średniowiecza, kiedy w sztuce zachodniej dominowały już obrazy samego zmartwychwstania. Ikona zstąpienia do otchłani nazywa się po grecku Anastasis – zmartwychwstanie, aby nie było wątpliwości, jakie jest jej prawdziwe znaczenie.

Najdawniejsze zachowane przedstawienia zejścia do otchłani pochodzą z Rzymu z VII wieku, ale sama forma pochodzi z Bizancjum: oto Chrystus zbliża się do rozwalonych bram piekła, depce nogami ich połamane deski i pęknięte kłódki. Uwalnia z otchłani oczekujących go prarodziców Adama i Ewę, patriarchę Abrahama, królów Salomona i Dawida oraz inne postacie Starego Testamentu. Czasem Chrystus przedstawiony jest frontalnie, prawą ręką wyciąga z otchłani Adama, lewą – Ewę, częściej jednak zwrócony jest bokiem i pochyla się ku ludziom, których wyprowadza na wolność.

Jesteśmy w Bizancjum, a raczej w średniowiecznym Cesarstwie Rzymskim, które jest przecież – nikt nie ma co do tego wątpliwości – nadal trwającym dawnym Rzymem (Bizantyjczycy wprawdzie używają greki, nie łaciny, ale po grecku piszą o sobie zawsze „Romaioi” – Rzymianie). Nie dziwi więc, że przedstawienie tryumfu Chrystusa nad śmiercią i piekłem zostało zapożyczone z przedstawień tryumfu cesarza rzymskiego. Powtarza się w nich bowiem motyw cesarza, który pochyla się ku jakiejś postaci, okazuje jej miłosierdzie; często na ilustracjach wjazdu do miasta władca był wyobrażany koło bram miejskich. Te motywy zostały wykorzystane przez twórców ikon. Tryumf cesarza rzymskiego stał się tryumfem Chrystusa.

Jednym z najbardziej poruszających europejskich dzieł malarskich jest dla mnie (choć do niedawna znałem tylko reprodukcje) Velázqueza „Poddanie Bredy”. Velázquez, zamiast ukazać wojenny tryumf niezwyciężonej armii hiszpańskich Habsburgów, ukazuje coś zupełnie innego. Komendant poddającej się fortecy Justyn van Nassau w głębokim ukłonie przekazuje dowodzącemu armią hiszpańską Ambrosio Spinoli klucze do bram twierdzy. Spinola zaś, lekko pochylony ku pokonanemu przeciwnikowi, ujmuje go prawą ręką za ramię, wyrażając szacunek wobec męstwa adwersarza.

Obaj są bez nakryć głowy, kapelusze trzymają w rękach, co wzmacnia wrażenie, że mamy tu scenę przyjaźni i szacunku, a nie wojennego tryumfu.

Ten gest życzliwości i szacunku wobec słabszego, pochylenie się i objęcie, nie jest wynalazkiem Velázqueza. Jan Białostocki podkreślał, że jest on zapożyczony z ryciny przedstawiającej biblijną scenę spotkania patriarchy Abrahama z kapłanem Melchizedekiem, a także – co może ważniejsze – „że przypomina wręcz scenę powrotu syna marnotrawnego” z Ewangelii. Spinola, jak ojciec z przypowieści, przyjmuje Nassaua jak syna (choć naprawdę był od niego młodszy), nie jak wroga. I oto ktoś z historyków sztuki (chyba niemiecki bizantynista Philipp Schweinfurth, ale głowy nie dam) postawił tezę, że gest ten to właśnie zapożyczony z malarstwa bizantyjskiego gest Chrystusa uwalniającego z otchłani. Mielibyśmy więc następujący szlak wędrówki pewnej idei plastycznej: od starożytnego pogańskiego Rzymu do Bizancjum, gdzie gest staje się częścią ikony przedstawiającej najważniejszą chrześcijańską tajemnicę, zmartwychwstanie Chrystusa – i pod koniec średniowiecza ten motyw przechodzi z powrotem na Zachód, gdzie wyraża treści zarówno religijne (syn marnotrawny), jak i świeckie (poddanie Bredy). Wspólną myślą jest miłosierdzie – cesarza wobec poddanych, Chrystusa wobec patriarchów w otchłani, ojca wobec syna marnotrawnego, zwycięzcy wobec pokonanego przeciwnika.

Wesołych świąt! ●

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

Jasne strony dziejów

Prezydent w końcu podpisał...

Bywały w kraju momenty, gdy politycy zwaśnionych obozów potrafili współpracować. Niestety, najczęściej były to kryzysy i katastrofy.

Brzeziecki

W roku 1990 Polska walczyła z gospodarczym kryzysem i zrzucała z siebie zależność od obcego mocarstwa. Ludzie dawnego systemu przyparci do muru godzili się na zmiany – zwłaszcza tam, gdzie ich wcześniejsze pomysły okazały się fatalne. Reformatorski wysiłek sejmu kontraktowego nie przekreślał jednak podziałów. Krzysztof Kozłowski, solidarnościowy szef MSW, ściągnął do resortu grupkę młodych ludzi – niedawnych opozycjonistów. Aby mogli zająć kierownicze stanowiska, musieli zostać oficerami. Prawo mianowania na pierwszy stopień oficerski przysługuje prezydentowi RP. Kozłowski poszedł do Wojciech Jaruzelskiego z listą ponad 20 nazwisk. W rządzie Tadeusza Mazowieckiego znaleźli się ludzie, których wcześniej Jaruzelski kazał internować albo więzić. Obie strony miały powody, by sobie nie ufać.

Prezydent zapytał, czy ludzie na liście mieli kiedykolwiek na sobie mundur. Kozłowski odparł, że wręcz przeciwnie – robili wszystko, by nie mieć z nim nic wspólnego. Część przecież działała w ruchu Wolność i Pokój i w PRL unikała służby. Jaruzelski się wzburzył: tak nie wolno, to wbrew wojskowemu porządkowi i tradycji. On, który w mundurze spędził całe życie, nie może podpisać tych nominacji.

Po godzinie rozmowy Kozłowski jednak przekonał prezydenta, że z samymi tylko oficerami ze starego układu sobie nie poradzi.

Nie były to jedyne podpisy, które prezydent składał wbrew sobie. Podobnie było z reformą samorządu, która wymagała likwidacji rad narodowych, czyli tysięcy stanowisk w kraju. Prezydent czuł się za tych ludzi odpowiedzialny, byli jego klientelą polityczną. Ale w końcu ustąpił.

Pół wieku wcześniej, jesienią 1939 roku Polska zniknęła z mapy. Nie zniknęły jednak targające nią spory polityczne. Będący za sanacji w opozycji i paskudnie przez nią traktowany generał Władysław Sikorski, który za wolą Francuzów, stanął na czele rządu i polskiego wojska, miał wszelkie dane, by się mścić na sanacyjnych elitach. Namawiało go do tego jego otoczenie – zwłaszcza minister spraw wewnętrznych Stanisław Kot. Sikorski się nie patyczkował – część oponentów osadził potem w obozie koncentracyjnym na wyspie Bute (zwanej Wyspą Węży). Internowanie w momencie narodowej katastrofy ponad tysiąca ludzi było marnotrawstwem, choć z drugiej strony poziom intryg był tak wielki, że aż Brytyjczycy łapali się za głowę i trzeba było to jakoś przeciąć.

Sikorski mimo planów czystek i weryfikacji dał jednak zielone światło sanacyjnym oficerom z Oddziału II. Wiedział, że bez dobrego wywiadu sobie nie poradzi. Także sojusznicy w Paryżu i Londynie dawali do zrozumienia, że chcą współpracować z „dwójkarzami”, takimi jak ppłk Stanisław Gano czy mjr Jan Henryk Żychoń. I to oni zbudowali wywiad, który odnosił niebywałe sukcesy. Także skłócony z Sikorskim pułkownik Stefan Mayer został przezeń mianowany przełożonym szkoły wywiadu, z której wywodzili się potem „cichociemni”.

Były wiceszef ABW Jacek Mąka mówił niedawno w „Gazecie Wyborczej”, że gdy w latach 90. zostawał oficerem, nie miało dla niego znaczenia, kto podpisze patent – prezydent Lech Wałęsa czy prezydent Aleksander Kwaśniewski. „A teraz panuje duopol” – konstatuje smutno Mąka.

Gdy Kozłowski szedł do Jaruzelskiego i Żychoń do Sikorskiego, mimo wszystko trafili na ludzi gotowych słuchać. Ale sami potrafili też przekonywać. Szukali punktów stycznych, nie chcieli zastawiać pułapek na człowieka po drugiej stronie stołu, nikogo zmiażdżyć i zaorać.

Z obu stron współpraca wymagała przezwyciężenia nieufności i przekraczania kredowych kół. Taki Żychoń, choć robił karierę za sanacji, po klęsce wrześniowej uznał, że teraz Sikorski jest sternikiem sprawy polskiej. A może w ogóle aż tak bardzo polityką nie zaprzątał sobie głowy? Chciał służyć Polsce. Nie był symetrystą, ale duopol miał w...

Miał gdzieś. ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta

eprasa.pl 2b2d0f0434

weekend ówka

MARCHEWKOWE POLE

Na dziko rośnie w różnych odmianach, człowiek uprawia ją od lat mniej więcej tysiąca. Te najstarsze hodowane ludzką ręką marchewki pojawiły się w Azji Środkowej, na terenach dzisiejszego Afganistanu. Nie była jednak wcale pomarańczowa, a żółtawa i fioletowa, a zamiast korzenia wykorzystywano głównie aromatyczne liście i nasiona, które wykorzystywano m.in. jako lek czy przyprawa. Zresztą korzenie tamtej marchwi aż takie przepyszne nie były.

Dopiero później dostrzeżono zalety korzenia, zaczęto szukać tych dorodniejszych, miększych i smaczniejszych, ale wciąż to nie było to. Aż do chwili, gdy do roboty wzięli się rolnicy i hodowcy z Niderlandów. W XVII wieku zaczęli selekcjonować odmiany marchwi o słodszym, łagodniejszym smaku i przyjemniejszej, mniej włóknistej strukturze. I to właśnie niderlandzcy ogrodnicy, krzyżując różne odmiany, wyhodowali w końcu marchewkę pomarańczową. Legenda głosi, że specjalnie, na cześć Wilhelma I Orańskiego i dynastii Oranje-Nassau, ale to tylko plotka. Prawda jest taka, że uzyskana przez Holendrów pomarańczowa marchewka, bogata w beta-karoten była po prostu smaczniejsza, a nie patriotyczna. Można jednak stwierdzić, że zdolni ogrodnicy przyczynili się do promocji Holandii na świecie, bowiem większe spożycie beta-karotenu przyciemnia skórę nadając jej bardziej pomarańczowy czy brzoskwiniowy odcień. Tym bardziej paradoksalnym jest przy tym fakt, że jedyne muzeum marchewki na świecie znajduje się w... Belgii, w miejscowości Berlotte, a prowadzą je marchewkowi fanatycy ze stowarzyszenia miłośników tego warzywa. Jeśli jednak komuś do Belgii nie po drodze, bo np. dziś nie wtorek, może odwiedzić Światowe Muzeum Marchewki (World Carrot Museum), wirtualną placówkę poświęcone temu przysmakowi.

Fani marchewki ze Szwecji ustanowili za to, w 2003 roku, Międzynarodowy Dzień Marchewki, by promować wszelkie zalety spożywania warzywa. Święto przypada 4 kwietnia. Nie namawiamy może do uczczenia tego dnia na sposób Christophera Qualleya, ogrodnika-amatora ze stanu Minnesota, który w 2017 roku wyhodował marchew ważącą 10,17kg (to rekord świata), ale rozwiązanie naszej specjalnej „Weekendówki" w kolorze pomarańczowym również jak najbardziej będzie odpowiednią celebracją. Smacznego! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

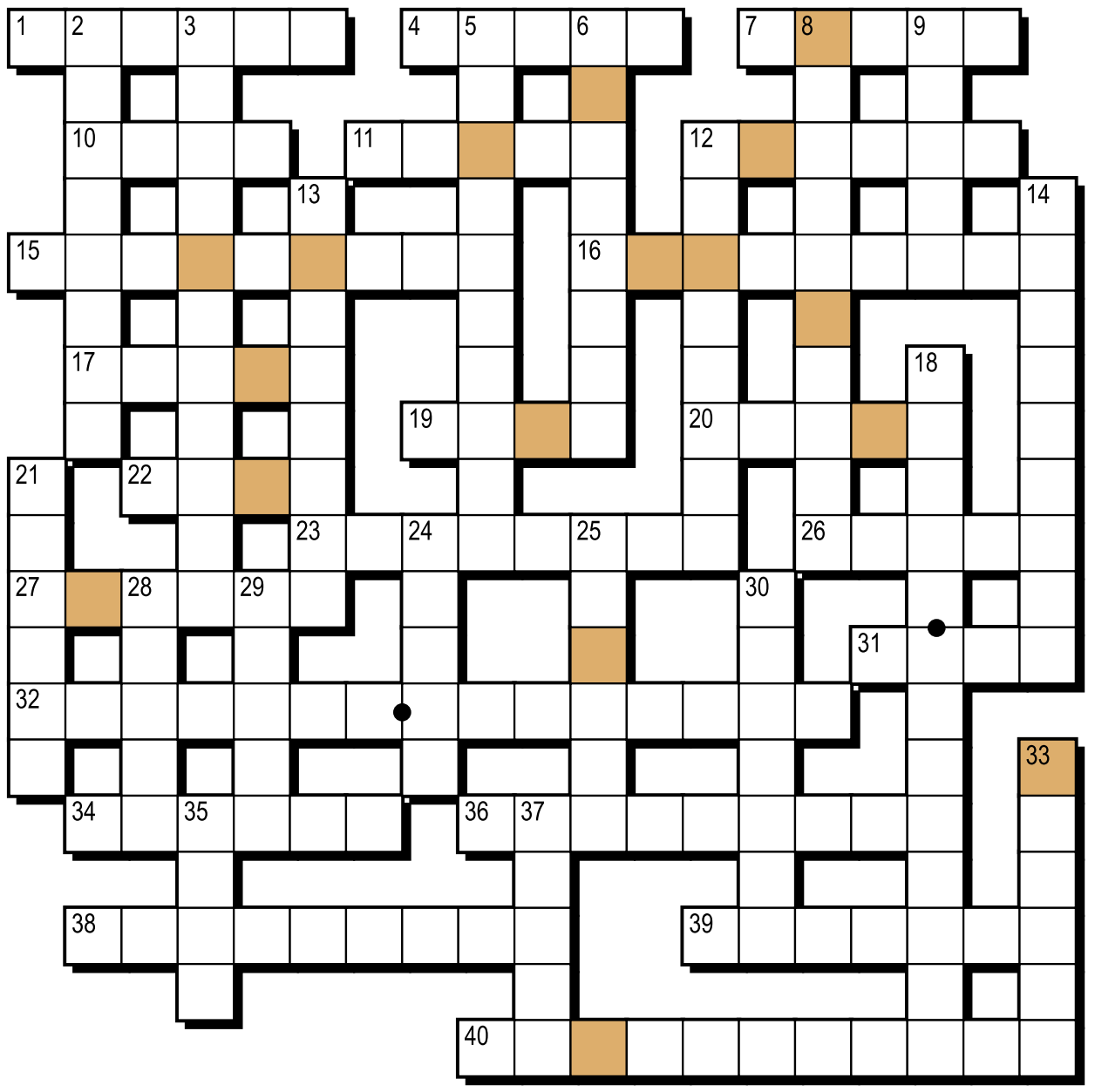

POMARAŃCZOWA
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
1) roślina taka jak glistnik jaskółcze ziele (wydziela żółtopomarańczowy sok)
4) „Miłość do trzech pomarańczy" Prokofiewa
7) 10 poziomo
10) Tim, zagrał Pana Pomarańczowego w filmie „Wściekłe psy"
11) Pomarańczowy ... Rowerowy Doliny Baryczy
12) detektyw, który rozwiązał zagadkę pięciu pestek pomarańczy
15) Aleksander, namalował „Żydówkę z pomarańczami"
16) ... komórkowa, branża, w której działa firma Orange
17) barwa pomarańczowa
19) ... T-34 „Pobór opłaty elektronicznej" (z pomarańczowym tłem)
20) roślina warzywna o dużych pomarańczowych owocach
22) piosenka „Razem jest nas wielu" – ... pomarańczowej rewolucji na Ukrainie
23) kraj, w którym działali oranżyści (z pomarańczowym pasem na fladze)
26) ... Orange, toksyczny związek chemiczny z czasów wojny w Wietnamie
27) sztuka walki, w której można zdobyć pomarańczowy pas
31) część ciała Garfielda – pomarańczowego kocura z komiksów
32) harcmistrz z AK, używał m.in. pseudonimów Zośka, Kotwicki, Lech Pomarańczowy
34) np. Golec uOrkiestra („Pomarańcza")
36) potocznie o osobie z pomarańczowordzawymi włosami
38) mieszkanki kraju, w którym toczy się akcja powieści 2 pionowo
39) pomarańcze, podobnie jak cytryny i grejpfruty
40) potocznie o mieszkańcach miasta kojarzonego z 3 pionowo

Pionowo:
2) Kathryn, autorka powieści „Tysiąc drzewek pomarańczowych"
3) Pomarańczowa ..., antykomunistyczny ruch z lat 80. kojarzący się z krasnalami
5) ogród zimowy, czyli oranżeria
6) krzew ozdobny o pomarańczowych owocach (ze słówkiem „kit")
8) stan USA z miastem Orange
9) Frank, nagrał płytę „Channel Orange" (jak duży akwen)
12) kraj, w którym trzymają kciuki za Pomarańczowych
13) niezbędne, by ze skórki pomarańczy uzyskać 21 pionowo
14) część Nowego Jorku – miasta z pomarańczowym pasem na fladze
18) zaśpiewał piosenkę „Pomarańcze i mandarynki"
21) skórka cytrusa poddana 13 pionowo w cukrze
24) pikantna potrawa, zwykle o pomarańczowoczerwonym zabarwieniu
25) imię 29 pionowo
28) mleczaje ... (pomarańczowe)
29) prezydent USA, którego twarz w karykaturach jest często przedstawiana jako pomarańczowa
30) trunki takie jak curaçao i cointreau (pomarańczowe)
33) dzieżki pomarańczowe albo kurki
35) cumberland i szodon (oba z pomarańczami w składzie)
37) więźniów w USA – często pomarańczowy

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 198 z 28.03:
Poziomo: 1) wrzeciona 9) Rzędzian 10) Hajduczek 11) pchły moje 12) synkowie 14) ryby 15) twierdza 16) ogon 18) Ketling 19) pomysłowość 22) czarownica 25) Tatar 29) zamek 31) panna 32) Laszki 33) odwaga 35) koń 36) Czapliński 37) Babinicz 38) Bilewski 39) Zagłoba. **Pionowo:** 1) Wodokty 2) zachwyt 3) Czeremis 4) archaizmy 5) język 6) Szkot 7) waleczność 8) mały rycerz 11) patriota 13) Soroka 17) wino 20) szabla 21) Kiemlicze 23) Radziwiłł 24) wdzięki 26) znaki 27) kaźń 28) Barbara 30) Kozak 31) państwo 34) wilki. **Hasło: ROCH KOWALSKI, PANI KOWALSKA**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34414082

CODZIENNIE w Wyborczej
Krzyżówka
Sudoku
Zakreślanka
Skojarzenia

Rusz głową!
Nie nudź się w domu!

2 RP

eprasa.pl 2b2d0f0434

wysokieobcasy.pl

wysokieobcasy

wyborcza

TRENDY 2026

20 / MODA
Czy piękno jest skończone?

28 / URODA
Wichrowe chmury

MAGDA LAMPARSKA

Dziewczyny, *odpuszczajmy* sobie

– rozmowa Sandry Zakrzewskiej

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 14 (1385) SOBOTA – CZWARTEK, 4-9 KWIETNIA 2026

eprasa.pl 2b2d0f0434

Usiądziesz dziś?

MONIKA TUTAK-GOLL

Statystyczna polska kobieta zrobi w dziś ok. 14 tys. kroków. Na obowiązki domowe nie poświęci już 30-40 proc. dnia, ale nawet 70 proc. To już nie będą cztery godziny, ale w niektórych domach nawet osiem czy dziewięć godzin niewidzialnej pracy.

Statystyczna polska kobieta zepnie się, zmobilizuje, wstanie z samego rana, kiedy reszta domowników jeszcze smacznie śpi, bo chce zrobić to wszystko, co sobie zaplanowała. Chce zdążyć. A ma co robić, będzie tego trochę.

Bo trzeba umyć okna. Ogarnąć zakupy. Wynieść śmieci, a od niedawna – także butelki za kaucją do butelkomatu, żeby nie walały się po domu.

Bo trzeba wysprzątać mieszkanie, zmienić pościel. Bo dobrze zrobić sernik, sałatkę, uporać się z praniem przed świętami, wykąpać psa, wypolerować podłogę. Zetrzeć kurz, podlać kwiaty, ułożyć dziecku w szafie. Poprasować. Pobiec po zakupy, znowu, bo zabrakło jajek. Zagonić rodzinę do mycia łazienki. Spakować się, w poniedziałek rano jedziecie do rodziny.

Statystyczna polska kobieta w ten weekend nie usiądzie z książką. I pomimo tego, że wydłużył się czas, który mężczyźni poświęcają dzieciom – o jakieś 20 minut dziennie – dla kobiet to nie jest moment na odpoczynek. Tych 20 minut poświęcą nie na siebie, ale na dodatkowe obowiązki.

„Wyszedł z synem na placyk, to szybko uprzątnę ze stołu". Która z nas tego nie zna? Stoją za nami twarde dane.

– Nie musisz być taka wyprostowana, spięta, działać na siedmiu etatach, bo to jest po prostu niemożliwe. Nie nakładajmy na siebie takiej presji – mówi Magda Lamparska, aktorka, nasza okładkowa bohaterka. I dorzuca: „Dziewczyny, odpuszczajmy sobie same". I nie chodzi o to, by nie robić nic. Chodzi o to, by nie brać na siebie zbyt wiele.

Jestem z pokolenia kobiet, którym wmówiono, że wielozadaniowość jest zaletą. Uwierzyłyśmy, że multitasking to niezwykła umiejętność, nasza siła, przewaga matek. A może czas powiedzieć wielozadaniowości „stop"? Bo robienie więcej niż jednej rzeczy naraz może być wykańczające? Może wielozadaniowość to nic innego niż kulturowa presja? Fałszywa motywacja, która ma napędzać nas do jeszcze większej pracy i wydajności.

Słowa Lamparskiej biorę dziś do serca. Mówi także do mnie, bo statystyczna Polka to przecież ja. ▲

Monika Tutak-Goll – dziennikarka, redaktorka naczelna „Wysokich Obcasów" i „Wysokich Obcasów Extra"

JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA"

- **TEMAT NUMERU:** Piersi w Polsce
- **NA OKŁADCE:** Anja Rubik: Umiem mówić „nie"
- **TWARZE:** Ewa Szykulska, Paulina Młynarska, Natalia Przybysz, Kinga Preis, Maria Sadowska, Halina Poświatowska
- **PSYCHOLOGIA:** Zdrada kontrolowana
- **TRENDY** w modzie i urodzie

www.wysokieobcasy.pl wysokieobcasy wysokieobcasy.pl listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Monika Tutak-Goll

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska
GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska
Marta Rozenbajgier
Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylwia Sass

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEF PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stożek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.
Na stronach 3, 13, 31, 32 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 14 (1385)
NA OKŁADCE:
MAGDA LAMPARSKA
FOT. WUNSCHE&SAMSEL/ VISUAL CRAFTERS

eprasa.pl 2b2d0f0434

eprasa.pl 2b2d0f0434

To nasze Superbohaterki

Kultura nie uratuje życia, ale może je ubarwić. Zuzanna Stańska Superbohaterką „Wysokich Obcasów”

TEKST **ANNA WOŹNIAK**
ZDJĘCIA **MATEUSZ SKWARCZEK I DAWID ŻUCHOWICZ/** AGENCJA WYBORCZA.PL

W poniedziałek 16 marca w Teatrze 6. piętro odbyła się uroczysta gala „Wysokich Obcasów”, podczas której przyznano tytuł Superbohaterki 2025 oraz Superbohaterki Czytelniczek i Czytelników. Decyzją Kapituły Superbohaterką roku 2025 została Zuzanna Stańska, historyczka sztuki. Za aplikację DailyArt i jej międzynarodowy sukces.

– Żyjemy w trudnych czasach. Świat jest spolaryzowany, pełen lęku i strachu, z algorytmami, które nas podjudzają. Odczuwamy dużo stresu. Historia sztuki nie ratuje nikomu życia, ale może to życie ubarwić, albo sprawić, że się gdzieś skryjemy i poczujemy coś innego niż trudne emocje. Chciałabym wszystkich zachęcić, aby korzystali ze sztuki, kultury w tych trudnych czasach, bo to są pozytywne rzeczy – mówiła ze sceny Stańska

Superbohaterka „Wysokich Obcasów” 2025 otrzymała czek w wysokości 10 tys. zł ufundowany przez firmę YES. A na ramiona założyła pelerynę Superbohaterki stworzoną przez projektantki SOLAR.

Jak co roku, statuetka powędrowała także do Superbohaterki Czytelniczek i Czytelników. Wyłoniono ją w drodze plebiscytu internetowego. W tym roku została nią lekarka ginekolożka Gizela Jagielska. Czytelniczki i Czytelnicy „Wysokich Obcasów” tak o niej pisali: „Jest tam, gdzie inni się boją być”, „Superbohaterka to ktoś, u kogo chęć pomagania innym jest silniejsza niż obawa o własny dobrostan. I ona właśnie tak ma. Zachowuje spokój, gdy wokół klę-

eprasa.pl 2b2d0f0434

Nominowane do tytułu Superbohaterki 2025 „Wysokich Obcasów": Joanna Talewicz, Klara Kowalczyk, Natalia Skoczylas, Urszula Chowaniec, Anna Przedpełska-Trzeciakowska, Katarzyna Słomińska, Gizela Jagielska, Katarzyna Butowtt, Zuzanna Stańska, Weronika Mliczewska, Sabina Obwiosło-Budzyń, Joanna Kowalczuk i sponsorzy: Justyna Lach (YES), Agnieszka Salach (KRUK S.A.)

Zuzanna Stańska, Superbohaterka „Wysokich Obcasów", z nagrodą główną – czekiem na 10 tys. zł od firmy YES

Anna Przedpełska-Trzeciakowska wygłosiła poruszające przemówienie

Katarzyna Pawłowska, zastępczyni redaktorki naczelnej, i Monika Tutak-Goll, redaktorka naczelna „WO"

Dr Gizela Jagielska została Superbohaterką Czytelniczek i Czytelników

Agnieszka Kołodziejska i Michał Nogaś: klasa, elegancja i humor

eprasa.pl 2b2d0f0434

„Kocham Cię, Polsko”, spiewała Mery Spolsky. To był kapitalny koncert

Po lewej: wyjątkowy, siódmy rząd w Teatrze 6. piętro, czyli nominowane Superbohaterki

Natalia Skoczylas i Urszula Chowaniec

Klara Kowalczyk

Weronika Mliczewska

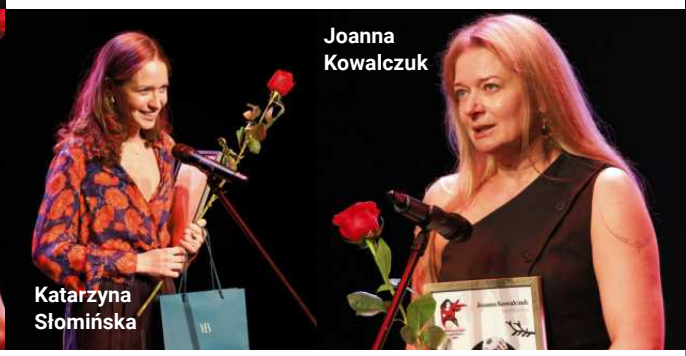

Katarzyna Słomińska

Joanna Kowalczuk

Katarzyna Butowtt

Sabina Obwiosło-Budzyń

Joanna Talewicz

bią się emocje. Rzetelnie tłumaczy to, co skomplikowane. Ale profesjonalizm nie zabiera jej wrażliwości ani empatii. Przypomina siostrę lub tę przyjaciółkę, która nie kłamie po to, żeby mniej bolało. Jest spójna w słowach i w działaniu, a to w Polsce bezcenne, godne zaufania i ożywcze. Jest potrzebna, bo jej wiarygodność i odwaga pozwalają kobietom w chwilach największej bezbronności nie pogubić się w rozpaczy. Odbiera samotność, a przywraca godność”.

Lekarka dziękowała ze sceny wszystkim Polkom i Polakom, którzy żyją w takiej, a nie innej rzeczywistości. – Mam nadzieję, że młode pokolenie Polek nie będzie nominowane do nagród tylko za to, że wykonuje swój zawód – mówiła Jagielska.

Po raz pierwszy kapituła wybrała także Honorową Superbohaterkę. Została nią Anna Przedpełska-Trzeciakowska, uczestniczka Powstania Warszawskiego i tłumaczka. – Tłumaczy nie tylko powieści, ale i świat, w którym przyszło nam żyć. Sama dorastała w niełatwych czasach. Dziś pokazuje nam, czym tak naprawdę jest patriotyzm. To nie krzyki, nie wyzwiska, nie dyskryminacja. Patriotyzm to dla niej życie bez winy zaniechania – mówiła w laudacji Monika Tutak-Goll.

Pani Anna dostała owację na stojąco i ze sceny wzruszona dziękowała za wyróżnienie. – Proszę was, pamiętajmy o naszym wojsku. Ja wciąż jestem żołnierzem Armii Krajowej. Czuję się za nie odpowiedzialna. Musimy wymagać od naszego państwa, aby armia była uzbrojona jak należy – te słowa Superbohaterki zostały nagrodzone ogromnymi brawami.

W tym roku dodatkowo nagrodę specjalną przyznała firma KRUK. Trafiła ona w ręce Zuzanny Stańskiej, która żartowała, że czek na 10 tys. zł spożytkuje na swoją aplikację DailyArt.

Do nagrody Superbohaterki „Wysokich Obcasów” nominowane były: Katarzyna Butowtt, Urszula Dudziak, Julia Kamińska, Joanna Kowalczuk, Klara Kowalczyk, Weronika Mliczewska, Sabina Obwiosło-Budzyń, Anna Przedpełska-Trzeciakowska, Magdalena Różczka, Natalia Skoczylas i Urszula Chowaniec, Katarzyna Słomińska, Joanna Talewicz, Zuzanna Stańska.

Galę w Teatrze 6. piętro poprowadzili Agnieszka Kołodziejska i Michał Nogaś. ▲

eprasa.pl 2b2d0f0434

U góry: Justyna Lach, dyrektorka marketingu YES, wręcza nagrodę główną, czek na 10 tys. zł, Zuzannie Stańskiej, Superbohaterce „WO". Na zdjęciu obok: wręczenie nagrody specjalnej przez Agnieszkę Salach, kierowniczkę działu public relations KRUK S.A.

Ekspozycja marki NEO MAKE UP

Pin zaprojektowany przez markę YES dla wszystkich nominowanych

Anna Przedpełska-Trzeciakowska z synem Andrzejem

Peleryna dla Superbohaterki, projekt: SOLAR

Ekspozycja marki Yves Rocher

Ekspozycja marki Solar

Zespół „Wysokich Obcasów" na gali Superbohaterki w Teatrze 6. piętro

SPONSOR STRATEGICZNY YES
SPONSORZY GŁÓWNI SOLAR KRUK YVES ROCHER FRANCE
SPONSORZY NÉONAIL NÉO MAKE UP GEDEON RICHTER

eprasa.pl 2b2d0f0434

MAGDA LAMPARSKA

Trudne decyzje, łatwe *życie*

Jako osiemnastolatka musiałam wziąć całą odpowiedzialność za własne życie. Dzięki temu jestem tu, gdzie jestem. Miałam okazję popełniać błędy i wyciągać z nich wnioski

FOT. WUNSCHE&SAMSEL/VISUAL CRAFTERS

eprasa.pl 2b2d0f0434

MAGDA LAMPARSKA

(ur. 1988 r.) aktorka filmowa i teatralna, występowała m.in. w „39 i pół", „Big Love", „365 dni", „Śleboda".

eprasa.pl 2b2d0f0434

Z **MAGDĄ LAMPARSKĄ**, AKTORKĄ, ROZMAWIA **SANDRA ZAKRZEWSKA**

j

Jaki był twój dom i kobiety, które cię otaczały?
– Mój dom tworzyły silne kobiety, jak babcia i mama. Ta kobieca moc sprawiała, że mogłam wyrażać siebie, nigdy nie byłam blokowana. Moja mama bardzo wspierała mnie we wszystkich pomysłach.

Twoja mama wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, gdy miałaś 18 lat. To wpłynęło na twoje dorastanie?
– To było dla mnie bardzo mocne doświadczenie i na pewno na różnych etapach odbierałam je w inny sposób – od opuszczenia, przez samotność do samodzielności. Dziś wydaje mi się, że to dobrze, gdy młody człowiek trochę zderzy się z dorosłym życiem. Nie określam, czy to było dobre, czy złe. Bardziej myślę o tym, że dorosłe życie po prostu nie jest łatwe. I im szybciej to zrozumiemy, tym później będzie nam lepiej. Jest takie powiedzenie w Stanach Zjednoczonych: trudne decyzje, łatwe życie.

Jak to interpretujesz?
– Dzięki temu, że jako osiemnastolatka musiałam wziąć całą odpowiedzialność za własne życie, jestem tu, gdzie jestem. Jako młoda dziewczyna miałam okazję popełniać błędy i wyciągać z nich wnioski.

Dlatego musiałaś zacząć pracować od początku studiów?
– Tak, a w przypadku szkoły teatralnej to bardzo trudne. To szkoła dzienna, wymagająca, więc zaczęłam pracować w wakacje jako barmanka, oszczędzałam pieniądze. Pamiętam, że pierwszą płatną rolą, którą dostałam, była ta w serialu „39 i pół". Na drugim roku szkoły zaczęłam już zarabiać pierwsze pieniądze z aktorstwa. To była dla mnie duża ulga.

Rola w „39 i pół" ostatecznie pozwoliła ci polecieć do Stanów Zjednoczonych?
– Tak. Kiedy zaczęłam pracować więcej, w każdej wolnej chwili latałam do Stanów i brałam udział w warsztatach, które pozwoliły mi eksplorować różne metody aktorskie. Pomyślałam, że skoro mam tam rodzinę, to szkoda tego nie wykorzystać. Napisałam wtedy też pracę magisterską, którą później przekształciłam w książkę o Poli Negri „Wszystko albo nic. Jak Pola Negri", którą wydałam w 2017 roku. To było dla mnie ważne, stawiałam tam pytania o iluzję Hollywood i o to, czy w tym zawodzie jesteśmy w stanie oddać wszystko dla marzeń.

Jaka była twoja odpowiedź?
– Że nie warto oddawać wszystkiego, a codzienne życie jest ważniejsze niż film. Dlatego wróciłam do Polski i założyłam rodzinę. Dla każdego szczęście jest gdzie indziej, ja czuję je w prostocie. W relacjach, w zabawie z moimi dziećmi, w takich naprawdę prozaicznych sytuacjach jak wspólny obiad czy spacer. Wtedy czuję się szczęśliwa.

Co zmieniło się w tobie, odkąd zostałaś mamą?
– Wszystko. Chyba to jest dla mnie największa zmiana, jaką mogę w sobie zidentyfikować: że doświadczyłam tego, czym jest bezwarunkowa miłość. Jestem bardzo zdyscyplinowaną i poukładaną osobą, a rodzicielstwo cały czas uczy mnie, że mogę planować i nic z tego nie wynika. To nauka odpuszczania. Macierzyństwo nauczyło mnie czułości wobec siebie, akceptacji, pokory, otwartości na nowe, słuchania i puszczania tego, czego kurczowo się trzymam.

Macierzyństwo sprawiło, że spojrzałaś inaczej na swoją rodzinę?
– Zdecydowanie. Dopiero wtedy ją doceniłam. Zainspirował mnie też mój mąż, który codziennie pokazuje mi, że rodzina to najcenniejsza wartość. Imponuje mi kontakt, który ma ze swoimi rodzicami i to, jak o nich dba. Mój mąż jest też osobą, która nie trzyma w sobie negatywnych emocji, ma dużo wewnętrznej akceptacji i mądrości życiowej. W czasach, kiedy stale coś analizujemy, wracamy do przeszłości, chcemy wszystko rozkładać na czynniki pierwsze, warto czasem zostawić przeszłość za sobą. Tego się od niego uczę.

> Rodzicielstwo uczy mnie, że mogę planować, *a i tak nic z tego nie wynika*

Wychowujecie dziewięcioletniego chłopca i trzyletnią dziewczynkę w niełatwych czasach. Na czym najbardziej skupia się wasza uwaga?
– Nastawiamy się na dawanie im wolności, aby odkryli własną drogę życiową.
Nie pokazujemy ich publicznie i wolałabym, żeby nigdy nie układały życia przez pryzmat tego, że jestem aktorką. Będę im kibicować bez względu na to, w jakim kierunku pójdą.

Decyzja o niepokazywaniu dzieci publicznie od początku była oczywistością?
– Tak. Jeżeli moje dzieci będą chciały być osobami publicznymi, to podejmą tę decyzję same.

eprasa.pl 2b2d0f0434

Wydałaś książkę „Babka w formie", a teraz piszesz scenariusz oparty na tym projekcie. Chciałabyś zagrać w tym filmie?
– Chciałabym, ale tworzenie filmu to szalenie długi proces. Może zagram córkę, może mamę, zobaczymy jak szybko powstanie scenariusz.

Twoja książka jest hołdem dla kobiet?
– Prowadzenie domu przez kobiety jest kompletnie niewidoczne i niedoceniane. Chciałam zachęcić kobiety do umiejętności doceniania swojej pracy i zaangażowania.

I buntu?
– Żeby wyciągnęły nogi na stół i powiedziały: „To jest mój dom, oaza i ja tu rządzę. To moje królestwo". Chciałabym zachęcić każdą dziewczynę, żeby miała odwagę grać główną rolę we własnym życiu. Myślę też, że stereotyp matki

Polki cały czas za silnie funkcjonuje w naszym świecie i trzeba wypuścić z niego trochę powietrza. Nie musisz być taka wyprostowana, spięta, działać na siedmiu etatach, bo to jest po prostu niemożliwe. Nie nakładajmy na siebie takiej presji.

Sama też ją czujesz?
– Oczywiście. Przyglądam się różnym wyobrażeniom i stereotypom. I taka mnie nachodzi myśl – dziewczyny, odpuszczajmy same sobie.

W jednym z podcastów użyłaś określenia „orzechowe dziaderstwo". Co to jest?
– To sytuacja, kiedy ktoś umniejsza innej osobie wyłącznie dlatego, że posiada większą władzę oraz doświadczenie. Może to być też niby „komplement", który nie przystaje do obecnych czasów. Przez lata zbierałam narzędzia, które pomagają mi się przed tym chronić, i zastanawiałam się, czy z biegiem czasu, moich dokonań zawodowych, społecznych ról, sytuacja będzie się zmieniała.

Zmienia się?
– Powoli. Wciąż łatwo odebrać kobietom moc. Jednak nauczyłam się już stawać za sobą i marzy mi się, żeby każda kobieta miała odwagę to robić. Kobiety to superbohaterki i naprawdę jesteśmy totalnymi mistrzyniami logistycznymi. Często nam się to odbiera, bo „matka na pewno nie będzie dyspozycyjna". Powinnyśmy wzbudzać podziw, bo matka dowozi na tylu polach, że w pracy też na pewno da radę.

Sposób myślenia, że „matka nie dowiezie" i nie warto jej zatrudniać, sprawił, że bałaś się zdecydować na macierzyństwo i odkładałaś je w czasie?
– Zawsze marzyłam o tym, żeby być mamą, nie odkładałam tego w czasie. Jednak nie ma co ukrywać, że jest to zawód niepewny. Kiedy nie masz etatu w teatrze, nie zarabiasz. Dobrze, gdyby związki zawodowe wypracowały kiedyś taki rodzaj wsparcia, jaki mają chociażby aktorki w Stanach Zjednoczonych. Gdybyś porozmawiała z aktorkami, które nie mają jeszcze dzieci, a chciałyby kiedyś je mieć, to strach będzie się pojawiać bardzo często.

Kiedy wracałaś do pracy, czułaś wsparcie na planie?
– Absolutnie. Chcę jednak zaznaczyć, że mówimy cały czas o mojej uprzywilejowanej pozycji osoby rozpoznawalnej, nie można więc uogólniać, to nie zawsze tak zadziała. Jeżeli grasz główną rolę, to wiadomo, że takie wsparcie dostajesz.

Czujesz się docenioną aktorką?
– Jestem po prostu spełnioną kobietą, a aktorką docenioną bywam. To się zmienia i zawsze będzie się zmieniało, ale moja pewność siebie i poczucie własnej wartości bierze się z czegoś innego.

Oberwało ci się za udział w filmie „365 dni"?
– Nie tak bardzo. Uważam, że aktor powinien grać w różnych gatunkach filmowych i poszerzać swoje emploi. Dostałam mnóstwo pozytywnego feedbacku po tej roli. Myślę, że jako aktorka dobrze wypełniłam swoje zadanie.

OGŁOSZENIE

Chciałabym zachęcić każdą dziewczynę, żeby miała *odwagę grać główną rolę we własnym życiu*

I nie musiałaś przekroczyć w tym filmie żadnych swoich granic?
Bardzo dobrze wspominam naszą pracę na planie. Weszłam do tego projektu na określonych zasadach, tworząc bardzo humorystyczną postać Olgi – przyjaciółki głównej bohaterki. Wyznaczyłam sobie konkretne zadanie – chciałam, żeby moja rola była symbolem kobiecej lojalności i wsparcia.
Teraz przede mną premiera serialu „Proud" na HBO Max, który opowiada o nieheteronormatywnej osobie stającej przed wyzwaniem adopcji dziecka. Reżyser Karol Klementewicz powiedział: „Magda, jesteś taką aktorką, która naprawdę nie boi się zaryzykować i wygłupić".
I ja uważam, że to jest ważne, żeby mieć do siebie dystans. Wierzę, że sztuka wymaga ryzyka.

Do tego potrzeba siły, żeby zmierzyć się na przykład z ewentualną późniejszą oceną.
– Nauczyłam się rozdzielać ocenę zawodową od prywatnej, a hejt od konstruktywnej krytyki. To nie znaczy, że czasami nie jest mi przykro. Taki jest ten zawód. Podam ci przykład. Gram w spektaklu z panią Krystyną Jandą 22-latkę, która wykorzystuje swoje kobiece walory. Kostiumy do spektaklu tworzył Tomek Ossoliński i umówiliśmy się, że musimy to zrobić wyraziście – jak najkrótsza spódniczka i jak najwyższe buty. Po spektaklu przyszła do mnie dziewczyna, która na pewno miała dobre intencje, powiedziała: „Magda, to jest niezwykłe. Na scenie jesteś taka sexy, a w życiu w ogóle tego nie widać".
Mogłoby mnie to zaboleć, ale rozumiem, że nie miała nic złego na myśli.

Czyli wracamy do tematu „orzechowego dziaderstwa", które może objawić się nawet w rozmowie z teoretycznie miłą koleżanką.
– To ten rodzaj sytuacji, kiedy czujesz, że ktoś naprawdę przekracza twoją granicę, twoje ciało się paraliżuje, a ty nie jesteś w stanie wydusić z siebie słowa. I bardzo marzę o tym, żeby dziewczyny umiały jednak powiedzieć: stop, tu jest ta granica, nie rób tego, bo to mnie krzywdzi i niczego nie wnosi. Wyznaczanie granic zmienia stereotypy.

Życzę wszystkim dziewczynom, żeby potrafiły to zrobić, ale domyślam się, że to wymaga ogromu pracy, doświadczenia i pewnie trochę też litrów wylanych wcześniej łez.
– Na pewno to proces. Też nie mam żadnej recepty i czasami to „orzechowe dziaderstwo" mnie zaskakuje i nie przychodzi mi do głowy żadna riposta. Jednak na pewno jestem dalej, niż byłam. I z tego jestem dumna. ▲

eprasa.pl 2b2d0f0434

NÉONAIL

Pielęgnacja i efekt wow w jednym

„Odżywki Rescue Glow Tint to dla mnie złoty środek pomiędzy pielęgnacją a zwykłym lakierem. (...) Efekt wizualny jest obłędny."*

Majka_93

Odżywki do paznokci 3w1

magenta pink | milky white | peachy nude | glitter rose | glitter violet | peachy peach

wizaz.pl

*Recenzja z katalogu Kosmetyk Wszech Czasów serwisu Wizaz.pl

eprasa.pl 2b2d0f0434

Polacy *książki* piszą

Wielu z nas nie tylko nie umie czytać ze zrozumieniem, lecz także nie potrafi ze zrozumieniem pisać. Skłaniałbym się ku tezie, że iluzję, jakoby każdy mógł zostać pisarzem, tworzą wydawnictwa

eprasa.pl 2b2d0f0434

Z **MICHAŁEM MICHALSKIM**, DYREKTOREM WYDAWNICTWA ARTRAGE, ROZMAWIA **EWA JANKOWSKA**

W poście na Facebooku z końca stycznia napisałeś: „Od początku roku dostaliśmy już 50 propozycji wydawniczych".
– Teraz jest ich już pewnie co najmniej drugie tyle...

W listopadzie rozmawiałam na ten temat z redaktorką z innego wydawnictwa i ona również wspomniała, jak wiele trafia do nich propozycji książkowych od Polaków. Zafascynowało mnie, jak wielu Polaków pisze książki. Co więcej, są przekonani, że to, co piszą, jest warte wydania. Jest, czy nie jest?
– To zależy. W większości prawdopodobnie nie jest. A przynajmniej nie u nas. Mówię to w kontekście nie jakości tych tekstów, tylko ich dopasowania do naszego profilu.

Dlaczego?
– Bo my nie wydajemy pamiętników, wspomnień, zapisków z życia, relacji z pobytu w danym kraju. Nie każda fascynująca historia nadaje się na książkę. A już z pewnością nie każdy umie przetworzyć nawet dobrą historię w dobrą książkę.

Ale jeśli jest to opowieść ważna z punktu widzenia historii, to może warto odezwać się przykładowo do Ośrodka Karta, a nie do wydawnictwa, które skupia się na ambitnej literaturze pięknej.

Nie wydajemy też fantasy lub romansów. Gdy czytam więc maila, w którym jest napisane: „Pierwszy tom septologii romantasy, której akcja toczy się w feudalnej Japonii" czy coś takiego, to od razu wrzucam go do kosza.

Czyli ludzie wysyłają swoje propozycje książkowe do wszystkich wydawnictw?
– Na pewno. Nie sprawdzają na stronie wydawnictwa, jakiego rodzaju literaturę ono wydaje. A potem dziwią się, że nikt im nie odpisuje. Choć oczywiście każdy otrzymuje od nas automatyczną odpowiedź.

W której co piszecie?
– Prawdę. Dziękujemy za maila. Jeśli będziemy zainteresowani, to się odezwiemy. Sam napisałem pięć książek i, szczerze mówiąc, nigdy nie pamiętam, abym kiedykolwiek otrzymał nawet automatyczną odpowiedź. Nie miałem pojęcia, czy mój mail w ogóle do wydawnictwa dotarł. W dniu gali Paszportów „Polityki" 2025, do których nominację otrzymał Paweł Rzewuski za książkę „Krzywda" wydaną przez nas, otrzymaliśmy aż kilkanaście maili z propozycjami książkowymi. Ludzie zobaczyli – o, jest jakieś nowe wydawnictwo, gdzie jeszcze nie wysłaliśmy maila. No to siup.

I was te maile złoszczą. I piszecie wprost – to nie zostanie wydane.
– Nie, to nie tak, że złoszczą. Ale prawdą jest, że nie mamy czasu na to, aby te wszystkie manuskrypty przejrzeć. Poza pracą ja i Krzysiek, z którym prowadzę ArtRage, mamy też inne obowiązki: rodziny, dzieci. Krzysiek oprócz tego, że pracuje w wydawnictwie, ma inną pracę.

Pisząc na Facebooku post, nie chciałem nikogo urazić ani tym bardziej zniechęcać, podałem jedynie liczbę. Prędzej czy później pewnie na te maile zerkniemy, ale raczej później. Do 2028 roku mamy rozpisany plan wydawniczy, a na liście już czeka 120 propozycji książkowych, które rozważamy jako potencjalne do wydania. I to są same zagraniczne tytuły.

Niedawno podpisaliśmy umowę z panem, którego książka ukaże się dopiero za dwa lata.

Wszystko, co wpadnie nam w ręce teraz, zostanie wydane najwcześniej w 2029 roku. Chyba że będzie to coś, na czym szczególnie będzie nam zależało. Nie znoszę tych momentów, bo musimy wtedy przekładać i przesuwać mnóstwo klocków tej układanki.

Na przykład co?
– Mamy swoich ukochanych pisarzy. Jeśli coś akurat wydają i nam bardzo zależy, abyśmy to właśnie my ich wydali, jesteśmy skłonni to i owo poprzesuwać. Nowa książka z potencjałem nagrodowym ma większe szanse na „szum" niż wydanie czegoś sprzed dziesięciu lat.

Jednym z takich autorów jest Sebastian Barry, pisarz irlandzki, którego uwielbiam. Średnio raz na dwa lata wydaje książkę. I ja już czułem pod koniec ubiegłego roku, że pewnie niebawem coś się pojawi. I rzeczywiście w grudniu dostaliśmy maila od agentki Barry'ego o treści: „Sebastian bardzo się cieszy, że może wysłać Państwu rękopis swojej nowej książki".

Pierwsza myśl – „No nie, Sebastian znowu rozwala nam cały plan!". A potem odpisuję, że oczywiście wydamy najszybciej, jak to możliwe, choć to chwilę potrwa, bo nasza wspaniała tłumaczka ma jeszcze inne zlecenia.

To gdy już zerkacie do tych maili, co jeszcze tam znajdujecie, co od razu odrzucacie?
Mnóstwo tego, co do nas trafia, jest po prostu źle napisane.

Co to znaczy źle?
Autorzy nie mają umiejętności literackich. Albo piszą z błędami językowymi. Używają słów, których znaczenie jest inne, niż im się wydaje.

Wielu z nas nie tylko nie umie czytać ze zrozumieniem, lecz także nie potrafi ze zrozumieniem pisać. Jeżeli czytam jakiś rękopis i moja pierwsza myśl to: „O, pan umie składać zdania, w dodatku potrafi stylizować" – jak autor książki o Księstwie Pomorskim – to już jest naprawdę dobrze.

I tu wracam do pytania, skąd pomysł na to, że to, co piszemy, nadaje się do wydania?
Nie mam pojęcia. O to trzeba by było pytać literaturoznawcę albo jakiegoś socjologa...

A ty kim jesteś z wykształcenia?
Antropologiem kultury.

To idealnie! Moim zdaniem to pokłosie rosnącej popularności kursów pisarskich. „Kurs kreatywnego pisania", „Jak napisać książkę", „Kurs pisania kryminałów", „Kurs pisania romansów". To tworzenie iluzji, że każdy może dziś zostać pisarzem, bo pisania książek można się po prostu nauczyć.
Nie wiem, czy jest ich aż tak dużo. Raczej skłaniałbym się ku tezie, że iluzję, jakoby każdy mógł zostać pisarzem, tworzą wydawnictwa. Wydają bowiem książki, które rzeczywiście mógłby napisać każdy albo znowuż – książki z błędami stylistycznymi i pozbawione redakcji.

Żeby pisać książki, trzeba mieć coś do powiedzenia, nabrać jakiejś mądrości życiowej, trzeba znaleźć swój język wyrazu. Żeby pisać, trzeba najpierw dużo przeczytać! Pytałem niedawno znajomego, który zaczął pisać, co ostatnio przeczytał. Bardzo się zdziwił, że zadaję takie pytanie.

A może te książki, które dostajecie, nie są napisane przez ludzi, ale AI? Jesteście w stanie to rozpoznać?
– Myślę, że może tak być, ale stuprocentowej pewności nie mam. Jest taki rodzaj

FOT. GETTY IMAGES, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2b2d0f0434

frazy, taki dobór słownictwa, które, gdy się czyta, zapala czerwoną lampkę sugerującą AI. Zdarzają się też kalki językowe jasno sygnalizujące, że ChatGPT wykonał tutaj pracę.

Nie jestem jednak w stanie powiedzieć, czy to człowiek tak pisze, bo przesiąkł już językiem promptów, czy wysłał coś wygenerowanego. Jest jeszcze jedna grupa wysyłających swoje propozycje.

Jaka?
To osoby, które wydały już coś w ramach selfpubu [self-publishing, samopublikowanie, wydawanie niezależne – przyp. red.]. Zdarza się coraz częściej, ponieważ dziś jest to znacznie łatwiejszy proces. Jednak na tym nie koniec. Piszą do nas też osoby, które wydały coś wcześniej w innym wydawnictwie, bo „książka nie otrzymała recepcji, na jaką zasługuje".

I tak można?
Jeśli chodzi o selfpub, to tak. Nie ma znaczenia, że książka wydana niezależnie nie osiągnęła sukcesu. Zazwyczaj jednak ludzie, którzy sięgają po selfpub, nie tworzą literatury pięknej, ale poradniki, autobiografie, czyli my i tak nie jesteśmy taką twórczością zainteresowani. Nie znaczy to jednak, że selfpub z góry odrzucamy.

Jeśli z kolei książka już gdzieś była wydana, to aby rozpocząć współpracę z nowym wydawnictwem, najpierw trzeba rozwiązać umowę z tym pierwszym.

Wracając jeszcze do tych nieczytanych przez was maili. Nie boicie się, że przegapicie jakąś literacką perełkę? A potem wyda ją ktoś inny, bo wcześniej maila odczyta?
Ależ oczywiście, że tak może się stać, i tak się przecież pewnie dzieje. Musimy się z tym pogodzić. Popadlibyśmy w obłęd, jakbyśmy cały czas mieli z tyłu głowy, że autorem akurat tego maila może być przyszły noblista albo laureat Nagrody Bookera.

Zresztą istotne jest coś jeszcze, co moim zdaniem w ogromnym stopniu decyduje o tym, dlaczego coś zostaje wydane, a coś nie.

Co takiego?
Humor redaktora.

Czy to nie jest nieprofesjonalne?
Może jest, ale taka jest prawda. Redaktor też człowiek. Przechodzi kryzysy: psychiczne, zdrowotne, życiowe. Jeżeli jestem

MICHAŁ MICHALSKI

dyrektor wydawnictwa ArtRage, redaktor prowadzący i inicjujący. Wśród autorów wydawnictwa są m.in.: Jon Fosse, Jacqueline Harpman, Thomas Pynchon, Cesar Aira, Mircea Cartarescu, Arturo Perez-Reverte

w podłym nastroju, to mogę zupełnie inaczej na dany tekst spojrzeć niż wtedy, gdy jestem wyspany, zadowolony, wszystko się w moim życiu układa.

Czytanie książek to obcowanie ze sztuką – przynajmniej te książki, które my chcemy wydawać, postrzegamy jako sztukę. Mogę na dany tekst zareagować alergicznie jednego dnia, a drugiego dnia stwierdzić – właściwie to czemu nie.

Nigdy tak nie miałaś, że zaczęłaś czytać jakąś książkę i po kilku stronach uznałaś, że ci się nie podoba? Potem po miesiącu sięgnęłaś po nią znowu i tym razem historia cię wciągnęła?

Rzadko drugi raz zaglądam do czegoś, co w pierwszej chwili mnie nie zaciekawiło.
Miewam tak często. Jestem przekonany, że nie jestem w tym odosobniony. Dlaczego jeden redaktor stwierdza, że w danej książce nic się nie zgadza, drugi z kolei mówi – wybitne i decyduje się wydać, a potem książka wygrywa nagrody?

Tak się rzeczywiście zdarza...?
Ależ oczywiście. Znana jest historia J.K. Rowling, która wielokrotnie była odrzucana ze swoim „Harrym Potterem" i zaskoczyło dopiero za którymś razem. Czy to znaczy, że te wydawnictwa, które ją odrzuciły, się nie znają? Może redaktor uznał, że książka nie ma potencjału sprzedażowego albo nie trafiła w jego gusta...

„Wniebogłos", debiut Aleksandry Tarnowskiej, był odrzucany przez inne wydawnictwa, my zdecydowaliśmy się go wydać. W 2024 roku książka zdobyła Nagrodę Kościelskich i nominację do Nagrody Gombrowicza.

Albo historia jednego z moich ukochanych pisarzy, Josepha Hellera, i jego „Paragrafu 22". Wiesz, ile razy Heller był odrzucany?

Nie wiem.
Kilkanaście. I tyle samo miał wersji swojej powieści! W końcu trafił na redaktora, który wziął wszystkie te jego maszynopisy i posklejał z nich książkę. Tak powstał „Paragraf 22". Mimo że tekst wymagał dużo pracy, uznał, że jest pod jakimś względem wybitny.

Wniosek jest taki, że warto się dobijać, wysyłać czasem wiele maili, a nuż któryś redaktor albo ten sam, ale w innym stanie emocjonalnym, będzie w odpowiednim nastroju na jej przyjęcie.
Pod warunkiem że książka wpisuje się w to, co wydaje dane wydawnictwo, wtedy w sumie czemu nie? A może zaskoczy dopiero druga książka autora albo kolejna. To, że coś nazywamy debiutem, nie znaczy, że dany autor nic wcześniej nie napisał.

Niektóre wydawnictwa stosują taki zabieg wydawniczy: po śmierci znanego pisarza zaglądają do jego szuflady i wyciągają wszystko, co tam schował. Potem ukazują się te książki pod hasłami: „prawdziwy debiut słynnego pisarza", „dzieło, które przeleżało w szufladzie kilkadziesiąt lat".

Javier Marías jest takim przykładem. Tylko dlaczego nikt nie pomyśli, że może był powód, dla którego autor włożył te swoje pierwsze książki do szuflady i ich stamtąd za swojego żywota nie wyciągał? Może uznał, że się do niczego nie nadają albo ktoś mu to na jakimś etapie uzmysłowił?

Kiedyś wpadł mi w ręce debiutancki zbiór opowiadań Trumana Capote'a z czasów jego młodości. Ukazał się jako „wcześniej niepublikowany" – przynajmniej w Polsce. Zachwyciło mnie „Z zimną krwią" i poczułem, że potrzebuję więcej Capote'a w swoim życiu. Gdy przeczytałem te opowiadania, pomyślałem: przecież to są wypracowania ze szkoły na zadany temat, jakieś wprawki pisarskie. Oddajcie mi pieniądze!

Jest jeszcze jeden warunek, który autor powinien spełniać, aby być gotowym na przesłanie swojej książki wydawnictwu.

Jaki?
Musi być otwarty na to, że ktoś będzie chciał w niej coś zmienić. Są autorzy, którzy mają bardzo duże ego. Jakiś czas temu przejrzałem propozycję książkową od pewnej autorki. Pomyślałem – to ma potencjał. Wziąłem kilka stron i zredagowałem tekst tak dobrze, jak umiałem. Poprawiłem błędy logiczne, merytoryczne itd. Poświęciłem na to dwie, trzy godziny

eprasa.pl 2b2d0f0434

i odesłałem autorce z informacją, że tekst jest intrygujący, ale wymaga pracy. Jeśli jest zainteresowana współpracą z nami, to proszę, aby przepisała tekst zgodnie z moimi wskazówkami i odezwała się, jak skończy.

I co odpisała?
„Jak pan śmie!". I zażądała usunięcia wszystkich plików z jej tekstem z każdego urządzenia.

Często zdarzają się takie sytuacje?
Nieczęsto, ale się zdarzają. Kilka razy mieliśmy poczucie, że nie warto wchodzić z daną osobą we współpracę, bo już na początku widać, że będzie ciężko. Ktoś jest tak przywiązany do swojego dzieła, że będzie wykłócał się o każde słowo.

Bardzo rzadko trafiają do nas książki, które nie wymagają żadnej pracy, żadnych zmian. Jak to mówi Krzysiek – wystarczy kosmetyka.

Mam na swoim koncie pięć książek wydanych przez różne wydawnictwa, doskonale zdaję więc sobie sprawę z tego, że autor nie ma żadnego dystansu do tego, co napisał. Jak piszesz książkę, nad którą siedzisz latami, tracisz kontakt z rzeczywistością. Z czasem przestajesz dostrzegać najprostsze błędy, bo dane zdanie czytałeś już tyle razy, że sam nie wiesz, co jest okej, a co nie. Jednego dnia myślisz – wielka literatura, jestem genialny, drugiego – co za g**no. Ja obecnie piszę książkę, którą już cztery razy przepisywałem.

To co byś doradził autorom, którzy planują napisać książkę, piszą książkę albo chcą wysłać do was swoją propozycję książkową?
Czytać, czytać, czytać.

I tyle?
Aż tyle. Czytać dużo, czytać krytycznie. I nie „Pięćdziesiąt twarzy Greya", ale coś, z czego będziesz mógł się czegoś nauczyć pod względem literackim.

Czyli?
Może być coś z klasyki, np. „Dżuma" Alberta Camusa. Ważne, żeby była to pozycja, którą lubisz. Zastanów się, dlaczego ci się podoba, w jakim stylu jest napisana. Czy jest to styl, z którego chciałbyś czerpać. Pomyśl, jak książka jest skonstruowana, w jaki sposób autor buduje świat. Z czyjej perspektywy pisze. W pierwszej, drugiej czy trzeciej osobie. Dlaczego tak i co to daje odbiorcy. Kim są bohaterowie. Czy mówią tym samym językiem, czy zupełnie innym. Jakim. I tak dalej...

A potem przeczytaj tę samą książkę jeszcze kilka razy.

Ty tak robisz?
Oczywiście. Czytałem tak między innymi „Drogę" Cormaca McCarthy'ego. Po pierwszej lekturze miałem wrażenie, że napisana jest suchym, wręcz oschłym językiem. W drugim czytaniu zwróciłem uwagę, że jest tam mnóstwo metafor i opisów znacznie dłuższych, niż mi się wydawało na początku. Kolejny raz przeczytałem książkę w oryginale – nie jest bardzo trudna, bo język jest dość prosty – i zorientowałem się, że większość tych metafor dotyczy przyrody, która w powieści występuje w ilościach raczej śladowych, bo wszystko tam umarło. I że właśnie to wyzwala ogromny smutek.

„Dżumę" czytam średnio raz na dekadę i za każdym razem odkrywam w niej coś nowego. To dla mnie podręcznik tego, jak należy budować świat w powieści. ▲

OGŁOSZENIE

PŁATKI TONIZUJĄCO-NAWILŻAJĄCE
- Tonizacja i nawilżanie
- Idealne w roli maseczki na twarz

SERUM KWAS HIALURONOWY
Po 1 użyciu:
✔ ukojenie i zredukowanie przesuszenia
Po miesiącu stosowania:
✔ nawilżenie i wygładzenie
✔ poprawa elastyczności i jędrności

MULTIENZYMATYCZNY PEELING GOMMAGE ZŁUSZCZAJĄCO-ROZŚWIETLAJĄCY
Po 1 użyciu: widoczne rozświetlenie skóry
Po miesiącu stosowania: wyrównanie kolorytu, wygładzenie skóry

SZTYFT NAWILŻAJĄCO-OCHRONNY SPF 50
- Wysoka ochrona UVA i UVB oraz nawilżenie
- 4 formy kwasu hialuronowego wsparte mocą witaminy E

Bielenda
Skinclinic PROFESSIONAL

Inspirowane profesjonalną pielęgnacją

Poznaj **zaawansowane formuły** łączące w sobie substancje aktywne z kompatybilnymi składnikami biologicznie czynnymi, które poprzez synergiczne działanie przynoszą **w szybkim czasie zauważalne efekty.**

Tylko tu! ROSSMANN Moja Drogeria
i na bielenda.com
Odkryj wszystkie produkty

eprasa.pl 2b2d0f0434

„UNDER SALT MARSH", od 2 kwietnia w SkyShowtime. Kolejne odcinki co tydzień

SERIAL

Zbrodnia na bagnach

Under Salt Marsh" ma wszystkie elementy świetnego serialu kryminalnego: mroczne krajobrazy walijskiego miasteczka na wybrzeżu, które w kluczowym momencie zostaje odcięte od reszty świata przez sztorm, morderstwo, które, jak nietrudno się domyślić, jest powiązane z inną zbrodnią z przeszłości, i detektywa, któremu przyszło się z tą przeszłością zmierzyć. Jedyne, czego temu serialowi tak naprawdę brakuje, to chemia między głównymi bohaterami. Ale jej brak da się na szczęście przeżyć.

Tytułowe „salt marsh" to słone bagna – porośnięty trawami i niską roślinnością podmokły nadmorski teren regularnie zalewany przez pływy, pokryty siecią naturalnych kanałów i rowów. W jednym z takich rowów, w fikcyjnym walijskim miasteczku Morfa Halen, Jackie Ellis (Kelly Reilly) – była policyjna detektywka, a obecnie nauczycielka – odnajduje zwłoki swojego ucznia Cefina. Żeby rozwiązać sprawę śmierci chłopca, do miasteczka przyjeżdża detektyw Eric Bull (Rafe Spall), który trzy lata wcześniej zajmował się tajemniczym zaginięciem dziewięcioletniej Nessy, której ciała nigdy nie odnaleziono.

Poza tym, że obie sprawy dotyczą dzieci, zdaje się, że nic więcej ich nie łączy. Instynkt podpowiada jednak Jackie, że to nie może być przypadek. Także Bull zdaje się nabierać co do tego przekonania. Przy okazji okazuje się, że Jackie i Bulla łączy skomplikowana relacja, choć nie taka, jak można by się spodziewać. Mimo sprzeciwu detektywa Jackie angażuje się w rozwiązanie sprawy, licząc, że przy okazji odkryje tajemnice z przeszłości. Niewielka, harda społeczność Morfa Halen jest wstrząśnięta zbrodnią, ale jednocześnie niezbyt skora, by odkrywać przed Bullem swoje sekrety.

„Under Salt Marsh" stworzony przez Claire Oakley to pierwszy serial z Kelly Reilly po zakończeniu przebojowego „Yellowstone", w którym wcieliła się w postać bezwzględnej, ale i bezgranicznie oddanej ojcu Beth Dutton. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że role te nie mogłyby się od siebie bardziej różnić, ale jeśli przyjrzeć się uważniej, łatwo zauważyć, że dla obu bohaterek rodzina zdaje się wartością nadrzędną, obie są też pogrążone w bólu przeszłości, który nie pozwala im iść naprzód. Jackie Ellis ma jednak zdecydowanie więcej empatii, nie ma w sobie tego okrucieństwa, którym jak bronią posługiwała się Beth. Partnerującemu jej Rafe'owi Spallowi przypadła rola pod pewnymi względami dość stereotypowa. Jego Bull jest wiecznie wściekły, skryty za twardym murem, który wokół siebie wybudował i który nie pozwala mu okazywać emocji innych niż gniew. W krótkich momentach, kiedy się jednak odsłania, widać, że i jemu nie jest łatwo.

Równorzędnym do Bulla i Ellis bohaterem „Under Salt Marsh" jest natura. Sir Jonathan Pryce, aktor wcielający się w farmera Salomona Bevana, tak tłumaczył to w rozmowie z BBC: „To thriller, za którym stoi ważne przesłanie. Na zachodnim brzegu Walii są prawdziwe miasteczka, którym realnie zagraża morze. Serial ukazuje pewien rodzaj nadciągającego kryzysu ekologicznego oraz walkę społeczności o przetrwanie i o to, by jej głos został usłyszany".

Bo chociaż Morfa Halen nie istnieje, zdjęcia kręcono na północno-zachodnim wybrzeżu Walii, które pozostaje na łasce żywiołu.

„Under Salt Marsh" gubi niekiedy tempo, a bohaterowie czasami tak skrzętnie ukrywają swoje emocje, że nie ma co udzielić się widzom. Na szczęście zagadka kryminalna wciąga, a karty odsłaniane są powoli. I nawet jeśli kilka sekretów bez problemu odkryjemy sami, to tylko podsyca apetyt, by pokusić się także o samodzielne wytypowanie mordercy. ▲ **(Joanna Wróżyńska)**

FOT. SKYSHOWTIME, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2b2d0f0434

KSIĄŻKA

Opowiadania o buntowniczkach

„Zostałam pisarką, ponieważ byłam pływaczką i każdego dnia przez wiele godzin marzyłam na jawie, podczas gdy moje ciało poruszało się wzdłuż toru. Śpiewałam do siebie, recytowałam wiersze, wykonywałam skomplikowane obliczenia, w myślach poprawiałam już przeżyte życie na bardziej błyskotliwe i eleganckie" – tłumaczy w opisie do tytułowego opowiadania „Awanturnica" Lauren Groff. Nowa książka amerykańskiej pisarki, znanej m.in. z powieści „Fatum i furia" czy „Wyspa kobiet", to dziewięć historii, które w większości ukazały się na łamach „The New Yorkera". Wspomniana „Awanturnica" to opowiadanie o Sarze, skoczkini do wody, która po szkole zajmuje się chorą mamą. „Wiatr" – historia otwierająca zbiór – to zarazem jedna z najbardziej przejmujących opowieści, w których Groff mierzy się z przemocą domową. W osadzonym w latach 50. „Sunland" poznajemy Joanie, która odwozi swojego starszego brata z niepełnosprawnością umysłową do ośrodka, w którym zajmą się nim specjaliści. Sama chce wrócić do college'u, żeby kiedyś móc opiekować się bratem. W „Takich małych wyspach" mierzy się z dziecięcą skłonnością do okrucieństwa, a w „Między duszą a cieniem" pisze o żądzach i miłości.
Gdyby pokusić się o znalezienie dla nich wspólnego mianownika, to mógłby być nim moment, kiedy w rodzinie następuje pęknięcie. Nie drobne, lecz ostateczne; takie, które powoduje, że nic już nigdy nie będzie takie samo. Albo moment, kiedy to dziecko przejmuje rolę rodzica, wykazuje się dojrzałością ponad swój wiek. Mogą być też nim kobiety – buntowniczki, które chcą żyć po swojemu. ▲

(Joanna Wróżyńska)

LAUREN GROFF „Awanturnica", tłum. Dobromiła Jankowska, wyd. Pauza

KAMILA SZCZEŚNIAK RYSUJE

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

Pani Bovary powoli umiera

Siała baba mak
nie wiedziała czy przyjadą pałaszować makowce
karcić za antysemityzm
opowiadać o barokowych zachodnich miastach których
baba przecież nie zna
choć przed laty znała takie jedno
siała baba mak
wyrobiwszy ciasto drożdżowe tak
jak życie jej włóknistą skórę
wczesywała je następnie w roladę
zawijała jak dywan z problemami rodzinnymi
zdejmując papiloty wspominała francuskie ślimaki
potem Montmartre w końcu
Père-Lachaise
wdowiały jej włosy
baba jeszcze nie wie
że na jej grobie
kwiaty w zmowie z chwastami
kwitnąc ułożą się w wieżę Eiffla
dziadek wiedział
nie powiedział

MATYLDA GŁOWACKA, ur. 1996. Poetka i romanistka; studentka psychologii. Wiersz udostępniony przed debiutem autorki przez Dom Literatury w Łodzi

OGŁOSZENIE

Czy piękno jest *skończone*?

Prada wychodzi z założenia, że bycie „ładnym" jest zbyt łatwe i powierzchowne. Prawdziwa elegancja polega na umiejętności noszenia czegoś, co teoretycznie gryzie się z kanonem

MIU MIU

W modzie brzydota jest po prostu pięknem, które jeszcze nie zdążyło nas do siebie przekonać

TEKST **MAGDALENA KACALAK**

Intuicyjnie kojarzymy modę z dążeniem do piękna, ale historia i teoria projektowania dowodzą, że to właśnie odmienność i „dziwność" są motorem napędowym innowacji i narzędziem buntu tej dziedziny sztuki.

Od czasów Platona po Kanta piękno było nierozerwalnie utożsamiane z proporcją, harmonią i moralnym dobrem. Brzydota stała po drugiej stronie skali – była błędem, brakiem, synonimem zła. Współczesna moda dokonała wolty, w której to, co dziwne i odpychające, przestało być negacją piękna, a stało się jego alternatywą. W czasach perfekcyjnych obrazów impostowanych przez social media, jest to odświeżające. Miuccia Prada, pionierka nurtu „ugly chic", uważa brzydotę za głęboko ludzką, ponieważ dotyka ona brudu i niedoskonałości, które są integralną częścią naszej egzystencji. Przesyt klasycznym pięknem prowadzi do znudzenia. Dziwaczność mody działa jak „reset" dla percepcji, zmuszając nas do ponownej definicji tego, co atrakcyjne. Ale to, co dziś szokuje (np. dentystyczne akcesoria u Margieli), za kilka sezonów może stać się normą.

Nylonowy plecak Prada

PRADA

BEZ BŁĘDU KRAWIECKIEGO

Krzywe, naderwane, połączone przypadkowo. Nie z braku umiejętności, lecz z celowej strategii oporu wobec narzuconych kanonów. Korzenie tej krawieckiej strategii tkwią w dekonstrukcjonizmie lat 80. i 90., gdy wizjonerzy tacy jak Rei Kawakubo czy Martin Margiela zakwestionowali anatomię sylwetki. Wypychanie garbów w strojach, zostawianie surowych szwów i celowe niszczenie tkanin było radykalną w tamtym czasie formą buntu przeciwko komercji i uprzedmiatawianiu ludzkiego ciała. Sięgając do estetyki kampu i kiczu, która celebruje przesadę i zły gust, potraktowali brzydotę jako formę ironicznego cudzysłowu, pozwalającego na dystans wobec wyższościowej powagi luksusu. Mamy więc sztywność i perfekcję ograniczone regułami piękna versus nieprzewidywalność i faktyczne bogactwo (ale wyrazu!) imperfekcji. Umberto Eco w „Historii brzydoty" pisze, że granice tego, co odpychające, są płynne i zależą od kontekstu historycznego. W modzie brzydota jest po prostu pięknem, które jeszcze nie zdążyło nas do siebie przekonać.

KRÓL JEST NAGI

Wprowadzenie takiej estetyki do obiegu luksusowego jest perwersyjną grą projektantów z odbiorcami. Gdy Demna Gvasalia wyceniał celowo zniszczone buty Balenciagi w tysiącach euro, trudno było nie zauważyć, że z jednej strony wywyższa to, co niskie, z drugiej bezczelnie kpi z bezczelnie bogatych, którzy mogą sobie pozwolić na noszenie rzeczy wyglądających na brudne i znoszone. To z jednej strony mechanizm społecznej dystynkcji, a z drugiej klasizm w pełnej glorii. W książce „Dystynkcja. Społeczna krytyka władzy sądzenia" Pierre Bourdieu wyjaśnia, że nasze wybory estetyczne – to, co uznajemy za „ładne" lub „brzydkie", „gustowne" lub „w złym guście" – nie są wynikiem wrodzonego talentu czy „dobrego smaku", ale wynikają z przynależności do określonej klasy społecznej i posiadanego kapitału kul-

eprasa.pl 2b2d0f0434

To, co bolesne i trudne w odbiorze w modzie sezonu wiosna/lato 2026, nie jest chwilowym trendem, lecz głęboką zmianą paradygmatu. Możliwe, że to jedyny skuteczny sposób na ucieczkę przed banalizacją luksusu i estetyką piękna obliczoną przez komputerowy algorytym

Kontrowersyjne klamry w ustach u Maison Margiela

ANREALAGE

Klasa aspirująca boi się dziwaczności i dysproporcji, ponieważ za wszelką cenę *chce wyglądać „porządnie" i „luksusowo"*

Kiedy Loewe wypuszcza w kolekcji spódnicę z ręcznika, wie, że Internet zaleje fala parodii. Bycie częścią memu to gra z systemem – pokazanie, że ma się dystans do sztywnego świata mody luksusowej

LOEWE

ANREALAGE

Jak w tym siadać, jak się poruszać? Sukienki Anrealage i Dior. Buty Big Red Boots jak dla postaci z kreskówki, inspirowane postacią Astro Boya, MSCHF (2023 r.)

DIOR

BALENCIAGA

eprasa.pl 2b2d0f0434

Współczesna moda masowa nie kopiuje już tylko konkretnych ubrań, ale całe systemy myślenia o sylwetce, które wypracowali Prada i Demna. To, co zaczyna się jako prowokacja na wybiegu, w ciągu kilku miesięcy staje się nowym standardem propozycji w sieciówkach

FOT. NOWFASHION/SHUTTERSTOCK/REX FASHION/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK/REX FASHION/EAST NEWS, PIXELFORMULA/SIPA/SIPA/EAST NEWS (2), VIRGIL CLAISSE/GAMMA-RAPHO VIA GETTY IMAGES, SPLASHNEWS.COM/SPLASH/EAST NEWS, DAVID FISHER/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS, JONAS GUSTAVSSON/SIPA USA/EAST NEWS (2), JUSTIN SHIN/GETTY IMAGES, MATERIAŁY PRASOWE

turowego. Bourdieu uważa, że klasy wyższe często wybierają estetykę trudną w odbiorze, wymagającą od noszącego edukacji lub odwagi, aby odróżnić się od klasy robotniczej, która preferuje estetykę funkcjonalną i bezpośrednio przyjemną (to, co po prostu „ładne"). Elity potrafią zachować dystans wobec przedmiotu, co jest sygnałem ich dużej pewności siebie.

TU NIE MA SŁODYCZY

Socjologia mody ma na to nawet nazwę – to mechanizm trifle – opisany przez brytyjskiego psychologa i teoretyka mody Johna Flugela (autora m.in. „The Psychology of Clothes" z 1930 r.). W języku angielskim „trifle" to rzecz o małej wartości, drobiazg, któremu nie poświęca się uwagi (to także nazwa deseru składającego się z kilku warstw). Opisuje to moment, w którym projektant bierze coś marginalnego (np. agrafkę w stylu punkowym, plastikowy klips, plastikową torbę) i czyni z tego główny temat wypowiedzi. To, co powinno być zignorowane jako nieistotne, staje się najdroższym elementem wizerunku. Wyjaśnia to, czemu projektanci tacy jak Demna czy Miuccia Prada mogą wprowadzić do mody coś obiektywnie „brzydkiego" (np. buty ortopedyczne czy robocze fartuchy). W analizach twórczości Prady termin „trifle" pojawia się często. Krytycy mody (jak np. Susannah Frankel z „AnOther Magazine") używają go, by opisać jej umiejętność tworzenia mody z materiałów „biednych" (nylon, plastik, poliester) lub z fasonów kojarzonych ze zwyczajnością niższej klasy średniej. Osoba z wysokim kapitałem kulturowym odczyta to jako ironiczny cytat lub wyrafinowaną grę, a nie jako brak gustu. W obu przypadkach celem jest wytrącenie widza z równowagi i zmuszenie go do intelektualnego wysiłku.

LUDZKI PIERWIASTEK

W świecie zdominowanym przez idealne obrazy tworzone przez sztuczną inteligencję coś niepasującego, brudnego lub tandetnego staje się kotwicą rzeczywistości. Mechanizm ten pozwala modzie pozostać „ludzką". Wybór czegoś z zaprojektowaną „wadą" jest aktem wolności – odmową uczestnictwa w wyścigu po doskonałość. Poprzez wybór ubrań celowo deformujących sylwetkę – jak nienaturalnie szerokie ramiona czy kanciaste formy – kobiety odrzucają „męskie spojrzenie" (słynne male gaze Laury Mulvey po raz pierwszy opisane w 1975 roku). Przekaz jest jasny: ubiór nie służy wzbudzaniu pożądania, lecz manifestacji siły i obecności. W ten sposób dziwaczność czy niedoskonałość stają się formą feministycznego manifestu, w którym intelektualny przekaz wygrywa z seksualną atrakcyjnością.

SPÓR O WOLNOŚĆ

W ekonomii uwagi szok jest walutą. Kolekcje na sezon wiosna 2026 przyniosły radykalizację tej postawy, wprowadzając koncepcję „architektury dyskomfortu", co z feminizmem nie ma nic wspólnego. Projekty przestały służyć upiększaniu sylwetki, a zaczęły ją deformować w sposób niemal agresywny. Prada zaprezentowała usztywnione biustonosze zawieszone na ramionach i bulwiaste spódnice, które celowo niszczyły proporcje ciała. Rei Kawakubo w Comme des Garçons zaproponowała wizję „piękna po katastrofie", wykorzystując surowe płótna i juty, które sprawiały wrażenie nadpalonych i podartych. Jednak to propozycje Johna Galliano dla Maison Margiela i Jonathana Andersona dla Diora stały się pożywką dla gorącej debaty publicznej. Pokazanie wędzideł w ustach modelek i sukienek klatek, które narzucają ciału swój kształt, wywołało oskarżenia o promowanie opresji. Krytyczka Vanessa Friedman z „The New York Times" uznała wręcz, że moda cofnęła się w postrzeganiu kobiecej podmiotowości. W momencie, gdy kobiety walczą o swoje prawa w realnym świecie, moda proponuje im powrót do roli estetycznego obiektu, który nie może nawet swobodnie odetchnąć. Zakrywanie im twarzy (Courrèges) i krępowanie sylwetki (Anrealage, Thom Browne) jest powrotem do czasów w których ubiór służył do kontroli, nie do wyzwolenia. ▲

Buty Crocs NBA Echo Unisex

eprasa.pl 2b2d0f0434

Komu *potrzebne*

Z rzeczami na nowy sezon zawsze jest tak, że można - ale nie trzeba ich mieć. Zachciankę tworzy detal, krój, kształt noska

WYBÓR I TEKST: **MAGDALENA KACALAK**

JAK ZE SZKOŁY

Ciekawe w tym sezonie wydaje się noszenie się w stylu piątkowej uczennicy amerykańskiego koledżu lub panny z prywatnej pensji. Ubrania są proste, niekrzykliwe, nie ma tu mowy o epatowaniu seksapilem. Jest wygoda i umiejętnie wydobyta dziewczęcość, niezależna od wieku.

1. Naszyjnik Pandora, ***689 zł***; **2.** Baleriny koniecznie z taśmą trzymającą stopę, Balagan, ***549 zł***, **3.** Naszyjnik z perłą YES, ***649 zł***; **4.** Sandały Zign/Zalando, ***189 zł***, **5.** Kolczyki Pandora, ***429 zł***; 6. Torba z dodatkiem Inu Reserved, ***159,99 zł***, **7.** Koszulka polo Marc O'Polo, ***429 zł***; **8.** Zapożyczone z narciarskiego stroju okulary, Carrera, ***780 zł***; **9.** Buty typu barefoot to wolność palców u stóp, Hego's Milano, ***699,99 zł***; **10.** Wielki powrót grzecznej polówki w cukierkowym kolorze, Solar, ***299 zł***; **11.** Spódnica Reserved, ***179,99 zł***; **12.** Torebka Levi's, ***199,90 zł***; **13.** Sneakersy wyłącznie zamszowe, na cienkiej podeszwie i z podwójnymi sznurówkami, Pinko/Eobuwie, ***1009 zł***

FOT. PIXELFORMULA/SIPA/EAST NEWS, MATERIAŁY PRASOWE; OPRAC. ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK

eprasa.pl 2b2d0f0434

JAK NA WYBIEG

Druga propozycja to sylwetka zdefiniowana przez objętość. Strój jest także prosty, ale powietrza nabierają bufiaste rękawy, balonowe spódnice i spodnie typu barrel o zaokrąglonej nogawce. Zdecydowanie jest elegancko, ale z lekko sportowym zacięciem. Mile widziane troczki, zakładki i pofalowania. **1.** Półbuty jak papucie, z idealnie miękkiej skórki, Arket, ***650 zł***; **2.** Pierścionek Reverso Lilou, ***179 zł***; **3.** Koszula JW Anderson x Uniqlo, ***129,99 zł***; **4.** Koszula Undress Code, ***995 zł***; **5.** Kolczyki złote YES, ***829 zł***; **6**. Trampki Converse, ***419,99*** zł; **7.** Zwróćcie uwagę na wysoki rozporek i azjatyckie zapięcie, Orage Studio, ***480 zł***; **8.** Bermudy BENU, ***890 zł***; **9.** Spódnica lekko się unosi i tańczy wokół kostek, By Malene Birger/Zalando, ***990 zł***; **10.** Obowiązkowe nakrycie głowy, Parfois, ***159,99 zł***, 11. Te frędzle robią całą robotę! Torebka MAKO, ***2690 zł***; **12.** Nietypowy kształt obcasa!, Kazar, ***999 zł***; 13. Sukienka KappAhl, ***249,99 zł***; **14.** Istotna tu stójka i ściągacz w pasie. Płaszcz Mari Preti, ***2290*** zł; **15.** Skórzana kurtka COS, ***2950 zł***; **16.** Spodnie typu barrel, Bimba Y Lola, ***750 zł***; **17.** Okulary Solano, ***105 zł***; **18.** Buty jak origami, L37, ***849 zł***

OPRAC. ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK

eprasa.pl 2b2d0f0434

Czepek z okresu regencji, ograniczający widzenie, początek XIX w. Na zdjęciu Karolina Żebrowska

Moda to rodzaj *klatki*

Kiedyś biodra poszerzano poduszką, pupę powiększano tiurniurą. Dziś modyfikacje dotykają bezpośrednio naszego ciała

Z **KAROLINĄ ŻEBROWSKĄ**, AUTORKĄ KSIĄŻKI „UGLY", ROZMAWIA **MAGDALENA KACALAK**

Skąd pomysł na książkę o brzydocie?
Interesuję się historią mody, dużo czytam, grzebię w źródłach historycznych. Mam słabość do epoki wiktoriańskiej i edwardiańskiej, choć obszar moich zainteresowań stale się poszerza. Gdyby nie fakt, że czasy tak odległe historycznie budziłyby zbyt duże zaciekawienie na ulicy, najchętniej nosiłabym takie stroje. Gdy zgłębiam temat powstawania sukien z połowy XVIII w., sięgam dwa stulecia wstecz, bo moda nie bierze się znikąd. Przy okazji trafiam na lokalne ciekawostki i różne dziwności. Gdy zgłosiło się do mnie amerykańskie wydawnictwo, które zaproponowało mi wydanie książki, postanowiłam te kuriozalne przykłady zebrać w jednym miejscu.

Jak poszukiwałaś źródeł?
Interesuję się głównie modą zachodnią, więc źródeł szukałam poza Polską. Anglojęzyczne zbiory są dobrze opisane i udokumentowane, także w pełni zdigitalizowane. Online mam dostęp do unikatowych zapisków, pamiętników i fotografii. Wiele przedruków udało mi się pokazać dzięki uprzejmości różnych muzeów. Zdecydowałam się poważne źródła historyczne opatrzyć lekkim komentarzem i unikać akademickiej powagi. Miało być przystępnie językowo.

Za to refleksje po lekturze są poważne, bo historia ubioru pokazuje, jak duży dyskomfort przez stulecia sprawiano ludzkiemu ciału. Głównie kobiecemu.
Nie przepadam za tezą, że kobiety były jak lalki, które nie miały nic do powiedzenia w kwestii ubioru. Zwracam uwagę, że miały w tej materii autonomię i same dobierały stroje. Chciały wyglądać modnie i były gotowe znosić tego konsekwencje. Lubimy patrzeć na to oceniająco przez pryzmat dzisiejszej mody, ale wtedy strój nie

eprasa.pl 2b2d0f0434

Saczki, czyli watowane rożki z tkaniny na męskie organy płciowe (Barthel Beham, Portret Ottona Henryka, księcia Palatynatu Reńskiego, połowa XVI w.)

Sztywna ozdoba szyi, tzw. rebato lub piccadill (William Larkin, Thomas Pope, Trzeci Hrabia Downe, 1615 r.)

Na zdjęciu Karolina Żebrowska w biustonoszu typu bullet bra, wystylizowana na lata 50. XX w.

Spódnica typu hobble (pocztówka Xaviera Sagera, ok. 1912-1914 r.)

Ozdobne chopines chroniły strój przed zabłoceniem (1590-1610 r., Metropolitan Museum of Art)

traktował o wygodzie. Służył raczej komunikowaniu treści i tak też nim zarządzano.

Stroje pokazane w książce nie służą podobaniu się. Są emanacją statusu, możliwości finansowych, reprezentują pozycję towarzyską.

Dziś trudno nam zrozumieć, czemu ktoś z własnej woli zakładał na siebie klatkę czy usztywniał szyję, ale stelażu i kryzy nie nosiło się cały dzień. Po towarzyskim spotkaniu towarzystwo wychodziło z domu, a damy przebierały się w „pałacowy casual". Stroje, które widzimy na portretach, były reprezentacyjne, ale istniały też wersje codzienne, noszone w domowym zaciszu.

Jeśli przez tyle lat musisz publicznie znosić niewygody, ma to chyba wpływ na poczucie sprawczości i psychikę?

Nie sądzę, by postrzegano to w ten sposób. Podam przykład współczesnych ekstremalnie długich paznokci. Czy dziewczyny z takim manikiurem są w jakiś sposób wyłączone z życia? Nie, po prostu pewne rzeczy robią trochę inaczej, z pamięcią o tym, że te paznokcie są. Możliwe że i tak było z krynoliną, którą trzeba unieść, by usiąść, czy gorsetem, który wymagał trzymania się prosto.

A jednak gorsety powodowały odkształcenia organów wewnętrznych, na co wskazują badania antropolożki Rebekki Gibson, która w ramach pracy doktorskiej na American University przeanalizowała dziesiątki szkieletów z XVIII i XIX w.

Choć ekstremalne sznurowanie (tzw. tightlacing) mogło wpływać na strukturę szkieletu, noszenie gorsetu nie było automatycznie wyrokiem śmierci. Warto zwrócić uwagę, że w większości modyfikacje kobiecej sylwetki dokonywały się wtedy za pomocą stroju, nakładek w różnych miejscach, które budowały iluzję optyczną. Biodra poszerzano poduszką, pupę powiększano tiurniurą. Dziś modyfikacje dotykają bezpośrednio naszego ciała. Wydaje nam się, że powinno się dopasować do lansowanych kanonów i ideałów urody. Gdy to nie jest możliwe, wkracza medycyna estetyczna i chirurgia plastyczna, a więc o wiele bardziej opresyjne narzędzia. Dotyka to nie tylko naszego ciała, ale i psychiki. Kto nie wygląda jak z Instagrama, czuje, że jest z nim coś nie tak.

Jak w tym kontekście prezentuje się moda męska, bo aktualnie niewiele ma panom do zaproponowania?

Mężczyźni są dziś ograniczeni do wyboru kroju spodni lub koszuli. Mają mało przestrzeni do eksperymentów. Moda dawna dawała im możliwości podobne do tych dostępnych kobietom, o ile nie większe. Każdy element męskiego stroju można było wyolbrzymić i doprowadzić do przesady. Każda część ubioru była okazją, by pochwalić się drogimi tkaninami, klejnotami i kosztownymi zdobieniami. Współczesna moda wydaje się nudna, nawet jeśli spojrzeć na czerwony dywan – to wciąż ta sama sylwetka. Mężczyznom wolno dziś mniej niż kilka stuleci temu. Nie sądzę, by noszenie pudrowanej peruki, pludrów (wybrzuszone spodnie do kolan noszone z pończochami) lub saczków (rodzaj suspensoriów – watowanych rożków z tkaniny noszonych w kroczu) było dziś w jakikolwiek sposób akceptowalne.

Bo kategoria „niemęskości" jest dziś tak silna?

Bo „męskość" to konstrukt wrażliwy. A warto podkreślić, że niektóre elementy stroju, należące dziś do kobiecej garderoby, pierwsi za-

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2b2d0f0434

KAROLINA ŻEBROWSKA

– youtuberka (swój kanał prowadzi w języku angielskim), wyznawczyni stylu vintage, miłośniczka staroci i domorosła kostiumolożka, fascynatka historii mody

częli nosić mężczyźni. Tak było na przykład z wysokimi obcasami. Komentowano wtedy, że podbierające je kobiety noszą się po męsku. Panowie, chcąc się od kobiet jak najbardziej odróżnić, porzucili obcasy, by przez stulecia do nich nie wrócić. Bywały jednak momenty, gdy kobiety i mężczyźni wyglądali tak samo – przykład strojów jeździeckich z XVII w. Na ilustracjach czy obrazach trzeba uważnie przyjrzeć się, która płeć je nosi.

Wiele rzeczy, o których piszesz w książce, ma potencjał, by stać się cool. Weźmy naklejane pieprzyki, które młodzież w różnych formach nosi dziś, by ukryć pryszcze. Co się dzieje, gdy brzydota staje się trendem?
Współcześnie traktujemy „dziwną modę" w kategoriach ironicznych, pamiętając o tym, że dla ówczesnych odbiorców była to pewna norma. Widzimy że coś jest brzydkie, ale nosimy to na zasadzie „nawet w czymś takim jestem w stanie wyglądać fajnie". To rozmowa o świadomości i znajomości kontekstu, bo ironia cytatu tylko wtedy działa. Trzeba mieć pewne kompetencje do odbioru komunikatu. Ma też znaczenie, ile osób naraz coś nosi, by brzydka rzecz stała się pożądana. Bez tych czynników coś jest po prostu brzydkie i niezrozumiałe.

Czyli istnieje coś takiego jak obiektywna brzydota?
Dekadą, którą najtrudniej cytować ze smakiem, mogłyby być lata 80. XX w. Choć i tu trudno wyrokować, bo negują ją osoby, które pamiętają tamte czasy. Młodzież z chęcią nosi kreszowe dresy czy adidasy inspirowane archiwalnymi modelami. W naszej części świata trudno zachwycić się ubiorem z czasów transformacji Europy Środkowo-Wschodniej, podczas gdy świat zachodni kilka lat temu oszalał na punkcie post-soviet look, uznawanego za surowy i wyrafinowany w pewnych kręgach.

W modzie historycznej też były „brzydkie lata"?
Większość osób, które fascynują się tym tematem, uznaje lata 30. XIX w. za mocno przesadzone. Sylwetka była wtedy zaburzona przez ogromne bufiaste rękawy i bufiaste krótkie spódnice, co nadawało ludziom wygląd lalek. Dodajmy do tego szalone fryzury z dużą ilością ozdobnych elementów i mamy odpowiednik tapirowanych grzywek z lat 80. XX w.

Czy widzisz coś z mody dawnej, czego nie umiemy zaadaptować na dzisiejsze czasy?
Obserwuję, że nakrycia głowy są dla nas czymś trudnym do zastosowania. Akceptujemy czapki, bejsbolówki z daszkiem, ostatnio także toczki, ale już klasyczne kapelusze z szerokim rondem budzą co najmniej zdziwienie. Automatycznie wystawiają noszącego na ogląd, wydzielają go z tłumu i narażają na śmieszność.

Czy najgorsze, co można powiedzieć człowiekowi, to że brzydko się nosi?
To boli, bo gust określa nasz status i osobowość. „Brzydkie buty" nie mówią o butach, są oceną wyboru, więc brzydota automatycznie przechodzi na noszącego.

Ty jesteś w unikatowej sytuacji, bo aktualne trendy cię nie dotyczą.
To specyficzna sytuacja, ponieważ zamiast być użytkowniczką, wyłącznie je obserwuję. Ze względu na to, że noszę stroje vintage, pozostaję na uboczu głównego nurtu. Jednak moda współczesna wciąż ciekawi mnie jako zjawisko, które kiedyś też stanie się częścią przeszłości. Niedawno trafiłam na stronę w Wikipedii poświęconą modzie XXI w. Zdziwiło mnie to, że opisano ogromną liczbę mikrotrendów, których nigdy nie widziałam na ulicach ani nawet o nich nie słyszałam. Przynajmniej połowy z nich nie uznałabym za wystarczająco wartościowe, by zapisać je w annałach. Dzisiejsza moda to kocioł (czasem sprzecznych) inspiracji. Doszliśmy do sytuacji, gdy trudno określić, co jest modne. ▲

KAROLINA ŻEBROWSKA
UGLY. Encyklopedia brzydkiej mody, Wydawnictwo Znak, 2026

OGŁOSZENIE

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL
www.wydawnictwoagora.pl
WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
Wydawnictwo Agora

eprasa.pl 2b2d0f0434

4.

Wichrowe *chmury*

Na wybiegach wiosna-lato 2026 znalazłam romantyczne inspiracje jak z powieści Emily Brontë. Pełne pasji rumieńce, usta jak po pocałunku, chmurne obwódki pod oczami, cerę jasną i lekką jak chmurka i włosy zwichrowane przez wiatr

TEKST **ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK**

Dla mnie wiosna to czas rumieńców na twarzy, ale już nie od mrozu, a od ekscytacji, pierwszych promieni słońca, nowych pasji, częstych spacerów i jazdy na rowerze. Już nie musimy się szczelnie ubierać pod nos i zakładać czapek, czujemy więcej luzu i swobody, częściej zachowujemy się, jakbyśmy rozpływały się na miękkiej chmurce, niż siedziały skostniałe w zamrażalniku. Cera nabiera blasku, promieniejemy, również z radości, bo w perspektywie ciepłe, jasne i długie wieczory. Wiosna daje więcej optymizmu, jest przyzwolenie na roztargnienie w ubiorze i makijażu. A co zaproponowali na wiosnę na wybiegach makijażyści i fryzjerzy?

CHMURKOWA CERA

Punktem wyjścia każdego makijażu jest oczywiście promienna, jednolita cera. Na szczęście w tym sezonie nie musi być ultralśniąca, perfekcyjnie „szklana" (glass skin), a bardziej naturalna – nawilżona, świeża i delikatnie rozświetlona, jakbyśmy właśnie wyszły z zajęć pilatesu, tzw. cloud skin. To znane od lat makijażystom określenie w tym roku nabiera szczególnego znaczenia, bo kolorem tego roku według Instytutu Pantone został Cloud Dancer, subtelna, ciepła i złamana biel o perłowym odcieniu. Zatem już nie tylko nasze dane są w chmurze, ale też trendy. „Chmurkowa cera" nie jest zaszpachlowana grubo podkładem, widać jej naturalność, emanuje delikatnym blaskiem zdrowej skóry. Za kulisami pokazów wiosna-lato 2026 wizażyści skupiali się na stworzeniu takiej bazy na skórze dla makijaży. Kluczem jest przygotowanie: nawilżona skóra i nakładanie podkładu cienkimi warstwami, i tylko tam, gdzie jest to najbardziej potrzebne, zamiast nakładać go wszędzie z pełnym kryciem. Można podkład zmieszać z kremem lub bazą nawilżającą, żeby stworzyć lżejszą warstwę, ale też zapewnić lepszą trwałość.

MIĘKKIE KONTURY - USTA JAK PO POCAŁUNKU

Usta malujemy, ale z nonszalancją, jak Francuzki, bez wyraźnych konturów, raczej wklepujemy pigment pomadki w wargi. Takie zblurowane makijaże ust, wyglądające jak po pocałunku, zagościły na kilku wybiegach wiosna-lato 2026 (np. Sportmax). Wizażysta Chanel, Marco Antonio, jest zwolennikiem takiego nieprecyzyjnego podejścia; uważa, że miękkie, rozmyte usta wyglądają bardziej naturalnie i swobodnie. Aby osiągnąć ten efekt, sugeruje nałożenie niewielkiej ilości korektora wokół ust, a następnie nałożenie koloru palcem na środek ust i rozcieranie go na zewnątrz. Efekt jest subtelny, romantyczny, ale i praktyczny.

1. Ultimate Blurring, sypki puder utrwalający, ONE SIZE, ***165 zł*** (Sephora, wyłączność)
2. Olejek do ust Rare Beauty, ***115 zł***;
3. Krem odbudowujący 6 w 1 z prebiotykiem, Bielenda, ***40 ml/26 zł***;

5.

6.

1.

2.

3.

SPORTMAX

CHANEL

FOT. JADE TILLMAN BELMES/GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK/REX FASHION/EAST NEWS, ANTOINE FLAMENT/GETTY IMAGES, JACOPO RAULE/GETTY IMAGES, VICTOR VIRGILE/GAMMA-RAPHO VIA GETTY IMAGES, GEOFFROY VAN DER HASSELT / AFP, JUSTIN SHIN/GETTY IMAGES, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl/2d0f0434

LEONARD

ANNA SUI

7.
8.

9.

10.

4. Korektor Studio fix, MAC, ***155 zł***; **5.** Serum Barrier Rescu z ceramidami, Tołpa, ***50 ml/49 zł***; **6.** Serum ultranawilżające Ziaja, ***14 zł***; **7.** Płynny róż do policzków, Milk Makeup, ***125 zł*** (Sephora); **8.** Krem anti-ageing i przeciw przebarwieniom z niacynamidem i SPF 30, Nuxe, ***232 zł***; **9.** Rozświetlający róż do policzków Rare Beauty, ***139 zł***; **10.** Cień do powiek w płynie, r.e.m. beauty, ***95 zł***

EKSCYTUJĄCY RUMIENIEC

Z rumieńcami na policzkach jest tak, że mało kto spędza dziś tyle czasu na dworze i w ruchu (poza kurierami i kurierkami rowerowymi), żeby mieć pąsowe poliki od rana do nocy, a jednak wiosenny look rumieńcem stoi. Szczególnie w tym sezonie, niedługo po premierze „Wichrowych wzgórz" z Margot Robbie, która w filmie co i rusz biega po łąkach w poszukiwaniu Heathcliffa (zresztą trudno jej się dziwić, bo gra go atrakcyjny Jacob Elordie). Na wybiegach róż był rozcierany na policzkach, tworząc rozmyty efekt akwareli (Leonard). Na co dzień wystarczy mniej, tyle, żeby uzyskać romantyczny wygląd rodem z powieści Emily Brontë. Po nałożeniu można użyć wilgotnej gąbki i rozetrzeć go, aby makijaż wyglądał bardzo naturalnie, jakbyśmy tę łąkę faktycznie przebiegły.

PASTELOWE CHMURKI

Cienie do powiek wracają. Pastele, odcienie mineralne i delikatne pigmenty rozciera się na powiekach niczym farby akwarelowe, tworząc marzycielską mgiełkę (albo chmurkę) koloru, która sprawia wrażenie lekkiej i nowoczesnej. Lepiej, żeby kolory były nieco transparentne, co bardziej nadaje się do codziennego noszenia, niż intensywne jak na pokazach. Wybierz jeden kolor i nakładaj go powoli puszystym pędzelkiem, a następnie rozetrzyj krawędzie, aż nie będzie widać linii początku ani końca.

eprasa.pl 2b2d0f0434

ICEBERG

3.

DRIES VAN NOTEN

4.

5.

3. Maskara Graphic wydłużająca Eisenberg, ***229 zł*** (Sephora.pl);

1.

1. Serum C-Glow z 15% wit. C, Geek & Georgeous, ***30ml/65 zł***; **2.** Lakier hybrydowy NEONAIL z kolekcji Rytm wiosny z efektem 3D Cat Eye, ***39,99 zł***; **4.** Total Repair, szampon koreańskiej marki Hello Morning, ***300 ml/39 zł***; **5.** Glossy hair, Neboa, wygładzający spray do włosów, ***175 ml/37,99 zł***

2.

NEO NAIL

ŚWIEŻY GRUNGE

Eyeliner oficjalnie traci swoją dominację. Zamiast ostrych kresek i precyzyjnych linii uwaga skupia się teraz na rozcieraniu makijażu pod oczami, to nadaje mu lekko niedbały, nocny charakter. Ten styl nawiązuje do grunge'u z lat 90. do tego stopnia, że na pokazie Gucci pojawiła się sama Kate Moss, podkreślając ten klimat retro. Makijaż stworzony przez wizażystę Sama Vissera oddaje surowy, nostalgiczny klimat tamtych lat. Żeby nie było zbyt ciężko, zamiast czarnej kredki warto użyć kredki w kolorze grafitowym i rozetrzeć ją tylko wzdłuż dolnej linii rzęs. Do tego obowiązkowo promienna cera, wyczesane brwi i przezroczysty balsam lub błyszczyk, aby stylizacja była zwiewna i nowoczesna.

ZWICHROWANY WŁOS

Na mediolańskich pokazach słowem kluczem do stylizacji fryzur było „effortless", czyli bez wysiłku. Np. włosy modelek na pokazie Roberta Cavalliego wyglądają jak efekt niedbałości. Stylizacje były proste, takie, w których każda z nas może sobie wyobrazić siebie, takie, w których się żyje, a nie tylko takie, które się podziwia. A przecież o to chodzi. Fryzury nie powinny być nadmiernie stylizowane i dopracowane. Jeśli zatem twoje warkocze czy kucyki są zwichrowane i wystają nich kosmyki, jesteś na dobrej drodze. Zamiast sztywnej stylizacji – miękkie warstwy, naturalna tekstura. I tu znów przychodzi na myśl metafora „Wichrowych wzgórz", gdzie włosy Kathleen granej przez Margot Robbie są romantycznie zmierzwione przez wiatr. ▲

CAVALLI

eprasa.pl 2b2d0f0434

W SPRZEDAŻY

wysokieobcasy extra

ANJA RUBIK: SAMOBADANIE PIERSI NIE WYSTARCZY

Halina Poświatowska: Miłość ważniejsza niż życie

Kinga Preis: Nie uspokajam sumienia

Zdrada kontrolowana: Dlaczego jawność może być dojrzalsza niż ukrywanie?

Joga twarzy. Ćwiczenia, które zdejmują napięcie

Numer dostępny z prezentem:
płatkami złuszczającymi SILCATIL w prezencie

eprasa.pl 2b2d0f0434

eprasa.pl 2b2d0f0434